

JEDNA Z NAJLEPSZYCH POWIEŚCI O MIŁOŚCI WSZECH CZASÓW



Idealna chemia

Dwa różne światy.
Jedna prawdziwa miłość.

SIMONE ELKELES



Spis treści:

Strona redakcyjna

1. Brittany
2. Alex
3. Brittany
4. Alex
5. Brittany
6. Alex
7. Brittany
8. Alex
9. Brittany
10. Alex
11. Brittany
12. Alex
13. Brittany
14. Alex
15. Brittany
16. Alex
17. Brittany
18. Alex
19. Brittany
20. Alex
21. Brittany
22. Alex
23. Brittany
24. Alex
25. Brittany
26. Alex
27. Brittany
28. Alex
29. Brittany
30. Alex
31. Brittany
32. Alex
33. Brittany
34. Alex
35. Brittany
36. Alex
37. Brittany
38. Alex
39. Brittany
40. Alex
41. Brittany
42. Alex
43. Brittany
44. Alex
45. Brittany
46. Alex
47. Brittany
48. Alex
49. Brittany

50. Alex
51. Brittany
52. Alex
53. Brittany
54. Alex
55. Brittany
56. Alex
57. Brittany
Pięć miesięcy później. Brittany
Dwadzieścia trzy lata później. Epilog
Podziękowania

Idealna chemia

SIMONE ELKELES

Przekład
Marta Czub



1. Brittany

Wszyscy wiedzą, że jestem idealna. Moje życie jest idealne. Moje ciuchy są idealne. Nawet moja rodzina jest idealna. I choć to kompletna bzdura, staram się, jak mogę, żeby tak to właśnie wyglądało. Jeśli prawda wyszłaby na jaw, zniszczyłaby mój bajkowy wizerunek.

Stoję w łazience przed lustrem, w pokoju leci muzyka, a ja zmywam trzecią krzywą kreskę narysowaną pod okiem. Cholera, ręce mi się trzęsą. Początek ostatniej klasy w liceum i pierwsze spotkanie z chłopakiem po rozłące na całe wakacje nie powinno być takie stresujące, ale miałam fatalny start. Najpierw lokówka zaczęła wysyłać sygnały dymne, po czym padła. Potem odpadł mi guzik w ulubionej bluzce. A teraz mój eyeliner ożył własnym życiem. Gdyby to ode mnie zależało, zostałabym w miłym łóżeczku i jadła cały dzień ciepłe ciasteczka z czekoladą.

— Brit, schodź — z korytarza dobiega mnie niewyraźnie głos mamy.

W pierwszym odruchu mam ochotę ją zignorować, ale to jeszcze nigdy nie dało mi nic poza awanturą, bólem głowy i krzykiem.

— Chwila! — krzyczę z nadzieją że uda mi się wreszcie narysować prosto kreskę i skończyć makijaż.

W końcu daję radę, rzucam eyeliner na stolik, przeglądam się dokładnie w lustrze, wyłączam wieżę i zbiegam szybko na dół.

Mama stoi na dole naszych imponujących schodów i ocenia mój strój. Prostuję się. Tak, tak. Mam osiemnaście lat i nie powinnam się przejmować zdaniem swojej matki. Ale nie wiecie, jak to jest mieszkać w domu Ellisów. Mama ma nerwicę. Nie taką, którą można bez problemu okiełznać niebieskimi tabletkami. A kiedy mama jest zdenerwowana, wszystkim się dostaje. Wydaje mi się, że to właśnie dlatego tata wychodzi do pracy, zanim mama się obudzi, bo chce uniknąć — no cóż — jej.

— Spodnie fatalne, pasek świetny — ocenia mama, wskazując palcem poszczególne części garderoby. — A od tych wrzasków, które uważasz za muzykę, boli mnie głowa. Całe szczęście, że to wyłączyłaś.

— Tak, mamo, dzień dobry — mówię, po czym pokonuję ostatnie stopnie i cmokam ją w policzek. Wyraźnie czuję intensywny zapach jej perfum. Wygląda zabójczo w swojej sukience tenisowej od Ralphi Lauren. Jej na pewno nikt by nic nie zarzucił, bo wygląda perfekcyjnie.

— Kupiłam ci twoje ulubione muffiny z okazji rozpoczęcia roku szkolnego — mówi mama i wyciąga zza pleców torebkę.

— Nie, dzięki — mówię i rozglądam się za siostrą. — Gdzie Shelley?

— W kuchni.

— Przyszła już nowa opiekunka?

— Ma na imię Baghda i nie, nie przyszła. Będzie za godzinę.

— Mówiłaś jej, że wełna ją drapie? I że ciągnie za włosy? — Moja siostra zawsze daje do zrozumienia na własny, pozbawiony słów sposób, że nie lubi dotyku wełny, bo drażni jej skórę. Szarpanie za włosy to nowość, ale było już przyczyną kilku małych katastrof. Katastrofy w moim domu mają urok wypadku samochodowego, więc lepiej ich unikać.

— Dwa razy tak. Porozmawiałam dziś sobie z twoją siostrą, Brittany. Jak tak dalej pójdzie, nie będziemy już mieli gdzie szukać kolejnej opiekunki.

Idę do kuchni, bo nie mam ochoty słuchać wywodów mojej mamy na temat tego, czemu Shelley jest agresywna w stosunku do ludzi. Shelley siedzi przy stole na wózku i zajada specjalnie dla niej zmiksowane jedzenie, bo mimo że ma dwadzieścia lat, nie potrafi gryźć i połykać jak normalna osoba, bez fizycznych ograniczeń. Jedzenie przy okazji jak zwykle ląduje jej na brodzie, ustach i policzkach.

— Cześć, Shell-bell — witam się i nachylam, żeby wytrzeć jej twarz chusteczką. — Dziś

początek roku szkolnego. Trzymaj kciuki.

Shelley wyrzuca przed siebie gwałtownie ręce i uśmiecha się do mnie krzywo. Uwielbiam ten uśmiech.

— Chcesz mnie przytulić? — pytam, choć wiem, że chce. Lekarze ciągle nam powtarzają, że dla Shelley im więcej kontaktu, tym lepiej.

Shelley kiwa głową. Obejmuję ją, uważając, żeby trzymać włosy z daleka od jej rąk. Gdy się odsuwam, mama wydaje stłumiony okrzyk. Dla mnie brzmi to jak gwizdek sędziego, który zatrzymuje w biegu moje życie.

— Brit, nie możesz tak iść do szkoły.

— Jak?

Kręci głową i wzdycha poirytowana.

— Popatrz na swoją bluzkę.

Spuszczam głowę i widzę na przodzie białej koszuli od Calvina Kleina dużą mokrą plamę. Ups. Shelley mnie ośliniła. Jedno spojrzenie na skrzywioną twarz mojej siostry mówi mi to, czego nie potrafi wyrazić słowami: Shelley jest przykro. Shelley nie chciała pobrudzić mi ubrania.

— Nie przejmuj się — mówię jej, choć w głębi duszy wiem, że plama psuje mój idealny wygląd.

Mama marszczy brwi, moczy kawałek papierowego ręcznika i stara się ją wytrzeć. Czuję się jak dwulatka.

— Idź się przebrać.

— Mamo, to tylko brzoskwinie — mówię łagodnie, żeby nie doszło do ostrzejszej wymiany zdań. Za żadne skarby nie chcę, żeby mojej siostrze zrobiło się przykro.

— Brzoskwinie zostawiają plamy. Nie chcesz przecież, żeby ktoś sobie pomyślał, że o siebie nie dbasz.

— Dobrze. — Żałuję, że mama nie ma akurat lepszego dnia, jednego z tych, gdy nie czepia się tak wszystkiego.

Cmokam siostrę w czubek głowy, żeby nie pomyślała, że przejęłam się tą śliną.

— Widzimy się po szkole — mówię, starając się, żeby zabrzmiało to wesoło. —

Dokończymy rozgrywkę w warcaby.

Wbiegam na górę po dwa stopnie naraz. Po wejściu do pokoju zerkam na zegarek. O nie. Dziesięć po siódmej. Sierra, moja przyjaciółka, zacznie świrować, jeśli się po nią spóźnię. Wyciągam z szafy jasnoniebieską apaszkę i błagam w duchu, żeby się udało. Może nikt nie zauważy plamy, jeśli odpowiednio zawiążę chustkę.

Wracam na dół, a mama znów stoi w korytarzu, żeby mi się przyjrzeć.

— Świetna apaszka.

Uf.

Gdy ją mijam, wciska mi muffin w rękę.

— Zjesz po drodze.

Łapię ciastko. W drodze do samochodu biorę nieuważnie gryza. Niestety to nie jagodowe, moje ulubione, tylko bananowo-orzechowe. Za bardzo bananowe. Ciastko przypomina mi mnie — na zewnątrz ideał, a w środku jedna wielka breja.

2. Alex

Wstawaj, Alex.

Rzucam młodszemu bratu mordercze spojrzenie i nakrywam głowę poduszką. Dzielę pokój z dwoma braćmi, jedenasto i piętnastoletnim, więc nie mam gdzie się schować i tylko poduszka zapewnia mi odrobinę prywatności.

— Odwal się, Luis — chrypię spod poduszki. — *No estes chingando.*

— Wcale się nad tobą nie znęcam. *Mama* kazała cię obudzić, żebyś nie zasnął do szkoły.

Ostatnia klasa. Powinienem być dumny: będę pierwszy z naszej rodziny, który skończy liceum. Ale po szkole zacznie się prawdziwe życie. O studiach mogę tylko pomarzyć. Czwarta klasa liceum to dla mnie jak impreza pożegnalna przed przejściem na emeryturę dla

sześćdziesięciopięciolatka. Człowiek wie, że mógłby jeszcze coś zrobić, ale wszyscy chcą, żeby już odszedł.

— Mam superciuchy — dochodzi mnie przez poduszkę dumny, ale stłumiony głos Luisa. — *Nenas*, laseczki, będą się ślinić na widok latynoskiego ogiera.

— Super — mruczę.

— *Mama* mówi, że mam cię oblać wodą, jeśli nie wstaniesz.

Czy człowiek naprawdę nie może prosić o odrobinę prywatności? Biorę poduszkę i rzucam w Luisa. Trafiony. Woda oblewa mu całe ubranie.

— *Culero!* — ty dupku — drze się. — Nie mam innych ciuchów.

Spod drzwi dobiega mnie wybuch śmiechu. Carlos, mój drugi brat, wyje ze śmiechu jak szurnięta hiena. Ale tylko póki Luis nie rzuca się na niego. Bójka wymyka się spod kontroli, a moi młodszy bracia okładają się bez opamiętania.

Nieźle sobie radzą, myślę z dumą, przyglądając się walce. Ale jestem najstarszym mężczyzną w tym domu i muszę ich rozdzielić. Łapię Carlosa za kołnierz, ale potykam się o nogę Luisa i łąduję razem z nimi na podłodze.

Zanim udaje mi się odzyskać równowagę, czuję na plecach lodowaty strumień. Okręcam się szybko i widzę, jak *mi'ama* oblewa nas wszystkich wodą, stojąc nad nami z wiaderkiem, wyszykowana do pracy. Jest kasjerką w pobliskim spożywczaku, kilka przecznic od naszego domu. Nie płacą za wiele, ale nam dużo nie potrzeba.

— Wstawajcie — rozkazuje wściekła.

— Cholera, mamó — mówi Carlos i wstaje.

Miama wkłada palce do resztki lodowatej wody, która została jej w wiaderku, i przyska Carlosowi w twarz.

Luis wybuchą śmiechem, ale w tej samej chwili też zostaje opryskany wodą. Kiedy oni wydorosleją?

— Coś jeszcze, Luis? — pyta.

— Nie, mamó — odpowiada brat i staje na baczność jak żołnierz.

— Masz coś jeszcze do powiedzenia, Carlos? — Mama zanurza ostrzegawczo rękę w wiaderku.

— Nie, mamó — powtarza żołnierz numer dwa.

— A ty, Alejandro? — Oczy zwężają się jej w wąskie szparki, gdy przenosi wzrok na mnie.

— No co? Chciałem ich rozdzielić — mówię głosem niewiniątka i uśmiecham się z nieodpartym urokiem.

Pryska mi wodą w twarz.

— To za to, że nie rozdzieliłeś ich szybciej. A teraz ubierać się i siadać do stołu.

To by było tyle, jeśli chodzi o mój nieodparty urok.

— I tak nas kochasz — rzucam za nią, gdy wychodzi z pokoju.

Biorę szybki prysznic i wracam do pokoju z ręcznikiem na biodrach. Luis ma na głowie moją bandanę, co doprowadza mnie do wściekłości. Zrywam mu ją z głowy.

— Nigdy więcej tego nie dotykaj, Luis.

— Czemu? — pyta, patrząc niewinnie tymi swoimi ciemnobrązowymi oczkami.

Dla Luisa to tylko zwykła bandana. Dla mnie to oznaka tego, co jest, i tego, czego nigdy nie będzie. Jak mam do cholery wyjaśnić to jedenastoletniemu gówniarzowi? Wie, kim jestem. To żadna tajemnica, że bandana jest w barwach Latynoskiej Krwi. Trafiłem tam przez długi i zemstę i nie mam już wyjścia. Ale prędzej dam się zabić, niż pozwolę, żeby któryś z moich braci też się tam znalazł.

Zwijam bandanę w dłoni.

— Luis, nie dotykaj moich gratów. A zwłaszcza tych związanych z Krwią.

— Ale lubię ubierać się na czerwono-czarno.

To ostatnia rzecz, jaką chciałbym od niego usłyszeć.

— Jeśli jeszcze raz cię w tym przyłapię, to będziesz nosić czarno-fioletowy — ostrzegam.
— Kumaszu, braciszku?

Wzrusza ramionami.

— Kumam.

Wychodzi energicznie z pokoju, a ja zastanawiam się, czy naprawdę do niego dotarło. Przystaję się nad tym zastanawiać, tylko wyciągam z komody czarny T-shirt i wkładam znoszone, sprane dżinsy. Związuję sobie na głowie chustę i słyszę głos mamy z kuchni.

— Alejandro, śniadanie stygnie. *Deprisa*, ale już.

— Idę — odpowiadam. Nigdy nie zrozumie, czemu jedzenie jest dla niej aż takie ważne.

Gdy wchodzę do kuchni, moi bracia pochłaniają już swoje porcje. Otwieram lodówkę i lustruję jej zawartość.

— Siadaj.

— Mamo, chciałem tylko...

— To nie chcesz, Alejandro, tylko siadaj. Jesteśmy rodziną i siadziemy do posiłku jak rodzina.

Wzdycham, zamykam lodówkę i siadam obok Carlosa. Czasem posiadanie bliskiej rodziny ma swoje wady. *Mi'ama* stawia przede mną talerz pełen huevos i tortilli — jajek i placków.

— Czemu nie możesz mówić na mnie Alex? — pytam, wpatrując się w jedzenie.

— Gdybym chciała mówić na ciebie Alex, nie dałabym ci na imię Alejandro. Nie lubisz swojego imienia?

Cały się spinam. Mam na imię tak samo jak ojciec, który już nie żyje i po którym musiałem przejąć obowiązki mężczyzny w tym domu. Alejandro, Alejandro Jr., Junior... dla mnie to jedno i to samo.

— A ma to jakieś znaczenie? — mruczę i biorę tortillę. Podnoszę głowę, chcąc sprawdzić jej reakcję.

Stoi tyłem do mnie i myje naczynia przy zlewie.

— Nie.

— Alex chce udawać, że jest biały — wtrąca się Carlos. — Możesz zmienić imię, braciszku, ale i tak wszyscy będą widzieć w tobie zwykłego *Mexicano*.

— Carlos, *callate la boca*, przymknij się — ostrzegam. — Wcale nie chcę być biały. Nie chcę być tylko kojarzony z ojcem.

— *Por favor* — prosi matka. — Przestańcie się wreszcie kłócić.

— *Mojado* — podśpiewuje Carlos, żeby mnie sprowokować, mówiąc, że jestem nielegalnym meksykańskim robotnikiem.

Mam dość jego gadania. Na zbyt dużo sobie pozwala. Wstaję z szuraniem. Carlos robi to samo i podchodzi do mnie blisko. Wie, że mógłbym mu skopać tyłek. Niedługo przez tę swoją zarozumiałość napyta sobie biedy, bo zadrze z niewłaściwą osobą.

— Siadaj, Carlos — nakazuje *miama*.

— Pieprzony fasolarz. — Carlos przeciąga słowa, parodiując południowy akcent. — A właściwie jeszcze gorzej, *es un ganguero* — to gangster.

— Carlos! — *mi'ama* przywołuje go ostro do porządku i idzie już w jego stronę, ale ja jestem szybszy i łapię brata za fraki.

— Owszem, ludzie zawsze tak będą o mnie myśleć — mówię. — Ale jak będziesz tak chrzanić, o tobie będą myśleć tak samo.

— Braciszku, i tak będą. Czy tego chcę, czy nie.

Puszczam go.

— Mylisz się, Carlos. Możesz osiągnąć coś więcej, być kimś więcej.

— Niż ty?

— Tak, niż ja i dobrze o tym wiesz — dodaję. — A teraz przeproś mamę za takie odzywki w jej obecności.

Patrzy mi w oczy i z miejsca wie, że nie żartuję.

— Przepraszam, mamo — mówi i siada znów przy stole. Ale widzę, że jest wściekły, że utarłem mu nosa.

Mi'ama odwraca się i otwiera lodówkę, żeby ukryć łzy. Cholera, martwi się o Carlosa. Jest

w drugiej klasie i kolejne dwa lata okazały się dla niego kluczowe.

Wykładam czarną skórzaną kurtkę, bo dłużej tu nie wytrzymam. Cmokam przepaszająco *mi'amę* w policzek za kłótnie przy śniadaniu i wychodzę, zastanawiając się, jak mam uchronić Carlosa i Luisa przed pójściem w moje ślady i pokazać im, że jest lepsze życie. Co za ironia.

Na ulicy chłopaki w takich samych barwach witają się na sposób Latynoskiej Krwi: stukają się dwa razy prawą dłonią w lewe ramię, uginając przy tym palec serdeczny. Cały nabuzowany wsiadam na motor. Chcą mieć w gangu twardziela, to będą go mieli. Odstawiam taką szopkę na potrzeby zewnętrznego świata, że czasem aż sam się sobie dziwię.

— Alex, czekaj! — woła znajomy głos.

Podbiega do mnie Carmen Sanchez, moja sąsiadka i była dziewczyna.

— Cześć, Carmen — mruczę.

— Podrzucisz mnie do szkoły?

Jej czarna mini odsłania boskie nogi, a bluzeczka jest obcisła i podkreśla małe, ale zadziorne *chichis*, cycki. Kiedyś zrobiłbym dla niej wszystko, ale to było, zanim przyłapałem ją podczas wakacji z innym facetem w łóżku. A w zasadzie w samochodzie.

— Oj przestań, Alex. Przecież nie gryzę... chyba że zechcesz.

Carmen też należy do Krwi. Niezależnie od tego, czy jesteśmy razem, czy nie, zawsze kryjemy sobie tyłki. Takie są zasady.

— Wskakuj — mówię.

Carmen wsiada na motocykl i celowo kładzie mi ręce na udach i przyciska się całym ciałem do moich pleców. Nie odnosi to jednak efektu, na jaki zapewne liczyła. Co ona sobie wyobraża? Że zapomnę o tym, co było? Nie ma mowy. Moja przeszłość decyduje o tym, kim jestem.

Staram się skupić na rozpoczęciu ostatniego roku szkolnego w Fairfield, na teraźniejszości. To cholernie trudne, bo niestety po maturze moja przyszłość będzie najprawdopodobniej tak samo beznadziejna jak moja przeszłość.

3. Brittany

Sierra, przez to auto kręcą mi się włosy. Zawsze jak opuszczam dach, wyglądam, jakbym wpadła w trąbę powietrzną — mówię do przyjaciółki, jadąc nowym srebrnym kabrioletem wzdłuż Vine Street do liceum Fairfield. — Wygląd jest najważniejszy. — Moi rodzice przekazali mi zasadę, która rządzi całym moim życiem. To jedyny powód, dla którego nie skomentowałam w żaden sposób bmw, które tato dał mi dwa tygodnie temu w ramach ekstrawaganckiego prezentu urodzinowego.

— Mieszkamy pół godziny od Wietrznego Miasta — mówi Sierra i wyciąga rękę do góry. — A Chicago nie słynie zasadniczo z łagodnej pogody. Poza tym, Brit, z tymi rozwichrzonymi włosami wyglądasz jak grecka blond bogini. Stresujesz się tylko spotkaniem z Colinem.

Rzucam okiem na nasze zdjęcie w kształcie serduszka przyklejone do deski rozdzielczej.

— Lato zmienia ludzi.

— Rozstanie umacnia uczucia — ripostuje Sierra. — Jesteś kapitanem drużyny cheerleaderek, a on kapitanem drużyny futbolowej. Musicie być razem, bo inaczej rozpadnie się układ słoneczny.

Colin dzwonił kilka razy z domku letniskowego swoich rodziców, gdzie spędzał wakacje z kumplami, ale nie mam pojęcia, na czym teraz stoimy. Wrócił dopiero wczoraj wieczorem.

— Świetne dzinsy — mówi Sierra, zerkając na moje sprane biodrówki. — Będziesz mi musiała pożyczyć.

— Moja mama ich nie cierpi — mówię i na światłach przyglądam sobie włosy, starając się ujarzmić swoje blond loki. — Mówi, że wyglądają jak z second-handu.

— Mówiłaś jej, że vintage jest na czasie?

— Akurat będzie mnie słuchać. Ledwie słuchała, jak pytałam o nową opiekunkę.

Nikt nie zdaje sobie sprawy, jak wygląda mój dom. Na szczęście mam Sierrę. Może nie do końca wszystko rozumie, ale wie na tyle dużo, że może mnie wysłuchać i zachować informacje na temat mojego życia rodzinnego w tajemnicy. Poza Colinem tylko Sierra poznała moją siostrę.

Sierra otwiera futerał z płytami.

— A co się stało z poprzednią?

— Shelley wyrwała jej garść włosów.

— Auć.

Zajeżdżam na szkolny parking, będąc myślami raczej przy siostrze niż na drodze. Hamuję z piskiem opon, bo o mały włos nie potrącam jakiejś pary na motocyklu. Wydawało mi się, że miejsce parkingowe jest puste.

— Uważaj, suko — mówi Carmen Sanchez, dziewczyna siedząca za kierowcą, i pokazuje mi środkowy palec.

Najwyraźniej podczas kursu na prawo jazdy opuściła wykład o agresji na drodze.

— Przepraszam — mówię głośno, żeby przekrzyczeć ryk motocykla. — Myślałam, że nikogo tu nie ma.

Nagle dociera do mnie, kogo omal nie potrąciłam. Motocyklista odwraca się. Wściekle czarne oczy. Czerwono-czarna bandana. Wciskam się jak najgłębiej w fotel.

— O cholera. To Alex Fuentes — mówię i wzdrygam się.

— Jezus, Brit — szepcze Sierra. — Chciałabym dożyć końca roku. Wyjeżdżaj stąd, póki nie zabije nas obu.

Alex wpatruje się we mnie morderczym wzrokiem, stawiając motor na nóżce. Przywali mi?

Szukam wstecznego, rozpaczliwie przerzucając biegi. Oczywiście tata kupił mi samochód z ręczną skrzynią biegów, ale nie zadał już sobie trudu, żeby nauczyć mnie porządnie obsługiwać to cholerstwo.

Alex robi krok w stronę mojego wozu. Instynkt podpowiada mi, żeby zostawić samochód i uciekać, jakbym utknęła na torach, a pociąg właśnie nadjeżdżał. Zerkam na Sierrę, która grzebie desperacko w torebce. To chyba jakiś żart?

— Nie umiem wrzucić wstecznego. Musisz mi pomóc. Czego ty, do cholery, szukasz? — pytam.

— No... niczego. Nie chcę tylko nawiązywać kontaktu wzrokowego z Latynoskimi Krwiopjicami. Ruszaj wreszcie, co? — odpowiada Sierra przez zaciśnięte zęby. — Poza tym ja umiem kierować tylko automatem.

W końcu udaje mi się wrzucić wsteczny, z okropnym piskiem opon cofam auto i znajduję inne miejsce.

Parkujemy w zachodniej części parkingu, jak najdalej od pewnego członka gangu, którego zła sława potrafiłaby przerazić nawet najtwardszego futbolistę z Fairfield, po czym idziemy z Sierrą do głównego wejścia liceum Fairfield. Niestety stoi tam Alex Fuentes z kumplami z gangu.

— Po prostu idź — mruczy Sierra. — Pod żadnym pozorem nie patrz im w oczy.

To akurat okazuje się dosyć trudne, gdy Alex Fuentes zastępuje mi drogę.

Jaką modlitwę odmawia się w godzinę śmierci?

— Jesteś beznadziejnym kierowcą — mówi z lekkim hiszpańskim akcentem i spojrzeniem mówiącym wyraźnie: Ja tu rządzę.

Z tym swoim umięśnionym ciałem i idealną twarzą chłopak wygląda jak model od Abercrombiego, ale jego zdjęcie trafi prędzej do kartoteki policyjnej.

Dzieciaki z północnej części miasta nie zadają się w zasadzie z dziećmi z południa. Nie, że uważamy się za lepszych — jesteśmy po prostu inni. Żyjemy w tym samym mieście, ale w zupełnie innych częściach. My mieszkamy w dużych rezydencjach nad jeziorem Michigan, a oni w pobliżu bocznic kolejowych. Inaczej wyglądamy, mówimy, zachowujemy się i ubieramy. Nie mówię, że ktoś jest lepszy albo gorszy. W Fairfield tak po prostu jest. A szczerze mówiąc, większość dziewczyn z południa miasta traktuje mnie tak jak Carmen Sanchez... nienawidzą mnie za to, kim jestem.

A raczej za to, jaka ich zdaniem jestem.

Alex mierzy mnie powoli wzrokiem, z góry na dół i z powrotem. Nie po raz pierwszy chłopak tak na mnie patrzy, ale nigdy nie robił tego ktoś taki jak Alex i to w tak bezczelny sposób... i z tak bliska. Czuję, że robię się czerwona.

— Następnym razem patrz, gdzie jedziesz — mówi zimnym, spokojnym głosem.

Próbuje mnie zastraszyć. Dobry jest. Nie dam się sterroryzować, nawet jeśli w brzuchu wszystko przewraca mi się tak, jakbym zrobiła sto gwiazd pod rząd. Prostuję ramiona i uśmiecham się szyderczo: tym samym uśmiechem, po który sięgam, gdy chcę kogoś do siebie zniechęcić.

— Dzięki za radę.

— Jeśli chciałabyś kiedyś, żeby prawdziwy facet pokazał ci, jak się jeździ, mogę ci udzielić paru lekcji.

Jego kumple zaczynają się śmiać i gwizdać, a we mnie wszystko się gotuje.

— Gdybyś był prawdziwym facetem, przytrzymałbyś mi drzwi, a nie blokował przejście — mówię, będąc pod wrażeniem własnej riposty, mimo że kolana mam jak z waty.

Alex odsuwa się, otwiera drzwi i kłania się, jakby był kamerdynerem. Robi sobie ze mnie jaja: on to wie i ja to wiem. Wszyscy to wiedzą. Widzę, że Sierra dalej grzebie bez sensu w torebce. Co za kretynka.

— Zajmij się własnym życiem — mówię mu.

— Tak jak ty? *Cabróna*, pozwól, że coś ci powiem — odpowiada ostro Alex. — Twoje życie nie jest prawdziwe. Jest sztuczne. Tak jak cała ty.

Łapię Sierrę za rękę i ciągnę do otwartych drzwi. Wchodzimy do środka wśród śmiechów i pogwizdywań.

W końcu wypuszczam z płuc powietrze, które musiałam dotąd cały czas wstrzymywać, a potem odwracam się do Sierry.

Przyjaciółka gapi się na mnie przerażonym wzrokiem.

— Cholera jasna, Brit! Chcesz umrzeć, czy jak?

— Co daje Aleksowi Fuentesowi prawo terroryzowania każdego, kto mu stanie na drodze?

— Może pistolet, który ma za paskiem albo barwy gangu, które na sobie nosi? — stwierdza Sierra sarkastycznie.

— Nie jest na tyle głupi, żeby przychodzić do szkoły ze spluwą — zauważam rozsądnie. — A ja nie dam się zastraszyć ani jemu, ani nikomu innemu. — Przynajmniej w szkole. Szkoła to jedyne miejsce, w którym mogę zgrywać „ideał”. Wszyscy się na to biorą. Nagle dociera do mnie, że to nasz ostatni rok w Fairfield i potrząsam Sierrą za ramiona.

— Jesteśmy w ostatniej klasie — mówię z tym samym entuzjazmem, z jakim tańczę z pomponami na meczach.

— No i?

— No i od teraz wszystko będzie i-d-e-a-l-n-e.

Dzwoni dzwonek, a właściwie nie dzwonek, bo w zeszłym roku uczniowie ustalili, żeby zamiast dzwonka na przerwę leciała muzyka. Teraz właśnie leci *Summer Love* z *Grease*. Sierra rusza korytarzem.

— Dopilnuję, żebyś miała i-d-e-a-l-n-y pogrzeb. Mnóstwo kwiatów i w ogóle.

— Kto umarł? — pyta ktoś za moimi plecami.

Odwracam się. To Colin. Blond włosy ma dodatkowo rozjaśnione od słońca i uśmiech tak szeroki, że zajmuje mu prawie całą twarz. Żałuję, że nie mam lusterka, żeby sprawdzić, czy się nie rozmazałam. Ale nawet jeśli, to przecież Colin nie rzuciłby mnie z takiego powodu, prawda? Podbiegam i przytulam się do niego mocno.

Przyciska mnie do siebie, całuje lekko w usta i odsuwa.

— Kto umarł? — powtarza.

— Nikt — odpowiadam. — Zapomnij o tym. Zapomnij o wszystkim poza mną.

— To nic trudnego, gdy wyglądasz tak cholernie seksownie. — Colin znów mnie całuje. — Przepraszam, że nie zadzwoniłem, ale było straszne zamieszanie z rozpakowywaniem i w ogóle.

Uśmiecham się do niego szczęśliwa, że spędzone osobno wakacje nic między nami nie zmieniły. Układ słoneczny jest bezpieczny, przynajmniej na razie.

Colin obejmuje mnie ramieniem i w tym samym momencie otwierają się drzwi wejściowe. Do środka wpada Alex z kumplami, jakby mieli zamiar uprowadzić całą szkołę.

— Po co oni w ogóle chodzą do budy? — mruczy Colin tak cicho, że tylko ja to słyszę. —

Połowa z nich pewnie i tak odpadnie przed końcem roku.

Mój wzrok napotyka na krótką chwilę wzrok Aleksa i przechodzi mnie dreszcz.

— Dziś rano omal nie wjechałam w motor Aleksa Fuentesesa — mówię Colinowi, gdy Alex nie może nas już usłyszeć.

— Trzeba było to zrobić.

— Colin!

— Przynajmniej mielibyśmy emocjonujący początek roku. Ta buda jest beznadziejnie nudna.

Nudna? Omal nie spowodowałam wypadku, dziewczyna z południowej części miasta pokazała mi środkowy palec, a niebezpieczny gangster próbował mnie zastraszyć przed wejściem do szkoły. Jeśli to miała być zapowiedź dalszej części roku, to zdecydowanie nie będzie nudno.

4. Alex

Wiedziałem, że w którymś momencie w ciągu roku szkolnego trafię na dywanik do nowego dyrektora, ale nie spodziewałem się, że stanie się to zaraz pierwszego dnia szkoły. Podobno doktor Aguirre został zatrudniony, bo pokazał twardą rękę w jakimś liceum w Milwaukee. Ktoś musiał mu wskazać mnie jako prowodyra, bo to mój tyłek znalazł się w jego gabinecie, a nie kogoś innego z Latynoskiej Krwi.

A więc wyciągnęli mnie z wuefu, żeby Aguirre mógł się napuszyć i zacząć marudzić o zaostrozonym rygorze w szkole. Czuję, że stara się mnie wybadać i zastanawia się, jak zareaguję na jego ostrzeżenia:

— ...w tym roku zatrudniłem też dwóch uzbrojonych ochroniarzy, Alejandro.

Wbij a we mnie wzrok, wyraźnie chcąc mnie przestraszyć. Jasne. Z miejsca widać, że choć Aguirre też jest Latynosem, nie ma pojęcia, jak wygląda życie na ulicach. Zaraz mi pewnie zacnie opowiadać, że tak jak ja dorastał w biedzie. Pewnie nigdy nawet nie zapuścił się samochodem w moją część miasta. Może powinienem urządzić mu wycieczkę krajoznawczą?

Staje naprzeciwko mnie.

— Zobowiązałem się osobiście przed komisarzem i radą szkoły, że skończę z przemocą, z którą od lat bezskutecznie się tu walczy. Nie zawaham się zawiesić nikogo, kto będzie ignorować regulamin szkolny.

Niczego nie ignorowałem, zabawiłem się tylko z pomponiarą, a facet już mówi o zawieszeniu. Może słyszał, że w zeszłym roku też zostałem zawieszony. Przez zwykłą bzdurę wylali mnie na trzy dni. To nie była moja wina... tak do końca. Paco wyskoczył z jakąś absurdalną teorią, że fiuty białasów inaczej reagują na zimną wodę niż Latynosów. Kłóciłem się z nim na ten temat w kotłowni, gdzie zakręcił dopływ ciepłej wody i wtedy nas złapali.

Nie miałem z tym nic wspólnego, ale i tak zostałem uznany za winnego. Paco usiłował powiedzieć prawdę, ale poprzedni dyro nie chciał go w ogóle słuchać. Może gdybym się bardziej postarał, to by posłuchał. Ale jaki jest sens walczyć o przegraną sprawę?

Jasne, że trafiłem tu dziś dzięki Brittany Ellis. Myślicie, że ten palant, z którym chodzi, kiedykolwiek zostanie wezwany na dywanik do Aguirre? Akurat. Chłoptaş jest mistrzem futbolu. Może wagarować i wszczynać bójkę, a Aguirre i tak pewnie będzie go całować po tyłku. Colin Adams wiecznie mnie popycha, wiedząc, że nic mu za to nie grozi. Zawsze, gdy chcę się mu odpłacić, jakoś udaje mu się wymknąć albo znaleźć w pobliżu nauczycieli... nauczycieli, którzy tylko czekają, żebym coś spaprał.

Ale któregoś dnia...

Podnoszę wzrok na Aguirre.

— Nie wszczynam żadnych bójkę. — Ale jedną z przyjemnością bym dokończył, myślę.

— To dobrze — stwierdza Aguirre. — Ale słyszałem, że byłeś dziś na parkingu agresywny w stosunku do jednej z uczennic.

To, że omal nie zostałem rozjechany nowiutką beemką Brittany Ellis to moja wina? Przez ostatnie trzy lata udawało mi się jakoś schodzić z drogi tej bogatej zdzirze. Słyszałem, że w zeszłym roku dostała jakąś trójkę, ale telefonik od rodziców wszystko załatwił.

Bo miałyby przez to mniejsze szanse na dobry college.

Pieprzyć to. Gdybym to ja dostał tróję, *mi'ama* dzieliłaby mnie w łeb i kazała dwa razy bardziej się starać. Wypruwam sobie żyły, żeby dostać dobre stopnie, choć na koniec i tak najczęściej nauczyciele dopytują się, skąd miałem odpowiedzi. Jakbym kiedykolwiek ściągał. Nie chodzi mi o to, żeby dostać się do college'u. Chodzi o to, żeby udowodnić, że mógłbym się dostać... gdyby moje życie wyglądało inaczej.

Dzieciaki z południowej części miasta uważa się zwykle za głupsze od tych z północy, ale to brednie. Jedyne, co nas różni, to że nie jesteśmy tacy bogaci, nie jesteśmy takimi materialistami i nie mamy obsesji, żeby dostać się na najdroższe i najbardziej prestiżowe uczelnie. Zwykle koncentrujemy się głównie na przetrwaniu i zawsze musimy mieć oczy dookoła głowy.

Prawdopodobnie najtrudniejsza w życiu Brittany Ellis jest decyzja, do jakiej restauracji iść co wieczór na kolację. Ta laska za pomocą swojego boskiego ciała manipuluje każdym, z kim tylko zacznie rozmawiać.

— Zechcesz mi powiedzieć, co się wydarzyło na parkingu? Chciałbym poznać twoją wersję zdarzeń — mówi Aguirre.

Nie ma mowy. Już dawno temu przekonałem się, że moja wersja zdarzeń nie ma żadnego znaczenia.

— Dziś rano... po prostu się nie zrozumieliśmy — wyjaśniam. Brittany Ellis nie zrozumiała, że na jednym miejscu parkingowym nie zmieszczą się dwa pojazdy.

Aguirre stoi i opiera się rękoma o lśniące, nieskazitelnie czyste biurko.

— Postarajmy się, żeby takie nieporozumienia nie weszły nam w krew, dobrze?

— Alex.

— Słucham?

— Wolę, żeby nazywać mnie Alex. — Aguirre całą wiedzę o mnie czerpie ze szkolnych akt, pewnie tak tendencyjnych, że grubych na dziesięć centymetrów.

Aguirre kiwa głową.

— Dobrze, Alex. Idź na szóstą lekcję. Ale mam na wszystko oko i będę cię uważnie obserwować. Nie chcę cię już więcej u siebie widzieć. — Wstaję, a on kładzie mi rękę na ramieniu. — Tak dla twojej wiadomości: zależy mi na każdym uczniu w tej szkole. Na każdym, Alex. Na tobie też, więc jeśli byłeś do mnie w jakiś sposób uprzedzony, zapomnij o tym. *Me entiendes?* — Rozumiesz?

— *Si. Entiendo* — mówię, zastanawiając się, na ile mogę mu wierzyć. Na korytarzu rzeka uczniów przemieszcza się szybko do swoich klas. Nie mam pojęcia, jaką mam następną lekcję, poza tym ciągle jestem w stroju do wufu.

W szatni, gdy już się przebrałem, rozlega się z głośników piosenka wzywająca na szóstą lekcję. Wyciągam z tylnej kieszeni plan. Chemia z panią Peterson. Cudownie, kolejna cholera, z którą trzeba sobie będzie jakoś poradzić.

5. Brittany

Włączam komórkę i dzwonię przed chemią do domu, żeby sprawdzić, co tam u mojej siostrzyczki. Baghda jest niezadowolona, bo Shelley nie smakował lunch i odstawiła w związku z tym szopkę. Wygląda na to, że w ramach protestu rzuciła na podłogę miskę z jogurtem.

Czy naprawdę oczekiwałam zbyt wiele, licząc, że mama opuści po prostu jeden dzień w klubie sportowym i zostanie w domu, żeby wprowadzić Baghdę? Wakacje się skończyły i nie mogę już zastępować opiekunek w momencie, w którym zwykle odchodzą.

Powinnam się skupić na szkole. Zależy mi, żeby dostać się na dawną uczelnię taty, Northwestern, bo chcę studiować blisko domu i opiekować się siostrą. Podpowiadam Baghdzie, jak sobie radzić, biorę głęboki wdech, przyklejam do twarzy uśmiech i wchodzę do klasy.

— Hej, kotku. Zająłem ci miejsce. — Colin wskazuje mi stołek obok siebie.

Sala składa się z rzędów wysokich, dwuosobowych stanowisk laboratoryjnych. Cały rok będę siedzieć z Colinem i razem zrobimy ten okropny projekt, który mamy na zaliczenie. Jest mi głupio, że myślałam, że między nami coś się popsuło, więc zajmuję tylko miejsce i wyciągam

ciężki podręcznik.

— Patrzcie! Fuentes ma z nami chemię! — woła jakiś chłopak z tyłu klasy. — Tutaj, Alex! *Ven pa'ca* — chodź tutaj.

Staram się nie gapić na Aleksa, który wita się z kumplami poklepywaniem po plecach i uściskami dłoni zbyt skomplikowanymi, żeby dało się je powtórzyć. Wszyscy mówią do siebie „ese”, cokolwiek to znaczy. Cała klasa patrzy na Aleksa.

— Podobno w zeszły weekend go aresztowali za posiadanie amfy — szepcze Colin.

— Niemożliwe.

Kiwa głową i unosi brwi.

— Możliwe.

No cóż, taka informacja nie powinna mnie zaskoczyć. Podobno przez większość weekendów Alex ępa, pije albo robi coś niezgodnego z prawem.

Pani Peterson zatrząskuje za sobą drzwi i wszystkie spojrzenia wędrują z tyłu sali, gdzie siedzi Alex z kumplami, na przód, gdzie stoi pani Peterson. Ma jasnobrązowe włosy ściągnięte w ciasny kucyk. Nie ma pewnie jeszcze trzydziestu lat, ale okulary i wiecznie poważna mina bardzo ją postarzają. Podobno zrobiła się ostra, bo gdy zaczynała pracę w szkole, uczniowie doprowadzali ją do płaczu. Nie szanowali nauczycielki, która mogłaby być ich starszą siostrą.

— Dzień dobry. Witam na chemii dla maturzystów. — Przysiada na brzegu biurka i otwiera dziennik. — Cieszę się, że wybraliście sobie miejsca, ale pozwoliłam sobie sama was porozsadzać... alfabetycznie.

Jęczę razem z całą klasą, ale na pani Peterson nie robi to żadnego wrażenia. Staje przed pierwszym stanowiskiem i czyta:

— Colin Adams, siadaj w pierwszej ławce. Będziesz pracować z Darlene Boehm.

Obie jesteśmy kapitanami drużyny cheerleaderek. Darlene rzuca mi przeprasające spojrzenie i siada obok mojego chłopaka.

Pani Peterson kontynuuje odczytywanie listy, a uczniowie niechętnie przesiadają się na wyznaczone miejsca.

— Brittany Ellis — mówi pani Peterson i wskazuje na stół za Colinem. Bez entuzjazmu zajmuję wyznaczone miejsce.

— Alejandro Fuentes — czyta pani Peterson i wskazuje siedzenie obok mnie.

O Boże. Alex... moim partnerem na chemii? Przez całą czwartą klasę! O nie, tylko nie to. Rzucam Colinowi nieme błaganie o ratunek i staram się zapanować nad atakiem paniki. Zdecydowanie powinnam była zostać w domu. W łóżku. Pod kołdrą. Czy ja mówiłam coś o tym, że nie dam się zastraszyć? Bzdura.

— Jestem Alex.

Pani Peterson odrywa wzrok od dziennika i przygląda się Aleksowi znad okularów.

— Alex Fuentes — mówi i zmienia jego imię na liście. — Panie Fuentes, proszę zdjąć bandanę. Na moich zajęciach obowiązuje polityka zerowej tolerancji. Na tej sali nie mają prawa znaleźć się żadne elementy wskazujące na przynależność do gangu. Przykro mi, Alex, ale twoja sława cię wyprzedza. Doktor Aguirre w pełni popiera moje stanowisko... czy wyrażam się jasno?

Alex mierzy ją wzrokiem i dopiero wtedy zdejmuje z głowy chustę, odsłaniając kruczoczarne włosy, które pasują do koloru jego oczu.

— Zakrywa sobie wszy — mruczy Colin do Darlene, ale słyszę go i ja, i Alex.

— *Vete a la verga* — rzuca Alex z wściekłością w oczach. — *Callate el hocico*.

— Co tam sobie chcesz, stary — stwierdza Colin i odwraca się na krześle. — Nie umiesz nawet mówić po angielsku.

— Dosyć, Colin. Alex, siadaj. — Pani Peterson wpatruje się w resztę klasy. — To się tyczy was wszystkich. Nie jestem w stanie kontrolować tego, co robicie za drzwiami tej klasy, ale na moich zajęciach ja jestem szefem. — Zwraca się znów do Aleksa. — Czy wyrażam się jasno?

— *Si, senora* — mówi Alex, celowo przeciągając słowa.

Pani Peterson kontynuuje czytanie listy, ja natomiast staram się, jak mogę, unikać wzroku siedzącego obok chłopaka. Wielka szkoda, że zostawiłam torebkę w szafce, bo mogłabym udawać,

że czegoś szukam, tak jak Sierra dziś rano.

— Ale kanał — mruczy Alex pod nosem. Ma ponury, chrapliwy głos. Czy on celowo tak mówi?

Jak ja wyjaśnię matce, że siedzę na chemii z Alekssem Fuentesem? O Boże, mam nadzieję, że nie zwali wszystkiego na mnie.

Zerkam na mojego chłopaka, pogrążonego w rozmowie z Darlene. Jestem strasznie zazdrosna. Czemu nie mogę mieć na nazwisko Allis zamiast Ellis, wtedy siedziałabym z nim?

Fajnie by było, gdyby Bóg dał każdemu dzień „powtórkowy” i można by zawołać: „Powtórz się!” i cały dzień zaczęłyby się od nowa.

Czy pani Peterson naprawdę uważa, że to mądre łączyć w parę kapitana drużyny cheerleaderek i najniebezpieczniejszego chłopaka w szkole? Ta kobieta ma chyba paranoję.

Pani Paranoja kończy wreszcie rozsadzanie uczniów.

— Wiem, że jako czwartoklasiści uważacie, że pozjadaliście wszystkie rozумы. Ale niech wam się nie wydaje, że udało się wam coś osiągnąć, o ile nie pomogliście znaleźć lekarstwa na choroby nękające ludzkość lub nie sprawiliście, że na świecie zrobiło się bezpieczniej. Chemia to dziedzina, dzięki której powstają lekarstwa, radioterapia dla chorych na raka, paliwo, ozon...

Alex podnosi rękę.

— Alex — powiedziała nauczycielka. — Chcesz o coś spytać?

— Tak. Pani Peterson, czy chce pani przez to powiedzieć, że prezydent Stanów Zjednoczonych nic nie osiągnął?

— Chcę tylko powiedzieć, że... pieniądze i pozycja to jeszcze nie wszystko. Ruszcie głową i zróbcie coś dla ludzkości albo dla planety, na której żyjecie. Wtedy naprawdę coś osiągniecie. I zasłużycie na mój szacunek, którym niewielu ludzi na tym świecie może się poszczycić.

— Ale ja znalazłbym trochę rzeczy, którymi mogę się poszczycić, pani P. — rzuca Alex, najwyraźniej świetnie się bawiąc.

Pani Peterson unosi rękę.

— Oszczędź nam, proszę, szczegółów, Alex.

Kręcę głową. Jeśli Alex sądzi, że zniechęcając do siebie nauczycielkę, pomoże nam zdobyć dobry stopień, to się grubo myli. Pani Peterson wyraźnie nie lubi cwaniaczków i jest już wyczulona na mojego partnera.

— A teraz — mówi Pani Paranoja — spójrzcie na osobę, obok której siedzicie.

Tylko nie to. Ale nie mam wyboru. Zerkam znów na Colina, który wydaje się dość zadowolony z partnerki, która przypadła mu w udziale. Dobrze, że Darlene ma już chłopaka, bo w przeciwnym razie poważnie bym się zastanawiała, czemu przysuwa się tak blisko Colina i tak często zakłada włosy za ucho. Powtarzam sobie, że wpadam w obłąd.

— Nie musicie lubić waszego partnera — ciągnie pani Peterson. — Ale spędzicie razem najbliższe dziesięć miesięcy. Macie pięć minut, żeby się czegoś o sobie dowiedzieć, a potem będziecie musieli przedstawić swojego partnera reszcie klasy. Możecie opowiedzieć o wakacjach, o swoich zainteresowaniach, o jakiegokolwiek ciekawej czy wyjątkowej rzeczy, której wasz partner o was nie wie. Pięć minut. Zaczynamy.

Wyciągam notatnik, otwieram na pierwszej stronie i podsuwam Aleksowi.

— Może napiszesz mi o sobie w moim zeszycie, a ja napiszę ci o sobie w twoim. — Zawsze to lepiej, niż usiłować z nim rozmawiać.

Alex kiwa głową na zgodę, choć mam wrażenie, że gdy wręcza mi swój zeszyt, drgają mu kąciki ust. Wyobraziłam to sobie, czy naprawdę mu drgnęły? Biorę głęboki wdech, staram się o tym nie myśleć i piszę skrupulatnie do chwili, aż pani Peterson mówi, że czas się skończył i że teraz posłuchamy, co mamy o sobie wzajemnie do powiedzenia.

— To jest Darlene Boehm — zaczyna Colin.

Ale nie słyszę reszty jego opowieści o Darlene, jej wyjeździe do Włoch i pobycie na obozie tanecznym. Zamiast tego zerkam na zeszyt, który oddał mi Alex, i wpatruję się z rozdziawioną buzią w zapisaną stronę.

No dobra, może nie powinienem jej wkurzać podczas całej tej prezentacji. Nie zachowałem się pewnie najmądrzej, pisząc jej w zeszycie: „Sobota wieczór. Ty i ja. Nauka jazdy i ostry seks...” Ale naprawdę mnie korciło, żeby zobaczyć, jak Mała Panna Perfecta jąka się podczas prezentacji. A jąka się jak cholera.

— Panno Ellis?

Obserwuję z rozbawieniem, jak ten chodzący ideał podnosi głowę i patrzy na Peterson. Ach, niezła jest. Moja koleżanka z ławki wie, jak ukrywać prawdziwe uczucia — widzę, bo sam robię to cały czas.

— Tak? — pyta Brittany, przechyla głowę i uśmiecha się jak miss świata.

Zastanawiam się, czy z takim uśmiechem zawsze płaci mandaty.

— Twoja kolej. Powiedz nam coś o Aleksie.

Opieram się łokciem o stół i czekam na prezentację: bo albo musi ją wymyślić, albo przyznać się, że kompletnie nic o mnie nie wie. Patrzy na moją zadowoloną minę i widzę po jej przerażonych oczach, że zbiłem ją z tropu.

— To jest Alejandro Fuentes — zaczyna, a głos jej drży prawie niezauważalnie. Wkurza mnie, że używa mojego prawdziwego imienia, ale nie dają tego po sobie poznać, ona natomiast przedstawia wymyśloną na poczekaniu historię. — Podczas wakacji, kiedy akurat nie włączył się po ulicach, zaczepiając niewinnych ludzi, zwiedzał miejskie areszty, jeśli wiecie, co mam na myśli. Ma też sekretne pragnienie, którego nikt by się nigdy nie domyślił.

W klasie zapada nagle cisza. Nawet Peterson prostuje się i słucha uważniej. Cholera, nawet ja słucham tak, jakby słowa wychodzące z kłamliwych, wypacykowanych na różowo usteczek Brittany były co najmniej święte.

— Potajemnie marzy o tym — ciągnie Brittany — żeby iść do college’u i zostać nauczycielem chemii, tak jak pani, pani Peterson.

No jasne. Zerkam na moją kumpelkę, Isę, którą najwyraźniej bawi, że biała dziewczyna nie boi się znieważyć mnie na przy całej klasie.

Brittany uśmiecha się do mnie triumfalnie, przekonana, że wygrała. Przeliczysz się, *gringa*. Prostuję się na krześle w kompletnej ciszy.

— To jest Brittany Ellis — mówię, czując na sobie spojrzenie całej klasy. — Podczas wakacji wybrała się do galerii handlowej, kupiła sobie trochę nowych fatałaszków, bo chciała odświeżyć garderobę i wydała pieniądze tatusia na operację plastyczną, bo chciała mieć większe, ekhm, atuty.

Być może nie napisała dokładnie tego, ale na pewno nie minąłem się zbytnio z prawdą. W przeciwieństwie do niej.

Z tyłu klasy, gdzie siedzą *mis cuates* — moi kumple — dobiegają śmiechki, a Brittany siedzi obok sztywna, jakby połknęła kij, jakby moje słowa uraziły jej wrażliwe ego do żywego. Brittany Ellis przywykła, że ludzie się jej przymilają, więc przyda jej się mały, zimny prysznic. Właściwie to wyświadczam jej przysługę. Ale nie wie, że to jeszcze nie koniec.

— Jej sekretne pragnienie — dodaję, wywołując tę samą reakcję co ona przed chwilą — to przed zakończeniem roku szkolnego umówić się z *Mexicano*.

Zgodnie z przewidywaniami moje słowa wywołują docinki i gwizdy z tyłu sali.

— Super, Fuentes — woła mój kumpel Lucky.

— Ja się z tobą umówię, *mamacita* — stwierdza ktoś inny.

Przybijając piątkę z Marcusem, jeszcze innym kumplem z Latynoskiej Krwi, który siedzi za mną, widzę, że Isa kręci głową, jakbym zrobił coś złego. No co? Trochę się zabawiłem kosztem bogatej panienci z północnej części miasta.

Brittany odwraca głowę i patrzy na Colina. Też na niego zerkam i przekazuję mu wzrokiem: „Odbijam piłeczkę”. Colin robi się na twarzy czerwony jak papryczka chilli. Wyraźnie wkroczyłem na jego teren. Super.

— Cisza — nakazuje surowo Peterson. — Dziękuję wam za te niezwykle kreatywne i... pouczające prezentacje. Panno Ellis i panie Fuentes, po lekcji proszę do mnie.

— Wasze prezentacje były nie tylko ohydne, ale wyrażały też brak szacunku do mnie i do kolegów z klasy — mówi Peterson, gdy po lekcji meldujemy się z Brittany przy jej biurku. — Macie wybór. — Nauczycielka trzyma w jednej ręce dwa niebieskie świstki, oznaczające, że musimy kiblować dodatkowe godziny w szkole, a w drugiej dwie czyste kartki. — Możecie albo zostać za karę w szkole, albo napisać mi na jutro wypracowanie na jedną stronę na temat szacunku. Jaki wybór?

Sięgam po zawiadomienie o areszcie szkolnym. Brittany wyciąga rękę po czystą kartkę. Doprawdy symboliczne.

— Czy któremuś z was nie odpowiada mój podział klasy na pary? — pyta Peterson.

Brittany mówi „tak” dokładnie w tej samej chwili, w której ja mówię „nie”.

Peterson odkłada okulary na biurko.

— Lepiej się dogadajcie przed końcem roku. Brittany, nie zmienię ci pary. Jesteście w ostatniej klasie i po szkole będziecie mieli do czynienia z najróżniejszymi ludźmi. Jeśli nie macie ochoty na wakacyjny kurs poprawkowy, radzę, żebyście pracowali wspólnie, a nie przeciwko sobie. A teraz proszę iść na następną lekcję.

Po tych słowach wychodzę za moją partnereczką z pracowni chemicznej i idę za nią korytarzem.

— Przystań za mną łązić — warczy Brittany i ogląda się przez ramię, żeby sprawdzić, czy dużo ludzi widzi nas razem.

Jakbym był samym *el diablo*.

— Włóż w sobotę coś z długimi rękawami — mówię jej w pełni świadomy, że znajduje się na skraju załamania nerwowego. Zwykle nie usiłuję zachodzić za skórę białym babeczkom, ale ta tak fajnie się denerwuje. Ta, najpopularniejsza, której wszyscy najbardziej zazdroszczą, naprawdę się przejmuje. — Z tyłu na motorze jest dość zimno.

— Słuchaj, Alex — mówi, odwracając się do mnie szybko i przerzucając sobie przez ramię rozjaśnione od słońca włosy. Patrzy na mnie oczami zimnymi jak lód. — Nie umawiam się na randki z gangsterami i nie biorę narkotyków.

— Ja też nie umawiam się z gangsterami — stwierdzam i podchodzę do niej. — I nie ćpam.

— Jasne. Dziwię się, że nie wylądowałeś jeszcze na odwyku albo nie trafiłeś do poprawczaka.

— Wydaje ci się, że tak dobrze mnie znasz?

— Wystarczająco dobrze. — Krzyżuje ręce na piersiach, ale zaraz potem patrzy w dół, jakby zorientowała się, że w ten sposób podkreśla swoje *chichis* i opuszcza luźno ręce.

Robię jeszcze jeden krok naprzód i bardzo się staram nie patrzeć na te jej *chichis*.

— Doniosłaś na mnie Aguirre?

Cofa się o krok.

— A nawet jeśli?

— *Mujer*, ty się mnie boisz. — To nie jest pytanie. Chcę tylko usłyszeć z jej własnych ust, dlaczego to zrobiła.

— Większość ludzi w tej szkole boi się, że jeśli krzywo na ciebie spojrzy, skończy z kulką między zębami.

— W takim razie mój pistolet powinien już dymić, nie sądzisz? Czemu nie uciekasz przed złym *Mexicano*, co?

— Daj mi szansę, a to zrobię.

Nie chce mi się dłużej cackać z tą małą zdzirą. Czas ją trochę zdenerwować, żeby ostatnie słowo na pewno należało do mnie. Pokonuję ostatni dzielący nas krok i szepczę jej do ucha:

— Spójrz prawdzie w oczy. Twoje życie jest zbyt idealne. Pewnie nie możesz w nocy spać, bo marzy ci się odrobina pikanterii w tym twoim życiu białym jak lilijka. — Cholera, jej perfumy albo balsam do ciała pachną wanilią. Taki ciasteczkowy zapach, a ponieważ uwielbiam ciastka, nie jest dobrze. — Igranie z ogniem, *chica*, wcale nie musi oznaczać, że się sparzysz.

— Dotknij ją tylko, a pożałujesz, Fuentes — slysze głos Colina. Z tymi swoimi dużymi białymi zębami i uszami odstającymi z obciętej na zapałkę głowy przypomina osła. — Odwal się od

niej.

— Colin — odzywa się Brittany. — Wszystko w porządku. Poradzę sobie.

Ośli Łeb sprowadził posiłki: trzech bladziószków stoi za nim w ramach wsparcia. Mierzę wzrokiem Oślego Łba i jego kumpli, żeby sprawdzić, czy dam radę wszystkim naraz i stwierdzam, że bez problemu.

— Jak już będziesz wystarczająco silny, żeby grać w prawdziwej lidze, piłkarzyku, to może zechcę posłuchać gówna, które wychodzi ci z ust — rzucam.

Wokół nas zbierają się inni uczniowie, ale zostawiają na środku wolne miejsce na zacieklą i krwawą bijatykę. Tyle że nie wiedzą, że Ośli Łeb to tchórz. Tym razem ma wsparcie, więc może nie ucieknie. Zawsze jestem gotowy do walki, biłem się więcej razy, niż mam palców u rąk i nóg razem wziętych. Na dowód mogę pokazać blizny.

— Colin, on nie jest tego wart — mówi Brittany.

Dzięki, *mamacita*. Zaraz do ciebie wrócimy.

— Grozisz mi, Fuentes? — warczy Colin, ignorując swoją dziewczynę.

— Nie, dupku — mówię i zmuszam go do odwrócenia wzroku. — Tylko takie małe fiutki jak ty uciekają się do gróźb.

Brittany staje przed Colinem i kładzie mu rękę na piersi.

— Nie słuchaj go — prosi.

— Nie boję się ciebie. Mój tata jest prawnikiem — chwali się Colin, po czym obejmuje Brittany. — Ona jest moja i lepiej o tym pamiętaj.

— W takim razie lepiej trzymaj ją na smyczy — radzę. — Bo w przeciwnym razie może zechce poszukać sobie nowego właściciela.

Mój kumpel, Paco, staje obok mnie.

— *Andas bien*, Alex? W porządku?

— Tak, Paco — odpowiadam i widzę dwóch nauczycieli, idących pod obstawą faceta w mundurze policyjnym. Tego właśnie chce Adams. Wymyślił sobie, że wylecę ze szkoły. Ale nie dam się podpuścić i nie wyląduję na czarnej liście Aguirre. — Si, wszystko *bien*. — Odwracam się do Brittany. — Do zobaczenia, *mamacita*, już się nie mogę doczekać, kiedy zajmiemy się naszą chemią.

Brittany unosi ten swój zadarty nos, jakbym był największym draniem na świecie, a ja zaraz potem się zmywam, żeby prócz dzisiejszej kary dodatkowo mnie nie zawiesili.

7. Brittany

Po lekcjach stoję akurat przy szafce, gdy podchodzą do mnie moje koleżanki, Morgan, Madison i Megan. Sierra mówi na nie Emki z Fairfield.

Morgan przytula mnie.

— Jezu, wszystko okej? — pyta i odsuwa mnie na odległość ramienia, żeby mi się przyjrzeć.

— Słyszałam, że Colin stanął w twojej obronie. Jest niesamowity. Szczęściara z ciebie, Brit — mówi Madison, a będące jej znakiem rozpoznawczym loczki podrygują przy każdym słowie.

— Nic się takiego nie stało — mówię, zastanawiając się, jak wygląda plotka w porównaniu z rzeczywistością.

— Co właściwie powiedział Alex? — pyta Megan. — Caitlin zrobiła Aleksowi i Colinowi zdjęcie na korytarzu, ale nie bardzo widać, co się działo.

— Nie spóźnijcie się na trening — krzyczy Darlene z drugiego końca korytarza i znika równie szybko, jak się pojawiła.

Megan otwiera sąsiadującą z moją szafkę i wyciąga pompony.

— Wkurza mnie, że Darlene tak się podlizuje pani Small — szepcze.

Zamykam szafkę i idziemy razem na boisko.

— Wydaje mi się, że stara się skupić na tańcu, żeby nie przejmować się wyjazdem Tylera do college'u.

Morgan przewraca oczami.

— A co mnie to obchodzi. Nie mam nawet chłopaka, więc na moje współczucie niech nie liczy.

— Na moje też nie. Serio, czy ona kiedykolwiek była sama? — pyta Madison.

Gdy zjawiamy się na boisku, cała drużyna siedzi na trawie i czeka na panią Small. No i co? Nie spóźniłyśmy się.

— Ciągłe nie mogę uwierzyć, że jesteś w parze z Fuentesem — mówi do mnie cicho Darlene, gdy znajduję sobie obok niej wolne miejsce.

— Chcesz się zamienić? — pytam, choć pani Peterson i tak by się nie zgodziła. Wyraziła się w tym temacie bardzo jasno.

Darlene wywała z obrzydzeniem język i szepcze:

— W życiu. Nie zadaję się z tymi z południa. Nigdy nic dobrego z tego nie wynika.

Pamiętasz, jak w zeszłym roku Alyssa McDaniel chodziła z tamtym chłopakiem... jak mu tam?

— Z Jasonem Avilą? — pytam cicho.

Darlene wzdryga się lekko.

— W ciągu kilku tygodni z fajnej dziewczyny zamieniła się w wyrzutka. Dziewczyny z południowej części miasta nienawidziły ją za to, że zabrała im jednego z chłopaków, a z nami też przestała się zadawać. Biedna parka została odcięta od świata. Na całe szczęście Alyssa z nim zerwała.

Pani Small idzie do nas z odtwarzaczem CD, skarżąc się, że ktoś odłożył go w inne miejsce niż zwykle i że dlatego się spóźniła.

Trenerka każe nam się rozciągać, a Sierra wpycha się między mnie i Darlene, żeby móc coś mi powiedzieć.

— Masz problem, kochana — mówi.

— Czemu?

Sierra ma „nadprzyrodzony” wzrok i słuch, wie o wszystkim, co się dzieje w Fairfield.

Moja najlepsza przyjaciółka mówi:

— Podobno szuka cię Carmen Sanchez.

O nie. Carmen to dziewczyna Aleksa. Staram się nie panikować i nie wyobrażać sobie najgorszego, ale Carmen jest bezwzględna: od swoich polakierowanych na czerwono paznokci po czarne kozaki na obcasach. Jest zazdrosna, bo siedzę razem z Alekssem na chemii, czy może myśli, że doniosłam dziś na niego dyrektorowi?

Prawda jest taka, że to nie ja doniosłam. Zostałam wezwana do gabinetu doktora Aguirre, bo ktoś widział poranne zajście na parkingu i przed wejściem do szkoły i zgłosił to dyrekcji. Co było bez sensu, bo przecież nic się nie stało.

Aguirre mi nie uwierzył. Myślał, że boję się powiedzieć prawdę. Wtedy się nie bałam. Ale teraz już tak.

Carmen Sanchez może w każdej chwili skopać mi tyłek. Pewnie ćwiczy walkę z bronią, natomiast jedyną bronią, jaką ja umiem się posługiwać, są pompony. Może jestem stuknięta, ale wątpię, żeby pompony przstraszyły kogoś takiego jak Carmen.

Może mogłabym się z nią zmierzyć na słowa, ale na pewno nie w walce wręcz. Faceci się biją, bo jakiś pierwotny, wrodzony instynkt każe im udowadniać swoją siłę fizyczną.

Może Carmen też mi coś chce udowodnić, ale naprawdę nie ma takiej potrzeby. Nie stanowią dla niej żadnego zagrożenia, tylko jak mam jej o tym powiedzieć? Przecież nie podejść i nie powiem: „Cześć, Carmen, nie zamierzam ci odbijać faceta i nie doniosłam na niego doktorowi Aguirre”. A może powinnam...

Większość ludzi sądzi, że niczym się nie przejmuję. Nie pokażę im, że się mylą. Mój wizerunek kosztował mnie za dużo pracy i wysiłku i nie mam zamiaru go stracić tylko dlatego, że jakiś bandzior i jego dziewczyna chcą mnie sprawdzić.

— Nie obchodzi mnie to — mówię Sierze.

Moja najlepsza przyjaciółka kręci głową.

— Znam cię, Brit, i wiem, że się stresujesz — szepcze.

To zdanie martwi mnie bardziej niż wiadomość, że szuka mnie Carmen. Bo naprawdę

bardzo się staram trzymać wszystkich na dystans... nie pozwolić, żeby ktoś wiedział, jak to naprawdę jest być mną i mieszkać w moim domu. Przed Sierrą jednak odsłoniłam się bardziej niż przed kimkolwiek innym. Czasem się zastanawiam, czy nie powinnam wycofać się z naszej przyjaźni, żeby Sierra nie znalazła się przypadkiem za blisko.

Oczywiście na rozum wiem, że to paranoja. Sierra jest prawdziwą przyjaciółką. Była przy mnie nawet wtedy, gdy w zeszłym roku moja mama miała załamanie nerwowe, choć nigdy nie wyjaśniłam Sierrze powodu mojego płaczu. Dała mi się wypłakać, mimo że nie chciałam o niczym mówić.

Nie chcę skończyć jak moja matka. Tego się w życiu najbardziej boję.

Pani Small ustawia nas, po czym puszcza muzykę skomponowaną specjalnie dla naszej drużyny, a ja tymczasem liczę. To połączenie hip-hopu i rapu, zmiksowane na potrzeby naszych treningów. Nazwałyśmy nasz układ „Wielki, zły buldog”, bo maskotką drużyny futbolowej, której kibicujemy, jest buldog. Czuję rytm całym ciałem. Właśnie dlatego uwielbiam być cheerleaderką. Muzyka całkowicie mnie pochłania i pozwala zapomnieć o problemach w domu. Jest dla mnie jak narkotyk. To jedyna rzecz, która pozwala mi się zapomnieć.

— Pani Small, możemy zacząć od ustawienia w złamanym T, zamiast w zwykłym, jak ćwiczyłyśmy wcześniej? — proponuję. — A potem przejść do niskiego V i zestawu wysokich V z Morgan, Isabel i Caitlin na przodzie. Wydaje mi się, że taki układ będzie czytelniejszy.

Pani Small uśmiecha się, wyraźnie zadowolona z mojego pomysłu.

— Świetna myśl, Brittany. Spróbujmy. Zaczniemy od ustawienia w złamanym T z ugiętymi łokciami. Podczas przejścia Morgan, Isabel i Caitlin staną w pierwszym rzędzie. Pamiętajcie, żeby pochylić ramiona. Sierra, pilnuj nadgarstków, mają być przedłużeniem rąk. Nie wyginaj ich.

— Dobrze — mówi Sierra zza moich pleców.

Pani Small znów włącza muzykę. Rytm, słowa piosenki, instrumenty... przenikają mnie i podnoszą na duchu bez względu na to, jak beznadziejnie się akurat czuję. Tańcząc z resztą dziewczyn, zapominam o Carmen i Aleksie, i o mojej mamie, i o całym bożym świecie.

Piosenka kończy się za szybko. Mimo że chciałabym dalej ruszać się w rytm jej słów i muzyki, pani Small wyłącza odtwarzacz. Za drugim razem wychodzi nam lepiej, ale trzeba jeszcze popracować nad układem, a część nowych dziewczyn wciąż myli kroki.

— Brittany, naucz nowe dziewczyny podstawowych kroków, a potem zaczniemy jeszcze raz wszystkie razem. Darlene, ty powtórzysz kroki z pozostałymi — ustala pani Small i podaje mi magnetofon.

Isabel jest w mojej grupce. Przyklęka, żeby napić się wody.

— Nie przejmuj się Carmen — mówi. — Częściej szczeka, niż gryzie.

— Dzięki — odpowiadam. Isabel wygląda groźnie w swojej czerwonej bandanie Latynoskiej Krwi, z trzema kolczykami w brwi i rękami wiecznie skrzyżowanymi na piersiach, jeśli tylko akurat nie ćwiczy. Ale dobrze jej patrzy z oczu. I często się uśmiecha. Uśmiech dodaje jej łagodności, choć właściwie gdyby przewiązała włosy różową wstążką zamiast bandaną w barwach gangu, wyglądałaby bardzo dziewczęco. — Masz ze mną chemię, prawda? — pytam.

Przytakuje głową.

— I znasz Aleksa Fuentesę.

Znów kiwnięcie.

— Czy to, co o nim mówią, to prawda? — pytam ostrożnie, nie wiedząc, jak zareaguje na moje wścibstwo. Jeśli nie będę uważać, znajdę się na czarnej liście bardzo wielu osób.

Długie brązowe włosy Isabel falują lekko, gdy mówi.

— Zależy, o co ci chodzi.

Gdy mam już zacząć mówić o zażywaniu narkotyków i aresztowaniach, Isabel podnosi się.

— Słuchaj, Brittany. Nigdy nie będziemy przyjaciółkami. Ale chcę ci powiedzieć, że bez względu na to, jakim dupkiem okazał się dziś Alex względem ciebie, wcale nie jest taki zły, jak o nim mówią. Nie jest nawet taki zły, jak sam myśli.

Zanim udaje mi się zadać jeszcze jedno pytanie, Isabel ustawia się znów do układu.

Półtorej godziny później, gdy jesteśmy już naprawdę zmęczone, marudne i nawet ja mam

dość, trening dobiega końca. Podchodzę do spoconej Isabel i mówię jej, że świetnie się dziś spisała.

— Naprawdę? — pyta zaskoczona.

— Szybko się uczysz — mówię. Taka jest prawda. Jak na dziewczynę, która przez trzy pierwsze lata ogólniaka nigdy nie ćwiczyła z pomponami, szybko załapała układ. — Dlatego dałyśmy cię na przód.

Isabel stoi z rozdziawioną ze zdumienia buzią, a ja zastanawiam się, czy wierzy w plotki, które słyszała o mnie. Nie, nigdy się nie zaprzyjaźnimy. Ale wiem też, że nigdy nie będziemy wrogami.

Po treningu idę do samochodu razem ze Sierrą, która pisze właśnie esemes do swojego chłopaka, Douga.

Za jedną z wycieraczek mam zatknięty kawałek papieru. Wyciągam go. To niebieskie zawiadomienie o areszcie szkolnym Aleksa. Zgniatam kartkę i wciskam ją do torby z książkami.

— Co to było? — pyta Sierra.

— Nic — mówię z nadzieją, że zorientuje się, iż nie chcę o tym rozmawiać.

— Dziewczyny, czekajcie! — Darlene biegnie za nami. — Widziałam się na boisku z Colinem. Mówił, żebyś na niego zaczekała.

Zerkam na zegarek. Jest prawie szósta i chcę wracać do domu, żeby pomóc Baghdzie przygotować kolację dla siostry.

— Nie mogę.

— Doug mi odpisał — informuje Sierra. — Zaprasza nas do siebie na pizzę.

— Ja mogę — wtrąca się Darlene. — Strasznie mi się nudzi, odkąd Tyler wyjechał do Purdue. Nie zobaczymy się pewnie przez kilka tygodni.

Sierra znów esemesuje.

— Myślałam, że jedziesz do niego w przyszły weekend.

Darlene bierze się pod boki.

— Tak miało być, zanim nie zadzwonił i nie powiedział, że wszyscy kandydaci na członków bractwa muszą spać w domu studenckim i przejść jakąś inicjację. Jak dla mnie okej, byle tylko jego penis pozostał po tym wszystkim w nienaruszonym stanie.

Na słowo „penis” zaczynam szukać kluczyków w torebce. Gdy Darlene zaczyna mówić o penisach i seksie, lepiej się wycofać, bo może gadać i gadać. A ponieważ ja nie mam ochoty opowiadać o swoich doświadczeniach seksualnych (a raczej ich braku), to wolę się zmyć. Idealny czas na ucieczkę.

Macham kluczykami zawieszonymi na palcu, ale Sierra mówi, że wróci z Dougiem, więc jadę do domu sama. Lubię być sama. Przed nikim nie muszę wtedy udawać. Jeśli mam ochotę, mogę nawet puścić sobie muzykę na cały regulator.

Nie jest mi jednak dane nacieszyć się muzyką, bo mój telefon zaczyna wibrować.

Wyciągam go z kieszeni spodni. Dwie wiadomości głosowe i jeden esemes. Wszystko od Colina.

Oddzwaniem do niego.

— Gdzie jesteś, Brit? — pyta.

— Jadę do domu.

— Wpadnij do Douga.

— Moja siostra ma nową opiekunkę — wyjaśniam. — Muszę jej pomóc.

— Wściekasz się jeszcze za to, że postraszyłem twojego gangstera z chemii?

— Nie wściekam się. Jestem zwyczajnie zła. Mówiłam ci, że sobie poradzę, ale ty mnie zignorowałeś. I zrobiłeś do tego scenę na korytarzu. Wiesz, że nie prosiłam się, żeby być z nim w parze.

— Wiem, Brit. Tylko ten gość mnie strasznie wkurza. Nie złość się.

— Nie złość — mówię. — Nie lubię tylko, jak ty się pieklisz bez powodu.

— A ja nie lubię, jak ten koleś szepcze ci coś do ucha.

Czuję, że zaraz potwornie rozboli mnie głowa. Naprawdę nie potrzebuję, żeby Colin robił mi sceny za każdym razem, gdy jakiś chłopak zwyczajnie się do mnie odezwie. Nigdy wcześniej taki nie był, a przez niego wszyscy jeszcze bardziej się na mnie gapią i jeszcze bardziej mnie

obgadują, czego zawsze starałam się unikać.

— Zapomnijmy po prostu o całej sprawie.

— Mnie pasuje. Zadzwoń wieczorem — prosi. — Ale jeśli uda ci się wyrwać wcześniej z domu i wpaść do Douga, to super.

Po powrocie do domu zastaję Baghdę na piętrze w pokoju Shelley. Usiłuje zmienić jej pieluchę, ale źle ją ułożyła. Shelley ma zwykle głowę tam, gdzie teraz stopy, jedna noga zwisa jej bezwładnie z łóżka... totalna porażka, a Baghda sapie i dyszy, jakby w życiu nie robiła nic trudniejszego.

Czy mama sprawdziła jej referencje?

— Ja to zrobię — ofiaruję się, po czym odsuwam ją i biorę sprawy w swoje ręce. Od dziecka zmieniam siostrze pieluchy. To żadna przyjemność zmieniać majtki osobie, która waży więcej od ciebie, ale jeśli robi się to umiejętnie, nie zajmuje dużo czasu i nie sprawia większych trudności.

Siostra uśmiecha się szeroko na mój widok.

— Błii!

Nie potrafi wymawiać słów, ale wydaje różne zbliżone dźwięki. „Błii” znaczy „Brittany”, więc uśmiecham się do niej i układam ją porządnie na łóżku.

— Cześć, mała. Głodna? — pytam i wyciągam z pojemnika mokre chusteczki, starając się nie myśleć o tym, co robię.

Zakładam świeżą pieluchę i nową parę spodni dresowych, a Baghda tymczasem przygląda się mi z boku. Staram się przy okazji wyjaśniać co i jak, ale jedno spojrzenie na opiekunkę mówi mi, że w ogóle mnie nie słucha.

— Twoja mama powiedziała, że mogę już iść, jak wrócisz — mówi.

— Dobrze — odpowiadam, myjąc ręce, a Baghda znika jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Wiozę Shelley do kuchni. Nasza zwykle nieskazitelnie czysta kuchnia przedstawia obraz nędzy i rozpacz. Baghda nie pozmywała naczyń, które piętrzą się teraz w zlewie, i nie starła podłogi po bałaganie, jaki narobiła wcześniej Shelley.

Szykuję siostrze kolację i ogarniam bałagan.

Shelley wypowiada przeciągle słowo „szkoła”, co brzmi bardziej jak „koła”, ale wiem, o co jej chodzi.

— Tak, pierwszy dzień po wakacjach — mówię, miksując jej jedzenie i stawiając je przed nią na stole. Karmię ją papką i opowiadam: — A moja nowa nauczycielka chemii, pani Peterson, powinna być opiekunem na obozie karnym. Przejrzałam program. Najwyraźniej nie ma tygodnia bez sprawdzianu albo kartkówki. Ten rok nie będzie łatwy.

Moja siostra patrzy na mnie, starając się zrozumieć to, co jej powiedziałam. Jej skupiona mina mówi mi bez słowa, że mnie wspiera i rozumie. Bo wydobyć z siebie każdego słowa sprawa jej wielki wysiłek. Czasem mam ochotę mówić za nią, bo odczuwam jej frustrację tak mocno, jakbym to ja sama się frustrowała.

— Nie polubiłaś Baghdy? — pytam cicho.

Moja siostra kręci głową. I nie chce o tym mówić. Widzę to po tym, jak zaciska usta.

— Daj jej trochę czasu — proszę. — Niełatwo jest znaleźć się w nowym domu, gdzie nikt ci nie powiedział, co robić.

Po kolacji przynoszę Shelley czasopisma. Moja siostra uwielbia czasopisma. Podczas gdy ona przewraca kolejne kartki, w ramach własnej kolacji wkładam plasterki sera między dwie kromki chleba i jedząc, zabieram się do lekcji.

Wyciągam kartkę od pani Peterson, na której mam napisać wypracowanie na temat „szacunku”, i w tej samej chwili słyszę odgłos otwieranych drzwi do garażu.

— Brit, gdzie jesteś?! — woła z korytarza mama.

— W kuchni! — odkrzykuję.

Mama wchodzi wolnym krokiem do kuchni z torbą od Neimana Marcusa na ramieniu.

— Proszę, to dla ciebie.

Wyciągam z torby jasnoniebieski top Geren Ford.

— Dzięki — mówię, nie okazując zbyt wielkiej radości przy Shelley, która nic nie dostała. Moja siostra co prawda się tym nie przejmuję. Jest zbyt skoncentrowana na zdjęciach najlepiej i najgorzej ubranych gwiazd i na ich lśniącej biżuterii.

— Będzie pasować do tych ciemnych dzinsów, które kupiłam ci w zeszłym tygodniu — mówi mama, wyciągając mięso z zamrażarki i wkładając je do mikrofal, żeby się rozmroziło. — I jak tam? Jak radziła sobie Baghda, jak przyszedłś?

— Nie najlepiej — informuję. — Naprawdę musisz pokazać jej parę rzeczy. — Mama nie odpowiada, co mnie wcale nie dziwi.

Chwilę później do kuchni wchodzi tata, narzekając na pracę. Prowadzi firmę produkującą układy scalone do komputerów i zapowiedział nam, że ten rok będzie kiepski, ale mama i tak ciągle coś kupuje, a tata sprawił mi na urodziny bmw.

— Co na kolację? — pyta ojciec, poluzowując krawat. Jak zwykle wygląda na zmęczonego. Mama zerka na mikrofalówkę.

— Stek.

— Nie mam ochoty na nic ciężkiego — mówi ojciec. — Wolę coś lżejszego.

Naburmuszona mama wyłącza mikrofalę.

— Jajka? Spaghetti? — wymienia różne propozycje, choć ojciec nie bardzo jej słucha.

Tata wychodzi z kuchni. Nawet gdy fizycznie jest z nami, myślami jest ciągle przy pracy.

— Obojętnie. Byle coś lekkiego! — woła.

W takich chwilach żal mi mamy. Raczej nie może liczyć na uwagę ze strony ojca, bo albo pracuje, albo wyjeżdża w interesach, albo po prostu nie ma ochoty spędzać z nami czasu.

— Zrobię sałatkę — mówię i wyciągam z lodówki sałatkę.

Mama wydaje się wdzięczna za pomoc, o ile można to stwierdzić na podstawie niewyraźnego uśmiechu. W milczeniu szykujemy wspólnie kolację. Nakrywam do stołu, a mama przynosi sałatkę, jajecznicę i tosty. Żali się, że nikt jej nie docenia, ale widzę, że chce się tylko wygadać i nie potrzebuje żadnych rad. Shelley jest dalej pochłonięta czasopismami i zupełnie nieświadoma napiętej atmosfery między rodzicami.

— W piątek jadę na dwa tygodnie do Chin — obwieszcza tata, wchodząc znów do kuchni w spodniach dresowych i T-shircie. Siada na swoim stałym miejscu, u szczytu stołu, i nakłada sobie jajecznicę. — Nasz dostawca przysłał wadliwy towar i muszę sprawdzić, co jest grane.

— A co ze ślubem DeMaio? Jest w ten weekend i już potwierdziliśmy, że będziemy.

Tata rzuca widelec na talerz i patrzy na mamę.

— Tak, jestem pewny, że ślub dzieciaków DeMaio jest ważniejszy od przyszłości mojej firmy.

— Bill, nie chodziło mi o to, że firma jest mniej ważna — mówi mama i też upuszcza widelec na talerz. To chyba jakiś cud, że nasze talerze jeszcze się nie wyszczerbiły. — Po prostu niegrzecznie odwoływać takie rzeczy w ostatniej chwili.

— Możesz iść sama.

— I narazić się na plotki, bo nie będzie cię ze mną? Nie, dziękuję.

To typowa rozmowa przy stole w domu Ellisów. Tata powtarza, jak ciężko pracuje, mama stara się udawać, że jesteśmy zupełnie beztroską rodziną, a ja i Shelley siedzimy cicho z boku.

— Jak w szkole? — pyta w końcu mama.

— W porządku — odpowiadam, pomijając milczeniem fakt, że zostałam usadzona na chemii z Alekssem. — Mam naprawdę wymagającą nauczycielkę chemii.

— Chyba źle zrobiłaś, że wybrałaś chemię — wtrąca się ojciec. — Jeśli nie dostaniesz piątki, będziesz miała gorszą średnią. Na Northwestern trudno się dostać, a nie zostaniesz potraktowana ulgowo tylko dlatego, że ja kiedyś tam studiowałem.

— Wiem, tato — mówię całkiem już przygnębiona. Jeśli Alex nie potraktuje projektu poważnie, jak mam dostać piątkę?

— Dziś była nowa opiekunka Shelley — informuje mama. — Pamiętasz?

Ojciec wzrusza ramionami, bo po rezygnacji ostatniej opiekunki upierał się, że Shelley nie

powinna mieszkać z nami w domu, tylko w jakimś ośrodku. Chyba nigdy nie darłam się tak jak wtedy, bo nie mam zamiaru pozwolić im oddać Shelley gdzieś, gdzie nikt nie będzie o nią dbać i jej rozumieć. Muszę jej pilnować. Dlatego tak mi zależy na Northwestern. Jeśli będę studiować blisko domu, będę mogła dalej tu mieszkać i pilnować, żeby rodzice nie oddali nigdzie Shelley.

O dziewiątej dzwoni Megan, żeby poskarżyć się na Darlene. Uważa, że Darlene zmieniła się przez wakacje i zrobiła się strasznie zarozumiała, bo jej chłopak jest w college'u. O dziewiątej trzydzieści dzwoni Darlene i mówi, że wydaje jej się, że Megan jest zazdrosna o jej chłopaka z college'u. O dziewiątej czterdzieści pięć dzwoni Sierra i mówi, że rozmawiała dziś i z Megan, i z Darlene i nie chce się mieszać. Zgadza się z nią, choć uważam, że nie bardzo mamy już wyjście.

Dopiero za piętnaście jedenasta udaje mi się skończyć wypracowanie dla pani Peterson na temat szacunku i pomóc mamie położyć Shelley spać. Mam wrażenie, że głowa zaraz mi odpadnie ze zmęczenia.

Przebieram się w piżamę, wchodzę pod kołdrę i dzwonię do Colina.

— Cześć, kotku — mówi. — Co porabiasz?

— Nic. Leżę w łóżku. Fajnie było u Douga?

— Byłoby dużo fajniej, gdybyś ty tam była.

— Kiedy wróciłeś?

— Jakąś godzinę temu. Straaasznie się cieszę, że dzwonisz.

Podciągam swoją wielką różową kołdrę pod samą brodę i kładę głowę na miękkiej puchowej poduszce.

— Tak? — mówię w nadziei, że usłyszę coś miłego. Nadaję swojemu głosowi uwodzicielskie brzmienie. — A czemu?

Dawno mi już nie mówił, że mnie kocha. Wiem, że nie należy do zbyt wylewnych osób. Tak jak tata. Ale potrzebuję to od niego usłyszeć. Chcę usłyszeć, że mnie kocha. Chcę usłyszeć, że za mną tęskni. Chcę, żeby mi powiedział, że jestem spełnieniem jego marzeń.

Colin chrząka.

— Nigdy nie uprawialiśmy seksu przez telefon.

No dobra, nie tego się spodziewałam. Nie powinnam być rozczarowana ani zdziwiona. Colin ma osiemnaście lat i przecież wiem, że faceci myślą ciągle o seksie i o dziewczynach. Dziś po południu udawałam, że nie zauważam ucisku w dole brzucha, gdy przeczytałam, co napisał mi Alex w zeszycie: że chce uprawiać ze mną seks. Nie wie, że jestem dziewicą.

Nigdy nie uprawialiśmy seksu z Colinem, koniec kropka. Ani przez telefon, ani naprawdę. W kwietniu w zeszłym roku niewiele brakowało na plaży za domem Sierry, ale stchórzyłam. Nie byłam gotowa.

— Seks przez telefon?

— Tak. Dotykaj się, Brit, i opowiadaj mi jednocześnie, co robisz. Strasznie mnie to podnieci.

— A ty co będziesz w tym czasie robić? — pytam.

— Robić sobie dobrze. A co myślałaś? Że będę odrabiać lekcje?

Śmieję się. Raczej nerwowo, bo nie widzieliśmy się przez dwa miesiące, za wiele ze sobą nie rozmawialiśmy, a on w ciągu jednego dnia chce przejść od „cześć, fajnie cię widzieć po wakacjach” do „dotykaj się, a ja będę robić sobie dobrze”. Mam wrażenie, że znalazłam się w piosence Pata McCurdy'ego.

— No proszę, Brit — nalega Colin. — Potraktuj to jako ćwiczenie przed prawdziwym seksem. Zdejmij koszulę i zacznij się dotykać.

— Colin...

— Co?

— Przykro mi, ale nie mam ochoty. Przynajmniej nie teraz.

— Na pewno?

— Tak. Jesteś zły?

— Nie — mówi. — Myślałem, że fajnie będzie dodać trochę pikanterii naszemu związkowi.

— Nie wiedziałam, że ci się nudzi.

— Szkoła... treningi... spotkania ze znajomymi. Chyba po wakacjach mam dość rutyny. Całe lato pływałem na nartach wodnych, surfowałem i jeździłem terenówką. Serce ci bije jak oszalałe, czujesz, że żyjesz. No wiesz, taki kop adrenaliny.

— Brzmi super.

— Bo tak było. Brit?

— Tak?

— Jestem gotów na takiego kopa adrenaliny... z tobą.

8. Alex

Przygniatam kolesia do lśniącego czarnego chevroleta camaro, który kosztuje pewnie więcej niż roczna pensja mojej mamy.

— Sprawa ma się następująco, Blake — mówię. — Albo płacisz teraz, albo połamię coś, co należy do ciebie. Ale nie mebelek czy ten twój pieprzony samochód... coś, z czym jesteś trwale związany. Kapujesz?

Blake, chudszy niż słup telefoniczny, jest blady jak śmierć i patrzy na mnie tak, jakbym właśnie wydał na niego wyrok śmierci. Powinien był pomyśleć o tym, zanim wziął bez płacenia sto dwudziestkę piątkę cracku.

Jakby Hector miał puścić to płazem.

Jakbym ja miał puścić to płazem.

Kiedy Hector wysyła mnie na windykację, robię swoje. Niekoniecznie to lubię, ale robię swoje. Hector wie, że nie handluję, nie chodzę na włam i nie kradnę. Ale jestem dobry w windykacji... głównie długów. Czasem jeżdżę do ludzi, ale to zwykle syf, zwłaszcza że wiem, co się z nimi stanie, gdy już zawiozę ich do magazynu na spotkanie z Chuyem. Nikt nie chce spotkania z Chuyem. To gorsze niż spotkanie ze mną. Blake naprawdę powinien się cieszyć, że to mnie kazano się nim zająć.

Powiedzieć, że nie wiodę zbyt przyzwoitego życia, to niedopowiedzenie. Staram się nad tym za dużo nie zastanawiać — nad brudną robotą, którą odwalam dla Krwi. A jestem w tym dobry. Mam zastraszyć ludzi tak, żeby zapłacili co nasze. Teoretycznie nie tykam narkotyków. No dobra, w moje ręce dość często trafia kasa z dilerki, ale jestem tylko pośrednikiem i przekazuję ją Hectorowi. Nie korzystam z niej, tylko ją odbieram.

Jestem zwykłym pionkiem, wiem. Ale mało mnie to obchodzi, póki zapewnia to bezpieczeństwo mojej rodzinie. Poza tym dobrze się biję. To niewiarygodne, jak wiele osób pęka pod groźbą, że połamię im kości. Blake niewiele się w tym względzie różni od innych, z którymi miałem do czynienia. Stara się zgrywać luzaka, ale nie panuje nad drzeniem swoich kościstych rąk.

Można by pomyśleć, że Peterson też powinna się mnie bać, ale nie przestraszyłbym jej nawet wtedy, gdybym włożył jej do ręki odbezpieczony granat.

— Nie mam pieniędzy — rzuca pospiesznie Blake.

— Taka odpowiedź raczej nie załatwi sprawy, stary — wtrąca się Paco. Lubi ze mną jeździć. Uważa, że to jak zabawa w dobrego i złego glinę. Tyle że my bawimy się raczej w złego i gorszego gangstera.

— Którą kończynę mam ci złamać najpierw? — pytam. — Będę miły i pozwolę ci wybrać.

— Wpakuj mu po prostu serię w ten żaloszny tyłek, Alex, i będzie po sprawie — mówi od niechcenia Paco.

— Nie! — wrzeszczy Blake. — Zdobędę pieniądze. Obiecuję. Jutro.

Przyciskam go do auta, przyduszając go ramieniem wystarczająco mocno, żeby go przestraszyć.

— Mam ci uwierzyć na słowo, tak? Masz nas za głupków? Potrzebuję zabezpieczenia.

Blake nie odpowiada.

Patrzę na jego samochód.

— Tylko nie samochód, Alex. Błagam.

Wyciągam pistolet. Nie mam zamiaru go zabić. Bez względu na to, kim jestem i jak bardzo się zmieniłem, nigdy nikogo nie zabiję. Ani nie postrzelę. Ale Blake nie musi o tym wiedzieć.

Jedno spojrzenie na mojego glocka wystarczy, żeby wyciągnął kluczyki.

— O Boże. Proszę, nie.

Wrywam mu kluczyki z ręki.

— Jutro, Blake. O siódmej, za starą bocznicą przy skrzyżowaniu Czwartej i Vine. A teraz zjeżdżaj stąd — rozkazuję i macham pistoletem, żeby zmusić go do biegu.

— Zawsze chciałem mieć camaro — mówi Paco, gdy Blake znika nam z pola widzenia.

Rzucam mu kluczyki.

— Jest twój do jutra.

— Naprawdę myślisz, że w jeden dzień skombinuje cztery patyki?

— Tak — odpowiadam z pełnym przekonaniem. — Bo samochód jest wart dużo więcej.

Wracamy do magazynu i informujemy Hectora o przebiegu akcji. Nie jest zachwycony, że nie odzyskaliśmy pieniędzy, ale wie, że to zrobimy. Zawsze doprowadzam sprawę do końca.

W nocy przez chrapanie Luisa nie mogę spać. Na dodatek mój młodszy brat śpi tak głęboko, jakby nie miał w życiu żadnych zmartwień. I choć nie przeszkadza mi zastraszanie dilerów pokroju Blake'a, naprawdę bym wolał walczyć o sprawy, które są tego warte.

Tydzień później siedzę pod drzewem na trawniku przed szkołą i jem lunch. Większość uczniów w Fairfield przesiaduje na dworze prawie do końca października, gdyż zima w Illinois zmusza nas do spędzania przerwy obiadowej w stołówce. Teraz chłonimy każdy promień słońca i każdą chwilę na świeżym powietrzu, póki wciąż jest dość ładnie.

Mój kumpel Lucky, w luźnej czerwonej koszuli i czarnych dżinsach, klepie mnie po łopacie i sadza tyłek obok mnie, z tacą ze stołówki w ręce.

— Gotowy na następną lekcję, Alex? Przysięgam, stary, Brittany Ellis nienawidzi cię jak najgorszej zarazy. Mam niezły ubaw, gdy odsuwa się jak najdalej od ciebie.

— Lucky, może to i *mamacita*, ale nie może nic zarzucić temu *hombre* — mówię, wskazując na siebie.

— Jasne, taki kit to możesz wciskać swojej mamusi — śmieje się Lucky. — Albo Colinowi Adamsowi.

Opieram się o drzewo i krzyżuję ręce na piersiach.

— W zeszłym roku miałem z Adamsem wuf. Uwierz, naprawdę nie ma się czym chwalić, *nada*.

— Ciągłe się wkurzasz, bo w pierwszej klasie zdemolował ci szafkę po tym, jak na oczach całej szkoły skopałeś mu tyłek w sztafecie?

Cholera, to prawda, dalej jestem wściekły. Przez ten incydent musiałem wydać kupę forsy na nowe podręczniki.

— Stare dzieje — mówię Lucky'emu, jak zwykle nie dając nic po sobie poznać.

— Stare dzieje siedzą teraz tam ze swoją superlaską.

Jedno spojrzenie na Małą Pannę Perfectę wystarczy, żebym cały się zjeżył. Uważa mnie za ćpuna. Codziennie stresowałem się myślą o wspólnej chemii.

— Ta panienska ma wodę zamiast mózgu — stwierdzam.

— Słyszałem, że ta *ho* gadała na ciebie swoim koleżankom — mówi niejaki Pedro i dosiada się do nas z kilkoma innymi chłopakami, którzy niosą tace ze stołówki albo jedzenie z domu.

Kręcę głową, zastanawiając się, co mówiła zdzira Brittany i jak dużo będę musiał odkręcać.

— Może jej się podobam, tylko nie wie, jak zwrócić moją uwagę.

Lucky śmieje się tak głośno, że wszyscy w promieniu kilku metrów gapią się na nas.

— Brittany Ellis z własnej nieprzymuszonej woli kijem by cię nie tknęła, *guey*, a o randce to w ogóle zapomnij — mówi. — Jest tak bogata, że apaszka, którą miała na sobie w zeszłym tygodniu, kosztuje pewnie więcej niż wszystko w *tu casa* — w twoim domu.

Ta apaszka. Jakby nie wystarczyły markowe dżinsy i bluzeczka. Pewnie zawiązała sobie tę apaszkę, żeby pokazać, jaka jest bogata i niedostępna. Znając ją, pewnie oddała ją do profesjonalnego farbowania, żeby idealnie pasowała do odcienia jej szafirowych oczu.

— A niech to, stawiam mój RX-7, że nie przelecisz jej przed Świętem Dziękczynienia — podpuszcza mnie Lucky, przerywając moje nieskładne rozważania.

— A kto by chciał ją przelecieć? — pytam. Pewnie majtki też ma markowe i ma na nich wyhaftowane swoje inicjały.

— Każdy chłopak w tej szkole.

Czy naprawdę muszę przypominać mu o oczywistościach?

— To śnieżynka. — Nie lecę na białe laski. Ani na rozpieszczone. Ani na takie, dla których ciężka praca sprowadza się do codziennego malowania swoich długich paznokci na inny kolor, żeby pasowały do najmodniejszych ciuchów.

Wyciągam z kieszeni paczkę papierosów i zapalam jednego, olewając zakaz obowiązujący w Fairfield. Ostatnio bardzo dużo palę. Paco zwrócił mi na to wczoraj uwagę.

— To co z tego, że jest biała? Daj spokój, Alex. Nie jesteś przecież idiotą. Spójrz tylko na nią.

Patrzę. Muszę przyznać, że ma wszystko na swoim miejscu. Długie, lśniące włosy, arystokratyczny nos, delikatnie opalone ręce z lekko zarysowanymi bicepsami, aż człowiek się zastanawia, czy dziewczyna coś trenuje, pełne usta i taki uśmiech, że gdyby wszyscy taki mieli, na świecie chyba faktycznie mógłby zapanować pokój.

Odsuwam od siebie te myśli. Co z tego, że jest prześliczna? To zdzira jakich mało.

— Za chuda — oceniam.

— Podoba ci się — stwierdza Lucky i kładzie się na trawie. — Tylko wiesz, podobnie jak cała reszta *Mexicanos* z południowej części miasta, że nie możesz jej mieć.

Słyszę jakieś kliknięcie w środku. Może to włączył się mój mechanizm obronny, a może pewność siebie. Zanim udaje mi się to wyłączyć, mówię:

— W ciągu dwóch miesięcy ją przelecę. Jeśli naprawdę stawiasz swój RX-7, wchodzę w to.

— Wkręcasz mnie, stary. — Kiedy nic na to nie odpowiadam, Lucky marszczy brwi. — Mówisz serio, Alex?

Gość się wycofa, bo kocha samochód bardziej niż własną matkę.

— Oczywiście.

— Jeśli przegrasz, oddasz mi Julio — mówi, a w miejsce zmarszczonych brwi pojawia się szeroki chytry uśmiech.

Julio to najcenniejsze, co mam — to stary motor, honda nighthawk 750. Uratowałem go przed złomowaniem i zamieniłem w rewelacyjną maszynę. Naprawa zajęła mi całe wieki. To jedyna rzecz w życiu, którą naprawiłem, zamiast spieprzyć.

Lucky nie wycofuje się. W takim razie albo sam muszę się wycofać, albo przyjąć zakład. Problem w tym, że ja nigdy się nie wycofuję... nie zrobiłem tego ani razu w całym moim życiu.

Najbardziej popularna biała dziewczyna w szkole mogłaby się cholernie dużo ode mnie nauczyć. Mała Panna Perfecta powiedziała, że nigdy nie umówiłaby się z gangsterem, ale założyła się, że żaden członek Krwi nigdy nie próbował się dobrać do tych markowych majteczek.

To proste jak sobotnia bójka między Folks i People — dwóch wrogich gangów z Chicago.

Idę o zakład, że wystarczy trochę poflirtować, żeby Brittany zmieniła zdanie. Podroczyć się trochę, dzięki czemu zauważy we mnie faceta. Mogę upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: odegrać się na Oślim Łbie, odbijając mu dziewczynę, i odegrać się na Brittany Ellis za to, że wezwali mnie przez nią na dywanik i że oczerniała mnie w oczach swoich przyjaciół.

Może być całkiem zabawnie.

Wyobrażam sobie, jak cała szkoła widzi, że nieskazitelna biała laseczka ślini się na widok *Mexicano*, którego poprzysięgła nienawidzić. Zastanawiam się, jak bolesny będzie upadek tego jędrnego białego tyłeczka, jak już z nią skończę.

Wyciągam rękę.

— Dobra.

— Ale musisz pokazać dowód.

Zaciągam się papierosem.

— Lucky, co mam według ciebie zrobić? Wyrwać jej, do cholery, włos łonowy?

— Skąd byśmy wiedzieli, że należy do niej? — odcina się Lucky. — Może wcale nie jest naturalną blondynką. Poza tym na pewno się depiluje na styl brazylijski. No wiecie, tak, że

wszystko jest.

— Zrób zdjęcie — proponuje Pedro. — Albo nakręć filmik. Na pewno sprzedalibyśmy *muchos billetes* — mnóstwo biletów. Możemy go zatytułować *Brittany za południową granicą*.

To przez takie gadanie mamy złą reputację. Nie chodzi o to, że bogate dzieciaki tak nie gadają, bo na pewno gadają. Ale kiedy moi kumple już zaczną, nie mają żadnych zahamowań. Szczerze mówiąc, uważam, że są cholernie zabawni, gdy się z kogoś nabijają, pod warunkiem że wsiądą na kogoś innego. Kiedy nabijają się ze mnie, jakoś przestaje mnie to śmieszyć.

— O czym gadacie? — pyta Paco, dosiadając się do nas z talerzem ze stołówki.

— Założyliśmy się z Alekssem o mój samochód i jego motor, że nie uda mu się przelecieć Brittany Ellis przed Świętem Dziękczynienia.

— Odbiło ci, Alex? — mówi Paco. — Taki zakład to samobójstwo.

— Odwal się, Paco — ostrzegam go. To nie samobójstwo. Może głupota. Ale nie samobójstwo. Skoro dałem radę z seksowną Carmen Sanchez, to dam radę z waniliowym ciasteczkami, Brittany Ellis.

— Brittany Ellis to nie twoja liga, *amigo*. Może i jesteś ślicznym chłoptasiem, ale jesteś też stuprocentowym *Mexicano*, a ona jest biała jak chlebek tostowy.

Mi a nas Leticia Gonzalez, trzecioklasistka.

— Cześć, Alex — mówi i uśmiecha się do mnie, po czym dosiada się do koleżanek.

Chłopaki ślinią się na widok Leticii i zagadują jej koleżanki, a my z Paco zostajemy sami pod drzewem.

Paco mnie szturcha.

— No. Ta *bonita Mexicana* jest zdecydowanie niczego sobie i zdecydowanie w twojej lidze. — Skoro piłka jest już w grze, skupiam się całkowicie na nagrodzie. Czas zacząć podryw, ale na Brittany nie zadziała prostackie wciskanie kitu. Mam nieodparte wrażenie, że do czegoś takiego przywykła ze strony swojego chłoptasia i innych dupków, którzy usiłowali dobrać się do jej majtek.

Postanawiam zastosować inną taktykę, taką, jakiej się nie spodziewa. Będę ją drażnił, aż będzie w stanie myśleć tylko o mnie. Zacznę od zaraz, na najbliższej lekcji, na której musi ze mną siedzieć. Dla podkręcenia atmosfery nie ma to jak mała gra wstępna na lekcji chemii.

— *Carajo!* — Cholera! — mówi Paco i rzuca jedzenie na talerz. — Wydaje im się, że mogą kupić kawałek naleśnika, nałożyć nadzienie i że to będzie taco, ale nie odróżniliby mięsa na taco od kawałka gówna. Bo tak to mniej więcej smakuje, Alex.

— Obrzydzasz mi, stary — mówię mu.

Patrzę niechętnie na żarcie, które przyniosłem sobie z domu. Dzięki Paco wszystko teraz smakuje jak *mierda*. Z obrzydzeniem chowam resztkę lunchu do torebki.

— Chcesz trochę? — Paco podaje mi z szerokim uśmiechem gówniane taco.

— Zbliź się z tym jeszcze o centymetr, a pożałujesz — grożę.

— Ojej, jak strasznie się boję.

Paco macha okropnym taco, żeby mnie sprowokować. Wydawałoby się, że powinien mieć więcej rozumu.

— Jeśli mnie pobrudzisz...

— To co? Skopiesz mi tyłek? — piszczy sarkastycznie Paco, wciąż wymachując taco. Może powinienem strzelić go w pysk i znokautować, żebym nie musiał zawracać sobie teraz głowy tym durniem.

Gdy tylko pojawia się ta myśl, czuję, że coś spada mi na spodnie. Spuszczam głowę, choć wiem, co zobaczę. Dokładnie: duża mokra plama od glutowatego nadzienia, które spadło mi na wypłowiałe dżinsy prosto w kroku.

— O cholera — mówi Paco, a jego wesołość szybko zmienia się w przerażenie. — Zaraz ci wyczyszczę.

— Jeśli twoje palce znajdują się choć w pobliżu mojego fiuta, osobiście przestrzelę ci *huevos* — warczę przez zaciśnięte zęby.

Strzepuję mięso z krocza. Na spodniach zostaje duża, tłusta plama. Odwracam się do Paco.

— Masz dziesięć minut, żeby skombinować mi nowe spodnie.

— Skąd ci je mam, do cholery, wytrzasnąć?

— Zdaję się na twoją pomysłowość.

— Weź moje. — Paco wstaje i zaczyna rozpinąć spodnie na środku szkolnego dziedzińca.

— Być może nie wyraziłem się wystarczająco jasno — mówię, zastanawiając się, jak mam zgrywać na chemii uwodziciela, skoro wyglądam, jakbym złał się w majtki. — Chodziło mi o to, że masz mi przynieść spodnie, które na mnie pasują, *pendejo*. Ty, matole, jesteś takim kurduplem, że mógłbyś zgłosić się na jednego z elfów Świętego Mikołaja.

— Toleruję to tylko dlatego, że jesteśmy jak bracia.

— Dziewięć minut i trzydzieści sekund.

Paco rzuca się biegiem na szkolny parking.

Naprawdę mało mnie obchodzi, skąd weźmie mi te spodnie, bylebym tylko je dostał przed rozpoczęciem następnej lekcji. Z mokrą plamą w kroku raczej nie pokażę Brittany, jaki ze mnie ogier.

Czekam pod drzewem, podczas gdy pozostali uczniowie wyrzucają resztki lunchu i wracają do szkoły. Niedługo potem z głośników słychać muzykę, a tymczasem Paco nie ma nigdzie w zasięgu wzroku. Cudownie. Mam teraz pięć minut, żeby dotrzeć na lekcję Peterson. Zaciskam zęby i idę na chemię, strategicznie zasłaniając sobie krocze książkami. Jestem dwie minuty przed czasem. Siadam na stołku i przysuwam się jak najbliżej stołu laboratoryjnego, żeby nie było widać plamy.

Brittany wchodzi do sali, a na piersi opadają jej włosy jak promienie słońca, zakończone idealnymi małymi loczkami, które podrygują przy każdym kroku. Ale ten ideał wcale mnie nie podnieca — mam raczej ochotę rozczochrać te śliczniutki włoski.

Brittany patrzy na mnie, a ja puszczam do niej oko. Robi naburmuszoną minę i odsuwa się z krzesłem jak najdalej ode mnie.

Pamiętając o zasadzie zerowej tolerancji pani Peterson, zdejmuję bandanę i zakrywam nią sobie plamę. Potem odwracam się do siedzącej obok pomponiary.

— Będiesz się musiała w którymś momencie do mnie odezwać.

— Żeby twoja dziewczyna miała powód, by mi przywalić? Nie, dziękuję, Alex. Wolę, żeby moja twarz pozostała w nienaruszonym stanie.

— Nie mam dziewczyny. Chciałabyś aplikować na to stanowisko? — Mierzę ją wzrokiem z góry na dół, skupiając się szczególnie na tych częściach ciała, które stanowią jej główny atut.

Wydyma swoją umalowaną różowo górną wargę i uśmiecha się szyderczo.

— Możesz sobie pomarzyć.

— *Mujer*, nawet byś nie wiedziała, co zrobić z całym tym testosteronem.

Dokładnie o to chodzi, Alex. Podpuszczaj ją, aż się zakocha. Połknie haczyk.

Odwraca głowę.

— Jesteś obrzydliwy.

— A gdybym powiedział, że byłaby z nas dobrana para?

— To bym powiedziała, że jesteś idiotą.

9. Brittany

Zaraz po tym, jak nazywam Aleksa idiotą, pani Peterson przywołuje całą klasę do porządku.

— Każda para wylosuje z tego kapelusza projekt — ogłasza. — Projekty cechują się równym stopniem trudności i będą wymagać od was wspólnej pracy również po lekcjach.

— A co z futbolem? — pyta Colin. — Nie mogę opuszczać treningów.

— I z drużyną cheerleaderek — wtrąca Darlene, zanim udaje mi się powiedzieć to samo.

— Nauka przede wszystkim. Od was zależy, czy dogadacie się ze swoim partnerem tak, żeby obojgu wam pasowało — mówi pani Peterson, staje przed naszym stołem i podsuwa kapelusz.

— Pani P., czy któryś z projektów uwzględni lekarstwo na stwardnienie rozsiane? — pyta Alex tym swoim beczelnym tonem, od którego wszystko się we mnie gotuje. — Bo nie wydaje mi się, żeby starczyło nam w ciągu roku czasu na jego wykonanie.

Już widzę wielką jedynekę na świadectwie. Kierownik biura rekrutacji Northwestern nie

będzie chciał słuchać, że to mój partner nie traktował poważnie naszego projektu z chemii. Kolesiowi nie zależy na własnym życiu, to czemu miałoby mu zależeć na lekcjach chemii? Dobija mnie, że to od Aleksa zależy moja ocena. Zdaniem moich rodziców stopnie są odzwierciedleniem wartości człowieka. Nie muszę chyba mówić, że trója i niżej oznacza, że nic nie jesteś warta.

Wkładam rękę do kapelusza i wyciągam biały karteluszek. Otwieram go powoli, zagryzając w niepewności dolną wargę. Widzę napisane drukowanymi literami słowa: „Ogrzewacze do rąk”.

— Ogrzewacze do rąk? — pytam.

Alex nachyla się i odczytuje napis ze zdeorientowaną miną.

— Co to są, do jasnej cholery, ogrzewacze do rąk?

Pani Peterson rzuca mu ostrzegawcze spojrzenie.

— Jeśli masz ochotę zostać po lekcjach, mam na biurku kolejne niebieskie zawiadomienie o areszcie szkolnym, już z twoim nazwiskiem. Tak więc albo zapytasz jeszcze raz bez wulgaryzmów, albo spotkamy się po lekcjach.

— Chętnie bym z panią posiedział, pani P., ale wolę raczej poświęcić czas na naukę z moją partnerką — odpowiada Alex i ma przy tym jeszcze czelność mrugnąć do Colina. — Więc zadam pytanie inaczej. Co to właściwie są ogrzewacze to rąk?

— Chemia termiczna się kłania, panie Fuentes. Ogrzewacze, jak sama nazwa mówi, służą do ogrzewania rąk.

Alex odwraca się do mnie z szerokim, bezczelnym uśmiechem.

— Jestem pewny, że znajdziemy jeszcze kilka innych rzeczy do ogrzania.

— Nienawidzę cię — mówię wystarczająco głośno, żeby słyszał mnie Colin i reszta klasy.

Jeśli pozwolę mu być górą, pewnie usłyszę w głowie cmokanie mojej mamy, powtarzającej, że nie ma nic ważniejszego od reputacji.

Wiem, że obserwuje nas cała klasa, nawet Isabel, która uważa, że Alex wcale nie jest taki zły, za jakiego wszyscy go mają. Czy ona nie widzi, jaki jest naprawdę, czy może dała się zaślepić jego idealnym rysom twarzy i popularności wśród znajomych?

Alex szepcze:

— Miłość od nienawiści dzieli jeden krok. Może mylisz te dwie rzeczy.

Odsuwam się od niego.

— Nie liczyłabym na to.

— A ja owszem.

Alex patrzy na drzwi klasy. Przez okienko macha do niego jego kumpel. Pewnie chcą się zerwać z lekcji.

Alex bierze książki i wstaje.

Pani Peterson odwraca się do niego.

— Siadaj, Alex.

— Muszę się odlać.

Nauczycielka marszczy brwi i kładzie rękę na biodrze.

— Powściągnij swój język. A z tego, co się orientuję, w toalecie nie potrzebujesz książek.

Zostaw je, proszę, na stole.

Alex zaciska zęby, ale odkłada książki na blat.

— Mówiłam, że na tę salę nie mają wstępu żadne emblematy gangu — mówi pani Peterson, patrząc na bandanę, którą Alex trzyma przed sobą. Wyciąga rękę. — Proszę mi to oddać.

Alex zerka na drzwi, a potem na panią Peterson.

— A co, jeśli odmówię?

— Lepiej nie sprawdzaj, Alex. Zero tolerancji. Chcesz zostać zawieszony? — Kiwa palcem, pokazując w ten sposób, że ma jej natychmiast oddać chustę, bo inaczej źle się to dla niego skończy.

Alex patrzy na nią z wściekłością i powoli podaje jej chustę.

Pani Peterson wyrywa mu ją z ręki i wstrzymuje oddech.

Na widok wielkiej plamy na jego kroczu wyrywa mi się tylko:

— O Boże!

Cała klasa zaczyna się śmiać.

Colin śmieje się najgłośniej.

— Nie martw się, Fuentes. Moja babcia ma ten sam problem. Zwykła pielucha załatwia sprawę.

Na wspomnienie o pieluchach dla dorosłych od razu przypomina mi się moja siostra.

Nabranie się z dorosłych, którzy mają tego rodzaju problem, wcale nie jest śmieszne, bo zalicza się do nich moja siostra.

Alex uśmiecha się bezczelnie i mówi do Colina:

— Twoja dziewczyna nie mogła się niestety powstrzymać. Przedstawiła mi ogrzewacze do rąk z zupełnie nowej perspektywy, *compa*.

Tym razem posunął się za daleko. Zrywam się, szurając stołkiem po podłodze.

— Chciałbyś — rzucam.

Alex ma mi już coś odpowiedzieć, ale pani Peterson krzyczy:

— Alex! — Odchrząkuje. — Idź do pielęgniarki i... doprowadź się do porządku. Zabierz ze sobą książki, bo potem masz się stawić w gabinecie doktora Aguirre. Spotkamy się tam razem z twoimi przyjaciółmi, Colinem i Brittany.

Alex zabiera książki ze stołu i wychodzi z klasy, ja natomiast opadam na krzesło. Podczas gdy pani Peterson usiłuje uciszyć resztę klasy, ja myślę o tym, że nie udało mi się unikać Carmen Sanchez zbyt długo.

Jeśli dziewczyna uważa, że stanowię dla niej zagrożenie, plotki, które po dzisiejszej lekcji na pewno zaczną krążyć po całej szkole, tylko jej to potwierdzą.

10. Alex

Po prostu bosko. Peterson i Aguirre po jednej stronie, Mała Panna Perfecta z tym kretynem po drugiej... a ja sam. Za mną nikt się nie wstawi, to jedno jest pewne.

Aguirre chrząka.

— Alex, widzę cię u siebie już drugi raz w ciągu dwóch tygodni.

Zgadza się. Cóż za geniusz.

— Panie dyrektorze — mówię, przejmując pałeczkę, bo mam już serdecznie dość tego, że cała pieprzona szkoła jest na rozkazy Małej Panny Perfecty i jej chłopaka. — W czasie przerwy obiadowej doszło do małego wypadku i poplamiałem sobie spodnie. Ale zamiast opuszczać lekcję, poprosiłem kolegę, żeby przywiózł mi czyste. — Wskazuję na dżinsy, które mam na sobie, a które Paco skołował mi z domu. — Pani Peterson — zwracam się do nauczycielki chemii. — Nigdy bym nie dopuścił do tego, żeby przez małą plamkę opuścić pani wspaniałą lekcję.

— Nie podlizuj się, Alex — prycha pani Peterson. — Mam potąd twoich błazeństw — przesuwa ręką nad głową. Patrzy gniewnie na Brittany i Colina. Już myślę, że pozwoli im na mnie najechać, gdy mówi: — A wy nie jesteście wcale lepsi.

Brittany wydaje się zdumiona jej reprimendą. Ale oczywiście nie miała nic przeciwko, gdy pani P. objeżdżała mnie.

— Nie mogę być z nim w parze — wyrzuca z siebie Mała Panna Perfecta.

Colin wysuwa się naprzód.

— Może pracować ze mną i z Darlene.

Mam ochotę się uśmiechnąć, gdy widzę, że brwi Peterson wędrują w górę tak wysoko, jakby miały zaraz wyskoczyć jej z czoła.

— A co jest w was takiego wyjątkowego, że uważacie, że możecie decydować o tym, jak prowadzę lekcję?

Brawo, Peterson!

— Nadine, pozwól, że ja się tym zajmę — mówi Aguirre do pani P., po czym wskazuje na zdjęcie naszej szkoły, które wisi na ścianie w ramce. Nie pozwala dwójce z północy odpowiedzieć na pytanie pani P., tylko mówi: — Jak wiecie, dewiza naszej szkoły brzmi: „Różnorodność źródłem wiedzy”. Gdybyście zapomnieli, to jest wyryta na tablicy przed głównym wejściem, więc następnym razem, gdy będziecie tamtędy przechodzić, zastanówcie się chwilę nad znaczeniem tych

słów. Chciałbym was zapewnić, że jako nowy dyrektor tej szkoły chcę położyć kres wszelkim podziałom, które podważają tę dewizę.

No dobra, różnorodność jest źródłem wiedzy. Ale nie raz widziałem, że jest też źródłem nienawiści i ignorancji. Nie będę pozbawiać Aguirre złudzeń, bo zaczynam nabierać przekonania, że nasz dyrektor naprawdę wierzy w te brednie, które wygaduje.

— Doktor Aguirre i ja zajmujemy w tej kwestii wspólne stanowisko. W związku z tym... — Peterson patrzy na mnie groźnie i to tak przekonująco, że chyba musi ćwiczyć przed lustrem. — Alex, przestań dokuczać Brittany. — Odwraca się i rzuca to samo spojrzenie na drugą stronę gabinetu. — Brittany, przestań zachowywać się jak primadonna. A ty, Colin... Właściwie to w ogóle nie wiem, co ty masz z tym wspólnego.

— Jestem jej chłopakiem.

— W takim razie byłabym wdzięczna, gdybyście zostawili wasz związek za drzwiami mojej klasy.

— Ale... — zaczyna Colin.

Peterson przerywa mu machnięciem dłoni.

— Dosyć. Koniec dyskusji. Do widzenia.

Colin bierze primadonnę za rękę i wychodzą z pokoju.

Ja też wychodzę, ale Peterson zatrzymuje mnie, kładąc mi rękę na ramieniu.

— Alex?

Przystaję i patrzę na nią. Patrzę jej prosto w oczy, w których maluje się współczucie. Nie lubię takiego spojrzenia.

— Słucham?

— Wiesz, że mnie nie oszukasz?

Muszę zmasać jej z twarzy to współczucie. Ostatnim razem, gdy nauczyciel tak na mnie patrzył, byłem w pierwszej klasie i właśnie zastrzelili mi ojca.

— To dopiero drugi tydzień roku szkolnego, Nadine. Może pani zaczeka miesiąc, dwa, zanim zacznie wydawać takie sądy.

Kobieta śmieje się:

— Nie jestem nauczycielką aż tak długo, ale widziałam już u siebie w klasie więcej Aleksów Fuentesów niż większość nauczycieli przez całe życie.

— A ja myślałem, że jestem wyjątkowy. — Kładę sobie rękę na sercu. — Rani mnie pani, Nadine.

— Chcesz być wyjątkowy, Alex? To skończ szkołę.

— Taki mam plan — informuję, choć nigdy wcześniej nikomu się do tego nie przyznałem. Wiem, że mama chce, żebym zdał maturę, choć nigdy o tym nie rozmawialiśmy. I szczerze mówiąc, nie wiem nawet, czy wierzy, że to realne.

— Podobno na początku wszyscy tak mówią. — Pani P. otwiera torebkę i wyciąga moją bandanę. — Nie pozwól, żeby twoje życie poza szkołą determinowało twoją przyszłość — kończy nagle bardzo poważnie.

Chowam chustę do kieszeni. Peterson nie ma pojęcia, w jak dużym stopniu życie poza murami szkolnymi wpływa na życie, jakie wiodę w ich obrębie. Ceglany budynek nie jest w stanie ochronić mnie przed światem zewnętrznym. Cholera, nie mógłbym się tu schować, nawet gdybym chciał.

— Wiem, co pani zaraz powie: Jeśli będziesz potrzebować przyjaciela, Alex, to możesz na mnie liczyć.

— Mylisz się. Nie jestem twoim przyjacielem. Gdybym nim była, nie należałbyś do gangu. Ale widziałam wyniki testów. Jesteś mądrym dzieciakiem, który mógłby coś osiągnąć, gdyby podszedł poważnie do nauki.

Coś osiągnąć. Osiągnięcia. Czy to wszystko nie jest bardzo względne?

— Mogę już wracać do klasy? — pytam, bo nie wiem, co jej odpowiedzieć. Jestem gotowy zaakceptować, że moja nauczycielka chemii i nowy dyrektor niekoniecznie są po mojej stronie... tyle że wcale nie jestem pewny, czy są po przeciwnej. Całkowicie rozwała mi to światopogląd.

— Tak, wracaj do klasy, Alex.

W głowie cały czas rozbrzmiewają mi słowa Peterson, gdy słyszę, że woła za mną:

— A jeśli jeszcze raz zwrócisz się do mnie po imieniu, będziesz miał po raz kolejny przyjemność posiedzieć za karę po szkole oraz napisać wypracowanie na temat szacunku. Pamiętaj, nie jestem twoją koleżanką.

Idę korytarzem i uśmiecham się pod nosem. Dla tej kobiety groźba aresztu szkolnego i wypracowań to zdecydowanie rodzaj broni.

11. Brittany

Zostało jeszcze tylko pół godziny wuefu. Przebieram się w szatni w strój i myślę o tym, co się właśnie stało w gabinecie doktora Aguirre. Pani Peterson obwiniła mnie w równym stopniu jak Aleksa.

Alex Fuentes już zamienia mój ostatni rok w ogólniaku w koszmar, a to dopiero początek.

Gdy wkładam spodenki, stukanie obcasów na twardej betonowej posadzce informuje mnie, że nie jestem w szatni sama. Przyciskam do piersi koszulkę od wuefu i w tej samej chwili moim oczom ukazuje się Carmen Sanchez.

Tylko nie to.

— Dziś jest chyba mój szczęśliwy dzień — mówi i mierzy mnie wzrokiem, wyglądając przy tym jak szykujący się do ataku kuguar. I choć kuguary nie mają długich, prostych, brązowych włosów... to z pewnością mają pazury. A pazury Carmen są jaskrawoczerwone.

Robi krok w moją stronę.

Chcę się cofnąć. A właściwie uciekać. Ale nie robię tego, głównie dlatego, że pewnie pobieglaby za mną.

— Wiesz — mówi, wykrzywiając usta w nieprzyjemnym uśmiešku. — Zawsze się zastanawiałam, jakiego koloru stanik nosi Brittany Ellis. Różowy. Pasuje idealnie. Założę się, że był równie drogi jak farba do włosów.

— Chyba nie chcesz rozmawiać o stanikach i farbach do włosów, Carmen — odpowiadam i naciągam przez głowę koszulkę gimnastyczną. Przełykam z trudem ślinę, po czym mówię: — Chcesz mi skopać tyłek.

— Kiedy jakaś *ho* wyciąga łapska po mojego faceta, robię się zaborcza.

— Nie chcę twojego faceta, Carmen. Mam własnego.

— Daruj sobie. Takie dziewczyny jak ty chcą się podobać wszystkim facetom, tak na wszelki wypadek, gdyby kiedyś miało im się jednak zachcieć któregoś z nich — mówi, coraz bardziej rozwścieczona. Mam problem. — Słyszałam, że rozpowiadasz o mnie jakieś bzdury. Myślisz, że jesteś królową wszechświata? Przekonajmy się, jak wyglądasz ze spuchniętą wargą i wielkim limem pod okiem. Przyjdiesz do szkoły z workiem na śmieci na głowie? A może schowasz się w swoim wielkim domu i w ogóle się nie pokażesz?

Patrę na przysuwającą się do mnie Carmen. Naprawdę na nią patrzę. Doskonale wie, jak wielką wagę przykładam do twarzy, którą pokazuję światu, jej natomiast nie zależy, czy ją zawieszają... czy nawet wywalą ze szkoły.

— Odpowiedz! — wrzeszczy i popycha mnie. Uderzam ramionami o znajdującą się za mną szafkę.

Chyba jej w ogóle nie słuchałam, bo nie mam pojęcia, co odpowiedzieć. Jeśli wrócę do domu posiniaczona, po udziale w bójce, konsekwencje będą oplakane. Mama będzie wściekła i uzna, że tylko ja jestem temu winna, bo temu nie zapobiegłam. Naprawdę mam tylko nadzieję, że nie zacznie znów mówić o oddaniu Shelley. W obliczu stresu moi rodzice zawsze mówią o tym, że trzeba ją oddać. Jakby wraz ze zniknięciem Shelley miały się rozwiązać wszystkie problemy rodziny Ellisów, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

— Nie wydaje ci się, że trenerka Bautista przyjdzie mnie szukać? Chcesz zostać zawieszona? — Wiem, kiepskie pytania. Ale próbuję kupić sobie trochę czasu.

Carmen śmieje się cicho.

— Myślisz, że mnie obchodzi, czy zostanę zawieszona?

Nie, ale warto było spróbować.

Zamiast kulić się przy szafce, prostuję ramiona. Carmen znów próbuje mnie popchnąć, ale tym razem odtrącam jej rękę.

Za chwilę wezmę udział w swojej pierwszej bójce. Bójce, którą na pewno przegram. Serce wali mi tak, jakby miało zaraz wyskoczyć z piersi. Całe życie unikałam tego typu sytuacji, ale tym razem nie mam wyjścia. Zastanawiam się, czy nie włączyć alarmu pożarowego, jak to widziałam w filmach. Ale oczywiście nigdzie w pobliżu nie ma żadnej z tych czerwonych skrzyńeczek.

— Zostaw ją, Carmen.

Na dźwięk dziewczęcego głosu obie się odwracamy. To Isabel. Nieprzyjaciółka. Nieprzyjaciółka, która najprawdopodobniej właśnie uratowała mi twarz przed kompletną masakrą.

— Isa, nie wtrącaj się w moje sprawy — warczy Carmen.

Isabel podchodzi do nas. Jej ciemnobrązowe włosy związane w wysoki koński ogon kolebią się z każdym krokiem.

— *No chingues con ela*, Carmen. Nie dokuczaj jej.

— *Por que no?* — pyta Carmen. — Czemu? Bo wydaje ci się, że jesteście najlepszymi przyjaciółkami, odkąd obie wymachujecie tymi idiotycznymi pomponami.

Isa bierze się pod boki.

— Jesteś zła na Aleksa, Carmen. Dlatego zachowujesz się jak *perra*.

Na wzmiankę o Aleksie Carmen sztywnieje.

— Zamknij się, Isa. Nic nie rozumiesz.

Carmen przelewa całą swoją wściekłość na Isabel i wrzeszczy na nią po hiszpańsku. Isabel nie cofa się, stoi dumnie przed Carmen i z równą zaciekłością odpowiada jej po hiszpańsku. Isabel jest niska i waży pewnie mniej niż ja, więc dziwi mnie, że stawia się Carmen. Ale nie daje się zastraszyć. Widzę to po tym, jak pod wpływem jej słów Carmen zaczyna się cofać.

Za plecami Carmen pojawia się trenerka Bautista.

— Urządziłyście sobie we trójkę imprezę i nie zaprosiłyście reszty koleżanek?

— Musiałyśmy pogadać — mówi Carmen bez zająknięcia, jakbyśmy były znajomymi, które najzwyczajniej w świecie ze sobą rozmawiają.

— W takim razie proponuję jednak, żebyście pogadały po szkole, a nie w trakcie lekcji.

Panna Ellis i panna Avila wracają na salę gimnastyczną. Panna Sanchez idzie tam, gdzie powinna teraz być.

Carmen wyciąga w moją stronę swój czerwony paznokieć.

— Później — mówi i zmusza Isabel, żeby usunęła się na bok, po czym wychodzi z szatni.

— Dzięki — szepczę cicho do Isabel.

W odpowiedzi kiwa tylko głową.

12. Alex

Kończysz już z tą hondą? Czas zamykać — mówi mój kuzyn Enrique. Pracuję w jego warsztacie codziennie po szkole... żeby pomóc mamie zapewnić byt naszej rodzinie, żeby uciec choć na kilka godzin od Latynoskiej Krwi oraz dlatego, że cholernie dobrze znam się na samochodach.

Brudny od smaru i oleju, wysuwam się spod hondy civic, przy której pracowałem.

— Jeszcze momencik.

— Dobra. Facet od trzech dni zawraca mi dupę i dopytuje się, czy auto już gotowe.

Zaciskam ostatni sworzeń i podchodzę do Enrique, który wyciera sobie brudne ręce o ścierkę.

— Mogę cię o coś poprosić?

— Wal.

— Mogę wziąć sobie wolny dzień w przyszłym tygodniu? Mam do zrobienia projekt z chemii — wyjaśniam, myśląc o temacie, który dziś wylosowaliśmy. — I mamy się spotkać z...

— Lekcje Peterson. Tak, pamiętam te czasy. To prawdziwa twardzielka. — Kuzyn wrusza ramionami.

— Miałaś z nią lekcje? — pytam rozbawiony. Zastanawiam się, czy jej rodzice są kuratorami sądowymi. Baba z pewnością ma pociąg do dyscypliny.

— Czegoś takiego się nie zapomina. „Nie odniesiecie sukcesu, o ile nie opracujecie lekarstwa na jakąś chorobę albo nie uratujecie świata” — mówi Enrique, w dość udany sposób naśladując panią P. — Nie zapomina się takiego koszmaru jak Peterson, ale na pewno z Brittany Ellis w parze...

— Skąd wiesz?

— Wszyscy wiedzą, stary. Nawet faceci w moim wieku o niej gadają. O tych długich nogach, o tych *chichis*... — Enrique wysuwa przed siebie rękę i udaje, że maca ją po piersiach. — Sam wiesz.

No wiem.

Przestępuję z nogi na nogę.

— Mogę wziąć wolne w czwartek?

— *No hay problema*. Żaden problem. — Enrique odchrząkuje. — Hector cię wczoraj szukał, wiesz?

Hector. Hector Martinez, szara eminencja Latynoskiej Krwi.

— Czasem naprawdę mnie wkurza... sam wiesz.

— Jesteś skazany na Krew — mówi Enrique. — Jak my wszyscy. Pod żadnym pozorem nie możesz dopuścić, żeby Hector pomyślał, że nie jesteś pewny swojej lojalności wobec Krwi. Jeśli zaczniesz podejrzewać cię o nielojalność, w mgnieniu oka zamieni się w twojego wroga. Nie jesteś głupi, Alex. Działaj ostrożnie.

Enrique jest PG — pierwszym gangsterem — i już bardzo dawno temu dowiódł swojej lojalności względem Krwi. Spłacił swoje powinności i może teraz usunąć się trochę w cień i ustąpić pola młodszym członkom LK. Jego zdaniem ja znajduję się dopiero na początku tej drogi i musi minąć dużo czasu, zanim mnie i moim kumplom zostanie przyznany status PG.

— Nie jestem głupi? Założyłem się o swój motor, że zaciągnę Brittany Ellis do łóżka — przyznaję się.

— W takim razie odwołuję to, co powiedziałem. — Enrique wskazuje na mnie palcem i uśmiecha się kpiąco. — Kretyn z ciebie. A niedługo kretyn bez motoru. Takie dziewczyny nie zaszczycają nawet spojrzeniem takich gości jak my.

Zaczynam sądzić, że ma rację. Skąd mi, do cholery, przyszło do łba, że mogę zwabić niezwykle piękną, niezwykle bogatą i niezwykle białą Brittany Ellis do mojego niezwykle biednego, niezwykle meksykańskiego i niezwykle mrocznego życia?

Diego Vasquez, jeden chłopak ze szkoły, urodził się po północnej stronie Fairfield. Moi kumple uważają go oczywiście za białasa, mimo że skórę ma ciemniejszą niż ja. Uważają też, że Mike Burns, biały, który mieszka po południowej stronie, jest Meksykaninem, choć w jego żyłach nie płynie ani kropla meksykańskiej krwi. Ani latynoskiej, dla ścisłości. A jednak uważany jest za jednego z nas. W Fairfield to miejsce urodzenia decyduje o tym, kim jesteś.

Pod warsztatem ktoś trąbi głośno.

Enrique naciska przycisk i otwiera drzwi garażowe.

Do środka wjeżdża z piskiem opon samochód Javiera Moreno.

— Zamknij bramę, Enrique — rzuca bez tchu Javier. — Szuka nas *la policia*.

Mój kuzyn uderza ponownie pięścią w przycisk i gasi światło.

— Co, do cholery, narobiliście?

Z tyłu samochodu siedzi Carmen z nabiegłymi krwią oczami — albo od alkoholu, albo od narkotyków, nie wiem. Obściskowała się też z kimś, kto siedzi z nią z tyłu, ktokolwiek to jest, bo aż za dobrze wiem, jak wtedy wygląda.

— Raul chciał zastrzelić Satynowego Kaptura — bełkocze Carmen, wystawiając głowę przez okno samochodu. — Ale celuje jak baba.

Raul odwraca się i wrzeszczy na nią z przedniego siedzenia:

— *Put*, sama spróbuj strzelać do ruchomego celu z Javierem za kierownicą.

Przewracam oczami, a Javier wysiada z samochodu.

— Nie podoba ci się, jak jeżdżę, Raul? — pyta. — Bo jeśli tak, to mam tu pięść, która chętnie zapozna się z twoją głową.

Raul wysiada z auta.

— Chcesz oberwać, *culero*?

Staję przed Raulem i przytrzymuję go.

— Do cholery, chłopaki. Za bramą jest *la policia*. — To pierwsze słowa Sama, gościa, z którym obmacywała się Carmen.

Wszyscy w warsztacie padają na ziemię, gdy policja świeci przez okno latarkami do środka. Przykucam za dużą szufladą z narzędziami i wstrzymuję oddech. Naprawdę nie potrzebuję dodatkowo oskarżenia o usiłowanie zabójstwa. Dotychczas jakimś cudem udawało mi się uniknąć aresztowania, ale kiedyś moje szczęście się skończy.

Członkowie gangu rzadko unikają spotkania z policją. Albo odsiadki.

Twarz Enrique wyraźnie pokazuje, co o tym wszystkim myśli. W końcu udało mu się zaoszczędzić wystarczająco dużo, żeby otworzyć warsztat, a teraz, jeśli ktoś choćby piśnie, czwórka licealistów może zaprzepaścić jego marzenie. Z jego starymi tatuażami LK na karku policja aresztuje mojego kuzyna na równi z całą resztą.

A on w ciągu tygodnia straci biznes.

Ktoś szarpie za drzwi do warsztatu. Krzywię się i modłę: „Błagam, żeby były zamknięte”.

Policjanci zostawiają drzwi w spokoju, ale znów świecą do środka latarkami. Zastanawiam się, kto im dał cynk — nikt w okolicy by nas nie podkablował. Obowiązuje tu niepisana zasada milczenia, która zapewnia wszystkim rodzinom bezpieczeństwo.

Mam wrażenie, że mija cała wieczność, zanim gliny w końcu odjeżdżają.

— Cholera, niewiele brakowało — mówi Javier.

— Bardzo niewiele — zgadza się Enrique. — Odczekajcie dziesięć minut i zjeżdżajcie stąd.

Carmen wysiada z samochodu — a właściwie wytacza się.

— Hejka, Alex. Tęskniłam dziś za tobą.

Patrzę na Sama.

— Właśnie widzę.

— Sam? Ale on mi się wcale nie podoba — grucha Carmen i podchodzi bliżej. Wyczuwam od niej *motę*, trawkę. — Czekam, aż do mnie wrócisz.

— To się nie doczekasz.

— Przez tę twoją głupią dziunię z chemii? — Łapie mnie pod brodę i próbuje zmusić, żebym na nią spojrział. Jej długie paznokcie wbijają mi się w skórę.

Chwytam ją za nadgarstki i odsuwam od siebie jej ręce, nie mogąc się przy tym nadziwić, jak moja pozbawiona serca była dziewczyna zamieniła się w pozbawioną serca zdziwę.

— Brittany nie ma z tym nic wspólnego. Słyszałem, że jej się odgrażałaś.

— Isa ci powiedziała? — pyta i mruży oczy.

— Po prostu się odwal — mówię, ignorując jej pytanie. — Albo będziesz miała poważniejszy problem na głowie niż tylko rozgoryczony były chłopak.

— Jesteś rozgoryczony, Alex? Bo nie wyglądasz. Wyglądasz, jakbyś miał wszystko w dupie.

Ma rację. Kiedy dowiedziałem się, że sypia z innymi, potrzebowałem trochę czasu, żeby się pozbierać. Zastanawiałem się, co takiego dają jej inni faceci, czego ja nie mogę jej dać.

— Kiedyś nie miałem. Ale teraz już mam.

Carmen wymierza mi policzek.

— Wal się, Alex.

— Klótnia zakochanych? — pyta Javier, opierając się o maskę.

— *Callate*, zamknij się — rzucamy z Carmen jednocześnie.

Carmen odwraca się na pięcie i idzie ciężkim krokiem do samochodu, po czym ładuje się znów na tylne siedzenie. Patrzę, jak przyciąga do siebie twarz Sama. W warsztacie rozlega się odgłos namiętych pocałunków i jęki.

Javier woła:

— Enrique, otwórz bramę. Spadamy stąd.

Raul, który poszedł się odlać do łazienki, mówi:

— Jedziesz, Alex. Potrzebujemy cię. Paco i Satynowy Kaptur będą się bić w Gilson Park. A wiesz, że Kaptury nigdy nie walczą fair.

Paco nic mi nie wspominał o walce, pewnie dlatego, że wiedział, że starałbym się go od niej odwieść. Czasem mój najlepszy kumpel pakuje się w sytuacje, z których nie potrafi się sam wykaraskać.

I czasem nie pozostawia mi wyboru i zmusza, żebym też się w coś wpackował.

— Jadę — mówię i wskakuję na przednie siedzenie, przez co Raul ląduje z tyłu razem z dwoma gruchającymi gołąbkami.

Jedziemy powoli jedną przecznicę i dojeżdżamy do parku. Napięcie wisi w powietrzu, czuję to przez skórę. Gdzie jest Paco? Wykrwawia się już gdzieś w bocznej uliczce?

Jest ciemno. Widzę jakieś poruszenie i włosy stają mi dęba. Wszystko wygląda złowieszczo, nawet drzewa szumiące na wietrze. W ciągu dnia Gilson Park to tylko jeden z wielu podmiejskich parków... za wyjątkiem graffiti LK na ścianach budynków wokół parku. To nasz teren.

Oznakowaliśmy go.

Znajdujemy się na przedmieściach Chicago, rządzymy na tym osiedlu i na ulicach, które do niego prowadzą. To wojna uliczna — inne podmiejskie gangi walczą z nami o teren. Trzy przecznice dalej znajdują się rezydencje i domy warte miliardy dolarów. Tutaj, w prawdziwym świecie, trwa wojna. Ludzie w wystawnych domach nawet nie wiedzą, że niecały kilometr od ich ogródków zacznie się zaraz bitwa.

— Tam jest — wskazuję na dwie postacie stojące kilka metrów od parkowych huštawek. Latarnie w parku nie działają, ale i tak od razu wiem, która sylwetka to Paco, bo poznaję go po niskim wzroście i charakterystycznej postawie zapaśnika przygotowanego do wyjścia na ring.

Gdy jedna z postaci popycha drugą, wyskakuję z auta, mimo że jeszcze się nie zatrzymało. Bo ulicą idzie pięć innych Kapturów. Gotowy walczyć razem z przyjacielem, odsuwam od siebie myśl, że ta konfrontacja może się skończyć dla nas wszystkich na cmentarzu. Gdy staję do walki z pewnością siebie i zaciętością, nie myśląc o konsekwencjach, wygrywam. Jeśli zacznę za dużo się nad tym zastanawiać, czeka mnie koniec.

Biegnę do Paco i Satynowego Kaptura, zanim dotrze tam reszta jego kumpli. Paco dobrze się bije, ale ten drugi jest jak robak, który wywija się spod ciosów Paco. Łapię kolesia za fraki, stawiam go na nogi, a moje pięści kończą dzieło.

Patrzę z wściekłością na Paco, jeszcze zanim zdąży podnieść się na nogi i stanąć przede mną.

— Mogłem go pokonać, Alex — mówi i ściera sobie krew z ust.

— Owszem, ale co z resztą? — pytam, wpatrując się w pięć Kapturów za jego plecami. Z bliska widzę, że wszyscy to świeżynki. Nowi członkowie gangu, pełni zapału. Mogę walczyć z nowymi. Ale nowi, którzy mają przy sobie broń, są niebezpieczni.

Obok mnie stają Javier, Carmen, Sam i Raul. Muszę przyznać, że wyglądamy groźnie, nawet Carmen. Dziewczyna radzi sobie w walce, a jej paznokcie potrafią być zabójcze.

Chłopak, którego ściągnąłem z Paco, wstaje i wskazuje na mnie palcem.

— Już jesteś martwy.

— Słuchaj, *enano*. — Niscy faceci nienawidzą, gdy ktoś się wyśmiewa z ich wzrostu, więc nie mogę się powstrzymać, żeby nie nazwać go karłem. — Wracaj na swoje podwórko, a tę norę zostaw nam.

Enano wskazuje na Paco.

— Ukradł mi kierownicę.

Patrzę na Paco, wiedząc, że to w jego stylu kpić sobie z Satynowego Kaptura i kraść mu coś równie głupiego. Kiedy odwracam się znów do *enano*, widzę, że trzyma w ręce nóż sprężynowy. I że celuje nim prosto we mnie.

Cholera. Jak już skończę z Kapturami, przysięgam, że zabiję swojego najlepszego kumpla.

Mój partner z chemii nie pojawił się w szkole od czasu przydzielania projektów. Tydzień później wkracza wreszcie dumnym krokiem do klasy. Wkurza mnie to, bo ja zawsze przychodzę do szkoły, bez względu na to, jak beznadziejna jest moja sytuacja w domu.

— Miło, że się pokazałeś — rzucam.

— Miło, że zauważyłaś — odpowiada i ściąga bandanę.

Do klasy wchodzi pani Peterson. Mam wrażenie, że na widok Aleksa odczuwa wyraźną ulgę. Prostuje się i mówi:

— Dziś miała być kartkówka. Ale zamiast tego chcę, żebyście popracowali w parach w bibliotece. Za dwa tygodnie chcę mieć na biurku wstępny plan projektu.

Idę z Colinem za rękę do biblioteki. Alex wlecze się z tyłu, rozmawiając z kumplami po hiszpańsku.

Colin ściska moją dłoń.

— Chcesz się spotkać po treningu?

— Nie mogę. Muszę potem wracać do domu.

Baghda zwolniła się w sobotę i moja mama spanikowała. Póki nie znajdzie kogoś na jej miejsce, muszę więcej jej pomagać.

Colin przystaje i puszcza moją rękę.

— Cholera, Brit. Znajdziesz wreszcie kiedyś dla mnie trochę czasu?

— Możesz wpaść do mnie — proponuję.

— I patrzeć, jak zajmujesz się siostrą? Nie, dzięki. Nie chcę wyjść na dupka, ale chciałbym spędzić z tobą czas na osobności. tylko we dwoje.

— Wiem. Ja też.

— A w piątek?

Powinam zostać z Shelley, ale mój związek z Colinem jest zagrożony i nie mogę pozwolić, żeby pomyślał, że nie chcę z nim być.

— W piątek mogę.

Chcemy już pocałunkiem przypieczetować nasze plany, ale Alex chrząka tuż obok.

— Zakaz publicznego okazywania uczuć. Takie są zasady. Poza tym to moja para, baranie. A nie twoja.

— Zamknij się, Fuentes — mruczy Colin i idzie do Darlene.

Kładę rękę na biodrze i patrzę wściekle na Aleksa.

— Od kiedy to zacząłeś tak ściśle przestrzegać szkolnego regulaminu?

— Od kiedy zostałaś moją parą na chemii. Po chemii jesteś jego. Na chemii jesteś moja.

— Może poszukasz swojej maczugi i zaciągniesz mnie do biblioteki za włosy.

— Nie jestem troglodytą. To twój chłopak jest małpą, a nie ja.

— W takim razie przestań się zachowywać, jakbyś nią był. — Wszystkie stoliki w bibliotece są zajęte, więc musimy znaleźć sobie miejsce gdzieś w kącie, w odosobnionym dziale literatury faktu, i siąść na wykładzinie. Kładę na ziemi książki i czuję, że Alex przygląda się mi — tak intensywnie, jakby miał prawie odkryć prawdziwą mnie. Ale jest bez szans, bo skrzętnie ukrywam przed wszystkimi swoje prawdziwe ja.

Odpowiadam takim samym spojrzeniem w myśl zasady jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie. Alex wydaje się nieprzenikniony, poza blizną nad lewą brwią, która zdradza prawdę — że jest człowiekiem. Pod jego koszulą rysują się mięśnie, które można wyrobić sobie tylko pracą fizyczną albo regularnymi ćwiczeniami.

Patrzemy sobie w oczy i czas się zatrzymuje. Jego wzrok przewierca mnie na wylot i mogłabym przysiąc, że wyczuwa prawdziwą mnie. Tę, która nie przybiera żadnej pozy, która niczego nie udaje. Po prostu Brittany.

— Co bym musiał zrobić, żebyś się ze mną umówiła? — pyta.

— Żartujesz sobie.

— A wyglądam, jakbym żartował?

Pani Peterson przechodzi obok nas, dzięki czemu nie muszę odpowiadać.

— Mam was na oku. Alex, brakowało nam ciebie w zeszłym tygodniu. Co się stało?

— Nadziałem się na nóż.

Nauczycielka kręci z niedowierzaniem głową i odchodzi znęcać się nad innymi parami.

Patrzę na Aleksa wielkimi oczami.

— Na nóż? Żartujesz, prawda?

— Nie. Kroilem pomidor i nie uwierzysz, ale nóż wysliznął mi się z ręki i rozciął mi ramię.

Lekarz założył mi klamry. Chcesz zobaczyć? — pyta i zaczyna podciągać rękaw.

Zasłaniam sobie ręką oczy.

— Alex, nie bądź obrzydliwy. I nie wierzę, że nóż ci wyskoczył z ręki. Raczej brałeś udział w bójce na noże.

— Nie odpowiedziałas na moje pytanie — mówi, ani nie zaprzeczając, ani nie potwierdzając mojej hipotezy na temat jego rany. — Co bym musiał zrobić, żebyś się ze mną umówiła?

— Nic. Nie umówię się z tobą.

— Założę się, że zmienisz zdanie, kiedy cię pocałuję.

— Bo akurat do tego dojdzie.

— Twoja strata. — Alex rozprostowuje przed sobą długie nogi i kładzie książki na kolanach. Patrzy na mnie czekoladowymi oczami tak intensywnie, że przysięgam, mógłby mnie nimi zahipnotyzować. — Gotowa? — pyta.

Przez ułamek sekundy patrzę w te ciemne oczy i zastanawiam się, jakby to było go pocałować. Mój wzrok zsuwa się na jego usta. Przez ułamek sekundy niemal czuję, jak jego wargi zbliżają się do moich. Czy byłyby twarde, czy miękkie? Czy całuje powoli, czy szybko i namiętnie, zgodnie ze swoją osobowością?

— Na co? — szepczę i przysuwam się do niego.

— Na projekt — przypomina. — Ogrzewacze do rąk. Peterson. Chemia.

Kręcę głową i odsuwam wszystkie absurdalne myśli mojego nadpobudliwego nastoletniego umysłu. Chyba jestem przemęczona z niewyspania.

— Tak, ogrzewacze. — Otwieram podręcznik.

— Brittany?

— Co? — pytam, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w słowa w książce. Nie mam pojęcia, co czytam, bo jestem tak skrupowana, że nie mogę się skupić.

— Patrzyłaś na mnie takim wzrokiem, jakbyś chciała mnie pocałować.

Zmuszam się do śmiechu.

— Jasne — mówię sarkastycznie.

— Nikt nie patrzy, możesz spróbować, jeśli chcesz. Nie chcę się chwalić, ale mogę się uznać za eksperta w tej dziedzinie.

Uśmiecha się do mnie powoli uśmiechem, który ma pewnie zmiękczać kobiece serca na całym świecie.

— Alex, nie jesteś w moim typie. — Muszę mu coś powiedzieć, żeby przestał patrzeć na mnie tak, jakby zamierzał zrobić ze mną rzeczy, które znam tylko ze słyszenia.

— Podobają ci się tylko biali?

— Przestań — cedzę przez zaciśnięte zęby.

— Co? — odpowiada, nagle poważniejąc. — Taka jest prawda, nie?

Wyrasta przed nami pani Peterson.

— Jak idzie szykowanie planu? — pyta.

Uśmiecham się sztucznie.

— Doskonale. — Wyciągam notatki, które zrobiłam w domu i zabieram się do pracy, podczas gdy pani Peterson przygląda się nam. — Zrobiłam wczoraj wstępne rozeznanie na temat ogrzewaczy. Musimy rozpuścić sześćdziesiąt gramów octanu sodu i sto mililitrów wody w temperaturze siedemdziesięciu stopni.

— Nie — sprzeciwia się Alex.

Podnoszę głowę i widzę, że pani Peterson sobie poszła.

— Słucham?

Alex krzyżuje ręce na piersiach.

— Nie masz racji.

— Nie wydaje mi się.

— Uważasz, że zawsze masz rację?

Mówi to tak, jakbym była słodką blondi, a we mnie wszystko gotuje się z wściekłości.

— Oczywiście, że nie. — Zmieniam głos i zaczynam mówić piskliwie i na wydechu, jak debiutantka z południa. — No bo w zeszłym tygodniu kupiłam sobie beżowy błyszczak Bobbi Brown, a przecież różowy dużo bardziej by mi pasował. To chyba oczywiste, że ten wybór to była całkowita porażka — rzucam sarkastycznie. Spodziewał się usłyszeć coś takiego z moich ust. Zastanawiam się, czy zorientował się po moim głosie, że to sarkazm.

— Domyślam się — kwituje tylko.

— A ty? Nigdy się nie mylisz? — pytam go.

— Ależ myślę — mówi. — W zeszłym tygodniu, kiedy rabowałam bank przy aptece Walgreens, powiedziałem kasjerowi, żeby dał mi z kasy wszystkie pięćdziesiątki, a powinienem kazać mu dać dwudziestki, bo jest ich znacznie więcej niż pięćdziesiątek.

No dobra, czyli załapał, że się zgrywam. I odpowiedział równie absurdalną historyjką, co właściwie jest niepokojące, bo w jakiś pokręcony sposób nas łączy. Kładę sobie rękę na sercu i wzdycham:

— Katastrofa.

— Czyli oboje czasem się mylimy.

Zadzieram głowę i stwierdzam z uporem:

— Ale co do chemii się nie myślę. W przeciwieństwie do ciebie poważnie traktuję naukę.

— Założmy się w takim razie. Jeśli ja mam rację, pocałujesz mnie.

— A jeśli ja?

— Sama zadecyduj.

Sprawa jest prosta jak drut. Pan Macho dostanie po nosie i strasznie się cieszę, że to ja mu go utrę.

— Jeśli ja wygram, zaczniesz traktować poważnie mnie i nasz projekt — mówię. —

Przestanieś mi dokuczać, skończysz z głupimi odzywkami.

— Umowa stoi. Ale czułbym się okropnie, gdybym cię nie uprzedził, że mam fotograficzną pamięć.

— A ja czułabym się okropnie, Alex, gdybym cię nie uprzedziła, że przepisałam wszystko z podręcznika. — Patrę na swoje notatki, po czym otwieram odpowiednią stronę w książce do chemii. — Bez zaglądanego do książki, do jakiej temperatury trzeba to schłodzić? — pytam.

Dla Aleksa wyzwania to chleb powszedni. Ale tym razem przegra. Zamyka swój podręcznik i patrzy na mnie uporczywie.

— Do dwudziestu stopni. A rozpuścić trzeba w stu stopniach, a nie w siedemdziesięciu — odpowiada bez zająknięcia.

Przebiegam wzrokiem odpowiednią stronę w książce, a potem zerkam do notatek. A potem znów do książki. Nie mogę się mylić. Na której stronie...

— No tak. W stu stopniach. — Patrę na niego w kompletnym szoku. — Masz rację.

— Pocałujesz mnie teraz czy później?

— Teraz — decyduję, czym go chyba kompletnie zaskakuję, bo jego ręce nieruchomieją. W domu moje życie przebiega pod dyktando rodziców. Szkoła to inna bajka. I musi tak pozostać, bo jeśli stracę kontrolę we wszystkich sferach swojego życia, to równie dobrze mogłabym zamienić się w marionetkę.

— Naprawdę? — pyta.

— Tak. — Biorę go za rękę. Nigdy nie byłabym taka odważna, gdybyśmy nie byli sami, więc jestem wdzięczna za prywatność, jaką zapewniają nam otaczające nas książki. Alex wstrzymuje oddech, gdy przysiadam na piętach i nachylam się w jego stronę. Nie zwracam uwagi na fakt, że ma długie szorstkie palce i że właściwie nigdy wcześniej go nie dotknęłam. Stresuję się.

A przecież nie powinnam. Tym razem to ja kontroluję sytuację.

Czuję, że Alex się hamuje. Chce, żebym sama to zrobiła, co mi akurat odpowiada. Boję się, co mógłby zrobić ten chłopak, gdyby puściły mu hamulce.

Kładę sobie jego rękę na policzku tak, żeby w całości go obejmowała, i słyszę jęk Aleksa. Mam ochotę się uśmiechnąć, bo jego reakcja wyraźnie pokazuje, że mam nad nim władzę.

Chłopak zamiera, gdy nasze oczy się spotykają.

Czas znów staje w miejscu.

W następnej chwili przekręcam głowę i całuję wnętrze jego dłoni.

— Już. Pocałowałam cię — mówię i odsuwam jego dłoń, kończąc zabawę.

Pan Latino pokonany przez słodką blondi.

14. Alex

To miał być pocałunek?

— Tak.

No dobra, zaskoczyła mnie, gdy położyła moją rękę na swoim mlecznobiałym policzku. Cholera, faktycznie można by pomyśleć, że coś brałem, sądząc po tym, jak zareagowałem.

Jeszcze przed chwilą miała mnie całkowicie w swojej mocy. A potem śliczna wiedźma zmieniła zasady gry i to ona była górą. Zaskoczyła mnie, to pewne. Śmieję się, celowo zwracając na nas uwagę, bo wiem, że dokładnie tego chce uniknąć.

— Cśś — ucisza mnie Brittany i uderza mnie pięścią w ramię, żebym się uciszył. Śmieję się głośniej, a ona wtedy wali mnie w rękę ciężkim podręcznikiem do chemii.

W moją zranioną rękę.

Krzywię się.

— Au! — Czuję, jakby w ranę użądliło mnie milion małych pszczołek. — *Cabron, me dolio!* Ale boli!

Brittany zagryza dolną wargę umalowaną beżowym błyszczkiem Bobbi Brown, który moim zdaniem dobrze na niej wygląda. Choć nie miałbym nic przeciwko, żeby zobaczyć ją też w różu.

— Zabolalo? — pyta.

— Tak — mówię przez zaciśnięte zęby i skupiam się na jej błyszczyku zamiast na bólu.

— To dobrze.

Podciągam rękaw, żeby obejrzeć ranę, która (dzięki mojej partnerce z chemii) zaczęła krwawić z jednej z klamer założonych w darmowej klinice po bójce z Satynowymi Kapturami w parku. Brittany ma sporo siły jak na kogoś, kto nawet w pełnym rynsztunku waży tyle co nic.

Wstrzymuje oddech i odsuwa się.

— O Boże! Nie chciałam ci zrobić krzywdy, Alex. Naprawdę. Kiedy straszyleś, że pokażesz mi bliznę, zacząłeś podciągać lewy rękaw.

— Bo nie miałem zamiaru ci jej pokazać. Droczyłem się z tobą. Nic się nie stało — stwierdzam. Jezus, można by pomyśleć, że dziewczyna nigdy wcześniej nie widziała krwi. No ale z drugiej strony w jej żyłach płynie pewnie błękitna.

— Stało się — upiera się i kręci głową. — Szwy ci się rozeszły i leci krew.

— To kłamry — poprawiam ją, chcąc rozładować trochę atmosferę. Dziewczyna zrobiła się jeszcze bledsza niż zwykle. I oddycha ciężko, prawie dyszy. Jeśli zemdleje, to na bank przegram z Luckym. Jeśli nie jest w stanie znieść widoku strużki mojej krwi, to jak będzie uprawiać ze mną seks? No chyba że nie będziemy nago i nie zobaczy moich blizn. Albo jeśli będzie ciemno, może udawać, że jestem biały i bogaty. Pieprzyć to, chcę to robić przy świetle... Chcę ją czuć na sobie i chcę, żeby wiedziała, że ja to ja, a nie jakiś inny *culero*.

— Alex, dobrze się czujesz? — pyta Brittany wyraźnie zaniepokojona.

Mam jej powiedzieć, że odpłynąłem myślami, bo wyobrażałem sobie, że uprawiamy seks?

Pani P. podchodzi do nas z surową miną.

— To biblioteka. Zachowujcie się ciszej. — Zauważa jednak cienką strużkę krwi, która spływa mi na rękaw.

— Brittany, zaprowadź go do pielęgniarki. Alex, następnym razem zabandażuj to przed przyjściem do szkoły.

— Może odrobinę współczucia, pani P.? Wykrwawiam się właśnie na śmierć.

— Zrób coś dla dobra ludzkości albo planety, Alex. Wtedy zasłużysz na moje współczucie. Ludzie, którzy walczą na noże, nie wzbudzają we mnie żadnych uczuć poza niechęcią. A teraz idź się doprowadzić do porządku.

Brittany bierze książki z moich kolan i mówi drżącym głosem:

— Chodź.

— Sam mogę nieść książki — mówię i wychodzę za nią z biblioteki. Przyciskam rękaw do rany, żeby zatamować krwawienie.

Brittany idzie przede mną. Uwierzy i pomoże mi, jak jej powiem, że musi mnie podtrzymać, bo zrobiło mi się słabo? Może powinienem się zachwiać... choć znając ją, w ogóle się nie przejmie.

Tuż przed gabinetem pielęgniarki odwraca się do mnie. Trzęsą jej się ręce.

— Przepraszam, Alex. Ja, ja nie, nie chciałam...

Dziewczyna wyraźnie panikuje. Jeśli mi się rozbeczy, nie będę wiedział, co zrobić. Nie przywykłem do płaczących lasek. Carmen tylko raz płakała w trakcie trwania naszego związku. Właściwie nie jestem pewny, czy w ogóle ma kanaliki łzowe. To mi się podobało, bo wrażliwe dziewczyny mnie przerażają.

— Eee... wszystko w porządku? — pytam.

— Jeśli to się wyda, nigdy mi tego nie zapomną. O Boże, jeśli pani Peterson zadzwoni do moich rodziców, jestem trupem. A przynajmniej będę wołała nim być. — Gada tak i cała się trzęsie, jakby była samochodem z zepsutymi amortyzatorami i bez hamulców.

— Brittany?

— ...a moja mama wszystko zwali na mnie. To moja wina, wiem. Ale zacznie świrować, a wtedy będę jej się musiała tłumaczyć i liczyć na to, że...

Zanim zdąży powiedzieć coś więcej, krzyczę:

— Brittany!

Dziewczyna patrzy na mnie tak zdezorientowanym wzrokiem, że nie wiem, czy jest mi jej żal, czy jestem zdumiony, że gada jak opętana i nie może przestać.

— To ty świrujesz — stwierdzam oczywisty fakt.

Jej oczy, zwykle przejrzyste i błyszczące, teraz są mętne i puste, jakby opuściła własne ciało.

Spuszcza wzrok i patrzy wszędzie, tylko nie na mnie.

— Nie świruję. Nic mi nie jest.

— Jasne. Spójrz na mnie.

Waha się chwilę.

— Nic mi nie jest — zapewnia, wbijając wzrok w szafkę po drugiej stronie korytarza. — Zapomnij o wszystkim, co przed chwilą mówiłam.

— Jeśli na mnie nie spojrzysz, wykrwawię się tu na środku korytarza i będę potrzebować pieprzonej transfuzji. Spójrz na mnie, do jasnej cholery.

Brittany wciąż oddycha ciężko, ale odwraca się do mnie.

— Co? Jeśli chcesz mi powiedzieć, że nie panuję nad własnym życiem, to już to wiem.

— Wiem, że nie chciałaś zrobić mi krzywdy — uspokajam. — A nawet jeśli chciałaś, to pewnie sobie na to zasłużyłem. — Chcę rozładować jakoś sytuację, żeby dziewczyna mi się nie załamała na korytarzu. — To nie zbrodnia popełnić błąd, wiesz? Po co komu reputacja, jeśli nie można jej od czasu do czasu sobie zniszczyć?

— Nie próbuj mnie pocieszać, Alex. Nienawidzę cię.

— Ja ciebie też. A teraz bądź tak miła i usuń się, żeby woźny nie musiał cały dzień szorować mojej krwi. To mój krewny, wiesz?

Brittany kręci głową, nie dając się nabrać na to, że jestem spokrewniony z głównym woźnym w Fairfield. No dobra, właściwie nie jestem. Ale facet ma rodzinę w Atencingo w Meksyku, tam gdzie mieszkają kuzyni mamy.

Zamiast się odsunąć, moja partnerka otwiera drzwi do gabinetu pielęgniarskiego. Stwierdzam, że nic jej nie będzie, choć dalej trzęsą jej się ręce.

— Krew mu leci — informuje pannę Koto, szkolną pielęgniarkę.

Panna Koto sadza mnie na jednym z łóżek do badań.

— Co się stało?

Zerkam na Brittany. Wygląda na przestraszoną, jakby się bała, że zaraz wykituję. Mam szczerą nadzieję, że tak właśnie wygląda Anioł Śmierci, którego zobaczę, zanim kopnę w kalendarz. Z wielką przyjemnością poszedłbym do piekła, gdyby witała mnie tam taka twarz.

— Puściły mi klamry — mówię. — Nic takiego.

— A jak to się stało? — pyta panna Koto, maczając w czymś biały wacik i przecierając mi ramię. Wstrzymuję oddech, czekając, aż przestanie piec. Nie mam zamiaru donosić na moją koleżankę, zwłaszcza że usiłuję ją uwieść.

— Uderzyłam go — wyznaje Brittany, lekko się jękając.

Panna Koto odwraca się zdumiona.

— Ty?

— Niechcący — wtrącam, nie mając pojęcia, czemu nagle chcę bronić dziewczyny, która mnie nienawidzi i która wolałaby pewnie zaważyć chemię niż pracować ze mną nad projektem.

Kiepsko mi idzie realizacja moich planów względem Brittany. Dziewczyna nie czuje do mnie nic poza nienawiścią. Ale myśl o tym, że Lucky dostanie mój motor, jest bardziej bolesna niż odkażanie rany, którą właśnie przeciera mi panna Koto.

Muszę się spotkać z Brittany sam na sam, jeśli mam mieć jakąkolwiek szansę na zachowanie twarzy oraz hondy. Czy ten atak paniki na korytarzu oznacza, że tak naprawdę wcale mnie nie nienawidzi? Nigdy nie widziałem, żeby ta dziewczyna zrobiła coś, co nie byłoby w stu procentach przemyślane i zaplanowane. Jest jak cyborg. A przynajmniej tak mi się wydawało. Zawsze, za każdym razem, gdy ją widziałem, wyglądała i zachowywała się jak księżniczka przed kamerami. Kto by pomyślał, że złamię ją akurat widok mojej krwi.

Patrzę na Brittany. Wpatruje się w moją rękę i w zabiegi panny Koto. Żałuję, że nie jesteśmy w bibliotece. Mógłbym przysiąc, że myślała wtedy o pocałunku.

La tengo dura, staje mi, na samo wspomnienie o tym, i to na oczach panny Koto. *Gracias a Dios*, pielęgniarka odwraca się akurat do szafki ze środkami opatrunkowymi. Dzięki Bogu. Gdzie jest duży podręcznik do chemii, gdy człowiek go akurat potrzebuje?

— Spotkajmy się w czwartek po szkole. Żeby przygotować plan projektu — proponuję z dwóch powodów. Po pierwsze przy pannie Koto muszę przestać wyobrażać sobie Brittany nago. A po drugie chcę ją mieć tylko dla siebie.

— W czwartek jestem zajęta — odpowiada.

Pewnie z Oślim Łbem. To jasne, że woli spędzać czas z tym *pendejo* niż ze mną. Z tym matolem.

— W takim razie w piątek — mówię, starając się ją wybadać, choć pewnie nie powinienem tego robić. Testowanie takiej dziewczyny jak Brittany może poważnie zaszkodzić mojemu ego. Choć wykorzystuję akurat chwilę, gdy jest bezbronna i wciąż roztrzęsiona widokiem mojej krwi. Przyznaję, że jestem perfidnym dupkiem.

Brittany zagryza dolną wargę, która jej zdaniem jest pomalowana na niewłaściwy kolor.

— W piątek też nie mogę. — Mój wzwód oficjalnie opadł. — Może w sobotę rano? — proponuje. — Moglibyśmy się spotkać w bibliotece.

— Jesteś pewna, że znajdziesz dla mnie miejsce w swoim napiętym terminarzu?

— Zamknij się. Spotkajmy się o dziesiątej.

— No to mamy randkę — stwierdzam, a panna Koto wyraźnie nastawia ucha, kończąc przy tym owijać mi rękę jakimś kretyńskim bandażem.

Brittany zbiera swoje książki.

— To nie randka, Alex — rzuca przez ramię.

— Może i nie, ale wiesz mi jeszcze pocałunek. A ja zawsze odzyskuję długie. — Oczy mojej partnerki lśnią nagle z wściekłości. Hm, niebezpiecznie. Puszczam do niej oko. — I nie przejmuj

się kolorem błyszczyka na sobotę. I tak będziesz musiała poprawić makijaż, gdy skończymy się całować.

15. Brittany

Jedno jest pewne — nie będę się całować z Alekssem Fuentesem.

Na szczęście pani Peterson przez cały tydzień zmuszała nas do intensywnej pracy, co nie zostawiało czasu na gadanie poza ustaleniami, kto ma uruchomić palnik Bunsena. Choć na widok zabandażowanej ręki Aleksa zawsze przypominała mi się chwila, gdy go uderzyłam.

Staram się nie myśleć o nim, gdy maluję sobie usta na randkę z Colinem. Jest piątek wieczór i idziemy najpierw na kolację, a potem do kina.

Przeglądam się w lustrze i zakładam bransoletkę od Tiffany'ego, którą dostałam od niego w zeszłym roku na rocznicę, po czym idę do ogrodu, gdzie moja siostra ćwiczy z fizjoterapeutą w basenie. Mama, ubrana w różowy welurowy strój, leży na szezlongu i czyta jakiś magazyn wnętrzarski.

Jest dość spokojnie. Słysząc tylko głos fizjoterapeuty instruującego Shelley.

Mama odkłada pismo i robi surową minę.

— Brit, najpóźniej o wpół do jedenastej masz być w domu.

— Ale idziemy do kina na ósmą, mamo. Będziemy trochę później.

— Słyszałaś, co powiedziałam. Nie później niż dziesiąta trzydzieści. Jeśli będziesz musiała wyjść z kina wcześniej, żeby być w domu na czas, to wyjdiesz. Rodzice Colina nie będą szanować dziewczyny, która nie wraca o przyzwoitej godzinie do domu.

Przy drzwiach rozlega się dzwonek.

— To pewnie Colin — stwierdzam.

— Lepiej się pospiesz. Taki chłopak nie będzie czekać wiecznie.

Biegnę do drzwi, zanim robi to mama, ośmieszając przy okazji i siebie, i mnie. Colin stoi na werandzie z tuzinem czerwonych róż.

— To dla ciebie — mówi, zupełnie mnie zaskakując.

Wow! Głupio mi, że tak dużo w ciągu ostatniego tygodnia myślałam o Aleksie. Przytulam się do Colina i daję mu buziaka, prawdziwego, w usta.

— Wstawię je do wody — rzucam, wpuszczając go do środka.

Nucę zadowolona i idę do kuchni, rozkoszując się słodkim zapachem. Nalewam wodę do wazonu i zastanawiam się, czy Alex kiedykolwiek kupił swojej dziewczynie kwiaty. Pewnie przynosi raczej w prezencie nóż, na wypadek gdyby miał się przydać podczas randki. Bycie z Colinem jest takie...

Nudne?

Nie. Nie jesteśmy nudną parą. Jest bezpiecznie. Swobodnie. Miło.

Obcinam końcówki i wkładam róże do wazonu, po czym odnajduję Colina, który gawędzi z moją mamą na patio, choć naprawdę bym wołała, żeby tego nie robił.

— Idziemy?

Colin uśmiecha się do mnie tym swoim białym, olśniewającym uśmiechem.

— Tak.

— Przywieź ją z powrotem o wpół do jedenastej! — woła mama. Jakby określona pora powrotu do domu była równoznaczna z przyzwoitym prowadzeniem się. To absurd, ale patrzę na Shelley i powstrzymuję się od dyskusji.

— Oczywiście, pani Ellis — odpowiada Colin.

Wsiadamy do jego mercedesa i pytam:

— Na jaki film idziemy?

— Zmiana planów. Firma ojca dostała bilety na mecz Cubsów. Miejsca w łoży zaraz za bazą. Idziemy na mecz Cubbies, kotku.

— Super. Ale wrócimy przed wpół do jedenastej? — Bo mama na pewno będzie czekać pod drzwiami.

— Jeśli nie doliczą dodatkowych rund. Czy twoja mama myśli, że zamienisz się w dynię,

czy jak?

Biorę go za rękę.

— Nie. Ale nie chcę jej denerwować.

— Bez urazy, ale twoja mama jest dziwna. Wygląda tak, że chciałoby się ją przelecieć, ale jest przy tym kompletnie szurnięta.

Wrywam rękę.

— Fuu! Colin, powiedziałeś właśnie, że chciałbyś przelecieć moją mamę! To obrzydliwe!

— Daj spokój, Brit. — Zerka na mnie. — Twoja mama wygląda raczej jak twoja siostra bliźniaczka niż jak twoja matka. Jest niezła.

Przyznaję, mama ćwiczy tak dużo, że jej ciało faktycznie wygląda jak ciało trzydziestolatki a nie czterdziestopięciolatki. Ale myśl, że mój chłopak ślini się na widok mojej matki, jest obrzydliwa.

Na stadionie Wrigley Field Colin prowadzi mnie do firmowej łoży swojego ojca. Pełno tam ludzi z największych kancelarii prawniczych. Rodzice Colina witają się z nami. Jego mama przytula mnie i cmoka w powietrzu, po czym daje nam przywitać się z innymi.

Patrzę, jak Colin rozmawia z ludźmi w łoży. Czuje się wśród nich zupełnie swobodnie. Jest w swoim żywiole. Wymienia uściski dłoni, uśmiecha się szeroko i śmieje się z wszystkich żartów, niezależnie od tego, czy są śmieszne.

— Może siądziemy tam? — proponuje i po zakupie hot dogów i napojów przy barze prowadzi mnie na miejsce. — Liczę na staż w Harris, Lundstrom & Wallace w przyszłe wakacje — mówi cicho. — Muszę więc osobiście porozmawiać z tymi facetami.

Kiedy w pobliżu pojawia się pan Lundstrom, Colin zamienia się w rasowego biznesmena. Przyglądam się z podziwem, jak rozmawia z panem Lundstromem jak ze starym znajomym. Mój chłopak jest zdecydowanie wygadany.

— Podobno chcesz iść w ślady ojca — mówi pan Lundstrom.

— Tak — odpowiada Colin, a potem zaczynają rozmawiać o futbolu, o giełdzie i na wszystkie inne tematy, które podsuwa Colin.

Dzwoni Megan, więc opowiadam jej o meczu i gadam z nią chwilę, czekając, aż Colin skończy rozmawiać z panem Lundstromem. Megan mówi, że świetnie się bawiła w klubie Mystique, do którego wpuszczają poniżej dwudziestego pierwszego roku życia. Twierdzi, że podobałoby się tam nam ze Sierrą.

Podczas siódmej rundy wstajemy z Colinem i śpiewamy *Zabierz mnie na mecz*. Strasznie fałszujemy, ale nie ma to znaczenia, bo nagle mam wrażenie, że tysiące kibiców Cubsów fałszuje razem z nami. Dobrze mi tak z Colinem, fajnie się razem bawimy. Zaczynam myśleć, że może trochę zbyt krytycznie oceniłam nasz związek.

Za piętnaście dziesiąta odwracam się do Colina i mówię, że musimy się zbierać, choć mecz się jeszcze nie skończył.

Bierze mnie za rękę. Myślę, że przeprosi pana Lundstroma i skończy rozmowę, ale pan Lundstrom woła tylko pana Wallace'a.

Mijają kolejne minuty i zaczynam się denerwować. Atmosfera w moim domu jest wystarczająco napięta. Nie chcę jej dodatkowo pogarszać.

— Colin... — mówię i ściskam go za rękę.

Obejmuje mnie nieuważnie ramieniem zamiast odpowiedzi.

Pod koniec dziewiątej rundy, gdy jest już po dziesiątej, mówię:

— Przykro mi, ale Colin musi mnie odwieźć do domu.

Pan Wallace i pan Lundstrom podają Colinowi dłoń na pożegnanie, a ja zaraz potem ciągnę go do wyjścia.

— Brit, zdajesz sobie sprawę, jak trudno jest dostać się na staż do HL&W?

— W tym momencie mało mnie to obchodzi, Colin. Najpóźniej wpół do jedenastej muszę być w domu.

— No to będziesz o jedenastej. Powiesz mamie, że były korki.

Colin nie wie, jaka potrafi być moja mama, jak ma zły dzień. Na szczęście jak dotąd nie

bywał u nas zbyt często, a jeśli już to tylko na krótką chwilę. Nie ma pojęcia, co się dzieje, jak mama zacznie mnie ochrzaniać.

Zajeżdżamy pod mój dom nawet nie o jedenastej, ale bliżej jedenastej trzydzieści. Colin jest wciąż podekscytowany perspektywą stażu w HL&W, a jednocześnie słucha podsumowania meczu w radiu.

— Muszę lecieć — mówię i nachylam się na szybkiego buziaka.

— Zostań jeszcze chwilę — szepcze Colin z ustami przy moich ustach. — Już tak dawno się nie przytulaliśmy. Strasznie mi tego brakuje.

— Mnie też. Ale już późno. — Rzucam mu przepraszające spojrzenie. — Będą inne wieczory.

— Oby jak najszybciej.

Idę do domu, przygotowana na ostrą reprimendę. Moja mama na pewno już stoi w korytarzu z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

— Spóźniłaś się.

— Wiem. Przepraszam.

— Co ty sobie wyobrazasz, że możesz się stosować do moich poleceń według własnego widzimisię?

— Nie.

Wzdycha.

— Mamo, naprawdę przepraszam. Pojechaliśmy na mecz Cubsów zamiast do kina i był potworny korek.

— Na mecz Cubsów? Przez całe miasto? Mogli cię obrabować!

— Ale nic nam się nie stało.

— Wydaje ci się, że pozjadałaś wszystkie rozumy, Brit, ale tak nie jest. Równie dobrze mogłabyś teraz leżeć martwa w jakimś ciemnym zaułku, a ja bym myślała, że jesteś w kinie. Sprawdź, czy masz dokumenty i pieniądze w torebce.

Otwieram torebkę i sprawdzam zawartość portfela, byle się uspokoiła. Pokazuję dowód i gotówkę.

— Wszystko jest.

— To masz szczęście. Tym razem.

— Zawsze jestem ostrożna, gdy jadę do miasta, mamo. Poza tym byłam z Colinem.

— Nie mam ochoty słuchać twoich wymówek, Brit. Nie uważasz, że trzeba było zadzwonić i uprzedzić mnie o zmianie planów i o tym, że się spóźnisz?

Żeby nawrzeszczała na mnie najpierw przez telefon, a potem jeszcze raz w domu? O nie. Ale tego powiedzieć jej nie mogę.

— Nie pomyślałam o tym — mówię tylko.

— A czy ty w ogóle myślisz o tej rodzinie? Nie wszystko kręci się wokół ciebie, Brittany.

— Wiem, mamo. Obiecuję, że następnym razem zadzwonię. Mogę już iść się położyć?

Mama macha tylko ręką, pozwalając mi odejść.

W sobotę rano budzą mnie krzyki mamy. Zrzucam z siebie kołdrę, wyskakuję z łóżka i biegnę na dół, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Shelley siedzi na przysuniętym do stołu wózku. Całą twarz, bluzkę i spodnie ma upaprane jedzeniem. Wygląda jak małe dziecko, a nie jak dwudziestoletnia dziewczyna.

— Shelley, jeśli zrobisz to jeszcze raz, wrócisz do swojego pokoju! — krzyczy mama i stawia przed nią miskę ze zmiksowanym jedzeniem.

Shelley zrzuca ją na podłogę. Mama wydaje głuchy okrzyk i patrzy na nią z wściekłością.

— Ja to zrobię — ofiaruję się, podbiegając do siostry.

Mama nigdy nie uderzyła Shelley. Ale gdy wpada w szal, rani równie mocno.

— Nie niańcz jej, Brittany — mówi. — Jeśli nie będzie chciała jeść, zacniemy ją karmić przez sondę. Chcesz tego?

Nienawidzę, gdy tak się zachowuje. Przedstawia najgorszy możliwy scenariusz, zamiast spróbować naprawić sytuację. Siostra patrzy na mnie i widzę w jej oczach tę samą wściekłość.

Mama celuje palcem w Shelley, a potem w jedzenie na podłodze.

— Dlatego od miesiący nie zabieram cię do restauracji — mówi.

— Mamo, przestań. Nie pogarszaj sytuacji. Shelley i tak już jest zdenerwowana. Po co ją bardziej denerwować?

— A co ze mną?

Czuję narastające we mnie napięcie, które zaczyna się gdzieś w żyłach i płynie wraz z krwią po koniuszki palców. Wybucha z taką siłą, że nie jestem już dłużej w stanie go w sobie tłumić.

— Tu nie chodzi o ciebie! Czemu zawsze liczy się tylko to, jaki coś ma na ciebie wpływ?!

— wrzeszczę. — Nie widzisz, mamo, że ona cierpi... zamiast się na nią wydzierać, może spróbujesz poświęcić jej trochę czasu i dowiedzieć się, co jest nie tak?

Nie myśląc o tym, co robię, biorę szmatę i klękam przy Shelley. Zaczynam wycierać jej spodnie.

— Brittany, odsuń się! — krzyczy mama.

Nie słucham jej. A powinnam, bo zanim udaje mi się odsunąć, Shelley łapie mnie za włosy i szarpie. Mocno. Przez całe to zamieszanie zapomniałam, że moja siostra zaczęła ciągnąć za włosy.

— Au! — wyję. — Shelley, przestań! — Staram się złapać ją za ręce i nacisnąć na kłyckie, żeby rozluźniła chwyt, jak mówił nam doktor, ale nie mogę. Jestem w złej pozycji — klęczę przy Shelley z wykręconym ciałem. Mama klnie, jedzenie bryzga na wszystkie strony, a ja czuję, że mam już otwartą ranę na głowie.

Shelley nie puszcza, mimo że mama stara się odsunąć jej ręce od mojej głowy.

— Kłyckie, mamo! — wołam, żeby jej przypomnieć o zaleceniu doktora Meira. Cholera jasna, jak dużo włosów mi wyrwała? Mam wrażenie, jakbym miała na głowie łysy placek.

Po moim napomnieniu mama musiała nacisnąć mocno na kłyckie Shelley, bo siostra puszcza wreszcie moje włosy. Albo wyrwała już po prostu wszystko, za co złapała.

Przewracam się na podłogę i macam się szybko z tyłu głowy.

Shelley się uśmiecha.

Mama marszczy brwi.

A ja mam łzy w oczach.

— W tej chwili jadę z nią do doktora Meira — mówi mama i kręci głową, żebym wiedziała, że przeze mnie sytuacja aż tak wymknęła się spod kontroli. — Dostyc już tego. Brittany, weź samochód ojca i odbierz go z lotniska. Ląduje o jedenastej. Chociaż do tego się przydasz.

16. Alex

Czekam w bibliotece od godziny. No dobra, od półtorej. Przed dziesiątą siadłem na dworze na cementowej ławce. O dziesiątej wszedłem do środka i gapilem się na gablotę, udając, że ciekawią mnie zapowiedzi różnych imprez w bibliotece. Nie chciałem wyglądać, jakbym za bardzo wyczekiwał spotkania z Brittany. Za piętnaście jedenasta siadłem na kanapie w dziale dla nastolatków i zacząłem czytać podręcznik do chemii. No dobra, przesuwałem wzrokiem po stronach, ale nic do mnie nie docierało.

Teraz jest jedenasta. Gdzie ona jest?

Mógłbym po prostu pojechać i spotkać się z kumplami. Cholera, powinienem to zrobić. Ale jakiś głupi odruch każe mi się dowiedzieć, dlaczego Brittany mnie wystawiła. Mówię sobie, że to wszystko kwestia urażonej dumy, ale w głębi duszy martwię się o nią.

Atak paniki przed gabinetem pielęgniarskim sugerował, że jej mama nie zasługuje raczej na tytuł Matki Roku. Czy Brittany nie wie, że ma osiemnaście lat i że może wyprowadzić się z domu, jeśli chce? Skoro jest aż tak źle, po co tam mieszkać?

Bo ma bogatych rodziców.

Gdybym ja wyprowadził się z domu, moje życie zbyt szybko by się zmieniło. Dla dziewczyny mieszkającej po północnej stronie miasta życie bez markowych ręczników i pokojówki, która po niej sprząta, jest pewnie gorsze niż śmierć.

Mam dość bezczynnego czekania na Brittany. Pojadę do niej i dowiem się, czemu mnie wystawiła. Wsiadam bez zastanowienia na motor i jadę na północ. Wiem, gdzie mieszka... w

wielkim, wystawnym domu z kolumnami od frontu.

Parkuję motor na podjeździe i dzwonię do drzwi. Chrząkam, żeby się nie zająknąć. *Mierda*, co ja jej właściwie powiem? I czemu czuję się tak niepewnie, jakbym musiał zrobić na niej wrażenie, bo na pewno będzie mnie oceniać?

Nikt nie otwiera. Dzwonię jeszcze raz.

Gdzie służący albo kamerdyner, gdy trzeba człowiekowi otworzyć drzwi? Mam już zrezygnować i otrzeźwić się sporą dawką zdrowego rozsądku pod tytułem „co ja do cholery wyczyniam”, gdy nagle otwierają się drzwi. Przede mną stoi starsza wersja Brittany. Bez wątpienia jej matka. Patrzy na mnie, a jej szyderczy uśmieszek wyraża wszystko aż nazbyt wyraźnie.

— Słucham? — pyta z wyższością. Wiem, że bierze mnie za ogrodnika lub za sprzedawcę obwoźnego. — W tej dzielnicy nie uznajemy chodzenia po prośbie.

— Ale ja, eee, nie przyszedłem po prośbie. Nazywam się Alex. Chciałem spytać, eee, czy Brittany jest może w domu? — Cudownie. Teraz co chwila mamrocze „eee”.

— Nie. — Jej oziębla odpowiedź idealnie pasuje do jej zimnego spojrzenia.

— A wie pani może, gdzie pojechała?

Pani Ellis przymyka drzwi, pewnie w nadziei że nie zajrzę do środka i nie zobaczę żadnych wartościowych rzeczy, które mógłbym chcieć ukraść.

— Nie udzielam informacji na temat miejsca pobytu mojej córki. A teraz proszę wybaczyć — mówi i zamyka mi drzwi przed nosem.

Stoję przed wejściem jak kompletny *pendejo*. Pewnie Brittany była w domu i kazała mamie mnie spławić. Nie zdziwiłbym się, gdyby tak sobie ze mną pogrywała.

Nienawidzę gier, w których nie mogę wygrać.

Podchodzę upokorzony do motoru i zastanawiam się, czy mam się czuć jak zbity pies, czy może raczej jak wściekły pitbul.

17. Brittany

Kto to jest Alex?

To pierwsze słowa, które wypowiada mama, gdy wracam z tatą z lotniska.

— Kolega ze szkoły, z którym robię projekt z chemii — odpowiadam powoli. Zaraz. — Skąd znasz Aleksa?

— Był tu, gdy pojechałaś na lotnisko. Odprawiłam go.

Coś zaskakuje w moim mózgu i nagle do mnie dociera.

O nie!

Zapomniałam o dzisiejszym spotkaniu z Alekssem.

Dopada mnie poczucie winy, gdy myślę o tym, że czekał na mnie w bibliotece. To ja nie do końca wierzyłam, że się pojawi, a ostatecznie sama nawaliłam. Musi być wściekły. Uh, robi mi się niedobrze.

— Nie chcę go widzieć w pobliżu naszego domu — mówi mama. — Sąsiedzi zaczną gadać. — Tak, jak gadają o twojej siostrze. Wiem, że to właśnie sobie pomyślała.

Mam nadzieję, że któregoś dnia nie będę już musiała przejmować się plotkami sąsiadów.

— Dobrze — odpowiadam.

— Nie możesz robić projektu z kim innym?

— Nie.

— A pytałaś?

— Tak, mam. Pytałam. Pani Peterson nie zgadza się na zmianę pary.

— Może za mało się starałaś ją przekonać. Zadzwoń w poniedziałek do szkoły i poproszę...

Błyskawicznie skupiam się na tym, co mówi, i zapominam o piekącym, pulsującym bólu z tyłu głowy w miejscu, z którego Shelley wyrwała mi garść włosów.

— Mamo, sama sobie poradzę. Nie chcę, żebyś dzwoniła do szkoły i traktowała mnie jak małe dziecko.

— Czy to ten cały Alex uczy cię braku szacunku do matki? Zadajesz się z takim chłopakiem

i nagle zrobiłaś się bardzo pyskata?

— Mamo...

Żałuję, że nie ma z nami taty, żeby jakoś interweniował. Ale od razu po powrocie poszedł do swojego gabinetu sprawdzić mejle. Wolałabym, żeby zachowywał się jak sędzia, a nie siedział z założonymi rękami za linią boiska.

— Bo jeśli zaczniesz się zadawać z tego typu hołotą, ciebie też zaczną uważać za hołotę.

Nie tak cię wychowywaliśmy.

No nie. Kolejne kazanie. Wolałabym zjeść żywą rybę, niepatroszoną i z łuskami, niż musieć teraz tego wysłuchiwać. Wiem, co chce mi powiedzieć. Shelley nie jest idealna, więc ty musisz być.

Biorę głęboki wdech, żeby się jakoś uspokoić.

— Mamo, rozumiem. Przepraszam.

— Po prostu się o ciebie martwię. A ty mi się tak odwdzięczasz.

— Wiem. Przepraszam. Co powiedział doktor Meir na temat Shelley?

— Chce, żeby przyjeżdżała dwa razy w tygodniu na badania. Będziesz mi musiała pomóc ją wozić.

Nie mówię nic o tym, co pani Small sądzi na temat opuszczania treningów, bo nie ma sensu, żebyśmy obie się stresowały. Poza tym chcę wiedzieć, czemu Shelley zrobiła się taka agresywna.

Na szczęście dzwoni telefon i mama idzie odebrać. Idę szybko do pokoju siostry, zanim mama będzie chciała dokończyć rozmowę. Shelley siedzi przy specjalnym komputerze i stuka w klawiaturę.

— Cześć — mówię.

Podnosi głowę. Nie uśmiecha się.

Chcę, żeby wiedziała, że nie jestem na nią zła, bo przecież wiem, że nie chciała zrobić mi krzywdy. Shelley zapewne sama nie wie, skąd ma takie odruchy.

— Chcesz zagrać w warcaby?

Kręci przecząco głową.

— A pooglądać telewizję?

Znów przeczenie.

— Chcę, żebyś wiedziała, że nie jestem na ciebie zła. — Podchodzę bliżej, uważając tylko, żeby nie mogła dosięgnąć do moich włosów, i głaszczę ją po plecach. — Wiesz, że cię kocham.

Żadnej reakcji, żadnego kiwnięcia głową, żadnego dźwięku. Nic.

Siadam na brzegu łóżka i patrzę, jak gra na komputerze. Co jakiś czas się odzywam, żeby wiedziała, że tu jestem. Być może teraz mnie nie potrzebuje, ale chciałabym, żeby było inaczej. Bo wiem, że przyjdzie taki moment, gdy będzie mnie potrzebować, a mnie przy niej nie będzie. To mnie przeraża.

Chwilę później wychodzę od siostry i idę do swojego pokoju. Szukam w spisie uczniów Fairfield numeru Aleksa.

Otwieram kłapkę komórki i wybieram numer.

— Halo? — odbiera jakiś chłopiec.

Biorę głęboki wdech.

— Cześć. Zastałam Aleksa?

— Nie.

— *Quien es?* — słyszę w tle głos jego mamy.

— Kto mówi? — pyta chłopak.

Zdaję sobie sprawę, że podczas rozmowy obskubuję lakier z paznokci.

— Brittany Ellis. Jestem, eee, koleżanką Aleksa ze szkoły.

— Brittany Ellis, koleżanka Aleksa ze szkoły — powtarza chłopiec matce.

— *Toma el mensaje* — słyszę jej słowa.

— Jesteś jego nową dziewczyną? — pyta chłopak.

W słuchawce rozlega się jakiś trzask i okrzyk bólu, po czym chłopak pyta:

— Mam coś przekazać?

— Powiedz mu, że dzwoniła Brittany. Podaję swój numer...

18. Alex

Stoję w magazynie, w którym spotyka się co wieczór Latynoska Krew. Wypaliłem właśnie drugiego albo trzeciego papierosa — przestałem liczyć.

— Walnij sobie piwko i nie rób takiej zbolalej miny — mówi Paco, rzucając mi coronę. Opowiedziałem mu, że Brittany wystawiła mnie dziś rano, a on tylko pokręcił głową, jakbym powinien wiedzieć, że nie należy zadawać się z dziewczyną z północy.

Łapię puszkę jedną ręką, ale zaraz potem mu ją odrzucam.

— Nie, dzięki.

— *Que tienes, ese?* Dla ciebie to niewystarczająco dobre, co? — To Javier, chyba najgłupszy członek Latynoskiej Krwi. *El buey* hamuje się w picciu mniej więcej tak samo jak w zażywaniu narkotyków, czyli niespecjalnie.

Nic nie mówię, tylko patrzę na niego wyzywająco.

— Stary, przecież żartowałem — bełkocze pijany Javier.

Nikt nie chce ze mną zadzierać. W pierwszym roku przynależności do Latynoskiej Krwi podczas walki z wrogim gangiem pokazałem, na co mnie stać.

Jako dziecko chciałem ratować świat... a przynajmniej swoją rodzinę. Nigdy nie wstąpię do gangu, mówiłem sobie, gdy byłem już na to wystarczająco duży. Będę bronić *mi familia* własnymi rękami. Na południu Fairfield człowiek albo należy do gangu, albo jest jego wrogiem. Wtedy miałem jeszcze marzenia. Wydawało mi się, że wcale nie muszę należeć do gangu, żeby zapewnić bezpieczeństwo swojej rodzinie. Ale wszystkie te marzenia, a wraz z nimi moja przyszłość, umarły tego dnia, w którym dwadzieścia metrów od moich sześcioletnich oczu ktoś zastrzelił mojego ojca.

Stałem nad jego ciałem i widziałem tylko czerwoną plamę powiększającą się na jego koszuli. Przypominała środek tarczy, tylko że cel coraz bardziej się powiększał. Potem ojciec krzyknął głucho i było po wszystkim.

Nie żył.

Nie przytulilem się do niego ani go nie dotknąłem. Za bardzo się bałem. W ciągu następnych dni w ogóle się nie odzywałem. Nawet gdy chciała mnie przesłuchać policja, nie byłem w stanie się odezwać. Mówili wtedy, że doznałem szoku i mój mózg nie umie sobie poradzić z tym, co się stało. Mieli rację. Nie pamiętam nawet, jak wyglądał facet, który go zastrzelił. Nigdy nie mogłem pomścić śmierci ojca, choć co noc odtwarzam ją w pamięci, starając się poskładać wszystko do kupy. Gdybym tylko sobie przypomniiał, drań by mi zapłacił.

Dziś jednak mam wyjątkowo dobrą pamięć. To, że Brittany mnie wystawiła, pogardliwe spojrzenie jej matki... rzeczy, o których wolałbym zapomnieć, na dobre wryły mi się w pamięć.

Paco opróżnia jednym haustem połowę puszkę, nie przejmując się, że piwo cieknie mu po brodzie na koszulę. Podczas gdy Javier zajęty jest rozmową z innymi, Paco mówi:

— Carmen naprawdę dała ci popalić, co?

— A niby dlaczego?

— Nie ufasz dziewczynom. Na przykład ta cała Brittany Ellis...

Klnę pod nosem.

— Paco, po zastanowieniu daj mi jednak tę coronę. — Łapię piwo, wypiam je do dna i rozgniatam pustą puszkę o ścianę.

— Być może nie chcesz tego słuchać, Alex. Ale posłuchasz bez względu na to, czy jesteś pijany, czy nie. Twoja wyszczekana, całuśna, seksowna była dziewczyna Carmen wbiła ci nóż w plecy. Więc ty robisz zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i odgrywasz się na Brittany.

Słucham niechętnie Paco i biorę kolejne piwo.

— Nazywasz moją parę z chemii zwrotem o sto osiemdziesiąt stopni?

— Tak. Ale stary, to się dla ciebie źle skończy, bo tak naprawdę ta dziewczyna ci się podoba. Przyznaj.

Nie chcę tego przyznawać.

— Muszę ją tylko zaliczyć, żeby wygrać zakład.

Paco zaczyna się śmiać tak bardzo, że traci równowagę i ląduje na podłodze. Wskazuje na

mnie ręką, w której cały czas trzyma piwo.

— Ty, mój drogi przyjacielu, tak świetnie potrafisz okłamywać samego siebie, że zaczynasz wręcz wierzyć w brednie, które wygadujesz. Te dwie dziewczyny są zupełnie różne.

Sięgam po następne piwo. Otwieram puszkę, zastanawiając się przy tym, co różni Carmen i Brittany. Carmen ma seksowne, ciemne, tajemnicze oczy. Brittany ma pozornie niewinne, jasnobłękitne, przez które widać ją niemal jak na dłoni. Czy pozostaną takie same, gdy będziemy się kochać?

Cholera. Kochać się? Co mnie, do diabła, opętało, że łączę Brittany i miłość w jednym zdaniu? Chyba naprawdę mi odbija.

Przez kolejne pół godziny wlewam w siebie tyle piwa, ile tylko jestem w stanie. Poprawia mi się na tyle, że nie myślę już... o niczym.

Z otępienia wyrywa mnie znajomy głos.

— Chcesz pojechać na imprezkę na plażę Danwood? — pyta dziewczyna.

Patrzę w czekoladowe oczy. Chociaż nie myślę jasno i kręci mi się w głowie, jestem na tyle świadomy, żeby wiedzieć, że czekoladowy to przeciwieństwo niebieskiego. Nie chcę niebieskiego. Niebieski dezorientuje. Czekoladowy jest bezpośredni, prostszy w obsłudze.

Coś jest nie tak, ale nie jestem w stanie stwierdzić co. A kiedy usta Czekoladowego dotykają moich, nie obchodzi mnie już nic poza tym, żeby wymazać Niebieski z pamięci. Mimo że pamiętam, że Czekoladowy gorzko smakuje.

— *Si* — mówię, odrywając od niej usta. — Chodźmy się zabawić. *Vamos a gozar!*

Godzinę później stoję po pas w wodzie. Nagle marzę o tym, żeby być piratem i żeglować po bezkresnych morzach. Oczywiście z tyłu zamrozonego umysłu wiem, że patrzę na jezioro Michigan, a nie na ocean. Ale teraz nie myślę jasno, a bycie piratem wydaje mi się cholernie dobrym rozwiązaniem. Żadnej rodziny, żadnych zmartwień, żadnej blondynki z wściekłością w niebieskich oczach.

W pasie obejmują mnie jak macki czyjeś ręce.

— O czym myślisz, *novio*?

— Żeby zostać piratem — mruczę do ośmiornicy, która właśnie nazwała mnie swoim chłopakiem.

Przysawki ośmiornicy całują mnie w plecy i przesuwiają się w stronę mojej twarzy. Nie są straszne, raczej przyjemne. Znam tę ośmiornicę i te macki.

— Ty zostaniesz piratem, a ja syreną. Możesz mnie uratować.

Ale to raczej ja potrzebuję ratunku, bo mam wrażenie, że ośmiornica zaraz zacałuje mnie na śmierć.

— Carmen — mówię do ciemnookiej ośmiornicy zamienionej w seksowną syrenę, nagle świadomy, że jestem pi any, goły i po pas w jeziorze Michigan.

— *Ćśś*, nic nie mówi, tylko się baw.

Carmen zna mnie wystarczająco dobrze i potrafi sprawić, żebym zapomniał o prawdziwym życiu i skupił się zamiast tego na fantazji. Jej ręce i ciało owiają się wokół mnie. W wodzie wydaje się lekka jak piórko. Moje ręce wędrują w znajome miejsca, a ciało wyczuwa znajomy teren, ale fantazja nie nadchodzi. A kiedy odwracam głowę w stronę brzegu, okrzyki rozbawionych przyjaciół przypominają mi, że mamy widownię. Moja ośmiornico-syrena uwielbia widownię.

W przeciwieństwie do mnie.

Łapię ośmiornicę za rękę i ciągnę ją w stronę brzegu.

Ignorując docinki kumpli, mówię syrenie, żeby się ubierała i sam też wkładam dzinsy. Gdy jesteśmy już ubrani, biorę ją znów za rękę i znajduję gdzieś wolne miejsce.

Opieram się o dużą skałę i prostuję nogi. Moja była dziewczyna siada mi na kolanach, jakbyśmy nigdy ze sobą nie zerwali i jakby nigdy mnie nie zdradzała. Czuję, że dałem się złapać w potrzask. Że wpadłem w pułapkę.

Carmen zaciąga się czymś mocniejszym niż papieros i podaje mi. Biorę do ręki małego jointa.

— Nie jest chrzczony, co? — pytam. Jestem nawalony, ale nie potrzeba mi dodatkowych

atrakcji poza marihuaną i piwem. Chcę się znieczulić, a nie zabić.

Carmen przykłada mi jointa do ust.

— To tylko złoto Acapulco, *novio*.

Może na dobre wymaże mi to pamięć i pozwoli zapomnieć o strzelaninach, byłych dziewczynach i zakładach o to, że prześpię się z superlaską, która uważa mnie za największego drania na świecie.

Biorę jointa i zaciągam się.

Dłonie mojej syreny gładzą mnie po piersi.

— Mogę cię uszczęśliwić, Alex — szepcze z tak bliska, że czuję w jej oddechu zapach alkoholu i *moty*. A może to mój oddech, sam już nie wiem. — Daj mi jeszcze jedną szansę.

Połączenie marihuany i alkoholu mąci mi w głowie. A kiedy przypominam sobie, jak Brittany i Colin obejmowali się wczoraj w szkole, przyciągam Carmen do siebie.

Nie potrzebna mi takiej dziewczyny jak Brittany.

Potrzebna mi napalona i ostra Carmen, moja zakłamana mała syrenka.

19. Brittany

Namówiłam Sierrę, Douga, Colina, Shane'a i Darlene, żebyśmy wybrali się dziś do Mystique — klubu, o którym mówiła mi Megan. Jest na Highland Grove nad jeziorem. Colin nie lubi tańczyć, więc tańczyłam z resztą paczki, a nawet z jednym chłopakiem, który nazywał się Troy i rewelacyjnie tańczył. Chyba nawet podłapałam kilka kroków, które możemy wykorzystać w naszym układzie.

Teraz jesteśmy u Sierry i idziemy na prywatną plażę za jej domem. Mama wie, że dziś u niej nocuję, więc nie muszę się meldować w domu. Rozkładamy ze Sierrą koce na piasku, a Darlene wlecze się za nami z chłopakami, którzy wypakowują z samochodu Colina zapasy piwa i butelki wina.

— W zeszły weekend spałam z Dougiem — wypala Sierra.

— Serio?

— Tak. Wiem, że chciałam zaczekać, aż pójdziemy na studia, ale samo tak jakoś wyszło. Jego rodzice wyjechali, pojechaliśmy do niego, no i po prostu to zrobiliśmy.

— O kurczę. I jak było?

— Nie wiem. Szczerze mówiąc trochę dziwnie. Ale Doug był później strasznie kochany i ciągle się dopytywał, czy wszystko w porządku. A w nocy przyszedł do mnie do domu i przyniósł mi trzy tuziny czerwonych róż. Musiałam skłamać rodzicom i powiedzieć, że to na naszą rocznicę. Nie mogłam przecież powiedzieć, że to prezent z okazji utraty dziewictwa. A ty i Colin?

— Colin chce uprawiać seks.

— Wszyscy chłopacy powyżej czternastego roku życia chcą uprawiać seks — mówi Sierra.
— Taka ich rola.

— Ale ja... nie chcę. Przynajmniej na razie.

— W takim razie twoją rolą jest odmawiać — stwierdza, jakby to było takie proste. Sierra nie jest już dziewicą, powiedziała tak. Czemu ja też nie mogę powiedzieć tak?

— Skąd będę wiedziała, że już czas?

— Na pewno nie będziesz wtedy mnie pytać o zdanie. Wydaje mi się, że jak będziesz na sto procent gotowa, będziesz chciała to zrobić, bez wahania i bez wątpliwości. Wiemy, że oni chcą uprawiać seks. Od ciebie zależy, czy do tego dojdzie. Albo nie dojdzie. Słuchaj, pierwszy raz nie był ani przyjemny, ani łatwy. Był nieporadny i przez większość czasu głupio się czułam. Seks jest piękny i wyjątkowy, bo pozwalasz sobie na błędy i odsłaniasz się przed osobą, którą kochasz.

Czy dlatego nie chcę tego zrobić z Colinem? Może wcale go nie kocham aż tak bardzo, jak myślałam. Czy w ogóle potrafię kochać kogoś tak, żeby całkiem się przed nim odsłonić? Naprawdę nie wiem.

— Tyler zerwał dziś z Darlene — zdradza mi szeptem Sierra. — Zaczął chodzić z dziewczyną z akademika.

Wcześniej nie było mi żal Darlene, ale teraz jest. Zwłaszcza że ona tak bardzo potrzebuje

męskiego zainteresowania. Dodaje jej to pewności siebie. Nic dziwnego, że cały wieczór klei się do Shane'a.

Patrzę, jak razem z Darlene pojawia się reszta towarzystwa, i rozkładam koce. Darlene łapie Shane'a za koszulę i odciąga go na bok.

— Chodźmy się trochę poprzytulać — mówi mu. Shane'owi, z tymi jego brązowymi loczkami, nie trzeba tego dwa razy powtarzać.

Odciągając ją od niego, nachylam się i szepczę tak cicho, żeby nikt inny nie usłyszał.

— Zostaw Shane'a w spokoju.

— Czemu?

— Bo ci się nie podoba. Nie wykorzystuj go. I nie pozwól, żeby on wykorzystał ciebie.

Darlene odpycha mnie.

— Ty naprawdę masz jakiś zaburzony obraz rzeczywistości, Brit. A może chcesz tylko wytykać innym niedoskonałości, żebyś sama mogła zostać Królową Doskonałości.

To nie fair. Wcale nie chcę wytykać jej wad, ale jeśli jako jej przyjaciółka widzę, że sama sobie szkodzi, to czy nie powinnam jej powstrzymać?

Może nie. Przyjaźnimy się, ale nie bardzo blisko. Jedyna w miarę bliska mi osoba to Sierra. Jak mogę pouczać Darlene, skoro ona nie może odplacić się mi tym samym?

Siadamy ze Sierrą, Dougiem i Colinem na kocach i przy ognisku, które rozpalamy przy użyciu patyków i kawałków drewna, rozmawiamy o ostatnim meczu futbolowym.

Śmiejemy się, przypominając sobie stracone piłki, i naśladujemy trenera, który krzyczał na zawodników z linii bocznej. Gdy krzyczy, robi się cały czerwony na twarzy, a gdy naprawdę się zdenerwuje, zaczyna bryzgać śliną. Zawodnicy odsuwają się, żeby ich nie opluł. Doug bosko go naśladuje.

Dobrze mi tak siedzieć z przyjaciółmi i Colinem i na chwilę zapominam o moim partnerze z chemii, który w ostatnim czasie dość mocno zaprzętał moje myśli.

Po jakimś czasie Sierra i Doug idą się przejść, a ja opieram się o Colina przed ogniskiem, które rzuca wokół nas na piasku jasną poświatę. Mimo moich rad Darlene i Shane zniknęli i jeszcze nie wrócili.

Biorę kupioną przez chłopaków butelkę chardonnay. Faceci pili piwo, a dziewczyny wino, bo Sierra nie cierpi smaku piwa. Przystawiam butelkę do ust i dopijam do końca. Szumi mi w głowie, ale musiałabym pewnie wypić sama całą butelkę, żeby się całkiem wyluzować.

— Tęskniłeś za mną podczas wakacji? — pytam, przytulając się do Colina, który gładzi mnie po włosach. Pewnie jestem strasznie rozczochrana. Szkoda, że nie jestem na tyle pijana, żeby się tym nie przejmować.

Colin bierze moją rękę i kładzie ją sobie w kroczu. Wypuszcza powoli powietrze i jęczy cicho.

— Tak — szepcze mi w kark. — Bardzo.

Zabieram rękę, a on obejmuje mnie od przodu. Ścisną mi piersi, jakby to były balony z wodą. Dotyk Colina nigdy wcześniej mi nie przeszkadzał, ale teraz jego wędrujące po moim ciele ręce denerwują mnie i trochę przerażają. Wyplątuję się z jego objęć.

— Co jest, Brit?

— Nie wiem. — Naprawdę nie wiem. Od początku roku szkolnego między mną i Colinem wszystko wydaje się wymuszone. Poza tym nie mogę przestać myśleć o Aleksie, co strasznie mnie denerwuje. Wyciągam rękę i biorę sobie piwo. — Mam wrażenie, że to jakieś takie na siłę — otwieram puszkę i upijam łyk. — Nie możemy po prostu posiedzieć bez obściskiwania się?

Colin wypuszcza powietrze z płuc w długi, dramatyczny sposób.

— Brit, ale ja chcę to zrobić.

Próbuję wypić duszkiem całe piwo, ale w końcu krztuszę się i część wypluвам.

— Teraz? — W miejscu, gdzie mogą nas zobaczyć nasi przyjaciele, jeśli tylko się odwrócą?

— A czemu nie? Zwlekaliśmy wystarczająco długo.

— No nie wiem, Colin — mówię przerażona tą rozmową, choć wiedziałam, że jest nieunikniona. — Chyba... chyba myślałam, że to stanie się bardziej naturalnie.

— A czy można to zrobić bardziej naturalnie niż na powietrzu, na plaży?

— A co z prezerwatywą?

— Wyjdę wcześniej.

To nie jest ani trochę romantyczne. Przez cały czas będę się bała ciąży. Nie do końca tak wyobrażam sobie swój pierwszy raz.

— Miłość fizyczna to dla mnie coś poważnego.

— Dla mnie też. Dlatego zrobmy to wreszcie.

— Mam wrażenie, że zmieniłeś się podczas wakacji.

— Może tak — mówi obronnym tonem Colin. — Może uświadomiłem sobie, że nasz związek musi pójść dalej. Jezu, Brit, kto słyszał o czwartoklasistce, która jest ciągle cholerną dziewczicą? Wszyscy myślą, że już to robiliśmy, więc po prostu to zrobmy. Cholera, nawet całemu temu Fuentesowi pozwalasz myśleć, że może cię przelecieć.

Serce zaczyna mi walić.

— Myślisz, że wołałabym się przespać z Aleksem niż z tobą? — pytam ze łzami w oczach. Nie wiem, czy to przez alkohol reaguję tak emocjonalnie, czy może trafił w sedno. Bo nie mogę przestać myśleć o moim partnerze z chemii. Nienawidzę siebie za to i nienawidzę Colina za to, że to zauważył. — A co z Darlene? — odgryzam się. Rozglądam się, żeby się upewnić, że nie ma jej w pobliżu. — Na chemii gruchacie jak dwa gołąbki.

— Odczep się, Brit. Niektóre dziewczyny zwracają na mnie na chemii uwagę. Najwyraźniej ty nie, bo jesteś zbyt zajęta kłótniami z Fuentesem. Wszyscy wiedzą, że to taka gra wstępna.

— Jesteś niesprawiedliwy, Colin.

— Co jest? — pyta Sierra, wychodząc z Dougiem zza dużego kamienia.

— Nic. — Wstaję z sandałami w dłoni. — Idę do domu.

Sierra bierze torebkę.

— Idę z tobą.

— Nie. — W końcu kręci mi się w głowie. Czuję się tak, jakbym wyszła z własnego ciała i chcę tego doświadczyć w samotności. — Nikogo nie chcę i nikogo nie potrzebuję. Sama się przejdę.

— Jest pijana — stwierdza Doug, zerkając na pustą butelkę i puszkę po piwie.

— Nie jestem. — Biorę sobie jeszcze jedno piwo i otwieram je, zaczynając iść wzdłuż plaży. Sama. W pojedynkę. Tak jak powinno być.

— Nie chcę, żebyś szła sama — mówi Sierra.

— Ale ja chcę zostać teraz sama. Muszę sobie poukładać w głowie.

— Brit, wracaj! — woła Colin, ale się nie podnosi.

Olewam go.

— Tylko nie wychodź za czwarty pomost — ostrzega Sierra. — Tam nie jest bezpiecznie.

Bezpiecznie srecznie. Nawet jeśli mi się coś stanie, to co? Colin ma to gdzieś. Moi rodzice, swoją drogą, też.

Zamykam oczy i czuję piasek między palcami. Wciągam zapach świeżej, chłodnej bryzy wiejącej od jeziora i wypijam więcej piwa. Zapominam o wszystkim poza piaskiem i piwem i idę dalej, zatrzymując się tylko po to, by spojrzeć na ciemną taflę wody, w której księżyc odbija się tak, jakby przecinał ją na pół.

Mijam dwa pomosty. A może trzy. W każdym razie do domu nie mam daleko. Niecałe półtora kilometra. Jak dojdę do następnego wyjścia na plażę, wyjdę na ulicę i pójde prosto do domu. Nie raz już tędy szłam.

Ale tak dobrze mi się idzie po piasku, jak po miękkich poduszkach wypełnionych kuleczkami, w które człowiek tak fajnie się zapada. Poza tym słyszę przed sobą muzykę. Uwielbiam muzykę. Zamykam oczy i zaczynam poruszać się w rytm nieznanej piosenki.

Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak daleko zaszłam, ale zamieram na dźwięk śmiechów i rozmów po hiszpańsku. Towarzystwo w czerwono-czarnych bandanach mówi mi, że minęłam czwarty pomost.

— Proszę, proszę, Brittany Ellis. Najseksowniejsza pomponiara z liceum Fairfield —

krzyczy jakiś chłopak. — Chodź do nas, *mamacita*. Zatańcz ze mną.

Wpatruję się rozpaczliwie w tłum, szukając jakiejś znajomej albo przyjaznej twarzy. Alex. Jest tu. Na jego kolanach, przodem do niego, siedzi Carmen Sanchez.

Otrzeźwiający widok.

Chłopak, który chciał ze mną tańczyć, idzie w moją stronę.

— Nie wiesz, że ta część plaży należy tylko do *Mexicanos*? — pyta, podchodząc coraz bliżej. — A może naszła cię ochota na ciemne mięsko? Wiesz, co mówią, kotuś: ciemne mięso jest najbardziej soczyste.

— Daj mi spokój. — Trochę bełkoczę.

— Uważasz, że jesteś dla mnie za dobra? — Idzie w moją stronę i patrzy na mnie z wściekłością. Muzyka cichnie.

Zataczam się do tyłu. Nie jestem na tyle pijana, żeby nie zdawać sobie sprawy, że zrobiło się niebezpiecznie.

— Zostaw ją, Javier. — Głos Aleksa jest niski, to rozkaz.

Alex pieści ramię Carmen, muskając je niemal ustami.

Zataczam się. To jakiś koszmar i muszę się z niego wydostać, i to szybko.

Zaczynam uciekać, a w uszach dźwięczy mi śmiech członków gangu. Nie jestem w stanie biec wystarczająco szybko i czuję się jak we śnie, w którym stopy się poruszają, ale w ogóle nie posuwam się naprzód.

— Brittany, czekaj! — woła za mną czyjś głos.

Odwracam się i staję twarzą w twarz z chłopakiem, który mnie prześladowuje... na jawie i we śnie.

Alex.

Chłopak, którego nienawidzę.

Chłopak, o którym nie potrafię przestać myśleć bez względu na to, jak bardzo jestem pijana.

— Nie przejmuj się Javierem — uspokaja Alex. — Czasem go ponosi, bo za bardzo stara się być dupkiem. — Alex zaskakuje mnie, bo podchodzi bliżej i ociera mi łzę z policzka. — Nie płacz. Nie pozwoliłbym mu zrobić ci krzywdy.

Mam mu powiedzieć, że nie boję się, że ktoś zrobi mi krzywdę? Boję się utraty kontroli.

Choć nie odbiegłam daleko, to wystarczająco daleko od znajomych Aleksa. Nie widzą mnie ani nie słyszą.

— Czemu podoba ci się Carmen? — pytam, a świat nagle przechyla się i tracę równowagę. — Jest wredna.

Alex wyciąga ręce, żeby mnie podtrzymać, ale je odtrącam, więc chowa je do kieszeni.

— Czemu cię to w ogóle obchodzi? Wystawiłaś mnie, do cholery.

— Miałam sprawy do załatwienia.

— Takie jak mycie włosów i manikiur?

A może raczej garść włosów, którą wyrwała mi siostra, i opieprz od matki? Dźgam go palcem w pierś.

— Jesteś dupkiem.

— A ty zdziurą — odpowiada. — Zdziurą z powalającym uśmiechem i oczami, które mogą narobić facetowi niezły bajzel w głowie. — Krzywi się, jakby te słowa wyrwały mu się niechcący i chciałby je teraz cofnąć.

Spodziewałam się usłyszeć od niego wiele rzeczy, ale nie coś takiego. Zwłaszcza nie coś takiego. Zauważam, że ma przekrwione oczy.

— Jesteś na haju, Alex.

— No cóż, ty też nie wyglądasz zbyt trzeźwo. Może teraz jest odpowiednia pora, żebyś mnie pocałowała i spłaciła swój dług.

— Nie ma mowy.

— *Por que no?* Boisz się, że spodoba ci się tak bardzo, że zapomnisz o swoim chłopaku?

Pocałować Aleksa? Nigdy. Chociaż myślałam o tym. Dużo. Więcej niż powinnam. Jego usta są pełne i ponętne. A niech to, ma rację. Jestem pijana. I zdecydowanie nie czuję się najlepiej. Nie

jestem już zamroczona, raczej mam majaki, bo myślę o rzeczach, o których zdecydowanie nie powinnam myśleć. Na przykład teraz zastanawiam się, jak by smakowały jego usta.

— Dobra. Pocałuj mnie, Alex — decyduję się i podchodzę bliżej, nachylając się w jego stronę. — Będziemy kwita.

Alex kładzie mi dłonie na ramionach. No i już. Pocałuję go i dowiem się, jak to jest. Jest niebezpieczny i nabija się ze mnie. Ale jest seksowny, mroczny i przystojny. Czując go tak blisko siebie, drzę z podniecenia, a w głowie zaczyna mi wirować. Zahaczam palcem o jego pasek, żeby utrzymać równowagę. Czuję się tak, jakbyśmy stali na karuzeli.

— Zaraz zwymiotujesz — ostrzega Alex.

— Nie. Ja tylko... fajnie jest na karuzeli.

— Nie jesteśmy na karuzeli.

— Aha — mówię zdezorientowana. Puszczam jego pasek i wbijam wzrok we własne stopy. Wyglądają tak, jakby unosiły się nad ziemią i płynęły ponad piaskiem. — Kręci mi się tylko w głowie. Wszystko w porządku.

— Jak cholera.

— Gdybyś przestał się ruszać, poczułabym się dużo lepiej.

— Nie ruszam się. I przykro mi to mówić, *mamacita*, ale zaraz się porzygasz.

Ma rację. Żołądek podjeżdża mi do gardła. Alex przytrzymuje mnie jedną ręką, a drugą odgarnia mi włosy z twarzy, ja natomiast zginam się wpół i wymiotuję.

W żołądku wszystko mi się kotłuje. Znów wymiotuję. Krztuszę się i bulgoczę obrzydliwie, ale jestem zbyt pijana, żeby się tym przejmować.

— Patrz — zauważam pomiędzy kolejnymi napadami mdłości. — Masz na butach moją kolację.

20. Alex

Patrzę na breję na butach.

— Przydarzały mi się już gorsze rzeczy.

Brittany prostuje się, więc puszczam jej włosy. Po prostu nie mogłem pozwolić im opaść jej na twarz, gdy wymiotowała. Staram się nie myśleć o tym, że przesuwają się mi między palcami jak jedwabne niteczki.

Przychodzi mi do głowy, że jestem piratem i porywam ją na swój statek. Ale nie jestem piratem, a ona nie jest uwięzioną księżniczką. Jesteśmy dwójką nienawidzących się nastolatków. No dobra, wcale jej nie nienawidzę.

Zdejmuję z głowy bandanę i podaję jej.

— Masz, wytrzymaj sobie buzię.

Bierze ode mnie chustę i przykłada ją do kącików ust, jakby to była serwetka w drogiej restauracji, ja natomiast idę umyć buty w zimnej wodzie jeziora Michigan.

Nie wiem, co mówić i robić. Jestem sam... z bardzo pijaną Brittany Ellis. Nie przywykłem do bycia sam na sam z nawalonymi białymi laskami, zwłaszcza takimi, które mi się podobają. Albo mogę ją wykorzystać i wygrać zakład, co w jej stanie miałbym jak w banku, albo.

— Poproszę kogoś, żeby odwiózł cię do domu — stwierdzam, zanim mój popieprzony mózg wymyśli milion sposobów, na jakie mógłbym ją dziś wykorzystać. Jestem narąbany i upalony. Podczas seksu z tą dziewczyną chcę być w pełni władz umysłowych.

Brittany wydyma usta jak dziecko.

— Nie. Nie chcę jechać do domu. Wszędzie, byle nie do domu.

O rany.

To mam problem. *Tengo un problema grande*.

Brittany podnosi głowę i patrzy na mnie, a jej oczy w świetle księżyca lśnią jak drogocenne klejnoty.

— Colin uważa, że na ciebie lecę, wiesz? Mówi, że nasze kłótnie to taka gra wstępna.

— A tak jest? — pytam i wstrzymuję oddech w oczekiwaniu na odpowiedź. Proszę, proszę, żebym tylko rano ją pamiętał.

Brittany unosi palec w górę i mówi:

— Momencik.

Potem klęka na ziemi i znów wstrząsają nią torsje. Kiedy jest już po wszystkim, jest za słaba, żeby iść. Przypomina szmacianą lalkę z wyprzedazy garażowej. Niosę ją do wielkiego ogniska, które rozpalili znajomi, bo nie wiem, co innego zrobić.

Brittany obejmuje mnie rękami wokół szyi, a ja domyślam się, że potrzebuje w życiu bohatera. Colin na pewno nim nie jest. Ja też nie. Podobno w pierwszej klasie, przed Colinem, chodziła z trzecioklasistą. Dziewczyna musi być doświadczona.

Jakim więc cudem wygląda teraz tak niewinnie? Seksownie jak cholera, ale niewinnie.

Wszyscy gapią się na mnie, gdy podchodzę do ogniska. Widzą w moich ramionach bezwładną, bogatą białą dziewczynę i od razu myślą o najgorszym. Nie wspominałem, że podczas naszej przechadzki moja koleżanka z ławki postanowiła zasnąć mi na rękach.

— Co jej zrobiłeś? — pyta Paco.

Lucky wstaje, maksymalnie wkurzony.

— Cholera, Alex. Przegrałem moje RX-7?

— Nie, debilu. Nie posuwam nieprzytomnych lasek.

Kątem oka widzę wściekłą Carmen. Cholera. Puściłem ją dziś kantem po królewsku i zasługuję na jej gniew.

Kiwam na Isabel, żeby podeszła.

— Isa, potrzebna mi twoja pomoc.

Isa zerka na Brittany.

— Co mam z nią niby zrobić?

— Pomóż mi ją stąd zabrać. Jestem totalnie nawalony i nie mogę prowadzić.

Isa kręci głową.

— Masz świadomość, że ona ma chłopaka? I że jest bogata. I biała. I że nosi markowe ciuchy, na które ciebie nigdy nie będzie stać.

Tak, wiem to. I mam już serdecznie dość, że wszyscy mi ciągle o tym przypominają.

— Masz mi pomóc, Isa. A nie prawić kazania. Od pieprzenia bzdur mam już Paco.

Isa unosi obie ręce.

— Ja tylko stwierdzam fakty. Nie jesteś głupi, Alex. Dodaj dwa do dwóch. Bez względu na to, jak bardzo ona ci się podoba, nie pasuje do twojego życia. Trójkąt nie wpasuje się w kwadrat. Teraz już mogę się zamknąć.

— *Gracias*. — Nie mówię jej, że jeśli kwadrat jest wystarczająco duży, mały trójkąt bez problemu się w nim zmieści. Trzeba tylko dokonać kilku modyfikacji. Jestem jednak teraz zbyt pijany i upalony, żeby jej to wyjaśniać.

— Stoję po drugiej stronie ulicy — informuje Isa. Wzdycha przeciągle, poirytowana. — Chodź.

Idę za nią do samochodu, licząc, że będziemy szli w milczeniu. Akurat.

— W zeszłym roku też z nią miałam zajęcia — mówi Isa.

— Aha.

Wzrusza ramionami.

— Fajna dziewczyna. Ale za mocno się maluje.

— Większość lasek jej nienawidzi.

— Większość lasek chciałaby wyglądać tak jak ona. I chciałyby mieć jej pieniądze i chłopaka.

Przystaję i przyglądam się jej z obrzydzeniem na twarzy.

— Oślego Łba?

— Daj spokój, Alex. Colin Adams to przystojniak, a do tego kapitan drużyny futbolowej i bohater Fairfield. Ty jesteś jak Danny Zuko z *Grease*. Palisz, należysz do gangu i umawiasz się z najseksowniejszymi niegrzecznymi dziewczynkami w okolicy. Brittany jest jak Sandy... jak Sandy, która nigdy nie pojawi się w szkole w czarnej skórce z petem w ustach. Daj sobie spokój z takimi fantazjami.

Układam moją fantazję na tylnym siedzeniu samochodu Isy i siadam obok niej. Przysuwa się do mnie i wykorzystuje zamiast poduszki. Jej jasne loki rozsypują się mi w okolicy krocza. Zamykam na chwilę oczy, usiłując odsunąć od siebie tę wizję. Nie wiem, co zrobić z rękami. Prawą kładę na oparciu przy drzwiach. Lewą zawieszam nad Brittany.

Waham się chwilę. Kogo ja oszukuję? Nie jestem niewiniątkiem. Mam osiemnaście lat i poradzę sobie z ponętą, nieprzytomną dziewczyną leżącą mi na kolanach. Czemu boję się położyć rękę tam, gdzie będzie mi najwygodniej, dokładnie na jej talii?

Wstrzymuję oddech i opieram rękę. Brittany wtula się mocniej, a ja czuję się dziwnie i kręci mi się w głowie. Albo to skutki upalenia, albo... nie chcę myśleć o tym drugim „albo”. Jej długie włosy opadają mi na uda. Odruchowo wsuwam dłonie w jej włosy i patrzę, jak jedwabiste kosmyki przesuwały się mi powoli między palcami. Nagle nieruchomieję. Brittany ma z tyłu głowy duży, zaczerwieniony łysy placek. Jakby miała badanie na obecność narkotyków, czy coś takiego, i musieli jej wyrwać dużą garść włosów na próbkę.

Isa cofa samochód, ale w tym samym momencie zatrzymuje ją Paco i wskakuje na siedzenie obok. Szybko zasłaniam łysy placek na głowie Brittany, żeby nikt nie zobaczył jej niedoskonałości. Nie chcę nawet analizować przyczyn takiego zachowania, bo zmusiłoby mnie to do zbyt intensywnego myślenia. Intensywne myślenie w moim stanie byłoby naprawdę bolesne.

— Hejka. Stwierdziłem, że przejadę się z wami — mówi Paco.

Odwraca się i widzi moją rękę obejmującą Brittany. Cmoka i kręci głową.

— Zamknij się — ostrzegam.

— Nic nie mówiłem.

Dzwoni komórka. Czuję jej wibracje w kieszeni Brittany.

— To jej.

— Odbierz — poleca Isa.

Już się czuję jak porywacz. A teraz mam jeszcze odbierać jej telefon? Cholera. Okręcam ją trochę i szukam wybrzuszenia w tylnej kieszeni jej spodni.

— *Contesta* — syczy Isa, gdy usiłuję wydobyć telefon.

— Ja odbiorę — proponuje Paco i wychyla się, sięgając w stronę tyłka Brittany.

Odtrącam jego rękę.

— Zabieraj od niej łapy.

— Wyluzuj, stary. Chciałem tylko pomóc.

Nic nie mówię, tylko patrzę na niego z wściekłością.

Wsuwam palce do tylnej kieszeni jej dżinsów i staram się nie myśleć o tym, jakby to było, gdyby nie miała na sobie spodni. Wysuwam powoli telefon, który nie przestaje wibrować. Gdy udaje mi się już go wydobyć, sprawdzam, kto dzwoni.

— To jej przyjaciółka, Sierra.

— Odbierz — mówi Paco.

— *Estas loco, giiiey?* Zwariowałeś? Nie będę z nimi gadał.

— To po co wyciągałeś telefon?

Dobre pytanie. Pytanie, na które nie umiem odpowiedzieć.

Isa kręci głową.

— Takie są właśnie skutki zadawania się z kwadratem.

— Musimy ją odwieźć do domu — stwierdza Paco. — Nie możesz jej sobie zatrzymać.

Wiem o tym. Ale nie jestem jeszcze gotowy się z nią rozstać.

— Zawieź ją do siebie, Isa.

21. Brittany

Mam okropny sen, że tysiące malutkich gnomów siedzi w mojej głowie i stuka mi w czaszkę młotkami. Otwieram oczy i krzywię się, bo razi mnie światło. Gnomy nie znikają, mimo że się obudziłam.

— Masz kaca — rzuca jakaś dziewczyna.

Mrużę oczy i widzę nad sobą Isabel. Znajdujemy się w jakimś małym pokoju z pastelowo

żółtymi ścianami. Dopasowane kolorystycznie żółte zasłony powiewają na wietrze wpadającym przez otwarte okno. To nie może być mój dom, bo my nigdy nie otwieramy okien. Zawsze chodzi klimatyzacja albo ogrzewanie.

Patrzę na nią spod przymrużonych powiek.

— Gdzie jestem?

— U mnie. Na twoim miejscu leżałabym spokojnie. Możesz znów zwymiotować, a moi rodzice się wściekną, jeśli zasyfisz dywan — ostrzega. — Na całe szczęście wyjechali i wrócą dopiero wieczorem.

— Skąd się tu wzięłam? — Ostatnie, co pamiętam, to że zaczęłam wracać na piechotę do domu...

— Urwał ci się film na plaży. Przywieźliśmy cię tu z Alekssem.

Na wspomnienie o Aleksie otwieram szeroko oczy. Przypominam sobie jak przez mgłę, że najpierw piłam, potem szłam po piasku i zobaczyłam Aleksa i Carmen. A potem Alex i ja...

Pocałowałam go? Wiem, że się nachyliłam, ale potem...

Zwymiotowałam. To akurat pamiętam dokładnie. Niewiele ma to wspólnego z idealnym wizerunkiem, który staram się pokazywać światu. Podnoszę się powoli do pozycji siedzącej, mając nadzieję, że niedługo przestanie mi się tak kręcić w głowie.

— Zrobiłam coś głupiego? — pytam.

Isa wzrusza ramionami.

— Nie jestem pewna. Alex nie pozwalał nikomu się do ciebie zbliżyć. Jeśli uznasz, że utrata przytomności w jego ramionach to głupota, to chyba ci się udało.

Chowam twarz w rękach.

— O nie, Isabel. Proszę, tylko nie mów nikomu w drużynie.

Isabel uśmiecha się.

— Nie bój się. Nie powiem nikomu, że Brittany Ellis też jest człowiekiem.

— Czemu jesteś dla mnie taka miła? No bo kiedy Carmen chciała mi rozkwasić nos, stanęłaś w mojej obronie. A teraz pozwoliłaś mi u siebie przenocować, mimo że wyraźnie dałaś mi do zrozumienia, że nie jesteśmy przyjaciółkami.

— Bo nie jesteśmy. A z Carmen od dawna się nie lubimy. Zrobiłabym wszystko, żeby ją tylko wkurzyć. Nie potrafi się pogodzić z tym, że nie jest już z Alekssem.

— Czemu zerwali?

— Sama go spytaj. Śpi na kanapie w salonie. Odleciał zaraz po tym, jak zaniósł cię do mojego łóżka. — O nie. Alex tu jest? W domu Isabel? — Lubi cię, wiesz? — mówi Isabel, oglądając sobie paznokcie, żeby nie patrzeć na mnie.

Czuję motyle w brzuchu.

— Nieprawda — sprzeciwiam się, choć tak naprawdę miałabym ochotę bardziej ją podpytać.

Isabel przewraca oczami.

— Daj spokój. Doskonale zdajesz sobie z tego sprawę, nawet jeśli nie chcesz się do tego przyznać.

— Jak na kogoś, kto twierdzi, że nigdy się nie zaprzyjaźnimy, mówisz mi zdecydowanie dużo.

— Muszę przyznać, że nawet bym się ucieszyła, gdybyś okazała się zdziwą, jaką zdaniem co niektórych jesteś.

— Czemu?

— Bo łatwo jest nienawidzić kogoś, kto ma wszystko.

Parskam krótkim, cynicznym śmiechem. Nie powiem jej prawdy: że moje życie kruszy się pod moimi stopami dokładnie tak samo jak wczoraj piasek.

— Muszę wracać do domu. Gdzie mój telefon? — pytam, klepiąc się po tylnej kieszeni. — I torebka?

— Chyba Alex je ma.

A więc nie wymknę się z domu niezauważona. Usiłuję przegnać gnomy z mojej głowy i

wychodzę niepewnym krokiem z sypialni, żeby poszukać Aleksa.

Nie jest to trudne, bo dom jest mniejszy niż domek przy basenie Sierry. Alex leży w dzinsach na starej kanapie. Tylko w dzinsach. Oczy ma otwarte, ale przekrwione i zażawione z niewyspania.

— Cześć — rzuca ciepło i przeciąga się.

O Boże. No to mam problem. Bo się gapię. Nie jestem w stanie przestać pożerać wzrokiem jego wyraźnie zarysowanych tricepsów, bicepsów i wszelkich innych „epsów”, które ma. Motyle w moim brzuchu mnożą się bez opamiętania, gdy moje oczy napotykaają jego wzrok.

— Cześć. — Przełykam głośno ślinę. — Chyba, eee, chyba powinnam ci podziękować, że mnie tu przywiozłeś, zamiast zostawić nieprzytomną na plaży.

Alex wpatruje się we mnie intensywnie.

— Wczoraj wieczorem zdałem sobie z czegoś sprawę. Wcale tak bardzo się od siebie nie różnimy. Grasz tak samo jak ja. Wykorzystujesz swoją urodę, ciało i inteligencję, żeby mieć wszystko pod kontrolą.

— Alex, mam kaca. Nie jestem w stanie logicznie myśleć, a ty zaczynasz psychologizować.

— Widzisz i znów grasz. Przestań przy mnie udawać, *mamacita*.

To wyzwanie.

Kpi sobie ze mnie? Mam nie udawać? Nie mogę. Bo zacznę płakać i całkiem się rozkleję, a wtedy wyrzucę być może z siebie całą prawdę: że buduję idealny wizerunek, bo mogę się za nim schować.

— Lepiej już pójdę do domu.

— Najpierw powinnaś chyba pójść do łazienki.

Zanim pytam czemu, zerkam na swoje odbicie w wiszącym na ścianie lustrze.

— O cholera! — krzyczę. Pod oczami zasechł mi czarny tusz, który nierównymi smugami spłynął mi też po policzkach.

Wyglądam jak trup. Wybiegam na korytarz do łazienki i gapię się na siebie w lustrze. Włosy mam jak strąki. Jeśli ohydna maskara na policzkach to mało, cała reszta mojej twarzy jest blada jak twarz ciotki Dolores bez makijażu. Mam tak zapuchnięte oczy, jakbym chciała zgromadzić zapasy wody na okres suszy.

Łagodnie mówiąc, nie wyglądam najlepiej. W myśl dowolnych standardów.

Moczę kawałek papieru toaletowego i szoruję nim sobie skórę pod oczami i na policzkach, póki nie znikają czarne smugi. No dobra, będę musiała użyć płynu do demakijażu, żeby w pełni je domyc. A mama ostrzegала, żeby nie trzeć skóry pod oczami, bo ją sobie rozciągnę i zrobią mi się przedwczesne zmarszczki. Ale rozpaczliwe okoliczności wymagają rozpaczliwych działań. Gdy smugi tuszu są już prawie niewidoczne, ochlapuję sobie zimną wodą worki pod oczami.

Mam świadomość, że to tylko rodzaj kontroli obrażeń. Mogę tylko obandażować niedoskonałości i mieć nadzieję, że nikt mnie nie zobaczy w tym stanie. Przeczesałam włosy palcami, z marnym skutkiem zresztą. Potem napuszam sobie trochę włosy z nadzieją, że będą dzięki temu wyglądać trochę lepiej niż w formie przyklepanych strąków.

Płuczę usta wodą i wcieram w zęby trochę pasty, chcąc przed dotarciem do domu choć trochę załagodzić skutki nocy pełnej rzygania i picia.

Przydałby się błyszczak...

Ale niestety go nie mam. Prostuję się i unoszę wysoko głowę, po czym wychodzę z łazienki i wracam do pokoju. Isabel idzie właśnie do swojego pokoju, a Alex podnosi się na mój widok.

— Gdzie mój telefon? — pytam. — I włóż, proszę, jakąś koszulę.

Schyla się i podnosi z ziemi moją komórkę.

— A co?

— Telefonu potrzebuję, żeby zadzwonić po taksówkę — mówię i wyjmuję mu go z rąk. — A koszulę masz włożyć, bo, eee...

— Bo nigdy nie widziałaś faceta bez koszuli?

— Ha, ha. Bardzo śmieszne. Uwierz, nie masz nic, czego już bym nie widziała.

— O zakład? — pyta i rozpina guzik przy dzinsach.

W tym samym momencie do pokoju wchodzi Isabel.

— Przyhamuj, Alex. Nie zdejmuj spodni, z łaski swojej.

Isabel patrzy na mnie, a ja unoszę w górę ręce.

— Nie patrz tak na mnie. Chciałam dzwonić po taksówkę, kiedy on...

Alex zapina spodnie, a Isabel kręci głową, znajduje swoją torebkę i wyjmuję z niej kluczki.

— Daj spokój z taksówką. Odwiozę cię.

— Ja ją odwiozę — wcina się Alex.

Isabel ma wyraźnie dosyć użerania się z nami i wygląda trochę jak pani Peterson na chemii.

— Kto ma cię zawieźć: ja czy Alex? — pyta.

Mam chłopaka. No dobra, przyznaję, że robi mi się gorąco za każdym razem, gdy Alex na mnie patrzy. Ale to normalne. Jesteśmy dwójką nastolatków, między którymi wyraźnie coś iskrzy. Ale póki nie pójda za tym żadne dalsze kroki, wszystko będzie okej.

Bo jeśli pójda, konsekwencje będą oplakane. Stracę Colina. Stracę przyjaciół. Stracę kontrolę nad całym moim życiem.

A przede wszystkim stracę tę resztkę miłości mamy, którą jeszcze do mnie czuje.

Jeśli nie będę robić wrażenia ideału, wczorajszy wybuch mamy okaże się z perspektywy czasu zwykłą pestką. Pokazywanie światu idealnej twarzy przekłada się bezpośrednio na stosunek mojej mamy do mnie. Jeśli ktokolwiek z jej znajomych z klubu zobaczy mnie z Alekssem, mama stanie się wyrzutkiem. A jeśli ona straci znajomych, ja stracę ją. Nie mogę sobie pozwolić na takie ryzyko. Jest na tyle poważne, że nie mogę powiększać go jeszcze bardziej.

— Ty mnie zawieź, Isabel — decyduję i patrzę na Aleksa.

Kręci tylko lekko głową, łapie za koszulę i kluczyki, po czym wybiega z domu bez słowa. Wskakuje na motor i odjeżdża z piskiem opon.

Idę w milczeniu za Isabel do jej samochodu.

— Alex nie jest dla ciebie tylko zwykłym kumplem, prawda? — pytam.

— Jest bardziej jak brat. Znamy się od dziecka.

Podaję jej mój adres. Mówi prawdę?

— Nie uważasz, że jest przystojny?

— Znam go od czasów, gdy jako czterolatek potrafił zapłakać się na śmierć, bo upadł mu na ziemię lód. Byłam przy nim, gdy... ustalmy po prostu, że wiele razem przeszliśmy.

— Wiele przeszliście? A powiesz mi coś więcej?

— Nie.

Czuję niemal, jak wyrasta między nami niewidzialny mur.

— Czyli nasza przyjaźń w tym miejscu się kończy?

Isabel patrzy na mnie kątem oka.

— Nasza przyjaźń dopiero się zaczęła, Brittany. Nie naciskaj.

Dojeżdżamy do mojego domu.

— Trzeci po prawej — informuję.

— Wiem. — Zatrzymuje samochód na ulicy przed domem, nie wjeżdżając na podjazd.

Patrzę na nią, a ona na mnie. Chciałaby, żebym zaprosiła ją do środka? Nie robię tego nawet w stosunku do bliskich przyjaciół.

— Dzięki za podwiezienie. I że pozwoliłaś mi się u siebie kimnąć.

Isabel uśmiecha się do mnie lekko.

— Żaden problem.

Naciskam klamkę.

— Między mną i Alekssem do niczego nie dojdzie. Nie dopuszczę do tego. Okej? — Nawet jeśli na jakimś głębokim poziomie już do czegoś doszło.

— To dobrze. Bo jeśli dojdzie, oboje dostaniecie po tyłku.

Gnomy znów zaczynają walić mi w głowę młotkami, więc nie jestem w stanie podejść do jej ostrzeżenia zbyt poważnie.

Mama z tatą siedzą przy kuchennym stole. W domu jest cicho. Zbyt cicho. Przed sobą mają jakieś papiery. Foldery czy coś w tym rodzaju. Na mój widok szybko się prostują, jak małe dzieci

przyłapano na psocie.

— Myślałam... myślałam, że je-jesteś jeszcze... u Sierry — mówi mama. Momentalnie robię się czujna. Mama nigdy się nie jąka. Poza tym nie ochrzaniła mnie za to, jak wyglądam. Coś jest nie tak.

— Byłam, ale potwornie rozboleła mnie głowa — wyjaśniam, podchodząc bliżej i wpatrując się w podejrzone foldery, które moi rodzice z takim zainteresowaniem przeglądają.

Dom dla Osób Specjalnej Troski Słoneczna Dolina.

— Co robicie?

— Omawiamy różne opcje — odpowiada tata.

— Opcje? Nie ustaliliśmy przypadkiem, że Shelley nie powinna trafić do żadnego ośrodka?

Mama odwraca się do mnie.

— Nie. Ty ustaliłaś. My cały czas rozważamy taką możliwość.

— Za rok idę na Northwestern, żeby mogła dalej mieszkać w domu i się nią zajmować.

— Za rok będziesz musiała skupić się na studiach, a nie na siostrze. Brittany, posłuchaj — odzywa się tata i wstaje. — Musimy rozważyć taką opcję. Po jej wczorajszym wybryku...

— Nie będę tego słuchać — nie daję mu skończyć. — Wykluczone. Nie pozwolę wam nigdzie oddać mojej siostry. — Zabieram foldery ze stołu. Shelley powinna być z rodziną, a nie w jakimś ośrodku, wśród obcych. Przedzieram foldery na pół, wyrzucam je do śmietnika i biegnę do swojego pokoju.

— Otwórz drzwi, Brit — mówi chwilę później mama i szarpie za klamkę.

Siedzę na brzegu łóżka i kręci mi się w głowie na myśl, że Shelley może zostać gdzieś oddana. Nie dopuszczę do tego. Na samą myśl o tym robi mi się niedobrze.

— Nawet nie przyuczyłaś Baghdy. Chyba cały czas chciałaś oddać Shelley.

— Nie gadaj bzdur — dochodzi mnie zza drzwi przytłumiony głos mamy. — W Kolorado budują nowy ośrodek. Otwórz drzwi, to porozmawiamy o tym jak dorośli ludzie.

Nie pozwolę na to. Zrobię wszystko, żeby moja siostra została w domu.

— Nie chcę o tym rozmawiać „jak dorośli ludzie”. Moi rodzice chcą bez mojej wiedzy odesłać moją siostrę do jakiegoś ośrodka i z bólu zaraz mi pęknie głowa. Daj mi spokój, dobrze?

Coś mi wystaje z kieszeni. Bandana Aleksa. Isabel nie jest moją przyjaciółką, a mimo to pomogła mi. Alex, chłopak, który zatroszczył się o mnie wczoraj bardziej niż mój własny facet, zachował się w stosunku do mnie jak bohater i kazał mi przestać udawać. Czy ja w ogóle wiem, jak to zrobić?

Przyciskam jego bandanę do piersi.

I pozwalam sobie na łzy.

22. Alex

Dzwoniła do mnie. Gdyby nie kawałek kartki, na której Luis nabazgrał jej imię i numer telefonu, nigdy bym nie uwierzył, że Brittany naprawdę wykręciła mój numer. Na niewiele się zdało maglowanie Luisa, bo dzieciak ma pamięć pchły i ledwie pamiętał, że w ogóle odbierał jakiś telefon. Jedyne, czego udało mi się dowiedzieć, to że prosiła, żeby oddzwonił.

Ale to było wczoraj po południu, zanim puściła mi pawia na buty i zanim straciła przytomność w moich ramionach.

Kiedy powiedziałem jej, żeby przestała udawać, dobrze widziałem przerażenie w jej oczach. Zastanawiam się, czego tak się boi. Przebicie się przez skorupę tego „ideału” to od dziś mój cel. Wiem, że za tymi jasnymi puklami i boskim ciałem kryje się coś więcej. Tajemnice, które prędzej by zabrała ze sobą do grobu, niż je wyjawiała, choć widać, że bardzo tego chce. O rany. Brittany jest jak zagadka, a ja potrafię teraz myśleć tylko o tym, żeby ją rozwikłać.

Nie ściemniałem, gdy mówiłem jej, że jesteśmy do siebie podobni. Więź, która nas łączy, nie znika, a wręcz staje się coraz silniejsza. Bo im więcej czasu z nią spędzam, tym bliżej niej chcę być.

Mam straszną ochotę zadzwonić do Brittany, byle tylko usłyszeć jej głos, nawet jeśli będzie pluła jadłem. Siedzę na kanapie w salonie, wyciągam telefon i wklepuję sobie jej numer.

— Do kogo dzwonisz? — pyta Paco, włączając bez pukania do mojego domu. Za nim wchodzi
Isa.

Zamykam klapkę telefonu.

— *Nadie*. — Do nikogo.

— W takim razie zbieraj się i choć pograć w nogę.

Gra w piłkę to zdecydowanie lepsze rozwiązanie niż siedzenie i rozmyślanie o Brittany i jej tajemnicach, mimo że wciąż czuję skutki wczorajszej imprezy. Idziemy do parku, gdzie już się rozgrzewa grupka chłopaków.

Mario, kumpel z klasy, którego brat został w zeszłym roku zabity w pościgu samochodowym, klepie mnie po plecach.

— Chcesz być bramkarzem, Alex?

— Nie. — Mam tak zwaną osobowość ofensywną. I w sporcie, i w życiu.

— A ty, Paco?

Paco zgadza się i zajmuje swoje miejsce, czyli siada przed linią bramkową. Mój leniwy przyjaciel jak zwykle nie wstaje, póki piłka nie znajdzie się po jego stronie boiska.

Większość zawodników mieszka w pobliżu. Razem dorastaliśmy... grywamy na tym boisku od dziecka i nawet w tym samym czasie wstąpiliśmy do Latynoskiej Krwi. Pamiętam, że zanim zostałem członkiem gangu, Paco opowiadał nam, że dzięki temu zyskuje się niemal drugą rodzinę... rodzinę, na którą można liczyć, nawet wtedy gdy zawodzi własna. Mówił, że gang to bezpieczeństwo i ochrona. Dla dziecka, które straciło ojca, wszystko to brzmiało jak bajka.

Z biegiem lat nauczyłem się nie widzieć tego, co złe. Przemocy, handlu narkotykami, strzelanin. Poza tym źli to nie tylko ci po drugiej stronie. Słyszałem o ludziach, którzy chcieli odejść z gangu, a potem znajdowano ich martwych lub tak zmasakrowanych przez własny gang, że pewnie śmierć byłaby lepsza.

Szczerze mówiąc, nie chcę tego widzieć, bo śmiertelnie mnie to przeraża. Powinienem być twardy i nie przejmować się tym, ale jest inaczej.

Rozstawiamy się na boisku. Wyobrażam sobie, że piłka jest jak los na loterii. Jeśli nie pozwolę nikomu jej przejąć i zdobędę gola, zamienię się w czarodziejski sposób w bogatego, wpływowego człowieka, który może wyrwać swoją rodzinę (i Paco) z tego piekła.

Każda drużyna ma mocnych zawodników. Przeciwnicy mają przewagę, bo naszym bramkarzem jest Paco, który drapie się właśnie po jajach po drugiej stronie boiska.

— Ej, Paco. Przestań się ze sobą zabawiać! — wrzeszczy Mario.

Paco w odpowiedzi udaje, że bierze swoje jądra w ręce i zaczyna nimi żonglować. Chris strzela i wbija piłkę do bramki tuż pod nosem Paco.

Mario wyjmuję piłkę z bramki i rzuca ją Paco.

— Gdybyś interesował się meczem tak samo jak swoimi *huevos*, nie strzeliliby gola.

— Nic nie poradzę, stary, ale strasznie mnie swędzi. Musiałem wczoraj złapać od twojej dziewczyny wszy łonowe.

Mario wybucha śmiechem, ani przez chwilę nie wierząc oczywiście w to, że jego dziewczyna go zdradza. Paco podaje piłkę Mario, który przekazuje ją Lucky'emu. Lucky kładzie piłkę na murawie i podaje do mnie. Mam swoją szansę. Drybluję po zaimprovizowanym boisku, przystając tylko na chwilę, żeby ocenić, jak daleko muszę się przebić, żeby strzelić gola.

Robię zwód w lewo i podaję do Mario, który odkopuje mi piłę. Jedno szybkie kopnięcie i piłka leci w prawo i wpada do bramki.

— Gooool! — drze się nasza drużyna, a Mario przybija mi piątkę.

Nasza radość nie trwa jednak długo. Ulicą sunie podejrzenie wolno niebieski cadillac escalade.

— Poznajesz? — pyta Mario i cały się spina.

Chłopaki przestają grać, gdy dociera do nich, że coś jest nie tak.

— Może to odwet — mówię.

Nie odrywam wzroku od okien samochodu. Gdy wóz staje, wszyscy czekamy w napięciu, aż coś lub ktoś z niego wyjdzie. Będziemy gotowi.

Ale okazuje się, że wcale nie jestem. Z samochodu wysiada mój brat Carlos z gościem zwanym Wil. Mama Wila zajmuje się w Krwi rekrutacją nowych członków. Lepiej, żeby mój brat nie był jednym z nich. Cholernie się starałem wbić mu do głowy, że nie musi należeć do Krwi, skoro ja należę. Jeśli jedna osoba z rodziny należy do gangu, reszta znajduje się pod ochroną. Ja należę. Carlos i Luis nie i zrobię wszystko, żeby tak pozostało.

Podchodzę pewnym krokiem do Wila, a mecz przestaje mieć nagle jakiegokolwiek znaczenie.

— Nowa bryka? — pytam, przyglądając się kołom.

— Mojej mamy.

— Niezła. — Odwracam się do brata. — Co porabialiście?

Carlos opiera się o samochód, jakby to, że włóczy się z Wilem, nie miało żadnego znaczenia. Wil przeszedł niedawno inicjację i ma się najwyraźniej za nie wiadomo kogo.

— W galerii otworzyli nowy sklep z gitarami. Spotkaliśmy się tam z Hectorem i...

Czy ja dobrze słyszę?

— Z Hectorem? — Tego mi jeszcze brakowało, żeby mój brat miał coś wspólnego z Hectorem.

Wil — z połamami obszernej koszuli wypuszczonymi na spodnie — wali Carlosa w ramię, żeby się przymknął. Mój brat zamyka usta tak, jakby się bał, że zaraz wleci mu tam mucha. Przysięgam, że dam mu takiego kopa, że polecą stąd prosto do Meksyku, jeśli choćby pomyśli o wstąpieniu do Krwi.

— Fuentes, grasz czy nie?! — krzyczy ktoś z boiska.

Nie dając po sobie poznać wściekłości, odwracam się do brata i jego kumpla, któremu udaje się najwyraźniej przeciągnąć go na złą stronę mocy.

— Zagracie?

— Nie. Posiedzimy u mnie — mówi Wil.

Wzruszam lekceważąco ramionami, choć wcale nie mam ochoty lekceważyć sprawy. *Que me importa!* Co mnie to obchodzi!

Wracam na boisko, mimo że najchętniej złapałbym Carlosa za ucho i zaciągnął go do domu. Nie mogę jednak robić scen, bo mogłoby to dotrzeć do Hectora, który zacząłby powątpiewać w moją lojalność.

Czasem mam wrażenie, że moje życie to jedna wielka blaga.

Carlos odjeżdża z Wilem. To, plus fakt, że nie potrafię przestać myśleć o Brittany, doprowadza mnie do szału. Po wznowieniu gry jestem strasznie nerwowy. Nagle zawodnicy z przeciwnej drużyny nie są już moimi kumplami, ale wrogami, którzy uniemożliwiają mi zdobycie wszystkiego, czego pragnę. Nacieram na piłkę.

— Faul! — wrzeszczy kuzyn jednego z moich kumpli, gdy wpadam na niego w pełnym pędzie.

Unoszę ręce.

— Nie było faulu.

— Popchnąłeś mnie.

— Ale z ciebie *panocha* — rzucam, wiedząc, że przesadzam i to bardzo.

Chcę się wdać w bójkę. Sam się o to proszę. I on o tym doskonale wie. Chłopak jest tej samej postury co ja. Czuję buzującą we mnie adrenalinę.

— Chcesz oberwać, *pendejo*? — pyta i rozkłada szeroko ręce, jak ptak w locie.

Ale na mnie groźby nie działają.

— Spróbuj tylko podejść.

Paco wbiega między nas.

— Alex, uspokój się.

— Albo się bijecie, albo gramy! — krzyczy ktoś.

— On twierdzi, że faulowałem — mówię nabuzowany do Paco.

Paco wzrusza mimowolnie ramionami.

— Bo faulowałeś.

No dobra, skoro nawet mój najlepszy kumpel jest przeciwko mnie, wiem, że przegrałem.

Rozglądam się wokoło. Wszyscy są ciekawi, co dalej zrobię. Jestem maksymalnie nakręcony, co tylko wzmacnia ich wyczekiwanie. Chcę się bić? Tak, choćby po to, żeby dać upust wściekłości. I żeby zapomnieć choć na chwilę, że w pamięci mojego telefonu jest zapisany numer dziewczyny, z którą robię projekt z chemii. I że mój brat zostanie być może zwerbowany do Krwi.

Mój najlepszy kumpel odciąga mnie od koleśia, który chce mi urwać łeb, i prowadzi na bok boiska. Woła, żeby ktoś nas zastąpił.

— Co ty wyczyniasz? — pytam.

— Ratuje ci tyłek. Alex, odbiło ci. Kompletnie.

— Dam sobie radę z tym gościem.

Paco patrzy mi prosto w oczy i mówi:

— To ty się zachowujesz jak *panocha*.

Odrącam jego ręce i odchodzę wściekły, nie wiedząc, jakim cudem w ciągu zaledwie kilku tygodni moje życie tak strasznie się popieprzyło. Muszę coś z tym zrobić. Carlosem zajmę się, jak wróci wieczorem do domu. Powiem mu kilka słów prawdy. A Brittany...

Dziś u Isy nie chciała, żebym to ja odwiózł ją do domu, bo nie chciała, żeby ktoś nas widział razem. Pieprzyć to. Nie tylko Carlos zasłużył na parę słów prawdy.

Wyciągam komórkę i wybieram numer Brittany.

— Halo?

— Tu Alex — mówię, choć wyświetlił się jej mój numer i doskonale wie, że to ja. — Spotkaj się ze mną pod biblioteką. Teraz.

— Nie mogę.

To nie jest już przedstawienie Brittany Ellis. Teraz to przedstawienie Aleksa Fuenteses.

— Słuchaj, *mamacita* — rzucam, dochodząc do domu i wsiadając na motor. — Albo za piętnaście minut będziesz pod biblioteką, albo przyjadę z pięcioma kumplami do twojego domu i urządzimy sobie piknik na twoim trawniku.

— Jak śmiesz... — zaczyna, ale rozłączam się, zanim zdąży skończyć zdanie.

Podkręcam obroty, żeby zagłuszyć wspomnienie wczorajszej nocy, kiedy leżała mi na kolanach, i uświadamiam sobie, że nie mam żadnego planu.

Zastanawiam się, czy przedstawienie Aleksa Fuenteses okaże się komedią, czy może raczej tragedią. Tak czy inaczej, to prawdziwe reality show, którego nie można przegapić.

23. Brittany

Wszystko się we mnie gotuje z wściekłości, gdy zajeżdżam przed bibliotekę i zatrzymuję się przy lasku, na samym końcu parkingu. Projekt z chemii to ostatnie, o czym teraz myślę.

Alex czeka na mnie oparty o swój motocykl. Wyjmuję kluczyki ze stacyjki i podbiegam do niego.

— Jak śmiesz mi rozkazywać! — wrzeszczę. W moim życiu aż roi się od ludzi, którzy usiłują mnie kontrolować. Moja mama... Colin. A teraz jeszcze Alex. Mam tego dość. — Jeśli ci się wydaje, że możesz zmusić mnie groźbą...

Alex bez słowa wrywa mi kluczyki i siada za kierownicą mojej beemki.

— Alex, co ty wyprawiasz?

— Wsiadaj.

Uruchamia silnik. Zaraz odjedzie i zostawi mnie na parkingu przed biblioteką.

Zaciskam pięści i wsiadam od strony pasażera. Gdy jestem już w środku, Alex gazuje silnikiem.

— Gdzie zdjęcie Colina? — pytam, patrząc na tablicę rozdzielczą. Jeszcze przed chwilą było tam przyklejone.

— Nie martw się, dostaniesz je z powrotem. Ale nie mam ochoty na niego patrzeć, gdy prowadzi.

— Wiesz chociaż, jak zmieniać biegi? — warczę.

Bez jednego mrugnięcia, nie patrząc nawet na dźwignię, Alex wrzuca jedynekę i wyjeżdża z piskiem opon z parkingu. Kieruje moją beemką tak, jakby byli jednym organizmem.

— Wiesz, że to kradzież samochodu? — Cisza. — I porwanie. — Dodaję.

Stajemy na światłach. Patrzę na samochody obok nas i cieszę się, że nie opuściłam dachu i że nikt nie może nas zobaczyć.

— *Mira*, słuchaj, wsiadłaś z własnej woli — mówi.

— To mój samochód. A co, jeśli ktoś nas zobaczy?

Moje słowa wkurzają go nie na żarty, bo gdy światło zmienia się na zielone, rozlega się wściekły pisk opon. Celowo rozwala mi samochód.

— Przestań! — krzyczę. — Odwieź mnie z powrotem do biblioteki.

Nie słucha mnie. Jedzie w milczeniu przez nieznaną mi miasteczka i wyludnione drogi, jak na filmach, gdy bohaterowie jadą na spotkanie z niebezpiecznymi handlarzami narkotyków.

Cudownie. Jadę na swoją pierwszą nielegalną transakcję. Czy jak mnie aresztują, rodzice wpłacą za mnie kaucję? Zastanawiam się, jak mama wytłumaczy się z tego znajomym. Może zamkną mnie w poprawczaku. Założę się, że zrobiliby to z dużą chęcią... Shelley do ośrodka, a ja do poprawczaka.

Moje życie będzie jeszcze bardziej beznadziejne.

Nie będę uczestniczyła w niczym nielegalnym. To ja decyduję o swoim życiu, a nie Alex. Łapię za klamkę.

— Wypuść mnie, bo przysięgam, że wyskoczę.

— Masz zapięte pasy. — Przewraca oczami. — Zrelaksuj się. Za dwie minuty jesteśmy. — Redukuje bieg, zwalnia i wjeżdża na stare, nieczynne lotnisko. — Okej, jesteśmy — mówi i zaciąga ręczny hamulec.

— Dobra, ale gdzie jesteśmy? Nie chcę cię martwić, ale ostatnie zabudowania minęliśmy jakieś pięć kilometrów wcześniej. Nie wysiądę z samochodu, Alex. Możesz handlować narkotykami beze mnie.

— Jeśli miałem jakiegokolwiek wątpliwości, czy jesteś prawdziwą blondynką, to niniejszym je rozwiązałaś — mówi. — Bo oczywiście zabrałbym cię ze sobą, żeby handlować narkotykami. Wsiadaj.

— Podaj mi jeden sensowny powód, czemu mam to zrobić?

— Bo jeśli nie, to sam cię wywlokę. Uwierz mi na słowo, *mujer*.

Wkłada sobie kluczyki do tylnej kieszeni i wysiada. Nie zostawia mi wyjścia i muszę zrobić to samo.

— Słuchaj, jeśli chciałeś omówić projekt ogrzewaczy, to mogliśmy to zrobić przez telefon. Okrąża samochód i podchodzi do mnie. Stoimy naprzeciwko siebie na totalnym pustkowiu. Cały dzień coś mnie męczy. Skoro już tu z nim jestem, równie dobrze mogę spytać:

— Całowaliśmy się wczoraj?

— Tak.

— W takim razie nie było to nic specjalnego, bo w ogóle tego nie pamiętam.

Wybucha śmiechem.

— Żartowałem. Nie całowaliśmy się. — Nachyla się. — Gdy już się pocałujemy, to zapamiętasz. Na zawsze.

O Boże. Naprawdę bym chciała, żeby na te słowa kolana nie robiły mi się miękkie jak z waty. Wiem, że powinnam się bać: jestem sama z członkiem gangu gdzieś na odludziu i rozmawiam o całowaniu. Ale się nie boję. W głębi duszy wiem, że świadomie nigdy by mnie nie skrzywdził i do niczego nie zmusił.

— Czemu mnie porwałś? — pytam.

Bierze mnie za rękę i prowadzi do drzwi od strony kierowcy.

— Wsiadaj.

— Po co?

— Bo nauczę cię jeździć, jak należy, zanim zatrzesz silnik od takiej jazdy.

— Myślałam, że jesteś na mnie zły. Czemu mi pomagasz?

— Bo chcę.

Och. Tego się w ogóle nie spodziewałam. Robi mi się ciepło na sercu, bo już tak dawno nikt

nie zrobił niczego tylko po to, żeby mi pomóc. Chociaż...

— Ale nie robisz tego dlatego, że chcesz, żebym ci się odwdzięczyła w naturze, prawda?
Kręci przecząco głową.

— Słowo?

— Słowo.

— I nie jesteś na mnie zły za coś, co powiedziałam albo zrobiłam?

— Jestem sfrustrowany, Brittany. Przez ciebie. Przez mojego brata. Z wielu powodów.

— To po co mnie tu przywiozłeś?

— Nie zadawaj pytań, jeśli nie jesteś gotowa usłyszeć odpowiedzi. Okej?

— Okej. — Wsiadam za kierownicę i czekam, aż siądzie obok.

— Gotowa? — pyta po zajęciu miejsca i zapięciu pasów.

— Tak.

Nachyla się i wkłada kluczyk do stacyjki. Spuszczam ręczny hamulec i przekręcam kluczyk, ale samochód gaśnie.

— Nie wrzuciłaś na luz. Jeśli nie będziesz trzymać nogi na sprzęgle, a będziesz na biegu, auto ci zgaśnie.

— Wiedziałam o tym — mówię, czując się jak kompletna idiotka. — Po prostu mnie stresujesz.

Wrzuca za mnie na luz.

— Wciśnij lewą nogą sprzęgło, prawą trzymaj na hamulcu i wrzuć jedynekę — instruuje.

Wciskam gaz i puszczam sprzęgło, a samochód skacze gwałtownie do przodu.

Alex przytrzymuje się rękami deski rozdzielczej.

— Stań.

Zatrzymuję samochód i wrzucam na luz.

— Musisz znaleźć czułe miejsce.

Patrzę na niego.

— Czułe miejsce?

— Tak. Rozumiesz, tam gdzie sprzęgło zaskoczy. — Podczas mówienia gestykuluje, imitując dłońmi ruchy pedałów. — Za szybko popuszczasz. Znajdź właściwą pozycję, zostań w niej chwilę... poczuj ją. Spróbuj jeszcze raz.

Wrzucam znów jedynekę i popuszczam powoli sprzęgło, dodając jednocześnie gazu.

— Przytrzymaj... Poczuj czułe miejsce. Zostań w nim chwilę.

Popuszczam sprzęgło i naciskam pedał gazu, ale nie do końca.

— Chyba załapałam.

— Spuść sprzęgło, ale nie gazuj za bardzo.

Próbuję, ale samochód szarpie, po czym gaśnie.

— Puściłaś sprzęgło. Nie zwalnij go za szybko. Spróbuj jeszcze raz — mówi z absolutnym spokojem. Nie jest zdenerwowany, poirytowany ani zniechęcony. — Trzeba było dodać więcej gazu. Nie do dechy, ale wystarczająco dużo, żeby ruszyć.

Powtarzam jeszcze raz poszczególne kroki i tym razem samochód rusza bez szarpnięcia. Jedziemy pasem startowym, przyspieszając do dwudziestu kilometrów na godzinę.

— Wciśnij sprzęgło — poleca, po czym przytrzymuje mi rękę na sprzęgle i pomaga wrzucić dwójkę. Staram się nie zwracać uwagi na delikatny dotyk jego ciepłej dłoni, tak różny od jego osobowości, i próbuję skupić się na nauce.

Alex bardzo cierpliwie i bardzo dokładnie tłumaczy mi, jak redukować biegi, aż dojeżdżamy do końca pasa startowego. Jego palce cały czas zaciskają się na moich.

— Koniec lekcji? — pytam.

Chrząka.

— Hm, tak. — Zdejmuje rękę z mojej dłoni i przeczesuje palcami swoją czarną grzywę. Luźne kosmyki opadają mu na czoło.

— Dzięki.

— No wiesz, nie mogłem słuchać, jak masakrujesz silnik na szkolnym parkingu. Nie

zrobiłem tego z dobroci serca.

Przechylałam na bok głowę i staram się zmusić go, żeby na mnie spojrział. Nie patrzy.

— Czemu tak ci zależy, żeby wszyscy uważali cię za niegrzecznego chłopca, co? No powiedz.

24. Alex

Po raz pierwszy rozmawiamy ze sobą jak ludzie. Teraz muszę wymyślić coś, żeby przebić się przez te jej umocnienia obronne.

O rany. Muszę zdradzić jej jakiś swój wrażliwy punkt. Jeśli zobaczy we mnie wrażliwą osobę, a nie tylko dupka, to może uda mi się posunąć trochę sprawy do przodu. A jakoś wiem, że pozna się na ściemnieniu.

Nie jestem pewny, czy robię to ze względu na zakład, ze względu na projekt z chemii czy ze względu na samego siebie. Właściwie dobrze mi z tym, że nie analizuję tego, co się dzieje.

— Gdy miałem sześć lat, mój tato został zamordowany — wyznaję.

Rozszerza ze zdumienia oczy.

— Naprawdę?

Kiwam głową. Nie lubię o tym mówić, nie jestem nawet pewny, czy potrafię, nawet jeśli chcę.

Zakrywa usta wypielegnowaną dłonią.

— Nie wiedziałam. O Boże, strasznie mi przykro. To musiało być straszne.

— Było. — Dobrze jest to z siebie wyrzucić, powiedzieć o tym na głos. O nerwowym uśmiechu taty, który zamienił się w wyraz niedowierzania na chwilę przed tym, zanim rozległ się strzał.

Rany, nie wierzę, że przypomniałem sobie jego minę. Czemu uśmiech zamienił się w wyraz niedowierzania? Ten szczegół wcześniej zupełnie wyleciał mi z głowy. Wciąż zdumiony tym faktem, odwracam się do Brittany.

— Jeśli stracę coś, na czym będzie mi bardzo zależeć, znów będę się czuć jak wtedy, gdy zginął mój tato. A ponieważ nigdy więcej nie chcę się tak czuć, stwierdziłem po prostu, że na niczym nie będzie mi zależeć.

Jej twarz wyraża żal, smutek i współczucie. Wiem, że tym razem nie gra.

Nie przestając marszczyć brwi, mówi:

— Dzięki, za, no wiesz, za to, że mi powiedziałaś. Ale nie wierzę, że możesz ot tak postanowić, że na niczym ci nie będzie zależało. Nie można się tak zaprogramować.

— A założysz się? — Nagle bardzo chcę zmienić temat. — Twoja kolej na wyznania.

Odwraca głowę. Nie naciskam, bo boję się, że zmieni zdanie i będzie chciała wracać.

Przecież to niemożliwe, żeby było jej trudniej niż mnie podzielić się choć wycinkiem swojego świata? Moje życie jest tak beznadziejne, że naprawdę ciężko uwierzyć, że jej może być gorsze. Widzę, że po policzku spływa jej pojedyncza łza, którą szybko ociera dłonią.

— Moja siostra... — zaczyna. — Moja siostra ma porażenie mózgowe. Jest opóźniona umysłowo. Upośledzona, jak to nazywa większość ludzi. Nie chodzi, nie mówi i zamiast słów używa przybliżeń wyrazowych i różnych komunikatów niewerbalnych... — Gdy to mówi, spływa jej kolejna łza. Tym razem nawet jej nie ociera. Mam ochotę zrobić to za nią, ale wyczuwam, że nie powinienem jej teraz ruszać. Bierze głęboki wdech. — W ostatnim czasie coś ją złości, ale nie wiem co. Zaczęła ciągnąć za włosy, a wczoraj pociągnęła mnie tak mocno, że wyrwała mi dużą garść. Rana krwawiła, a mama się na mnie wściekła.

A więc stąd ten tajemniczy łysy placek. To nie żaden test antydopingowy.

Po raz pierwszy robi mi się jej naprawdę żal. Wydawało mi się, że jej życie jest jak bajka, że najgorsze, co może jej się przydarzyć, to ziarnko grochu pod materacem, które nie da jej w nocy spać.

Wychodzi na to, że nie do końca miałem rację.

Coś się stało. Wyczuwam zmianę... jakby obopólne zrozumienie. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz tak się czułem. Chrząkam i mówię:

— Twoja mama pewnie wyżywa się głównie na tobie, bo wie, że jakoś to zniesiesz.

— Pewnie tak. Lepiej na mnie niż na mojej siostrze.

— To i tak żadna wymówka. — Niczego teraz nie udaję i mam nadzieję, że ona też nie. — Słuchaj, nie chcę, żebyś miała mnie za dupka. — To by było tyle, jeśli chodzi o przedstawienie Aleksa Fuentes.

— Wiem. To twój wizerunek, produkt pod tytułem Alex Fuentes. To twoja marka, twoje logo... niebezpieczny, śmiertelnie groźny, zabójczo przystojny, seksowny Meksykanin. Mogłabym napisać książkę o tworzeniu własnego wizerunku. Choć ja akurat nie celowałam w wizerunek słodkiej blond idiotki. Raczej idealnej i niedostępnej.

Cofnij. Brittany nazwała mnie zabójczo przystojnym i seksownym? Zupełnie się tego nie spodziewałam. Może jednak mam szansę wygrać ten głupi zakład.

— Masz oczywiście świadomość, że powiedziałaś, że jestem zabójczo przystojny.

— Jakbyś sam o tym nie wiedział.

Nie wiedziałem, że Brittany Ellis uważa, że jestem zabójczo przystojny.

— Tak między nami, to ja uważałam cię za niedostępną. Ale skoro już wiem, że uważasz mnie za zabójczo przystojnego, seksownego, meksykańskiego półboga.

— Nie użyłam słowa „półbóg”.

Kładę sobie palec na ustach.

— Ćśś, daj mi się przez chwilę nacieszyć tą fantazją. — Zamykam oczy. Brittany wybucha śmiechem, który dźwięczy mi słodko w uszach.

— W jakiś pokrętny sposób chyba cię rozumiem, Alex. Choć i tak jestem na ciebie wściekła za to, że zachowywałeś się jak troglodyta. — Otwieram oczy i widzę, że się mi przypatruje. — Nie mów nikomu o mojej siostrze — prosi. — Nie chcę, żeby ktokolwiek coś o mnie wiedział.

— Jesteśmy aktorami. Udajemy, że jesteśmy ludźmi, za których chcemy być brani.

— A więc rozumiesz, czemu się przestraszyłam, że moi rodzice mogliby się dowiedzieć, że jesteśmy... przyjaciółmi.

— Miałaś kłopoty? Cholera, masz osiemnaście lat. Nie uważasz, że możesz się przyjaźnić, z kim chcesz? Pępowina jest już odcięta, wiesz?

— Nic nie rozumiesz.

— Przekonajmy się.

— Czemu chcesz tak dużo o mnie wiedzieć?

— Czy wspólny projekt na chemii nie zobowiązuje do tego, żeby się dobrze poznać?

Parska krótkim śmiechem.

— Mam nadzieję, że nie.

Prawda jest taka, że ta dziewczyna jest zupełnie inna, niż myślałam. Mam wrażenie, że odkąd powiedziałem jej o tacie, całe jej ciało odetchnęło z ulgą. Jakby cudze nieszczęście w jakiś sposób ją pocieszało, sprawiało, że nie czuje się już taka samotna. Ale dalej nie rozumiem, czemu tak bardzo się przejmuje, czemu musi pokazywać światu maskę „dziewczyny bez skazy”.

Wciąż wisi nade mną widmo zakładu. Muszę jakoś uwieść tę dziewczynę. I choć moje ciało mówi: Dawaj, stary, cała reszta myśli: Jesteś totalnym draniem, bo ona jest bezbronna.

— Chcę od życia dokładnie tego samego co ty — mówię. — Tylko po prostu dążę do tego na inne sposoby. Ty dopasowujesz się do swojego środowiska, a ja do swojego. — Znowu nakrywam dłonią jej rękę. — Daj mi udowodnić, że jestem inny. Oye, umówiłabyś się z chłopakiem, który jest za biedny, żeby zaprosić cię do drogiej restauracji i obsypać złotem i diamentami?

— Oczywiście. — Wsuwa rękę spod mojej dłoni. — Ale mam chłopaka.

— A gdybyś nie miała, czy siedzący obok ciebie *Mexicano* miałby u ciebie jakąś szansę?

Jej twarz robi się intensywnie różowa. Zastanawiam się, czy Colin jest w stanie sprawić, żeby się tak zarumieniła.

— Nie odpowiem na to pytanie.

— Czemu nie? To bardzo proste pytanie.

— Przestań, Alex. Nic, co ma z tobą związek, nie jest proste. Nawet nie zaczynamy tego

tematu. — Wrzuca jedynkę. — Możemy już wracać?

— *Si*, jeśli chcesz. Między nami okej?

— Tak myślę.

Wyciągam rękę. Patrzy na tatuaże na moich palcach i podaje mi swoją dłoń z wyraźną radością.

— Za ogrzewacze do rąk — mówi z uśmiechem na ustach.

— Za ogrzewacze — powtarzam. I seks, dopowiadam w myślach.

— Poprowadzisz z powrotem? Nie znam drogi.

Słońce powoli zachodzi, a ja odwożę ją w milczeniu, które w ogóle nie przeszkadza. Nasze pojednanie przybliży mnie do moich celów: ukończenia szkoły, wygrania zakładu... i czegoś jeszcze, czego nie jestem jeszcze gotowy nazwać.

Zajeżdżam jej rewelacyjnym autem na ciemny parking i mówię:

— Dzięki, że, no wiesz, dałaś się porwać. No to do zobaczenia. — Wyciągam z kieszeni kluczyki i zastanawiam się, czy kiedykolwiek będzie mnie stać na inny samochód niż zardzewiały stary gruchot z drugiej ręki. Wsiadam, wydaję z tylnej kieszeni zdjęcie Colina i rzucam je na siedzenie, które właśnie zwolniłem.

— Czeka! — woła Brittany, gdy zaczynam się oddalać.

Odwracam się, a ona stoi tuż przede mną.

— Co?

Uśmiecha się uwodzicielsko, jakby chciała czegoś więcej niż pojednania. Czegoś dużo więcej. Cholera, pocałuje mnie? Zupełnie mnie zaskoczyła, co zwykle się nie zdarza. Zagryza dolną wargę, jakby rozważała swój następny ruch. Jeśli chce się całować, to ja w to wchodzę.

Przed oczami pojawia mi się milion możliwych scenariuszy, a Brittany tymczasem podchodzi jeszcze bliżej.

I wrywa mi kluczyki z ręki.

— Co ty wyprawiasz? — pytam.

— Odpłacam się za porwanie. — Robi krok w tył i rzuca z całych sił kluczyki w las.

— Powiedz mi, że tego nie zrobiłaś.

Cofa się do samochodu, cały czas zwrócona twarzą do mnie.

— Nie gniewaj się. Zemsta jest słodka, co, Alex? — mówi, usiłując zachować powagę na twarzy.

Patrzę zszokowany, jak moja partnerka z chemii wsiada do swojej beemki. Samochód wyjeżdża z parkingu gładko i bez szarpnięcia. Ruszyła bezbłędnie.

Jestem wściekły, bo albo będę musiał pełzać po ciemnym lesie w poszukiwaniu kluczyków, albo poprosić Enrique, żeby po mnie przyjechał.

Jednocześnie chce mi się śmiać. Brittany Ellis pokonała mnie w mojej własnej grze.

— Owszem — odpowiadam jej, mimo że jest już pewnie z kilometr stąd i nie może mnie słyszeć. — Zemsta jest słodka. — *Carajo!* — A niech to!

25. Brittany

Ciężki oddech mojej siostry tuż obok mnie to pierwsze, co słyszę, gdy wczesne poranne słońce wlewa się do jej pokoju. Wczoraj poszłam do Shelley i leżałam przy niej kilka godzin, obserwując przed zaśnięciem jej spokojny sen.

Gdy byłam mała, w czasie burzy zawsze biegłam do siostry. Nie żeby się nie bała, ale żeby ja się nie bała. Trzymałam ją za rękę i strach jakoś mijał.

Patrzę na swoją głęboko uśpioną starszą siostrę i nie mogę uwierzyć, że rodzice chcą ją oddać. Shelley stanowi dużą część mnie. Myśl, że miałabym mieszkać bez niej, wydaje się po prostu zła. Czasem mam wrażenie, że łączy nas z Shelley więź, której większość ludzi po prostu by nie zrozumiała. Nawet gdy rodzice nie wiedzą, co Shelley stara się powiedzieć lub czemu się denerwuje — ja zwykle wiem.

Dlatego właśnie tak mną wstrząsnęło, że ciągnęła mnie za włosy. Byłam przekonana, że komu jak komu, ale mnie na pewno tego nie zrobi.

Ale zrobiła.

— Nie pozwolę im cię oddać — mówię cicho do mojej pogrążonej we śnie siostry. — Zawsze będę cię chronić.

Zsuwam się z łóżka Shelley. Siostra zawsze wyczuwa, kiedy się czymś martwię, więc ubieram się i wychodzę z domu, zanim się obudzi.

Zaufałam wczoraj Aleksowi i świat się nie zawalił. Właściwie to mi ulżyło, gdy opowiedziałam mu o Shelley. Skoro mogę powiedzieć Aleksowi, to na pewno mogę też spróbować tego samego ze Sierrą i Darlene.

Siedzę w aucie przed domem Sierry, a w głowie znów zaczynają mi się kotłować różne myśli.

Nic nie idzie tak, jak powinno. Podobno czwarta klasa jest super — łatwa i przyjemna. Jak dotąd można o niej powiedzieć wszystko, tylko nie to. Colin na mnie naciska, chłopak z gangu jest dla mnie kimś więcej niż kolegą od projektu z chemii, a moi rodzice planują odesłać siostrę daleko od Chicago. Co jeszcze może pójść nie tak?

Przy oknie Sierry na drugim piętrze zauważam jakieś poruszenie. Najpierw pojawiają się nogi, potem tyłek. O rany, to Doug Thompson usiłuje przeskoczyć na treliaż.

Doug musiał mnie zauważyć, bo z okna wysuwa się głowa Sierry. Macha do mnie i pokazuje, żebym zaczekała.

Noga Douga ciągle nie może trafić w treliaż. Sierra przytrzymuje go dla równowagi za rękę. Doug ostatecznie staje, gdzie trzeba, ale za bardzo uważa na kwiaty i w końcu spada, wymachując rozpaczliwie wszystkimi kończynami. Nic mu jednak nie jest, bo pokazuje Sierrze, że wszystko okej i odbiega.

Zastanawiam się, czy Colin wspiałby się dla mnie po treliażu.

Trzy minuty później otwierają się drzwi frontowe i Sierra wychodzi na dwór w majtkach i koszulce na ramiączkach.

— Brit, co ty tu robisz? Jest siódma. Rano. Wiesz chyba, że nauczyciele mają dziś szkolenie i nie ma lekcji.

— Wiem, ale życie wymyka mi się spod kontroli.

— Chodź, pogadamy — mówi i otwiera drzwi od samochodu. — Zaraz sobie odmrozę tyłek. Czemu lato w Chicago nie trwa dłużej?

W domu zdejmuję buty, żeby nie obudzić rodziców Sierry.

— Nie przejmuj się, godzinę temu pojechali na siłownię.

— To czemu Doug wychodził przez okno?

Sierra puszcza do mnie oko.

— No wiesz, żeby było bardziej ekscytująco. Faceci uwielbiają przygody.

Idę za Sierrą do jej wielkiego pokoju. Wystrój utrzymany jest w kolorze fuksji i zielonego jabłuszka — tak zdecydowała dekoratorka wewnątrz zatrudniona przez jej matkę. Siadam na dodatkowym łóżku, a Sierra dzwoni tymczasem do Darlene.

— Dar, przyjeżdżaj. Brit ma kryzys.

Kilka minut później zjawia się Darlene, w piżamie i kapciach — mieszka zaledwie dwa domy dalej.

— Dobra, dawaj — domaga się Sierra, gdy jesteśmy już we trzy.

Nagle, czując, że cała uwaga skupia się na mnie, nie jestem już taka pewna, czy te zwierzenia to dobre rozwiązanie.

— Właściwie to nic takiego.

Darlene się prostuje.

— Słuchaj, Brit. Wyrwałaś mnie z łóżka o siódmej rano. Mów.

— Dokładnie — zgadza się Sierra. — Przyjaźnimy się. Jeśli nie możesz zwierzyć się przyjaciółkom, to komu?

Aleksowi Fuentesowi. Ale tego akurat im nie powiem.

— To może pooglądamy jakieś starocie — proponuje Sierra. — Jeśli Audrey Hepburn nie skłoni cię do zwierzeń, to już sama nie wiem.

Darlene jęczy.

— Nie wierzę, że zerwałyście mnie z łóżka, żeby gadać o niczym i oglądać stare filmy.

Dziewczyny, mówię serio, znajdźcie sobie jakieś zajęcie. Może chociaż macie jakieś plotki? Któraś coś słyszała?

Sierra prowadzi nas do salonu i siadamy na miękkiej sofie jej rodziców.

— Podobno Samantha Jacoby całowała się we wtorek w składziku.

— Łuhuu — ironizuje Darlene, na której nie robi to żadnego wrażenia.

— Ale czy wspomniałam już, że całowała się z Chuckiem, jednym z dozorców?

— No i to jest coś, Sierra.

Czy tak to właśnie będzie, jeśli coś im powiem? Moje nieszczęście zamieni się w plotkę, z której wszyscy będą się śmiać?

Po czterech godzinach w salonie Sierry, dwóch filmach i opakowaniu lodów Ben & Jerry Confection Connection, trochę mi lepiej. Może to Audrey Hepburn jako Sabrina, ale nagle wydaje mi się, że wszystko jest możliwe. Przez co znów myślę o...

— Co myślicie o Aleksie Fuentesie? — pytam.

Sierra wrzuca sobie do buzi popcorn.

— Co rozumiesz przez: „co o nim myślimy”?

— Nie wiem — przyznaję, nie mogąc przestać myśleć o tym, że przy każdym spotkaniu niezaprzeczalnie między nami iskrzy. — Robię z nim projekt na chemii.

— I...? — dopytuje się Sierra, machając przy tym ręką, jakby chciała powiedzieć: Do czego właściwie zmierzasz?

Biorę pilot i zatrzymuję film.

— Jest przystojny. Musicie przyznać.

— Fuj, Brit — mówi Darlene i udaje, że wkłada sobie palec do gardła i się krztusi.

Sierra mówi:

— Okej, przyznaję, że jest niezły. Ale nigdy bym się z kimś takim nie umówiła. Należy do gangu.

— Zwykle przychodzi do szkoły upalony — wtrąca Darlene.

— Siedzę z nim w ławce, Darlene, i jakoś nigdy nie zauważyłam, żeby był w szkole na haju.

— Żartujesz sobie, Brit? Alex ćpa przed szkołą i w męskiej toalecie, jak zrywa się z czytelnicy. I nie mówię tylko o trawce. Bierze też cięższe rzeczy — stwierdza Darlene z pełnym przekonaniem.

— Widziałaś kiedyś, jak bierze? — pytam.

— Słuchaj, Brit. Nie muszę znajdować się z nim w jednym pomieszczeniu, żeby wiedzieć, że wciąga albo daje sobie w żyłę. Alex jest niebezpieczny. Poza tym takie dziewczyny jak my nie zadają się z Latynoską Krwią.

Opieram się wygodniej o pluszowe poduszki.

— No wiem.

— Colin cię kocha — zmienia temat Sierra.

Mam wrażenie, że to, co Colin czuł do mnie na plaży, z miłością akurat niewiele miało wspólnego, ale nie mam ochoty się w to zagłębiać.

Mama trzy razy próbuje się do mnie dodzwonić. Najpierw na komórkę, ale gdy ją wyłączam, wcale jej to nie zniechęca i dzwoni dwa razy do Sierry.

— Jeśli nie porozmawiasz ze swoją mamą, to tu przyjedzie — mówi Sierra ze słuchawką w dłoni.

— Jeśli ona przyjedzie, ja wychodzę.

Sierra podaje mi telefon.

— Wyjdziemy z Darlene, żebyś mogła porozmawiać w spokoju. Nie wiem, o co chodzi, ale pogadaj z nią.

Przykładam telefon do ucha.

— Cześć, mamó.

— Brittany, wiem, że jesteś zła. Wczoraj wieczorem podjęliśmy ostateczną decyzję w

sprawie Shelley. Wiem, że jest ci ciężko, ale w ostatnim czasie jest z nią coraz gorzej.

— Mamo, ona ma dwadzieścia lat i denerwuje się, że ludzie jej nie rozumieją. Nie wydaje ci się, że nic w tym dziwnego?

— W przyszłym roku wyjeżdżasz na studia. To nie fair trzymać ją cały czas w domu.

Przestań być taką egoistką.

Jeśli Shelley zostanie odesłana, bo ja idę na studia, to znaczy, że to moja wina.

— Zrobicie to niezależnie od tego, co ja o tym myślę, prawda? — pytam.

— Tak. Decyzja już zapadła.

26. Alex

Gdy Brittany wchodzi na zajęcia pani P. w piątek, wciąż się zastanawiam, jak by się jej tu odplacić za to, że w zeszły weekend wyrzuciła moje kluczyki do lasu. Szukałem ich przez cholerne czterdzieści pięć minut, nie przestając przeklinać Brittany. No dobra, miała powód. Poza tym należą jej się podziękowania za to, że nakłoniła mnie do rozmowy o dniu śmierci taty. Dzięki temu zadzwoniłem do starszych PG z Krwi i spytałem, czy wiedzą może, czy ojciec miał z kimś na pieńku.

Brittany przez cały tydzień miała się na baczności. Czeka, aż z czymś wyskoczę, aż się na niej odegram za te kluczyki w lesie. Po szkole, gdy stoję przy szafce i wybieram podręczniki, których będę potrzebować w domu, podbiega do mnie w swoim ponętym stroju cheerleaderki.

— Masz natychmiast przyjść do sali do zapasów — rozkazuje.

Mam dwie możliwości: albo iść tam, gdzie mi kazała, albo wyjść ze szkoły. Biorę książki i idę do małej sali gimnastycznej. Brittany stoi tam i wymachuje breloczkiem, przy którym nie ma kluczyków.

— Moje klucze w magiczny sposób zniknęły. Gdzie są? — pyta. — Spóźnię się na mecz, jeśli mi nie powiesz. A wtedy pani Small wywali mnie z drużyny.

— Gdzieś je wyrzuciłem. Zdecydowanie powinnaś sobie sprawić torebkę na zamek. Nigdy nie wiadomo, kiedy ktoś ci coś z niej wyciągnie.

— Dobrze wiedzieć, że jesteś kleptomaniem. Może mi z łaski swojej podpowiesz, gdzie je schowałeś?

Opieram się o ścianę i zastanawiam, co by ktoś sobie pomyślał, gdyby przyłapał nas tu razem.

— Są gdzieś, gdzie jest mokro. Bardzo, bardzo mokro — podpowiadam.

— W basenie?

Kiwam głową.

— Pomysłowo, nie?

Próbuje wgnieść mnie w ścianę.

— Normalnie cię zabiję. Lepiej mi je przynieś.

Gdybym jej nie znał, pomyślałbym, że ze mną flirtuje.

Chyba podobają jej się nasze gierki.

— *Mamacita*, przecież mnie znasz. Musisz liczyć sama na siebie, tak samo jak ja, gdy zostawiłaś mnie na parkingu.

Przekrzywia głowę, patrzy na mnie błagalnie i robi smutną minę. Nie powinienem się wpatrywać w jej nadąsane usta, bo to niebezpieczne. Ale nie jestem w stanie się powstrzymać.

— Pokaż mi, gdzie one są, Alex. Błagam.

Każę jej się jeszcze chwilę denerwować, po czym ustępuję. Większość szkoły jest pusta. Połowa uczniów jest właśnie w drodze na mecz futbolowy, a druga cieszy się, że nie jest w drodze na mecz futbolowy.

Idziemy na basen. Światła są zgaszone, ale przez okna wpada światło słoneczne. Kluczyki Brittany są dokładnie tam, gdzie je wrzuciłem — w najgłębszym miejscu. Wskazuję na błyszczące srebrne przedmioty pod wodą.

— Proszę, są tam. Możesz je sobie wyciągnąć.

Brittany stoi, obciążając krótką spódniczkę i zastanawiając się, jak ma je wyłowić.

Podchodzi pewnym krokiem do długiej tyczki zawieszanej na ścianie, służącej do pomocy, gdy ktoś się topi.

— Łatwizna — stwierdza.

Ale gdy wkłada tyczkę do wody, przekonuje się, że to wcale nie takie proste. Stoję na krawędzi basenu i powstrzymuję śmiech, przyglądając się, jak próbuje dokonać niemożliwego.

— Zawsze możesz się rozebrać do naga i wskoczyć. Będę pilnować, czy nikt nie idzie.

Podchodzi do mnie, ściskając mocno tyczkę.

— Chciałbyś, co?

— Zdecydowanie — stwierdzam oczywisty fakt. — Muszę cię jednak ostrzec. Jeśli masz na sobie stare barchany, zniszczysz całe moje wyobrażenie o tobie.

— Dla twojej wiadomości, moje majtki są różowe i z satyny. A skoro już wymieniamy się osobistymi informacjami: nosisz bokserki czy slipy?

— Ani to, ani to. Mój ptaszek nie ma gniazdka, jeśli wiesz, co mam na myśli. — No dobra, to nieprawda. Ale sama będzie musiała to sprawdzić.

— Ohyda, Alex.

— Nie oceniał zbyt pochopnie — rzucam i idę do drzwi.

— Idziesz sobie

— No... tak.

— Nie pomożesz mi z kluczami?

— No... nie. — Jeśli zostanę, będzie mnie kusiło, żeby spytać, czy nie chciałaby olać meczu i spędzić czasu ze mną. Zdecydowanie nie jestem gotowy usłyszeć odpowiedzi na to pytanie. Gdy się z nią droczę, jakoś sobie radzę. Ale gdy pokazuję swoje prawdziwe oblicze, tak jak to zrobiłem ostatnio, tracę czujność. Nie mogę sobie na to więcej pozwolić. Otwieram drzwi i rzucam Brittany ostatnie spojrzenie, zastanawiając się, czy zostawiając ją w tej chwili, okazuję się idiotą, palantem, tchórzem, czy może wszystkimi trzema naraz.

W domu, z dala od Brittany i jej kluczyków, szukam brata. Obiecałem sobie, że pogadam z Carlosem w tym tygodniu i już wystarczająco długo z tym zwlekałem. Zanim zdążę się połapać, będzie już miał za sobą inicjację do Latynoskiej Krwi, na którą składa się rytualne łańsko.

Znajduję Carlosa w naszym pokoju, gdy akurat wsuwa coś pod swoje łóżko.

— Co tam chowasz? — pytam.

Siedzi na łóżku z założonymi rękami.

— *Nada*. Nic.

— Przestań ściemniać, Carlos. — Odpycham go i sięgam pod jego łóżko. No proszę, patrzy na mnie lśniąca beretta 25, jakby sobie ze mnie kpiła. Wyciągam pistolet i trzymając go w dłoni, pytam: — Skąd to masz?

— Nie twój interes.

Pierwszy raz w życiu naprawdę mam ochotę sprać Carlosa tak, żeby popamiętał. Korci mnie, żeby wcisnąć mu tę soplwę między oczy i pokazać, jakie to uczucie być członkiem gangu: żyć w ciągłym strachu i niepewności, który dzień okaże się tym ostatnim.

— Jestem twoim starszym bratem, Carlos. *Se nos fue mi papa*, tata nie żyje, więc to ja muszę przemówić ci do rozsądku. — Patrzę na pistolet. Sądząc po ciężarze, jest naładowany. Jezu, gdyby przypadkowo wystrzelił, Carlos mógłby zginąć. A jeśli jakimś cudem znalazłby go Luis... cholera, nie jest dobrze.

Carlos próbuje wstać, ale popycham go z powrotem na łóżko.

— Ty chodzisz ze spluwą — skarży się. — Czemu ja nie mogę?

— Wiesz czemu. Bo ja należę do gangu. A ty nie. Ty będziesz się uczyć, pójdiesz na studia i będziesz żył normalnie.

— Wydaje ci się, że możesz zaplanować nam przyszłość? — warczy Carlos. — Ja mam własne plany.

— Lepiej, żeby nie wiązały się z gangiem.

Carlos nie odpowiada.

Mam wrażenie, że już za późno i czuję, że ciało mam twarde z napięcia jak stalowy pręt.

Mogę nie dopuścić do inicjacji, ale tylko pod warunkiem że Carlos zgodzi się na moją interwencję. Zerkam na zdjęcie Destiny nad jego łóżkiem. Poznał ją podczas wakacji w Chicago, gdy oglądaliśmy na molo Navy Pier sztuczne ognie z okazji Dnia Niepodległości. Jej rodzina mieszka w Gurnee, a Carlosowi totalnie odbiło na jej punkcie. Codziennie rozmawiają ze sobą przez telefon. Jest mądra i jest Meksykanką, a gdy Carlos nas sobie przedstawiał i zobaczyła mnie i moje tatuaże, tak się wystraszyła, że zaczęła się rozglądać wokół siebie z taką paniką w oczach, jakby ktoś ją miał zastrzelić tylko dlatego, że stoi dwa metry ode mnie.

— Myślisz, że Destiny będzie chciała z tobą być, jeśli zostaniesz uzbrojonym gangsterem?
— pytam.

Brak odpowiedzi. To dobrze. Dałem mu do myślenia.

— Nie zdążysz nawet powiedzieć: kaliber dwadzieścia pięć, a ona już cię rzuci.

Wzrok Carlosa wędruje na wiszące na ścianie zdjęcie.

— Carlos, spytaj ją, gdzie chce studiować. Założę się, że już wie. Jeśli chcesz tego samego co ona, może się wam udać.

Mój brat podnosi na mnie wzrok. Odbywa wewnętrzną walkę, wybiera między tym, co łatwe — życiem w gangu — a tym, co wymaga większego wysiłku, na przykład Destiny.

— Przestań kumpłować się z Wilem. Znajdź sobie nowych kolegów, zapisz się do drużyny piłkarskiej, cokolwiek. Zaczynaj się zachowywać jak zwykły dzieciak, a resztę zostaw mnie.

Wsadzam sobie berettę za pasek, wychodzę z domu i jadę do magazynu.

27. Brittany

Spóźniłam się na mecz. Po wyjściu Aleksa rozebrałam się do bielizny i wskoczyłam do basenu po klucze. Dzięki Aleksowi zostałam zdegradowana. Darlene, moja zastępczyni w drużynie cheerleaderek, została oficjalnie kapitanem. Pół godziny zajęło mi suszenie włosów i poprawianie makijażu w damskiej szatni. Pani Small była wściekła, że spóźniłam się na mecz. Stwierdziła, że i tak mam szczęście, że straciłam tylko stanowisko kapitana, a nie zostałam wyrzucona z drużyny.

Po meczu leżę z siostrą na kanapie w salonie. Włosy ciągle mi śmierdzą chlorem, ale nie mam siły się tym przejmować. Po kolacji oglądam jakieś reality show i zaczynają mi się kleić oczy.

— Obudź się, Brit. Przyszedł Colin — mówi mama, potrząsając mnie za ramię.

Podnoszę głowę i widzę nad sobą Colina. Unosi ręce do góry.

— Gotowa?

O rany. Zapomniałam o imprezie u Shane'a, zaplanowanej kilka miesięcy temu. W ogóle nie jestem w nastroju.

— Olejmy to i zostanmy w domu.

— Chyba żartujesz? Wszyscy na nas czekają. Wykluczone, żeby ominęła nas największa biba w roku. — Zerka na moje spodnie dresowe i koszulkę z napisem „Zbadaj się”, co też zrobiłam w zeszłym roku, gdy brałam udział w marszu na rzecz walki z rakiem piersi. — Idź się przebrać, a ja zaczekam. Tylko się pospiesz. Może włożysz tę czarną mini, w której tak mi się podobaasz?

Wlokę się do swojego pokoju. W kącie szafy, obok mojej koszulki na ramiączkach DKNY, leży bandana Aleksa. Wyprałam ją wczoraj wieczorem, ale zamykam oczy i podsuwam ją sobie pod nos. Chcę sprawdzić, czy pozostał na niej jego zapach. Z rozczarowaniem stwierdzam, że czuć tylko proszek do prania. Nie mam teraz ochoty analizować swoich uczuć, zwłaszcza że na dole czeka Colin.

Przebranie się w czarną minisukienkę, układanie fryzury i makijaż zajmuje mi dłuższą chwilę. Mam nadzieję, że Colin się nie wkurza, że tak długo to trwa. Muszę dobrze wyglądać. Mama na pewno skomentuje mój wygląd.

Schodzę na dół i widzę, że Colin siedzi na brzegu kanapy, zupełnie ignorując Shelley. Chyba się przy niej stresuje.

Mama przeprowadza „inspekcję” i maca moje włosy.

— Nałożyłaś odżywkę?

Przed czy po nurkowaniu w basenie, żeby odzyskać klucze? Odpycham jej rękę.

— Mamo, proszę.

— Wyglądasz prześlicznie — komplementuje mnie Colin i staje obok.

Na szczęście mama daje mi spokój, najwyraźniej zadowolona i uspokojona aprobatą Colina, mimo że moje włosy nie wyglądają idealnie.

W drodze do Shane'a przyglądam się chłopakowi, z którym jestem od dwóch lat. Pierwszy raz całowaliśmy się też u Shane'a, w drugiej klasie podczas gry w butelkę. Całowaliśmy się na oczach wszystkich przez równie pięć minut. Owszem, zmierzylili nam czas. Od tego czasu jesteśmy parą.

— Czemu tak na mnie patrzysz? — pyta Colin, zerkając na mnie.

— Przypominałam sobie nasz pierwszy pocałunek.

— U Shane'a. Niezły daliśmy popis, co? Nawet czwartoklasiści byli pod wrażeniem.

— A teraz my jesteśmy w czwartej klasie.

— I wciąż jesteśmy złotą parą, kotku — stwierdza Colin, zajeżdżając pod dom Shane'a. — No to czas zaczynać, złota para przyjechała! — wrzeszczy Colin, gdy wchodzimy do środka.

Colin idzie do chłopaków, a ja szukam Sierry. Jest w salonie. Obejmuje mnie na przywitanie i wskazuje miejsce obok siebie na kanapie. Siedzi tam już Darlene i kilka innych cheerleaderek.

— Skoro Brit już jest — mówi Sierra — możemy grać.

— Kogo byście wołały pocałować? — zaczyna Madison.

Sierra układa się wygodniej.

— Na początek coś łatwego. Mops czy pudel?

Wybucham śmiechem.

— W sensie pies?

— No tak.

— Dobra — mówię. Pudle są słodkie i milutkie, ale mopsy są bardziej męskie i mają takie groźne pyszczki, jakby chciały powiedzieć: Lepiej ze mną nie zadzieraj. I choć lubię słodkie i milusie, pudel to nie to. — Mopsa.

Morgan się krzywi.

— Fuu! Ja na pewno pudła. Mopsy mają takie zapadnięte mordki i tak ciężko dyszą. Średnia zachęta do całowania.

— Przecież nie będziemy tak naprawdę próbować, wariatko — śmieje się Sierra.

— Mam! — wołam. — Trener Garrison czy pan Harris od matematyki?

Wszystkie stwierdzają jednogłośnie:

— Garrison!

— Ale z niego ciacho — mówi Megan.

Sierra chichocze.

— Przykro mi to mówić, ale podobno jest gejem.

— Co ty gadasz — stwierdza Megan. — Jesteś pewna? Ale nawet jeśli, to i tak w ciemno biorę jego, a nie Harrisa.

— Teraz ja — wtrąca się Darlene. — Colin Adams czy Alex Fuentes?

Wszystkie spojrzenia kierują się na mnie. Nagle Sierra szturcha mnie, dając znać, że mamy towarzystwo — Colin. Czemu Darlene tak mnie wystawiła?

Wszystkie dziewczyny patrzą na stojącego za mną Colina.

— Uups. Sorki — rzuca Darlene, udając, że jej się wymknęło.

— Przecież wiadomo, że Brittany by wybrała Colina — stwierdza Sierra i wrzuca sobie precelka do ust.

Megan patrzy ze złością.

— Darlene, co ci odbiło?

— No co? Przecież to tylko zabawa, Megan.

— Tak, ale chyba bawimy się w co innego niż ty.

— Co mi chcesz przez to powiedzieć? Tylko dlatego, że nie masz chłopaka...

Colin mi a nas i wychodzi na patio. Rzucam Darlene wściekłe spojrzenie i w cichości ducha liczę, że Megan jej nagada, po czym wychodzę za Colinem na dwór.

Siedzi na leżaku przy basenie.

— Musiałaś się, do cholery, zawahać, gdy Darlene zadała to pytanie? — rzuca. — Zrobiłaś ze mnie idiotę.

— Mnie też wkurzyła.

Colin parska śmiechem.

— Nie rozumiesz? To nie Darlene jest tu winna.

— Czyli uważasz, że ja? Jakbym sama się prosiła, żeby być w parze z Alekssem.

Colin wstaje.

— Za bardzo się nie sprzeciwiałaś.

— Chcesz się kłócić, Colin?

— Może i tak. Nawet nie starasz się zachowywać jak moja dziewczyna.

— Jak możesz tak mówić? A kto cię zawiózł do szpitala, gdy zwichnąłeś nadgarstek? A kto wybiegł na boisko i pocałował cię po twoim pierwszym przyłożeniu? A kto w zeszłym roku przyjeżdżał do ciebie codziennie, jak miałeś ospę?

Odbyłam lekcję jazdy, choć się o to nie prosiłam. Pijana straciłam przytomność w ramionach Aleksa, ale nie działałam przeciw wtedy świadomie. Do niczego z Alekssem nie doszło. Jestem niewinna, nawet jeśli moje myśli nie zawsze to poświadczają.

— To było w zeszłym roku. — Colin bierze mnie za rękę i prowadzi do domu. — Musisz mi udowodnić, że mnie kochasz. Teraz.

Wchodzimy do pokoju Shane'a, a Colin pociąga mnie za sobą na łóżko.

Odpycham go, kiedy zaczyna pieścić mi szyję.

— Przestań się zachowywać tak, jakbym cię do czegoś zmuszał, Brit — mamrocze Colin. Łóżko skrzypi pod jego ciężarem. — Od początku roku szkolnego zachowujesz się jak jakaś cholerna cnotka.

Siadam prosto.

— Nie chcę, żeby nasz związek opierał się na seksie. Prawie w ogóle ze sobą nie rozmawiamy.

— No to mów — stwierdza Colin, a jego ręce wędrują na moje piersi.

— Ty pierwszy. Najpierw ty coś powiedz, a potem ja.

— To największa bzdura, jaką kiedykolwiek słyszałem. Nie mam nic do powiedzenia, Brit. Jeśli ty potrzebujesz pogadać, to mów.

Oddycham głęboko, zła, że czuję się swobodniej z Alekssem niż tu z Colinem. Nie możemy się rozstać. Moja mama by zaczęła świrować, moi przyjaciele by zaczęli świrować... układ słoneczny by się rozpadł...

Colin kładzie mnie obok siebie na łóżku. Nie mogę z nim zerwać tylko dlatego, że boję się seksu. W końcu on też jeszcze tego nie robił. I czeka na mnie, żebyśmy mogli razem przeżyć nasz pierwszy raz. Większość naszych znajomych już to robiła. Może głupio się zachowuję. Może cała moja fascynacja Alekssem to tylko wymówka, żeby nie musieć tego zrobić z Colinem.

Ramię Colina obejmuje mnie w pasie. Jesteśmy razem od dwóch lat. Po co niszczyć to wszystko z powodu głupiego zauroczenia kimś, z kim nie powinnam nawet rozmawiać?

Gdy usta Colina znajdują się kilka centymetrów od moich, mój wzrok nagle tężeje. Na komodzie stoi zdjęcie. Shane i Colin na plaży podczas ostatnich wakacji. Są z nimi dwie dziewczyny, a Colin obejmuje mocno jedną z nich — ładną brunetkę z krótką rozwichrzoną fryzurką. Uśmiechają się radośnie, jakby łączyła ich jakaś wspólna tajemnica, której nikomu nie zdradzą.

Pokazuję na zdjęcie.

— Kto to? — pytam, starając się mówić lekko.

— A takie dwie dziewczyny, które poznaliśmy na plaży — mówi i odchyła się, żeby zerknąć na zdjęcie.

— Jak ma na imię ta, którą obejmujesz?

— Nie wiem. Chyba Mia czy jakoś tak.

— Wyglądacie jak para — mówię.

— Przestań gadać bzdury. Chodź tu — nakazuje, podciągając się do góry i zasłaniając mi

zdjęcie swoim ciałem. — Teraz chcę tylko ciebie, Brit.

Co to znaczy „teraz”? Czyli że latem chciał Mię, a teraz chce mnie? A może za dużo się doszukuję w jego słowach?

Zanim udaje mi się pójść dalej tym tropem, Colin podciąga mi sukienkę i stanik pod brodę. Staram się dopasować do sytuacji i przekonać samą siebie, że moje wahanie wypływa wyłącznie ze strachu.

— Zamknąłeś drzwi na klucz? — pytam, odsuwając mój niepokój w najdalsze zakamarki umysłu.

— Tak — odpowiada Colin, skupiony wyłącznie na moich piersiach.

Wiedząc, że powinnam być bardziej aktywna, choć ciężko mi się do tego zmusić, dotykam wybrzuszenia na spodniach Colina.

Colin podnosi się, odpycha moją rękę i sam rozpina rozporek. Opuszcza spodnie do kolan i mówi:

— Chodź, Brit. Spróbujemy czegoś nowego.

Coś tu jest nie tak, wszystko wydaje się wyreżyserowane. Przysuwam się bliżej, choć myślami jestem daleko.

Drzwi uchylają się i pojawia się w nich głowa Shane'a. Jego usta rozciągają się w szerokim uśmiechu.

— Jasna dupa! Gdzie komórka, gdy człowiek potrzebuje zrobić zdjęcie?

— Mówiłeś, że zamknąłeś drzwi na klucz! — rzucam z wściekłością do Colina i szybko naciągam na siebie stanik i sukienkę. — Kłamałeś.

Colin zasłania się kocem.

— Do jasnej cholery, Shane, daj nam odrobinę prywatności, co? A ty, Brit, przestań się drzeć jak wariatka.

— Jeśli przypadkiem nie zauważyłeś, jesteście w moim pokoju — mówi Shane. Opiera się o drzwi i patrzy na mnie znacząco. — Brit, przyznaj się. Są prawdziwe?

— Ale z ciebie świnia, Shane — mówię i odsuwam się od Colina.

Zeskakuję z łóżka, a Colin stara się złapać mnie za rękę.

— Wracaj, Brit. Przepraszam, że nie zamknąłem drzwi. Dałem się ponieść chwili.

Problem w tym, że niezamknięte drzwi to tylko jeden z powodów mojej wściekłości. Bez zastanowienia nazwał mnie wariatką. I nie bronił mnie przed Shane'em. Odwracam się do mojego chłopaka.

— Tak?! A ja daję się teraz ponieść moim nogom i wychodzę — krzyczę.

O pierwszej trzydzieści w nocy patrzę w swoim pokoju na komórkę. Colin dzwonił trzydzieści sześć razy. I zostawił dziesięć wiadomości. Odkąd Sierra odwiozła mnie do domu, całkowicie go ignorowałam. Głównie dlatego, że musiałam najpierw trochę się uspokoić. Strasznie mi wstyd, że Shane widział mnie na wpół nagą. Zanim znalazłam Sierrę i poprosiłam ją, żeby odwiozła mnie do domu, co najmniej pięć osób podśmiewało się już z mojego striptizu w pokoju Shane'a. Nie chcę wybuchać tak jak moja mama, a u Shane'a niewiele mi brakowało.

Przy trzydziestym dziewiątym telefonie od Colina puls osiągnął już chyba dolną granicę swoich możliwości na ten wieczór.

W końcu odbieram.

— Przestań do mnie wydzwaniać — żądam.

— Przystanę, jeśli wysłuchasz, co mam do powiedzenia — stwierdza Colin po drugiej stronie słuchawki, wyraźnie zdenerwowany.

— No to mów. Słucham.

Słyszę, jak bierze głęboki wdech.

— Przepraszam, Brit. Przepraszam, że nie zamknąłem drzwi na klucz. Przepraszam, że chciałem uprawiać seks. Przepraszam, że jednemu z moich najlepszych kumpli wydaje się, że jest zabawny, chociaż nie jest. Przepraszam, że nie jestem w stanie znieść widoku ciebie i Fuentesesa na chemii. Przepraszam, że się zmieniłem podczas wakacji.

Nie wiem, co mam powiedzieć. Faktycznie się zmienił. A ja? Czy jestem tą samą osobą,

która żegnała się z nim przed wyjazdem na wakacje? Nie wiem. Jedną rzecz wiem jednak na pewno.

— Colin, nie chcę się już więcej kłócić.

— Ja też nie. Czy możesz po prostu wykasować dzisiejszy wieczór z pamięci? Obiecuję, że ci to wynagrodzę. Pamiętasz naszą rocznicę w zeszłym roku, gdy wujek zabrał nas cesseną na jeden dzień do Michigan?

Polecieliśmy do jakiegoś kurortu. Wieczorem poszliśmy na kolację do restauracji, a na stoliku stał ogromny bukiet czerwonych róż i turkusowe pudełeczko. W środku była bransoletka od Tiffany'ego z białego złota.

— Pamiętam.

— Dokupię ci kolczyki do tej bransoletki, Brit.

Nie mam serca mu mówić, że to nie na kolczykach mi zależy. Bransoletka strasznie mi się podoba i cały czas ją noszę. Ale to, co mnie wtedy rozczuliło, to nie sam prezent, ale świadomość, że Colin stanął na głowie, żeby zorganizować dla nas coś absolutnie wyjątkowego. O tym pamiętam, patrząc na tę bransoletkę. Nie o prezencie, ale o intencji. Odkąd zaczęła się szkoła, widzę tylko niewyraźne przeblyski tego dawnego Colina.

Drogie kolczyki będą dla mnie symbolem przeprosin Colina i będą mi ciągle przypominać o dzisiejszym wieczorze. Mogą też obudzić we mnie poczucie winy, zmuszając do tego, żebym też mu coś dała... na przykład swoje dziewictwo. Być może Colin nie robi tego w tym celu, ale już sam fakt, że taka myśl pojawiła mi się w głowie, coś znaczy. Niepotrzebna mi taka presja.

— Nie chcę kolczyków, Colin.

— A co byś w takim razie chciała? Powiedz.

Potrzebuję chwili czasu na zastanowienie. Pół roku temu mogłabym napisać książkę o tym, czego bym chciała. Ale od początku roku szkolnego wszystko się zmieniło.

— Na razie nie wiem, czego chcę. — Przykro mi, że to mówię, ale taka jest prawda.

— A jak już się dowiesz, dasz mi znać?

Tak, o ile się dowiem.

28. Alex

W poniedziałek nie mogę się doczekać chemii, ale staram się nie wyciągać w związku z tym zbyt daleko posuniętych wniosków. Na pewno jednak to nie panią P. chcę zobaczyć, tylko Brittany.

Wchodzi do klasy tuż przed dzwonkiem.

— Cześć — witam się.

— Cześć — mruczy w odpowiedzi. Nie uśmiecha się, wzrok ma przygaszony. Coś ją zdecydowanie gnębi.

— No dobrze — mówi pani P. — Przygotujcie coś do pisania. Zobaczymy, jak wam idzie nauka.

W głębi ducha jestem wściekły na panią P., że nie zaplanowała na dziś zajęć laboratoryjnych, żebym mógł porozmawiać z Brittany. Zerkam na swoją parę. Chyba w ogóle nie jest przygotowana. Budzi się we mnie instynkt opiekuńczy, choć nie mam do niego żadnych praw, i podnoszę rękę.

— Boję się spytać, o co chodzi, Alex — mówi pani P., spoglądając na mnie.

— Jedno małe pytanko.

— Słucham. Tylko szybko.

— Możemy korzystać z pomocy naukowych, prawda?

Nauczycielka piorunuje mnie wzrokiem znad okularów.

— Nie, Alex, nie możecie korzystać z pomocy naukowych. A jeśli się nie przygotowałeś, to dostaniesz dużą, tłustą jedynkę. Zrozumiano?

W odpowiedzi zrzuca z głośnym hukiem na podłogę książki.

Pani P. rozdaje nam testy i czytam pierwsze pytanie. „Gęstość Al (aluminium) wynosi 2,7 grama na milimetr. Podaj objętość 10,5 grama Al (aluminium)”.

Robię obliczenia, po czym zerkam na Brittany. Wpatruje się pustym wzrokiem w kartkę.

Zauważa moje spojrzenie i warczy tylko:

— Co?

— Nic. *Nada*.

— To przestań się na mnie gapić.

Pani P. patrzy na nas. Biorę głęboki wdech, żeby się uspokoić i wracam do testu. Czy Brittany naprawdę musi to robić? Musi tak się zmieniać bez ostrzeżenia? Co ją ugryzło?

Kątem oka widzę, że moja para zdejmuje z haczyka przy drzwiach przepustkę umożliwiającą wyjście do toalety. Problem w tym, że nie pomoże jej to uciec przed życiem. Po wyjściu z toalety życie wciąż będzie toczyć się dalej. Przekonałem się o tym na własnej skórze. Nie da się schować w kiblu przed problemami.

Po powrocie do klasy Brittany kładzie głowę na stole i rozwiązuje test. Jeden rzut oka na nią wystarczy, żebym wiedział, że w ogóle się nie skupia i robi to na odwal. Pani P. zbiera sprawdziany, a moja partnerka wpatruje się pustym wzrokiem przed siebie.

— Jeśli cię to pocieszy — mówię cicho, żeby tylko ona mnie słyszała — w ósmej klasie oblałem zajęcia z pierwszej pomocy, bo wsadziłem manekinowi do ust zapalonego papierosa.

Brittany nawet nie podnosi głowy, tylko mówi:

— Super.

Z głośników zaczyna lecieć muzyka, sygnalizując koniec lekcji. Widzę, że złociste włosy Brittany nie podskakują ze zwykłą energią, gdy wychodzi powoli z klasy, o dziwo bez swojego chłopaka. Zastanawiam się, czy uważa, że wszystko jej się samo od życia należy, nawet dobre stopnie.

Ja muszę na wszystko ciężko pracować. Nic nie spada mi z nieba.

— Hejka, Alex. — Obok mojej szafki stoi Carmen. No dobra, niektóre rzeczy spadają mi z nieba.

— *Que pasa?* Co tam?

Moja była dziewczyna nachyla się. Ma na sobie bluzkę z wyjątkowo dużym dekoltem.

— Idziemy w kilka osób po lekcjach na plażę. Chcesz iść?

— Muszę pracować — mówię. — Może później do was dołączę.

Myślę o weekendzie dwa tygodnie temu. Po tym, jak pojechałem do Brittany, a jej matka potraktowała mnie z taką wyższością, poniosło mnie.

Zapijanie urażonej dumy to głupi pomysł. Chciałem spędzić czas z Brittany, pobyc z nią nie tylko ze względu na wspólną naukę, ale żeby dowiedzieć się też, co się kryje za tymi jasnymi puklami. Moja koleżanka z ławki mnie wystawiła. W przeciwieństwie do Carmen. Nie pamiętam tego dokładnie, ale przypominam sobie jak przez mgłę, że Carmen stała ze mną w jeziorze i przytuliła się do mnie. A potem siedziała mi na kolanach przy ognisku, gdy paliliśmy coś znacznie mocniejszego niż marlboro. W takim stanie, gdy byłem nabzdrygolony, upalony i urażony do żywego, każda dziewczyna by mi pasowała.

Carmen była pod ręką, zwarta i gotowa, i jestem jej winny przeprosiny, bo nawet jeśli to ona zarzucała przynętę, nie powinienem się na nią łapać. Będę się z nią musiał spotkać i przeprosić, że zachowałem się jak palant.

Po lekcjach wokół mojego motocykla gromadzi się tłumek. Cholera, jeśli coś się stało z Julio, przyrzekam, że skopię komuś tyłek. Nie muszę się przeciskać, bo gdy się pojawia, ludzie sami robią mi przejście.

Czuję, że wszyscy się na mnie gapią, gdy oceniam akt wandalizmu wymierzony przeciwko mojemu motorowi. Myślę, że się wścieknę. No bo kto by się odważył przymocować do kierownicy różową trąbkę z dziecinnego rowerka i przykleić do uchwytów lśniące serpentyny? Coś takiego nikomu nie uszloby na sucho.

Nikomiu poza Brittany.

Rozglądam się, ale nie ma jej nigdzie w pobliżu.

— To nie ja — mówi szybko Lucky.

Cała reszta też się wykręca.

Padają sugestie, kto mógł być sprawcą. „Colin Adams, Greg Hanson...” Nie słucham, bo

wiem aż za dobrze, kto za tym stoi. To moja partnerka z chemii, ta sama, która ignorowała mnie dziś cały dzień.

Jednym ruchem zrywam serpentyny i odkręcam różowy, gumowy klakson. Różowy. Zastanawiam się, czy kiedyś miała go przy swoim rowerku.

— Zejdźcie mi z drogi — mówię do zebranych wokół mnie ludzi. Dość szybko się rozchodzą, przekonani, że jestem wściekły i że w związku z tym lepiej nie wchodzić mi w drogę. Czasem zgrywanie twardziela ma pewne zalety. A jaka jest prawda? Wykorzystam różową trąbkę i serpentyny jako wymówkę, żeby znów porozmawiać z Brittany.

Gdy zostaję sam, idę na boisko futbolowe. Drużyna cheerleaderek ma jak zwykle trening.

— Szukasz kogoś?

Odwracam się i widzę Darlene Boehm, koleżankę Brittany.

— Jest tu gdzieś Brittany? — pytam.

— Nie.

— A wiesz, gdzie jest?

Alex Fuentes dopytuje się o Brittany Ellis? Spodziewam się, że każe mi sływać. Albo odczepić się od Brittany.

Zamiast tego Darlene mówi:

— Pojechała do domu.

Dziękuję pod nosem, odwracam się i wracam na parking, po drodze wybierając numer mojego kuzyna.

— Warsztat Samochodowy Enrique.

— Tu Alex. Spóźnię się dziś do pracy.

— Znów musisz zostać za karę po lekcjach?

— Nie, nic z tych rzeczy.

— Dopilnuj tylko, żeby skończyć lexusa dla Chuya. Powiedziałem mu, że może go odebrać dziś o siódmej, a wiesz, jaki jest, gdy nie wywiążesz się z obietnicy.

— O to się nie martw — uspokajam, myśląc o pozycji Chuya w Krwi. To gość, z którym nikt nie chce zadzierać, gość, który urodził się chyba z jakimś defektem mózgu i nie zna pojęcia empatii. Jeśli ktoś okazuje się nielojalny, Chuy ma albo nauczyć go lojalności na nowo, albo dopilnować, żeby już nigdy nie był w stanie donosić. Stosując w tym celu wszelkie możliwe środki, łącznie z groźbą pozbawienia życia. — Zdążę.

Dziesięć minut później pukam do drzwi Ellisów z różową trąbką i wstążkami w dłoni, starając się wyglądać tak, jakbym miał wszystko w głębokim poważaniu.

Kiedy jednak Brittany otwiera drzwi w powyciąganym T-shircie i krótkich spodenkach, odbiera mi mowę.

Jej jasnoniebieskie oczy otwierają się szeroko.

— Co ty tu robisz, Alex?

Podaję jej trąbkę i wstążki.

Wrywa mi je z ręki.

— Nie wierzę, że przyjechałeś tu z powodu głupiego dowcipu.

— Musimy pogadać o paru sprawach. Nie tylko o głupich dowcipach.

Przełyka nerwowo ślinę.

— Nie jestem w najlepszej formie, okej? Porozmawiamy w szkole. — Próbuje zamknąć drzwi.

Cholera, nie wierzę, że zachowam się zaraz jak jakiś prześladowca z filmów. Przytrzymuję drzwi, żeby nie mogła ich zamknąć. *Que mierda!*

— Alex, proszę.

— Wpuść mnie. Na chwilę. Proszę.

Kręci głową, a jej anielskie loczki opadają to na jedną, to na drugą stronę twarzy.

— Moi rodzice nie lubią, gdy ktoś do mnie przychodzi.

— A są w domu?

— Nie. — Wzdycha, po czym otwiera z wahaniem drzwi.

Wchodzę do środka. Dom jest większy, niż wygląda z zewnątrz. Ściany lśnią bielą, przez co wewnątrz kojarzy mi się ze szpitalem. Przysięgam, że kurz nie miałby chyba odwagi osadzać się na podłogach i meblach. W dwupiętrowym holu wznoszą się ogromne schody i mogłyby spokojnie konkurować z tymi z *Dźwięków muzyki*, które kazali nam oglądać w gimnazjum. Podłoga lśni jak tafla wody.

Brittany miała rację. Nie pasuję tu. Ale nie ma to większego znaczenia, bo nawet jeśli, to ona tu jest, a ja chcę być tam, gdzie ona.

— O czym chciałeś porozmawiać? — pyta.

Naprawdę wolałbym, żeby szorty nie odsłaniały jej długich szczupłych nóg. Nie mogę się przez nie skupić. Odwracam głowę, bo muszę za wszelką cenę zachować zdolność logicznego myślenia. To co z tego, że ma pełne nogi. To co, że jej oczy są przejrzyste jak szklane kulki. To co, że potrafi z godnością znosić płatane jej psikusy, a potem się zemścić.

Kogo ja chcę oszukać? Jestem tu tylko z jednego, oczywistego powodu: chcę być blisko niej. Mam gdzieś zakład.

Chcę się dowiedzieć, jak rozśmieszyć tę dziewczynę. Chcę wiedzieć, czemu płacze. Chcę poznać to uczucie, gdy patrzy na mnie jak na rycerza w lśniącej zbroi.

— Błii! — przerywa ciszę głos dochodzący z głębi domu.

— Zaczekaj tu — mówi Brittany i biegnie korytarzem w prawo. — Zaraz wracam.

Nie będę sterczeć w holu jak jakiś palant. Idę za nią, wiedząc, że zaraz zajrzę do jej prywatnego świata.

29. Brittany

Nie wstydzę się niepełnosprawnej siostry. Ale nie chcę, żeby Alex ją oceniał. Nie zniosę, jeśli zacznie się z niej śmiać. Okręcam się na pięcie.

— Nie bardzo umiesz stosować się do poleceń, co?

Uśmiecha się, jakby mówił: A czego się spodziewałaś, należę do gangu?

— Muszę sprawdzić, co z siostrą. Mogę?

— Oczywiście. Będę miał okazję ją poznać. Spokojnie.

Powinno wywalić go z domu razem z tymi wszystkimi tatuażami. Powinno, ale tego nie robię.

Bez słowa prowadzę go do biblioteki wyłożonej ciemną, mahoniową boazerią. Shelley siedzi na swoim wózku i z dziwacznie przekrzywioną głową ogląda telewizję.

Gdy orientuje się, że ma towarzystwo, odwraca wzrok od telewizora i patrzy najpierw na mnie, a potem na Aleksa.

— To jest Alex — przedstawiam go i wyłączam telewizor. — Kolega ze szkoły.

Shelley uśmiecha się do Aleksa krzywo i naciska kłykciami na specjalną klawiaturę.

— Cześć — mówi kobiecy głos z komputera. Shelley naciska jeszcze jeden klawisz. — Jestem Shelley — artykułuje komputer.

Alex przykłęka, żeby znaleźć się na wysokości Shelley. Ten prosty gest szacunku chwytam za coś podejrzanie zbliżonego do serca. Colin zawsze ignoruje moją siostrę i traktuje ją tak, jakby była nie tylko fizycznie i umysłowo upośledzona, ale też ślepa i głucha.

— Jak się masz? — pyta Alex, po czym bierze sztywną dłoń Shelley i potrząsa nią na przywitanie. — Fajny komputer.

— To tak zwane urządzenie wspomagające komunikację — wyjaśniam. — Pomaga jej się z nami porozumiewać.

— Gra — mówi komputer.

Alex przysuwa się do Shelley. Wstrzymuję oddech i pilnuję, żeby jej ręce nie znalazły się w pobliżu jego gęstych włosów.

— Masz tu gry? — pyta.

— Tak — odpowiadam za nią. — Ostatnio ma fioła na punkcie warcabów. Shelley, pokaż mu, jak to działa.

Shelley stuka powoli kłykciami w ekran, a Alex przygląda się, wyraźnie zafascynowany.

Na ekranie pojawia się plansza do warcabów, a Shelley szturcha rękę Aleksa.

— Ty pierwsza — mówi Alex.

Shelley kręci głową.

— Chce, żebyś ty zaczął — wyjaśniam.

— Okej. — Alex dotyka ekranu.

Wszystko we mnie mięknie, gdy widzę, jak ten twardziel gra w milczeniu z moją straszą siostrą.

— Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli pójde przygotować jej coś do jedzenia? — pytam, chcąc za wszelką cenę jak najszybciej wyjść z pokoju.

— Mną się nie przejmuj — odpowiada Alex, skupiony na grze.

— Nie musisz dawać jej forów — rzucam przed wyjściem. — Radzi sobie w warcabach.

— Hm, dzięki za zaufanie, ale właściwie to staram się wygrać — mówi Alex. Ma na twarzy szeroki, szczery uśmiech i nie stara się zgrywać pewnego siebie luzaka. Zdecydowanie muszę stąd uciekać.

Kiedy kilka minut później wracam do biblioteki z jedzeniem Shelley, Alex informuje:

— Ograła mnie.

— Mówiłam, że jest niezła. Ale na razie koniec warcabów — obwieszczam Shelley, po czym odwracam się do Aleksa. — Mam nadzieję, że ci nie przeszkadza, że ją nakarmię.

— Ani trochę.

Alex siada na ulubionym skórzanym fotelu taty, a ja kładę tacę przed Shelley i karmię ją mussem jabłkowym. Jedzenie jak zwykle ląduje wszędzie naokoło. Odchylam głowę i widzę, że Alex przygląda się, jak wycieram siostrze ręcznikiem usta.

— Shelley. Powinnaś była dać mu wygrać. No wiesz, z czystej uprzejmości. — Shelley w odpowiedzi kręci tylko głową. Mus spływa jej po brodzie. — A więc to tak, co? — mówię, mając nadzieję, że ten widok nie brzydzi Aleksa. Może chcę go sprawdzić, żeby się przekonać, czy potrafi znieść obraz mojego prawdziwego życia. Na razie zdaje na piątkę. — Zaczekaj tylko, aż Alex sobie pójdzie. Pokażę ci wtedy, kto jest prawdziwym mistrzem warcabów.

Moja siostra uśmiecha się tym swoim uroczym, krzywym uśmiechem — jak tysiąc słów zamkniętych w jednej minie. Przez chwilę zapominam, że Alex wciąż się mi przygląda. Dziwnie wpuścić go do swojego życia i domu. Nie pasuje tu, a mimo to najwyraźniej w ogóle mu to nie przeszkadza.

— Czemu byłaś dziś w takim podłym nastroju na chemii? — pyta.

Bo moja siostra ma trafić do ośrodka, a wczoraj zostałam przyłapana z gołymi cymbalami, podczas gdy Colin leżał obok ze spodniami opuszczonymi do kolan.

— Na pewno słyszałaś już obrzydliwe plotki.

— Nie, nic nie słyszałam. Może wpadasz w paranoję.

Może. Shane nas widział, a on nie umie trzymać języka za zębami. Za każdym razem, gdy ktoś spojrział dziś w moją stronę, wydawało mi się, że musi wiedzieć. Patrzę na Aleksa.

— Czasem bym chciała, żeby były dni „powtórkowe”.

— Czasem bym chciał, żeby były lata „powtórkowe” — odpowiada poważnie. — Albo dni, które można przewinąć do przodu.

— Niestety w prawdziwym życiu nie ma pilota. — Gdy Shelley kończy jeść, sadzam ją przed telewizorem i prowadzę Aleksa do kuchni. — Moje życie nie wygląda już wcale tak idealnie, co? — pytam i wydaję z lodówki coś do picia.

Alex patrzy na mnie z ciekawością w oczach.

— Co?

Wzrusza ramionami.

— Chyba po prostu oboje mamy swoje problemy. W moim życiu jest więcej demonów niż w przeciętnym horrorze.

Demonów? Przecież Alex niczym się nie przejmuję. Nigdy się na nic nie skarży.

— Jakie są twoje demony? — pytam.

— *Oye*, gdybym ci o nich opowiedział, uciekłaś ode mnie gdzie pieprz rośnie.

— Myślę, że zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, przed czym uciekam, Alex. — Rozlega się bicie zegara po dziadku. Raz. Dwa. Trzy. Cztery. Pięć.

— Muszę lecieć — stwierdza Alex. — Może pouczymy się jutro po szkole. U mnie.

— U ciebie? Po południowej stronie?

— Teraz ja ci pokażę kawałek swojego życia. Wchodzisz w to? — pyta.

Przełykam ślinę.

— Wchodzę. — No to gramy dalej.

Odprowadzam go do drzwi i słyszę, że pod dom zajeżdża jakiś samochód. Jeśli to mama, to mam problem. Nieważne, że nasze spotkanie było zupełnie niewinne, ona i tak się wścieknie.

Wyglądam przez szybę w drzwiach wejściowych i rozpoznaję sportowy samochód Darlene.

— O nie. Przyjechały moje koleżanki.

— Spokojnie. Otwórz drzwi. Przecież i tak nie możesz udawać, że mnie tu nie ma. Na podjeździe stoi mój motor.

Ma rację. Nie ukryję faktu, że tu jest.

Otwieram drzwi i wychodzę na dwór. Alex idzie tuż za mną, gdy wychodzę naprzeciw Darlene, Morgan i Sierze.

— Cześć, dziewczyny! — witam się. Może jeśli będę zgrywać niewiniątko, nie zrobią afery z obecności Aleksa. Muskam dłonią łokieć Aleksa. — Właśnie omawialiśmy nasz projekt z chemii. Prawda, Alex?

— Prawda.

Sierra unosi wysoko brwi. Mam wrażenie, że Morgan zaraz wyciągnie telefon, żeby powiadomić pozostałe Emki, że z mojego domu wyszedł właśnie Alex Fuentes.

— Mamy sobie iść, żebyście mogli zostać sami? — pyta Darlene.

— Przestań gadać bzdury — mówię trochę zbyt pospiesznie.

Alex podchodzi do swojego motocykla. Koszula opina mu się na idealnych, muskularnych plecach, a dzinsy opinają się na idealnych, muskularnych...

Wkłada kask i wskazuje ręką w moim kierunku.

— Widzimy się jutro.

Jutro. U niego.

Kiwam głową.

Gdy Alex znika z pola widzenia, Sierra mówi:

— Co to miało być?

— Chemia — mruczę.

Morgan rozdziawia buzię, nie mogąc otrząsnąć się z szoku.

— Robiliście to? — pyta Darlene. — Bo przyjaźnię się z tobą od dziesięciu lat, a na palcach jednej ręki mogę policzyć, ile razy zaprosiłaś mnie do siebie do domu.

— Robimy razem projekt z chemii.

— To gangster, Brit. Lepiej o tym nie zapominaj — mówi Darlene.

Sierra kręci głową:

— Zaczyna ci się podobać ktoś poza twoim chłopakiem? Colin mówił Dougowi, że ostatnio dziwnie się zachowujesz. Jesteśmy twoimi przyjaciółkami i przyjechałyśmy przemówić ci do rozsądku.

Siadam przed wejściem i słucham przez pół godziny ich gadania na temat reputacji, chłopaków i lojalności. Mają rację.

— Przyrzeknij że między tobą i Alekssem nic nie ma — mówi Sierra, gdy zostajemy same, a Morgan i Darlene czekają na nią w samochodzie.

— Między mną i Alekssem nic nie ma — zapewniam ją. — Przysięgam.

30. Alex

Mam matematykę, gdy do drzwi klasy puka ochroniarz i mówi nauczycielowi, że musi mnie wyprowadzić z lekcji. Przewracam oczami, biorę książki i pozwalam facetowi nacieszyć się możliwością upokorzenia mnie na oczach całej klasy.

— Co tym razem? — pytam. Wczoraj wyciągnęli mnie z lekcji za obrzucanie się jedzeniem na dziedzińcu szkolnym. Nie ja zacząłem. Mogłem w tym uczestniczyć, ale nie ja zacząłem.

— Idziemy na małą wycieczkę do sali do koszykówki. — Idę za ochroniarzem na boisko. — Alejandro, niszczenie szkolnego mienia to bardzo poważne wykroczenie.

— Niczego nie zniszczyłem.

— Mnie powiedziano co innego.

Powiedziano? Jest takie powiedzenie: „Kto pierwszy poczuje, od tego zalatuje”. No więc najprawdopodobniej donosił sam to zrobił.

— Gdzie to jest?

Ochroniarz wskazuje na podłogę, gdzie ktoś namalował sprayem kiepską replikę symbolu Latynoskiej Krwi.

— Możesz mi wyjaśnić, skąd to się tu wzięło?

— Nie — odpowiadam.

Podchodzi do nas drugi ochroniarz.

— Trzeba przeszukać jego szafkę — mówi.

— Doskonały pomysł. — Znajdą w niej tylko skórzaną kurtkę i podręczniki.

Gdy wprowadzam szyfr, obok przechodzi akurat pani P.

— Co się stało? — pyta ochroniarzy.

— Wandalizm. W sali do koszykówki.

Otwieram szafkę i odsuwam się, żeby mogli ją przeszukać.

— No i proszę — mówi jeden z ochroniarzy, wyjmując z górnej półki puszkę czarnego sprayu. Pokazuje mi ją. — Dalej będziesz twierdzić, że jesteś niewinny?

— Ktoś mnie wrobił. — Odwracam się do pani P., która patrzy na mnie takim wzrokiem, jakbym zamordował jej kota. — Ja tego nie zrobiłem — mówię. — Pani P., musi mi pani uwierzyć. — Widzę już oczyma wyobraźni, jak wsadzają mnie za kratki za coś, co zrobił jakiś kretyn.

Nauczycielka kręci głową.

— Alex, dowody świadczą przeciwko tobie. Chciałabym ci wierzyć, ale to raczej trudne. — Ochroniarze biorą mnie z dwóch stron i wiem, co się dalej stanie. Pani P. unosi rękę, żeby ich powstrzymać. — Alex. Musisz mi pomóc.

Mam ochotę w ogóle się nie tłumaczyć i pozwolić im żyć w przekonaniu, że to ja obsmarowałem szkolną podłogę. Pewnie i tak nie będą chcieli mnie słuchać. Ale pani P. patrzy na mnie wzrokiem młodocianego buntownika, który chce udowodnić całemu światu, że się myli.

— Symbol wygląda zupełnie inaczej — tłumaczę jej. Odsłaniam ramię. — To jest symbol Latynoskiej Krwi. Pięcioramienna gwiazda z dwiema parami wideł wychodzącymi górą i literami LK pośrodku. Na podłodze ktoś namalował sześcioramienną gwiazdę z dwoma strzałami. Nikt z Latynoskiej Krwi nie popełniłby takiego błędu.

Pani P. odwraca się do ochroniarzy:

— Gdzie jest doktor Aguirre?

— Na spotkaniu z komisarzem. Sekretarka mówiła, żeby mu nie przeszkadzać.

Peterson zerka na zegarek.

— Za piętnaście minut mam lekcję. Joe, skontaktuj się z doktorem Aguirre przez krótkofalówkę.

Joe, ochroniarz, nie jest zachwycony jej poleceniem.

— Ale przecież właśnie do takich przypadków nas zatrudniono.

— Wiem. Ale Alex jest moim uczniem i proszę mi uwierzyć na słowo, że w żadnym razie nie może dziś opuścić mojej lekcji.

Joe wzrusza ramionami i wzywa przez radio doktora Aguirre, prosząc, żeby przyszedł do skrzydła L. Gdy sekretarka pyta, czy sprawa jest pilna, pani P. zabiera Joemu krótkofalówkę i mówi, że osobiście uznała sprawę za pilną, w związku z czym doktor Aguirre powinien natychmiast przyjść do skrzydła L.

Dwie minuty później pojawia się Aguirre z poważną miną.

— O co chodzi?

— Akt wandalizmu w sali gimnastycznej — informuje Joe.

Aguirre nieruchomieje.

— Cholera, Fuentes. Znowu ty?

— To nie ja.

— W takim razie kto?

Wzruszam ramionami.

— Doktorze Aguirre, on nie kłamie — potwierdza Peterson. — Może mnie pan zwolnić, jeśli się myłę.

Aguirre kręci głową, po czym odwraca się do ochroniarza.

— Wyślij Chucka na salę, niech spróbuje to jakoś doczyścić. — Wymierza we mnie puszkę ze sprayem. — Ale ostrzegam cię, Alex. Jeśli się dowiem, że to ty, to każę cię nie tylko zawiesić, ale na dodatek aresztować. Zrozumiałeś?

Ochroniarze oddalają się, a Aguirre mówi:

— Alex, nie mówiłem ci tego wcześniej, ale powiem teraz. W ogólniaku uważałem, że cały świat jest przeciwko mnie. Byłem do ciebie bardzo podobny. Potrzebowałem cholernie dużo czasu, żeby się przekonać, że to ja jestem swoim największym wrogiem. Gdy wreszcie to sobie uświadomiłem, zupełnie zmieniłem swoje życie. Pani Peterson i ja nie jesteśmy twoimi wrogami.

— Wiem — przyznaję i naprawdę w to wierzę.

— To dobrze. A teraz mam ważne spotkanie. Przepraszam, ale muszę wracać do gabinetu.

— Dziękuję, że mi pani uwierzyła — zwracam się do pani P. po odejściu Aguirre.

— Wiesz, kto to namalował? — pyta.

Patrzę jej prosto w oczy i mówię zgodnie z prawdą:

— Nie mam pojęcia. Ale jestem pewny, że raczej żaden z moich przyjaciół.

Peterson wzdycha.

— Gdybyś nie należał do gangu, Alex, nie miałbyś takich problemów.

— Tak, ale miałbym inne.

31. Brittany

Wygląda na to, że część z was uważa mój przedmiot za mało ważny — mówi pani Peterson. Zaczyna nam rozdawać wczorajsze sprawdziany.

Kulę się w krześle, gdy pani Peterson podchodzi do stanowiska, które dzielę z Alekssem. Naprawdę nie potrzeba mi jeszcze dodatkowo jej gniewu.

— Dobra robota — mówi nauczycielka i kładzie mój test przede mną, odpowiedziami do dołu. Potem odwraca się do Aleksa. — Jak na kogoś, kto chce zostać nauczycielem chemii, nie najlepiej pan zaczyna, panie Fuentes. Jeśli nie będziesz przygotowywać się do lekcji, może na przyszłość dwa razy się zastanowię, zanim wstawię się za tobą.

Kładzie przed Alekssem jego sprawdzian, trzymając go między kciukiem a palcem wskazującym, jakby kartka była zbyt obrzydliwa, żeby dotykać ją resztą palców.

— Proszę, żebyś został chwilę po lekcji — mówi, po czym oddaje resztę sprawdzianów.

Nie rozumiem, czemu pani Peterson mnie nie objechała. Odwracam kartkę i widzę na górze dużą piątkę. Pocieram sobie czoło i wpatruję się w sprawdzian jeszcze raz. Musiała zająć jakaś pomyłka. Nie mija jednak nawet ułamek sekundy, a już wiem, komu mam podziękować za ocenę. Dostaję prawdę jak obuchem w głowę. Patrzę na Aleksa, który wciska swój niezaliczony sprawdzian do książki.

— Czemu to zrobiłeś? — Czekam, aż pani Peterson skończy rozmawiać z Alekssem po lekcji i dopiero wtedy zaczynam. Stoję przy jego szafce, a on właściwie nie zwraca na mnie uwagi. Postanawiam nie przejmować się spojrzeniami, które czuję na karku.

— Nie wiem, o czym mówisz — odpowiada.

Jasne!

— Zamieniłeś nasze testy.

Alex zatrząskuje szafkę.

— Słuchaj, to nic takiego.

Nieprawda. Odchodzi, jakby uznał, że to załatwia sprawę. Widziałam przecież, jak pilnie rozwiązuje zadania, a kiedy zerknęłam na dużą, czerwoną jedynekę na jego teście, rozpoznałam własną pracę.

Po lekcjach wybiegam ze szkoły, żeby go złapać. Siedzi już na motocyklu i szykuje się do odjazdu.

— Alex, czekaj!

Jestem zestresowana i odgarniam włosy za ucho.

— Wskakuj — rzuca.

— Co?

— Wskakuj. Jeśli chcesz mi podziękować za to, że uratowałem ci tyłek na chemii, jedź do mnie. Wczoraj nie żartowałem. Ty uchyliłaś zasłony do swojego życia, więc ja chcę uchylić do swojego. To chyba uczciwy układ, nie?

Rozglądam się po parkingu. Część osób patrzy w naszą stronę, gotowa rozpowiadać już o tym, że rozmawiam z Alekssem. Jeśli faktycznie z nim pojedę, plotki rozejdą się lotem błyskawicy.

Dźwięk ryczącego silnika motoru Aleksa każe mi wrócić do niego myślami.

— Nie bój się tego, co sobie pomyślą.

Patrzę na niego: na jego poszarpane dżinsy, skórzaną kurtkę i czerwono-czarną bandanę, którą właśnie zawiązał sobie na głowie. Na barwy jego gangu.

Powinna być przerażona. Ale nagle przypominam sobie, jak zachował się wczoraj w stosunku do Shelley.

A do cholery.

Przekładam torbę z książkami na plecy i wsiadam na motor.

— Trzymaj się mocno — mówi i układa sobie moje ręce wokół pasa. Sam dotyk jego silnych dłoni przytrzymujących moje jest dla mnie jak intymna pieśczoła. Zastanawiam się, czy Alex odczuwa to podobnie, ale szybko odsuwam od siebie tę myśl. Alex Fuentes to twardy facet. Doświadczony. Nie ekscytuje się zwykłym dotykiem dłoni.

Alex muska opuszkami palców moje dłonie i dopiero potem łapie za kierownicę. O Boże. W co ja się pakuję?

Wyjeżdżamy na pełnym gazie z parkingu, a ja obejmuję Aleksa mocniej w pasie, czując jego twarde jak skała mięśnie brzucha. Przeraża mnie prędkość, z jaką jedziemy. Kręci mi się w głowie, jakbym znajdowała się na kolejce górskiej, bez zabezpieczenia.

Motocykl staje na światłach. Odchylam się.

Alex parska śmiechem i po zmianie światła znów gazuje. Ściskam go kurczowo w pasie i wciskam twarz w jego plecy.

Gdy w końcu się zatrzymujemy, Alex opiera motor na nóżce, a ja rozglądam się wokoło. Nigdy wcześniej nie byłam na tej ulicy. Domy są strasznie... małe. Większość ma tylko jedno piętro. Kot się między nimi nie przecisnie. Mimo że staram się zwalczyć w sobie to uczucie, z przykrości ściska mnie w dołku.

Mój dom jest co najmniej siedem, a może nawet osiem czy dziewięć razy większy od domu Aleksa. Wiem, że ta część miasta jest biedna, ale...

— To był błąd — mówi Alex. — Odwiozę cię do domu.

— Czemu?

— Między innymi ze względu na wyraz odrazy na twojej twarzy.

— Nie czuję odrazy. Raczej jest mi przykro...

— Nigdy się nade mną nie użalaj — ostrzega. — Jestem biedny, ale nie bezdomny.

— W takim razie zaprosisz mnie do środka, czy nie? Ludzie po drugiej stronie ulicy gapią się na mnie, bo jestem biała.

— Tutaj nazywają cię „śnieżynką”.

— Nie cierpię śniegu.

Alex uśmiecha się szeroko.

— Ale nie ze względu na zimno, *querida*. Ze względu na śnieżnobiałą skórę. Chodź ze mną i nie gap się na sąsiadów, nawet jeśli oni się na ciebie gapią.

Wyczuwam jego niepewność, gdy prowadzi mnie do domu.

— A więc tak to wygląda — zaprasza mnie gestem do środka.

Salon jest pewnie mniejszy od najmniejszego pokoju w moim domu, ale za to ciepły i przytulny. Na kanapie leżą dwa kolorowe wełniane koce, którymi z przyjemnością bym się nakryła w chłodniejszą noc. U mnie w domu nie ma koców. Mamy kołdry... szyte na zamówienie, żeby pasowały do wystroju wnętrza.

Chodzę po domu Aleksa, muskając meble palcami. Na półeczce z wypalonymi częściowo świecami stoi zdjęcie przystojnego mężczyzny. Czuję ciepło ciała Aleksa, gdy zatrzymuje się tuż za mną.

— To twój tata? — pytam.

Potwierdza skinieniem głowy.

— Nie chcę sobie nawet wyobrazić, co bym czuła, gdybym to ja straciła tatę. — Mimo że nie ma go zbyt często w domu, stanowi stały element mojego życia. Ciągłe wymagam od rodziców czegoś więcej. A może powinnam po prostu się cieszyć, że w ogóle ich mam?

Alex wpatruje się w zdjęcie swojego taty.

— Zaraz po jesteś oszołomiona i próbujesz nie dopuszczać do siebie prawdy. To znaczy wiesz, że nie żyje, ale czujesz się jak we mgle. Potem życie wraca na dawne tory i po prostu za nim podążasz. — Wzrusza ramionami. — W końcu przestajesz myśleć o tym aż tak dużo i idziesz dalej. Nie ma innego wyjścia.

— To trochę jak sprawdzian. — Dostrzegam swoje odbicie w lustrze na ścianie. Odruchowo przeczesuję palcami włosy.

— Ciągłe to robisz.

— Co?

— Poprawiasz sobie włosy i makijaż.

— A co złego w tym, że staram się dobrze wyglądać?

— Nic, póki nie zamienia się to w obsesję.

Opuszczam ręce, żałując, że nie mogę ich sobie przykleić do boków na stałe.

— Nie mam obsesji.

Alex wzrusza ramionami.

— Czy to naprawdę takie ważne, żeby ludzie uważali cię za piękną?

— Nie obchodzi mnie, co myślą inni — kłamię.

— Bo jesteś... piękna, znaczy się. Ale to nie powinno mieć dla ciebie aż takiego znaczenia.

Wiem o tym. Ale w moich sferach cudze oczekiwania mają ogromne znaczenie. A skoro o oczekiwaniach mowa...

— Co ci powiedziała pani Peterson po lekcji?

— E, to co zwykle. Że jeśli nie zacznę traktować nauki poważnie, zamieni moje życie w koszmar.

Przełykam ślinę, nie do końca pewna, czy powinnam informować go o swoich zamiarach.

— Powiem jej, że podmieniłeś te testy.

— Nie rób tego — mówi i odsuwa się ode mnie.

— Czemu?

— Bo nie ma po co.

— Jest po co. Musisz mieć dobre stopnie, żeby dostać się na...

— Na co? Na dobre studia? Nie żartuj. Nie idę na studia i dobrze o tym wiesz. Wy, dzieciaki z bogatych domów, tak się przejmujecie średnią, jakby stanowiła o waszej wartości. Ja tego nie potrzebuję, więc nie musisz mi wyświadczać żadnej przysługi. Wystarczy mi trójka z chemii. Ważne tylko, żeby ogrzewacze były ekstra.

Jeśli o mnie chodzi, zrobię wszystko, żeby nasz projekt został oceniony na szóstkę.

— Gdzie twój pokój? — zmieniam temat. Kładę torbę z książkami na podłodze w salonie. — Pokój bardzo dużo mówi o człowieku.

Alex wskazuje na jakieś drzwi z boku. Większość niewielkiej przestrzeni zajmują trzy łóżka, miejsca wystarcza tylko na małą komodę. Rozglądam się po małym pokoiku.

— Dzielę pokój z dwoma braćmi — wyjaśnia Alex. — Nie ma tu specjalnie miejsca na prywatność.

— Pozwól mi zgadnąć, które łóżko jest twoje — mówię z uśmiechem.

Przyglądam się każdemu łóżku. Na jednej ścianie wisi zdjęcie ładnej latynoskiej dziewczyny.

— Hm... — mruczę, zerkając na Aleksa i zastanawiając się, czy tak wygląda jego ideał.

Mijam powoli Aleksa i przyglądam się drugiemu łóżku. Wiszą nad nim zdjęcia piłkarzy. Na łóżku panuje bałagan i cała jego powierzchnia jest zasłana porozrzucanymi ubraniami.

Na ścianie przy trzecim łóżku nic nie wisi, jakby osoba, która na nim spała, była tu tylko gościem. To niemal smutne, bo dwie pierwsze ściany tak wiele mówią o osobach, które pod nimi śpią, a ta jedna jest całkiem goła.

Siadam na łóżku Aleksa — na tym smutnym i pustym — i patrzę mu w oczy.

— Twoje łóżko dużo o tobie mówi.

— Tak? A co?

— Zastanawiam się, czemu uważasz, że nie zabawisz tu długo? — pytam. — Chyba że tak naprawdę chcesz iść na studia.

Alex opiera się o framugę.

— Nie wyjadę z Fairfield. Nigdy.

— Nie zależy ci na wyższym wykształceniu?

— Teraz gadasz jak cholerny doradca zawodowy w szkole.

— Nie chcesz się stąd wyrwać i zacząć żyć na własny rachunek? Odciąć się od przeszłości?

— Dla ciebie wyjazd na studia to ucieczka — stwierdza.

— Ucieczka? Alex, w ogóle nie wiesz, o czym mówisz. Idę na taką uczelnię, z której będę miała blisko do siostry. Najpierw miało to być Northwestern, a teraz Uniwersytet Kolorado. Moje życie zależy od widzimisię moich rodziców i od tego, gdzie akurat chcą oddać moją siostrę. Jeśli chcesz iść na łatwiznę, to faktycznie tu zostań.

— Myślisz, że to proste być głową rodziny? Cholera, pilnowanie, żeby mama nie zaczęła się zadawać z jakimś łajdakiem i żeby moi bracia nie zaczęli brać jakiegoś gówna, to wystarczający powód, żebym tu został.

— Przykro mi.

— Prosiłem, żebyś się nade mną nie litowała.

— Nie — mówię, patrząc mu w oczy. — Czujesz się tak mocno związany ze swoją rodziną, a mimo to nie masz przy łóżku nic swojego, jakbyś miał w każdej chwili stąd odejść. Z tego powodu mi przykro.

Alex robi krok w tył i przerywa mi:

— Skończyłaś już swoją psychoanalizę? — pyta.

Wracam za nim do salonu, wciąż się zastanawiając, jak Alex widzi swoją przyszłość. Mam wrażenie, że jest gotowy opuścić ten dom... albo ten świat. Czy to możliwe, że nie kładąc przy łóżku nic swojego, Alex w jakimś sensie szykuje się na śmierć? Że czeka go taki sam los jak jego ojca?

Czy to właśnie miał na myśli, mówiąc o demonach?

Przez kolejne dwie godziny siedzimy na kanapie w salonie i tworzymy wstępny plan projektu ogrzewaczy do rąk. Alex jest dużo mądrzejszy, niż myślałam. Ta piątka z testu nie była przypadkowa. Ma mnóstwo pomysłów, jak zebrać materiały w Internecie i w bibliotece na temat sposobu konstrukcji ogrzewaczy i różnych ich zastosowań. Potrzebne nam będą odczynniki, które dostarczy pani Peterson, plastikowe woreczki z suwakami, w których je umieścimy, a żeby dodatkowo zapunktować, postanawiamy zrobić futerał z materiału, który kupimy w sklepie krawieckim. Celowo skupiam się na chemii i nie zbaczam na żadne osobiste tematy.

Zamykam podręcznik i widzę kątem oka, że Alex przeczesuje sobie ręką włosy.

— Słuchaj, nie chciałem być dla ciebie nieprzyjemny.

— Nic nie szkodzi. Byłam zbyt wścibska.

— Masz rację.

Robi mi się przykro i wstaję. Łapie mnie za rękę i sadza znów na kanapie.

— Nie. Masz rację co do mnie. Nie mam tu nic swojego.

— Czemu?

— Przez tatę — mówi i patrzy na zdjęcie po przeciwnej stronie pokoju. Zaciska mocno powieki. — Boże, tak strasznie krwawił. — Otwiera znów oczy i widzi moje spojrzenie. — Nauczyło mnie to jednego: nikt nie jest tu na zawsze. Trzeba żyć chwilą, każdym dniem... być tu i teraz.

— A czego byś chciał teraz? — Bo ja chciałabym uśmierzyć jego ból i zapomnieć o własnym.

Muska mój policzek koniuszkami palców.

Wstrzymuję oddech.

— Chcesz mnie pocałować, Alex? — pytam szeptem.

— *Dios mio*, mój Boże, chcę cię pocałować... poczuć twoje usta, twój język. — Delikatnie przesuwa palcem wzdłuż moich warg. — Chcesz, żebym cię pocałował? Tylko my będziemy o tym wiedzieli, nikt inny.

32. Alex

Brittany wysuwa język i oblizuje swoje idealne usta w kształcie serca, które dzięki temu lśnią i, o Jezu, tak strasznie kuszą.

— Nie drażnij mnie w ten sposób — jęczę z ustami ledwie kilka centymetrów od jej ust.

Jej książki spadają na dywan. Wzrok Brittany podąża za nimi, ale jeśli stracę teraz jej uwagę, chwila może na zawsze minąć. Chwytam ją pod brodę i delikatnie odwracam do siebie.

Patrzy na mnie tym swoim bezbronnym wzrokiem.

— A jeśli to będzie coś znaczyć? — pyta.

— To co wtedy?

— Obiecuj mi, że to nie będzie nic znaczyć.

Odchylam głowę i opieram o kanapę.

— To nie będzie nic znaczyć. — Czy to nie ja powinienem być w tej sytuacji facetem i opowiadać się za brakiem zobowiązań?

— I bez języczka — dodaje.

— *Mi vida*, jeśli cię pocałuję, to gwarantuję, że z języczkiem.

Waha się chwilę.

— Obiecuję, że to nie będzie nic znaczyć.

Naprawdę nie spodziewam się, że to zrobi. Myślę, że się ze mną droczy, że sprawdza granice mojej wytrzymałości. Ale gdy przemyka powieki i nachyla się bliżej, dociera do mnie, że stanie się. Dziewczyna moich marzeń, dziewczyna, która przypomina mnie jak nikt inny na świecie, chce mnie pocałować.

Gdy tylko odchyła głowę, biorę sprawy w swoje ręce. Nasze usta stykają się przelotnie, a zaraz potem wsuwam palce w jej włosy, nie przestając jej całować, czule i delikatnie. Kładę dłoń na jej policzku, czując pod szorstkimi palcami jej skórę, miękką jak u niemowlęcia. Moje ciało domaga się, żebym szedł za ciosem, ale mózg (ten w głowie) trzyma mnie na wodzy.

Brittany wzdycha z zadowoleniem, jakby najchętniej nigdy nie wysuwała się z moich objęć.

Muskam czubkiem języka jej wargi, chcąc zachęcić ją do rozchylenia ust. Jej język nieśmiało spotyka się z moim. Nasze wargi i języki łączą się w powolnym, erotycznym tańcu, zanim odgłos otwierania drzwi wejściowych nie każe Brittany oderwać się ode mnie gwałtownie.

Cholera. Jestem wściekły. Po pierwsze dlatego, że zatraciłem się kompletnie w pocałunku Brittany. Po drugie dlatego, że chciałem, żeby ta chwila trwała wiecznie. A po trzecie dlatego, że mama i bracia wrócili do domu w najgorszym możliwym momencie.

Brittany usiłuje udawać bardzo zajęta i schyla się po książki. Mama i bracia stoją w drzwiach i wytrzeszczają oczy.

— Cześć, mamó — rzucam dużo bardziej zdenerwowany, niż powinienem.

Widząc surową minę *miamy* wiem, że nie jest zachwycona faktem, że przyłapała nas na

pocałunku, który wyglądał jak wstęp do czegoś poważniejszego.

— Luis i Carlos, do pokoju — rozkazuje mama, po czym wchodzi do salonu i próbuje się opanować. — Nie przedstawiś mnie koleżance, Alejandro?

Brittany wstaje z książkami w ręce.

— Dzień dobry, jestem Brittany. — Mimo że moje palce i jazda motocyklem zmierzwiły jej rozjaśnione słońcem włosy, i tak jest prześliczna. Brittany wyciąga rękę na powitanie. — Uczyliśmy się z Alekssem chemii.

— To, co widziałam, to na pewno nie była nauka — stwierdza mama, ignorując wyciągniętą rękę Brittany.

Widać, że Brittany jest przykro.

— *Mama*, daj jej spokój — mówię ostro.

— Mój dom to nie burdel.

— *Por favor, mama* — proszę rozdrażniony. — Tylko się całowaliśmy.

— Od całowania prosta droga do robienia *niños*, Alejandro.

— Chodźmy stąd — mówię kompletnie zażenowany. Biorę kurtkę z kanapy i zarzucam ją na siebie.

— Przepraszam, jeśli w jakiś sposób panią uraziłam, pani Fuentes — odzywa się Brittany, wyraźnie zdenerwowana.

Mama ignoruje jej przeprosiny i idzie z zakupami do kuchni.

Na dworze Brittany bierze głęboki wdech. Przysięgłam, brzmi to tak, jakby trzymała się tylko największym wysiłkiem woli. Nie najlepszy scenariusz: przyprowadzam dziewczynę do domu, całuję dziewczynę, moja mama obraża dziewczynę, dziewczyna wychodzi z płaczem.

— Nie przejmuj się. Po prostu zwykle nie przyprowadzam dziewczyn do domu.

Wyraziście niebieskie oczy Brittany robią się zimne i dalekie.

— To w ogóle nie powinno się stać — mówi, odchylając ramiona do tyłu, sztywna jak posąg.

— Ale co? Pocałunek czy to, że tak bardzo ci się podobał?

— Ja mam chłopaka — przypomina, skupiając się na pasku od markowej torby na książki.

— Siebie chcesz o tym przekonać czy mnie? — pytam.

— Nie odwracaj kota ogonem. Nie chcę martwić moich przyjaciół. Nie chcę martwić mamy. I Colina... naprawdę mam mętlik w głowie.

Wyciągam przed siebie ręce i podnoszę głos, czego zwykle staram się nie robić, bo jak słusznie zauważył Paco, oznacza to, że naprawdę mi zależy. A nie zależy. Bo niby czemu? Mój umysł każe mi się przymknąć w tym samym momencie, w którym otwieram usta.

— Nie rozumiem. On cię traktuje jak jakieś cholerne trofeum.

— W ogóle nie rozumiesz, co jest między mną i Colinem...

— To mnie oświeć, do jasnej cholery — rzucam ostro i nie jestem w stanie nad tym zapanować. Początkowo powstrzymuję się od tego, co tak naprawdę chcę powiedzieć, ale zaraz potem wypalam: — Bo ten pocałunek... coś znaczył. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. No proszę, powiedz mi, że bycie z Colinem jest od tego lepsze.

Brittany odwraca gwałtownie wzrok.

— Nie zrozumiesz.

— Przekonajmy się.

— Gdy ludzie widzą mnie z Colinem, mówią o tym, jacy jesteśmy idealni. No wiesz, złota para. Rozumiesz?

Patrzę na nią z niedowierzaniem. To jakiś pieprzony obłąd.

— Rozumiem. Tylko nie wierzę własnym uszom. Czy bycie ideałem naprawdę znaczy dla ciebie aż tak dużo?

Zapada długa, nieprzyjemna cisza. Dostrzegam przeblysłk smutku w tych jej szafirowych oczach, ale niemal w tej samej chwili znika. Brittany robi się nagle bardzo poważna.

— Dawno się nad tym nie zastanawiałam, ale tak. Znaczy — przyznaje w końcu. — Moja siostra nie jest idealna, więc ktoś musi.

To najbardziej żalosne brednie, jakie w życiu słyszałem. Kręcę z odrazą głową i wskazuję na Julio.

— Wsiadaj, to odwiozę cię do szkoły po twój samochód.

Brittany wsiada w milczeniu na motor. Trzyma się ode mnie tak daleko, że ledwie ją za sobą czuję. Kusi mnie, żeby pojechać okrężną drogą, byle tylko jazda trwała dłużej.

Jest cierpliwa i kochająca względem siostry. Bóg jeden wie, że nie byłbym w stanie karmić łyżką żadnego z moich braci i ocierać mu ust chusteczką. Dziewczyna, którą posądzam kiedyś o egocentryzm, zdecydowanie nie jest jednowymiarowa.

Dios mío, mój Boże, naprawdę ją podziwiam. Jakimś cudem obecność Brittany wnosi w moje życie coś, czego w nim brakowało, coś... dobrego.

Ale jak mam ją o tym przekonać?

33. Brittany

Zapomnę o pocałunku z Alekssem, mimo że całą noc nie spałam i odtwarzałam go w myślach. W drodze do szkoły, następnego dnia po pocałunku, którego nigdy nie było, zastanawiam się, czy mam ignorować Aleksa. Choć właściwie to nie wchodzi w grę, bo mamy razem chemię.

O nie. Chemia. Colin się czegoś domyśli? Może ktoś wczoraj widział, że razem odjeżdżamy i mu powiedział? Wieczorem wyłączyłam komórkę, żeby nie musieć z nikim gadać.

Uch. Czemu moje życie musi być tak skomplikowane? Mam chłopaka. No dobra, jest ostatnio dość natarczywy i nie interesuje go nic poza seksem. A ja mam tego dość.

Ale Alex jako mój chłopak to abstrakcja. Jego mama już mnie nienawidzi. Jego była dziewczyna chce mnie zabić — kolejny zły znak. Poza tym pali, co w ogóle nie jest fajne. Mogłabym stworzyć bardzo długą listę minusów.

No dobra, znalazłyby się też pewnie jakieś plusy. Kilka drobiazków tak mało znaczących, że w zasadzie niewartych wspomnienia.

Alex jest mądry.

Ma wymowne spojrzenie, które zdradza, że kryje się w nim dużo więcej, niż pokazuje światu.

Z oddaniem zajmuje się przyjaciółmi, rodziną, a nawet motocyklem.

Dotykał mnie tak, jakbym była ze szkła.

A całował, jakby chciał zapamiętać ten pocałunek do końca życia.

Widzę się z nim po raz pierwszy w czasie przerwy obiadowej. Czekam w kolejce w stołówce, a Alex stoi o jedną osobę przede mną. Oddziela nas od siebie jedna dziewczyna, Nola Linn. Na dodatek strasznie wolno się przesuwa.

Alex ma na sobie wytarte, poszarpane na kolanach džinsy. Włosy wpadają mu do oczu i mam ochotę mu je odgarnąć. Gdyby Nola nie zastanawiała się tak długo nad wyborem owoców...

Alex zauważa, że się mu przyglądam. Szybko zwracam całą swoją uwagę na zupę dnia. Minestrone.

— Bulionówka czy miseczka, skarbie? — pyta Mary, nasza kucharka.

— Miseczka — mówię i wpatruję się z nagłym zainteresowaniem w to, jak nalewa chochelką zupę do miski.

Z miską w rękach wymijam szybko Nolę i staję przy kasie. Zaraz za Alekssem.

Odwraca się, jakby wiedział, że za nim idę. Jego oczy wwiercają się w moje i przez chwilę mam wrażenie, jakby reszta świata przestała istnieć i zostaliśmy tylko my dwoje. Tak bardzo bym chciała wtulić się w jego ramiona i poczuć wokół siebie ich ciepło, że zastanawiam się, czy medycyna dopuszcza możliwość fizycznego uzależnienia od drugiego człowieka.

Chrząkam.

— Twoja kolej — mówię i kiwam głową w stronę kasy.

Alex podchodzi ze swoją tacą z kawałkiem pizzy.

— Za nią też płacę — wskazuje na mnie.

Kasjerka kiwa na mnie palcem.

— Co masz? Miskę minestrone?

— Tak, ale... Alex, nie musisz za mnie płacić.

— Nie bój się. Stać mnie na miskę zupy — stwierdza obronnym tonem i podaje kasjerce trzy dolary.

Colin wpycha się do kolejki i staje obok mnie.

— Przesuń się. Znajdź sobie własną dziewczynę, żeby się na nią gapić — warczy na Aleksa, żeby się go pozbyć.

Błagam w duchu, żeby Alex nie odgryzł się Colinowi, mówiąc o naszym pocałunku. Wszyscy w kolejce się na nas gapią. Czuję na karku ich spojrzenia. Alex odbiera resztę i bez oglądania się za siebie wychodzi na dwór w swoje zwykłe miejsce.

Czuję się straszną egoistką, bo chcę z obu światów to, co najlepsze. Chcę zachować wizerunek, który z takim trudem tworzyłam. A Colin jest jego dużą częścią. Ale chcę też Aleksa. Nie mogę przestać myśleć o tym, żeby znów znaleźć się w jego ramionach i żeby mnie całował do utraty tchu.

Colin mówi do kasjerki:

— Płacę za siebie i za nią.

Kasjerka patrzy na mnie zdezorientowana.

— Ale przecież ten drugi chłopak już za ciebie zapłacił.

Colin czeka, aż wyprowadzę ją z błędu. Gdy tego nie robię, rzuca mi wściekłe spojrzenie i wychodzi ze stołówki.

— Colin, czekaj! — wołam, ale albo mnie nie słyszy, albo udaje, że nie słyszy. Widzimy się znów dopiero w pracowni chemicznej, ale Colin wchodzi tuż przed dzwonkiem, więc nie mamy czasu porozmawiać.

Na chemii znów przeprowadzamy eksperymenty. Alex wstrząsa probówką z roztworem azotanu srebra i chlorkiem potasu.

— Oba wyglądają jak woda, pani P. — stwierdza.

— Pozory mylą — odpowiada pani Peterson.

Patrzę na dłonie Aleksa. Te same palce, które odmierzają teraz odpowiednią ilość azotanu srebra i chlorku potasu, muskały z taką czułością moje usta.

— Ziemia do Brittany.

Mrugam i otrząsam się z zamyślenia. Alex wyciąga w moją stronę probówkę wypełnioną przezroczystą cieczą.

Co mi przypomina, że powinnam mu pomóc połączyć obie substancje.

— Przepraszam. — Biorę drugą probówkę i przelewam jej zawartość do trzymanej przez Aleksa.

— Mamy teraz napisać, jaka zaszła reakcja — mówi i miesza bagietką oba odczynniki.

W przezroczystym płynie pojawia się nagle biała substancja.

— Pani P.! Chyba znaleźliśmy rozwiązanie problemu dziury ozonowej — dowcipkuje Alex.

Pani Peterson kręci tylko głową.

— No to co my tu mamy? — pyta, zerkając na arkusz, który pani Peterson wręczyła nam na początku lekcji. — Powiedziałbym, że wodnista ciecz to teraz pewnie azotan potasu, a białe ciało stałe to chlorek srebra. A ty co myślisz?

Podaje mi probówkę i nasze palce stykają się leciutko. I pozostają przez chwilę złączone. Czuję w opuszkach mrowienie, którego nie mogę zignorować.

Podnoszę głowę. Nasze oczy spotykają się na chwilę i mam wrażenie, że Alex chce mi coś przekazać wzrokiem, ale nagle pochmurnieje i odwraca głowę.

— Co mam zrobić? — pytam szeptem.

— Sama będziesz się musiała tego dowiedzieć.

— Alex...

Ale nie poda mi rozwiązania. Chyba straszna ze mnie zołza, że w ogóle pytam go o radę w sytuacji, w której trudno mu o obiektywizm.

Gdy jestem przy nim, czuję się tak podekscytowana, jak kiedyś w Boże Narodzenie.

I choć starałam się odsuwać od siebie tę myśl, to patrzę na Colina i wiem... wiem, że między

nami nie jest już tak jak kiedyś. Że między nami koniec. I że im prędzej rozstanę się z Colinem, tym szybciej będę mogła przestać się dziwić, czemu właściwie nadal z nim jestem.

Łapię Colina po lekcjach przy bocznym wyjściu. Jest przebrany na trening. Niestety obok stoi Shane.

Shane podnosi komórkę.

— Chcecie może powtórzyć swój wcześniejszy popis? Mogę go uwiecznić i wam przesłać. Idealny wygaszacz ekranu albo, jeszcze lepiej, filmik na YouTube.

— Shane, zjedź mi, do cholery, z oczu, zanim stracę nad sobą panowanie — mówi Colin i patrzy z wściekłością na Shane'a, dopóki ten się nie oddala. — Brit, gdzie byłaś wczoraj wieczorem? — Gdy nie odpowiadam, Colin stwierdza: — Właściwie możesz się nie wysilać, bo chyba się domyślam.

To nie będzie łatwe. Wiem już, czemu ludzie zrywają ze sobą za pomocą mejli i esemesów. Ciężko to zrobić osobiście, bo trzeba stanąć naprzeciwko drugiego człowieka i zobaczyć jego reakcję. Jego gniew. Tak długo unikałam kłótni i zagłaskałam wszystkie moje relacje, że ta konfrontacja jest dla mnie bardzo bolesna.

— Oboje wiemy, że nam się nie układa — zaczynam jak najdelikatniej.

Colin patrzy na mnie spod zmrużonych powiek.

— Do czego zmierzasz?

— Musimy zrobić sobie przerwę.

— Zrobić sobie przerwę czy się rozstać?

— Rozstać się — przyznaję cicho.

— To przez tego Fuentesę, prawda?

— Odkąd wróciłeś z wakacji, cały nasz związek kręci się tylko wokół seksu. W ogóle przestaliśmy ze sobą rozmawiać, a ja mam już dość ciągłego poczucia winy tylko dlatego, że nie chcę wyskakiwać z ciuchów i rozkładać przed tobą nóg, żeby ci udowodnić, że cię kocham.

— Ty właściwie nic już mi nie chcesz udowadniać.

Mówię przyciszonym głosem, żeby nikt nas nie słyszał.

— A po co miałabym to robić? Sam fakt, że chcesz dowodów mojej miłości, pokazuje prawdopodobnie, że nam się nie układa.

— Nie rób tego. — Colin odchyła głowę i jęczy: — Proszę cię, nie rób tego.

Daliśmy się zamknąć w stereotypowym układzie gwiazdor futbolu i kapitan drużyny cheerleaderek. Przez kilka lat pasowaliśmy do tego szablonu. Przez to rozstanie znajdziemy się w centrum zainteresowania, zaczną się plotki. Na samą myśl o tym dostaję gęsiej skórki.

Ale nie mogę już udawać, że jesteśmy szczęśliwą parą. Ta decyzja odbije mi się pewnie czkawką. Ale skoro moi rodzice mogą dla własnej wygody oddać moją siostrę do ośrodka, a Darlene dla poprawy własnego samopoczucia może obściskiwać się z każdym chłopakiem, który jej się nawinie pod rękę, to czemu ja nie mogę zrobić tego, co jest dla mnie dobre?

Kładę Colinowi rękę na ramieniu, starając się nie patrzeć na łzy, które napływają mu do oczu. Odtrąca ją.

— Powiedz coś — proszę.

— Co mam ci powiedzieć, Brit? Że się cieszę, że ze mną zrywasz? Przykro mi, ale nie.

Ociera rękami oczy. Na ten widok mnie też chce się płakać i czuję, że mam łzy w oczach. Kończy się właśnie coś, co miało być prawdziwe, a okazało się jedynie kolejną rolą, którą kazano nam grać. I to jest w tym najsmutniejsze. Nie samo rozstanie, ale to, co utożsamiał nasz związek... moją słabość.

— Przespałem się z Mią — wypala Colin. — Podczas wakacji. No wiesz, z tą ze zdjęcia.

— Mówisz to, żeby mnie zranić.

— Mówię, bo to prawda. Spytaj Shane'a.

— To po co po powrocie udawałeś, że wciąż jesteśmy idealną parą?

— Bo wszyscy tego oczekiwali. Nawet ty. Nie możesz zaprzeczyć.

Jego słowa są bolesne, ale to prawda. Mam dość udawania „idealnej” dziewczyny i życia pod dyktando innych, w tym swoje własne.

Czas zacząć żyć naprawdę. Pierwsze, co robię po rozstaniu z Colinem, to mówię pani Small, że muszę na jakiś czas zrezygnować z treningów. Czuję, jakby ktoś zdjął mi ogromny ciężar z barków. Wracam do domu, siedzę z Shelley, a potem odrabiam lekcje. Po kolacji dzwonię do Isabel Avili.

— Powinam być zaskoczona, że dzwonisz. Ale jakoś nie jestem — stwierdza.

— Jak było na treningu?

— Słabo. Darlene nie jest zbyt dobrym kapitanem i pani Small o tym wie. Nie powinnaś odchodzić.

— Nie odchodzę. Muszę tylko zrobić sobie na jakiś czas przerwę. Ale nie dzwonię w związku z drużyną. Słuchaj, chciałam ci powiedzieć, że zerwałam dziś z Colinem.

— A mówisz mi to dlatego, że...?

Dobre pytanie, na które w normalnych okolicznościach na pewno bym nie odpowiedziała.

— Chciałam o tym z kimś porozmawiać i wiem, że mam przyjaciółki, do których mogłabym zadzwonić, ale chciałam chyba pogadać z kimś, kto zaraz wszystkiego nie wygada. Moje koleżanki nie potrafią trzymać języka za zębami.

Sierra to jedyna bliska mi osoba, ale nie powiedziałam jej prawdy o Aleksie. Poza tym jej chłopak, Doug, jest najlepszym kumplem Colina.

— A skąd wiesz, że ja nie wygadam? — pyta Isabel.

— Nie wiem. Ale nie powiedziałam ci nic o Aleksie, kiedy pytałam, więc zakładam, że potrafisz dochować tajemnicy.

— Potrafię. Mów.

— Nie wiem, jak to powiedzieć.

— Słuchaj, nie mam całego dnia.

— Całowałam się z Alekssem — wypalam.

— Z Alekssem? *Bendita!* A niech to! Przed czy po zerwaniu z Colinem?

Krzywię się.

— Nie miałam tego w planach.

Isabel śmieje się tak głośno, że muszę odsunąć słuchawkę od ucha.

— A jesteś pewna, że on nie miał tego w planach? — pyta, gdy jest już w stanie wydobyć z siebie głos.

— Samo tak wyszło. Byliśmy u niego i w trakcie jego mama wróciła do domu i zobaczyła nas...

— Co? Jego mama was widziała? U niego w domu? *Bendita!* — Isabel wyrzuca z siebie potok hiszpańskich słów, więc nie mam zielonego pojęcia, co mówi.

— Nie znam hiszpańskiego, Isabel, więc mów tak, żebym rozumiała.

— Oj, przepraszam. Carmen narobi z wrażenia w gacie, kiedy się dowie.

Chrząkam.

— Ja jej nie powiem — wyjaśnia szybko Isabel. — Ale mama Aleksa to twarda sztuka. Gdy Alex był z Carmen, trzymał ją z daleka od swojej mamy. Nie zrozum mnie źle, ona kocha swoich synów. Ale jest nadopiekuńcza, zresztą jak większość meksykańskich matek. Wyrzuciła cię z domu?

— Nie, ale można właściwie powiedzieć, że nazwała mnie dziwką.

Po drugiej stronie słuchawki znów słychać śmiech.

— To wcale nie było zabawne.

— Przepraszam. — Znów parsknięcie. — Szkoda, że nie byłam przy tym, jak was przyłapała.

— Dzięki za współczucie — rzucam oschle. — Rozłączam się.

— Nie! Przepraszam, że się śmieję. Ale po prostu im dłużej ze sobą rozmawiamy, tym bardziej widzę, że jesteś zupełnie inna, niż myślałam. Zaczynam chyba rozumieć, czemu Alex cię lubi.

— Dzięki. Chyba. Pamiętasz, jak ci powiedziałam, że między mną i Alekssem do niczego nie dojdzie?

— Tak. Ale tak dla jasności: to było, zanim się z nim całowałaś, prawda? — Śmieje się i mówi: — Żartuję, Brittany. Jeśli on ci się podoba, bierz go. Ale uważaj, bo choć myślę, że lubi cię dużo bardziej, niż sam chce się do tego przyznać, to i tak powinnaś się mieć na baczności.

— Jeśli do czegoś między nami dojdzie, nie będę z tym walczyć, ale nie martw się. Zawsze się mam na baczności.

— Ja też. No może poza tamtym dniem, kiedy u mnie nocowałaś. Poprzytulałam się trochę z Paco. Nie mogę powiedzieć swoim koleżankom, bo by mnie opieprzyły.

— On ci się podoba?

— Nie wiem. Nigdy wcześniej nie myślałam o nim w ten sposób, ale było miło. A jak pocałunek z Alekssem?

— Fajny — mówię i przypominam sobie, jak bardzo był zmysłowy. — A właściwie, Isabel, był więcej niż fajny. Był obłądny.

Isabel wybucha śmiechem i tym razem śmieję się razem z nią.

34. Alex

Brittany wybiegła dziś ze szkoły za Oślim Łbem. Przed powrotem do domu widziałem ich na boisku pogrążonych w intymnej rozmowie. Wybrała jego, a nie mnie, co właściwie nie powinno mnie dziwić. Gdy spytała mnie na chemii, co ma zrobić, powinienem był jej powiedzieć, żeby rzuciła tego *pendejo* w cholerę. Wtedy byłbym szczęśliwy, a nie wkurzony. *Es un carbón de mierda!*

On na nią nie zasługuje. No dobra, ja też nie.

Po szkole pojechałem do magazynu, żeby zobaczyć, czy uda mi się dowiedzieć czegoś o tacie. Nic z tego. Goście, którzy znali wtedy *mi papa*, nie mieli zbyt wiele do powiedzenia poza tym, że podobno nie przestawał mówić o swoich synach. Rozmowę przerwał ostrzał Satynowych Kapturów — sygnał, że chcą się zemścić i nie spoczną, póki tego nie zrobią. Nie wiem, czy powinienem się cieszyć, czy martwić, że magazyn znajduje się w odludnym miejscu za nieczynną stacją kolejową. Nikt nie wie, że tu jesteśmy, nawet gliny. Zwłaszcza gliny.

Jestem odporny na odgłos strzałów. W magazynie, w parku... spodziewam się go wszędzie. Niektóre ulice są bezpieczniejsze od innych, ale tutaj, w magazynie, nasi wrogowie wkraczają na święty teren i dobrze o tym wiedzą. I spodziewają się odwetu. Takie są zasady. Wkraczacie na nasz teren, my wkraczamy na wasz. Tym razem nikomu nic się nie stało, więc nie musimy pomścić niczyjej śmierci. Ale zemścimy się. Czekają na nas. A my nie sprawimy im zawodu.

Po mojej stronie miasta cykl życia zależy od cyklu przemocy.

Gdy jest już po wszystkim, wracam okrężną drogą i przejeżdżam obok domu Brittany. To ode mnie silniejsze. Blżej mojego domu, zaraz za przejazdem kolejowym, zatrzymuje mnie radiowóz, z którego wysiada dwóch umundurowanych policjantów.

Zamiast mi wyjaśnić powód zatrzymania, jeden z nich każe mi zsiąść z motoru i pokazać prawo jazdy.

Wręczam mu je.

— Czemu zostałem zatrzymany?

Policjant ogląda moje prawko i mówi:

— Możesz zadawać pytania, gdy ja skończę zadawać swoje. Czy masz przy sobie narkotyki, Alejandro?

— Nie.

— A broń? — pyta drugi gliniarz.

Po chwili wahania przyznaję się:

— Tak.

Jeden z policjantów wyciąga pistolet z kabury i mierzy w moją pierś. Drugi każe mi podnieść ręce, a potem położyć się na ziemi, po czym wzywa posiłki. Cholera. Mam problem, i to duży.

— Co masz przy sobie? Dokładnie.

Krzywię się i mówię:

— Glock, dziewięć milimetrów. — Na szczęście oddałem Wilowi berettę, bo inaczej złapaliby mnie z dwoma spluwami.

Moje słowa wyraźnie stresują policjanta, bo zaczyna mu lekko drżeć palec na cynglu.

— Gdzie?

— W lewej nogawce.

— Nie ruszaj się. Wyjmę pistolet. Jeśli będziesz leżeć spokojnie, nic ci się nie stanie.

Wyciąga spluwę, a drugi gliniarz zakłada gumowe rękawiczki i mówi do mnie władcym tonem, z którego pani P. byłaby dumna:

— Masz przy sobie igły, Alejandro?

— Nie — odpowiadam.

Przygniata mnie kolanem i skuwa.

— Wstawaj — rozkazuje, podciągając mnie do góry i kładąc na masce samochodu. Czuję się upokorzony, gdy facet obmacuje mnie w poszukiwaniu innej broni. Cholera, choć wiedziałem, że wcześniej czy później zostanę aresztowany, to nie jestem na to gotowy. Gliniarz podsuwa mi pod nos moją spluwę. — Możesz uznać, że to z tego powodu zostałeś zatrzymany.

— Alejandro Fuentes, masz prawo zachować milczenie — recytuje jeden z policjantów. — Wszystko, co powiesz, może zostać użyte przeciwko tobie w sądzie...

W areszcie śmierdzi szczynami i petami. A może to kolesie, którzy mieli pecha i też zostali zamknięci w tej klatce, śmierdzą szczynami i petami. W każdym razie chcę się stąd jak najszybciej wydostać.

Do kogo mam zadzwonić, żeby wpłacił kaucję? Paco nie ma forsy. Enrique włożył wszystkie pieniądze w warsztat. Mama mnie zabije, jeśli się dowie o aresztowaniu. Opieram się o żelazną kratę w celi i myślę, choć w tym smrodzie graniczy to z cudem.

Policja nazywa to aresztem, ale to tylko ładne słówko na „klatkę”. Dzięki Bogu jestem tu pierwszy raz. I mam, cholera, nadzieję, że ostatni. *Lo juro!* — Przysięgam!

Niepokoi mnie ta myśl, bo zawsze wiedziałem, że dla braci rezygnuję ze swojego życia. Czemu miałbym się przejmować, jeśli zapudłują mnie na resztę życia? Bo w głębi duszy nie chcę tak żyć. Chcę, żeby mama mogła z dumą zobaczyć, że jestem kimś więcej niż członkiem gangu. Chcę mieć przyszłość, z której mogę być dumny. I z całego serca chcę, żeby Brittany uznała mnie za odpowiedniego faceta.

Walę tyłem głowy w kratę, ale myśli i tak pozostają.

— Widziałem cię w Fairfield. Też tam chodzę — mówi niski białas, mniej więcej w moim wieku. Matoł ma na sobie koralową koszulkę polo i białe spodnie, jakby dopiero co wrócił z turnieju golfowego dla emerytów.

Białas stara się robić wrażenie wyluzowanego, ale w tej koralowej koszuli... rany, luz to naprawdę jego najmniejszy problem.

Równie dobrze mógłby wytatuować sobie na czole: „Jeszcze jeden bogaty smarkacz z północnej części miasta”.

— Za co siedzisz? — pyta Białas, jakby to było najzwyczajniejsze pytanie w rozmowie dwóch najzwyczajniejszych ludzi w najzwyczajniejszy dzień.

— Za nielegalne posiadanie broni.

— Nóż czy spluwa?

Patrzę na niego ze złością.

— A co to, kurwa, za różnica?

— Staram się tylko podtrzymać rozmowę — mówi Białas.

Czy wszyscy biali tacy są? Gadają tylko po to, żeby słyszeć dźwięk własnego głosu?

— A ciebie za co przymknęli? — pytam.

Białas wzdycha.

— Ojciec wezwał gliny i powiedział, że ukradłem mu auto.

Przewracam oczami.

— Trafiłeś tu przez starego? Zrobił to celowo?

— Uznał, że będę miał nauczkę.

— Taa — mówię. — Nauczkę, że twój stary to debil. — Lepiej by go nauczył, jak się porządnie ubierać.

— Mama mnie wyciągnie.

— Jesteś pewny?

Białas prostuje się.

— Jest prawniczką, a ojciec nie pierwszy raz coś takiego robi. Zrobił to już kilka razy. Chyba po to, żeby wkurzyć mamę i zwrócić na siebie jej uwagę. Są po rozwodzie.

Kręcę głową. Biali.

— Serio — zarzeka się Białas.

— Wierzę.

— Fuentes, możesz zadzwonić — rzuca gliniarz zza krat.

Mierda, przez całe to gadanie Białasa wciąż nie wymyśliłem, kto może wpłacić za mnie kaucję.

Nagle wiem. Myśl jest równie wyraźna jak ta wielka czerwona jedyńka na moim sprawdzianie. Jest tylko jeden człowiek, który ma pieniądze i możliwości, żeby mnie stąd wyciągnąć: Hector. Przywódca Krwi.

Nigdy nie prosiłem go o żadną przysługę. Bo nigdy nie wiadomo, kiedy zażąda jej spłaty. A jeśli stanę się dłużnikiem Hectora, będę mu winny znacznie więcej niż pieniądze.

Czasem w życiu trzeba wybrać mniejsze zło.

Trzy godziny później, gdy sędzia nagadał mi już tak, że niemal od tego ogłuchłem, zostaję zwolniony warunkowo, a Hector odbiera mnie z sądu. To bardzo wpływowy człowiek. Włosy, jeszcze ciemniejsze od moich, ma zaczesane do tyłu, a wyraz jego twarzy mówi, że lepiej z nim nie zadzierać.

Mam dla niego duży respekt, bo to on wprowadził mnie do Latynoskiej Krwi. Dorastał w tym samym mieście co mój tata i znali się od dziecka. Po śmierci taty Hector otoczył opieką mnie i moją rodzinę. Dzięki niemu poznałem nowe wyrażenia, takie jak „drugie pokolenie” czy wszechobecne „dziedzictwo”. Nigdy tego nie zapomnę.

Idziemy do samochodu, a Hector klepie mnie po plecach.

— Trafił ci się sędzia Garrett. To kawał skurwiela. Masz szczęście, że kaucja nie była wyższa.

Kiwam głową i chcę wreszcie znaleźć się w domu. Gdy oddaliśmy się od budynku sądu, obiecuję:

— Wszystko ci oddam, Hector.

— Nie zwracaj tym sobie głowy, chłopie — odpowiada. — Bracia muszą się wzajemnie wspierać. Prawdę mówiąc, zdziwiłem się, że to twoje pierwsze aresztowanie. Pilnujesz się znacznie bardziej niż jakikolwiek inny członek Krwi.

Wyglądam przez okno samochodu Hectora. Ulice są ciche i ciemne jak jezioro Michigan.

— Mądry z ciebie dzieciak. Wystarczająco mądry, żeby awansować w Krwi — mówi Hector.

Dałbym się zabić za niektórych członków Latynoskiej Krwi, ale awans? Handel narkotykami i bronią to tylko niektóre z nielegalnych działań, którymi zajmuje się góra. Jest dobrze tak, jak jest — płynę na niebezpiecznej fali, ale nie muszę dawać nura głową w dół.

Powinienem się cieszyć, że Hector chciałby przydzielić mi bardziej odpowiedzialną rolę w LK. Brittany i wszystko, co sobą utożsamia, to uluda.

— Przemyśl to sobie — mówi Hector, zajeżdżając pod mój dom.

— Przemyślę. Dzięki, że mnie wyciągnąłeś, stary.

— Masz. — Hector wyciąga spod siedzenia pistolet. — *El policia* skonfiskowała twój.

Waham się i przypominam sobie chwilę, gdy policjant zapytał mnie o broń. *Dios mio*, to było upokarzające, gdy trzymali mnie na muszce, wyciągając mojego glocka. Ale odrzucając podarunek Hectora, okazałbym mu brak szacunku, a tego nigdy bym nie chciał. Biorę spluwę i wkładam ją sobie za pasek.

— Podobno rozpytywałeś o swojego *papa*. Radzę, żebyś sobie odpuścił, Alex.

— Nie mogę. Wiesz przecież.

— W takim razie daj mi znać, jeśli się czegoś dowiesz. Zawsze możesz na mnie liczyć.

— Wiem. Dzięki, stary.

W domu jest cicho. Wchodzę do pokoju. Bracia już śpią. Wsuwam górną szufladę i chowam pistolet pod deską, żeby nikt się przypadkowo na niego nie natknął. Paco mnie tego nauczył. Kładę się na łóżku i zakrywam oczy przedramieniem z nadzieją, że uda mi się zasnąć.

Wracają wspomnienia wczorajszego dnia. Brittany, jej usta złączone z moimi, jej słodki oddech wymieszany z moim — o niczym innym nie potrafię myśleć.

Zapadam w sen, a jej anielska twarz to jedyne, co nie daje dostępu koszmarom mojej przeszłości.

35. Brittany

W całym Fairfield aż huczy od plotek, że Alex został aresztowany. Muszę się dowiedzieć, czy to prawda. Po pierwszej lekcji znajduję Isabel. Rozmawia z koleżankami, ale zostawia je i odciąga mnie na bok.

Potwierdza, że Alex został wczoraj aresztowany, ale wyszedł za kaucją. Nie ma pojęcia, gdzie jest, ale popyta i spotka się ze mną przed czwartą lekcją przy mojej szafce. Na przerwie po trzeciej lekcji biegnę do swojej szafki, wypatrując niecierpliwie Isabel. Już na mnie czeka.

— Nie mów nikomu, że ci to dałam — mówi i wsuwa mi w rękę złożoną kartkę.

Udaję, że szukam czegoś w szafce i otwieram kartkę. Jest na niej jakiś adres.

Nigdy wcześniej nie wagarowałam. Oczywiście nigdy też nie aresztowali chłopaka, z którym się całowałam.

Wreszcie chcę przestać udawać. Przed sobą. I przed Alekssem, jak zawsze o to prosił. Trochę mnie to przeraża i nie jestem wcale przekonana, że postępuję właściwie. Ale nie mogę dłużej udawać, że nie zauważam magnetycznej siły, z jaką Alex przyciąga mnie do siebie.

Wklepuję adres do GPS-u. Prowadzi mnie do południowej części miasta, do Warsztatu Samochodowego Enrique. Przed bramą stoi jakiś facet. Na mój widok robi wielkie oczy.

— Szukam Aleksa Fuentesesa.

Facet nie odpowiada.

— Zastałam go? — pytam speszona. Może nie mówi po angielsku.

— Czego chcesz od Alejandro? — pyta w końcu.

Serce wali mi tak mocno, że widzę niemal, jak bluzka unosi mi się z każdym jego uderzeniem.

— Muszę z nim porozmawiać.

— Lepiej, żebyś dała mu spokój — stwierdza facet.

— *Esta bien*, Enrique. Poradzę sobie — odzywa się znajomy głos. Odwracam się do Aleksa, który opiera się o drzwi wejściowe do warsztatu. Z kieszeni wystaje mu ścierka, a w ręce trzyma klucz francuski. Włosy wyłażące spod bandany są zmierzwione i wygląda dużo bardziej męsko niż jakikolwiek znany mi chłopak.

Mam ochotę przytulić się do niego. Chcę od niego usłyszeć, że wszystko jest w porządku, że nigdy więcej nie trafi za kratki.

Alex nie spuszcza ze mnie wzroku.

— Zostawię was samych — mówi chyba Enrique, ale nie jestem pewna, bo jestem zbyt wpatrzona w Aleksa, żeby dobrze go słyszeć.

Czuję się tak, jakbym wrosła w ziemię, więc cieszę się, gdy Alex podchodzi do mnie wolnym krokiem.

— Eee — zaczynam. Błagam, daj mi to z siebie wyrzucić. — Ja, eee, słyszałam, że cię aresztowali. Musiałam sprawdzić, czy wszystko w porządku.

— I po to zerwałaś się z lekcji?

Kiwam głową, bo język odmawia mi posłuszeństwa.

Alex cofa się o krok.

— No cóż. Skoro już wiesz, że wszystko w porządku, możesz wracać do szkoły. Bo ja mam

robotę. Skonfiskowali mi wczoraj motor i muszę zarobić na jego wykup.

— Czeka! — wołam. Biorę głęboki wdech. No i dobra. Wszystko mu wyznam. — Nie wiem, czemu ani kiedy zaczęłam się w tobie zakochiwać, Alex. Ale się zakochałam. Odkąd pierwszego dnia szkoły omal cię nie rozjechałam, nie potrafię przestać myśleć o tym, jakby to było, gdybyśmy byli razem. A ten pocałunek... Jezu, przysięgam, że nigdy w życiu nie przeżyłam czegoś takiego. I wcale nie był bez znaczenia. Jeśli układ słoneczny wtedy nie drgnął, to nigdy nie drgnie. Wiem, że to szaleństwo, bo jesteśmy od siebie całkiem różni. I jeśli mielibyśmy być razem, to nie chcę, żeby w szkole ktoś o tym wiedział. Wiem, że nie zgodzisz się ukrywać naszego związku, ale muszę się chociaż przekonać, czy to możliwe. Zerwałam z Colinem, z którym łączył mnie bardzo publiczny związek, i chciałabym dla odmiany czegoś bardziej intymnego. Intymnego i autentycznego. Wiem, że gadam jak najęta, ale jeśli zaraz czegoś nie powiesz albo nie dasz mi w jakiś sposób znać, co myślisz, to...

— Powtórz.

— Całą tę rozwlekłą przemowę? — Pamiętam coś o układzie słonecznym, ale za bardzo kręci mi się w głowie, żebym miała powtórzyć wszystko od nowa.

Alex podchodzi bliżej.

— Nie. Tylko to o zakochiwaniu się we mnie.

Patrzę mu prosto w oczy.

— Bez przerwy o tobie myślę, Alex. I naprawdę bardzo chcę cię znów pocałować.

Kąciki jego ust wyginają się w uśmiechu.

Nie jestem w stanie patrzeć mu w twarz i spuszczać wzrok.

— Nie śmieję się ze mnie. — Zniosę teraz wszystko, ale nie to.

— Nie odwracaj się ode mnie, *mamacita*. W życiu bym się z ciebie nie śmiał.

— Nie chciałam cię polubić — przyznaję i znów patrzę mu w oczy.

— Wiem.

— Pewnie nic z tego nie będzie.

— Pewnie nie.

— Moje życie nie jest idealne.

— To jest nas dwoje — stwierdza.

— Chcę sprawdzić, co właściwie między nami jest. A ty?

— Gdybyśmy nie byli na dworze — mówi — to bym ci pokazał...

Nie daję mu skończyć i łapię go za gęste włosy przy karku i przyciągam do siebie tę cudowną głowę. Skoro nie możemy sobie pozwolić w tej chwili na prywatność, to przynajmniej będę sobą. Poza tym wszyscy, przed którymi musimy się ukrywać, są w szkole.

Alex trzyma ręce po bokach, ale kiedy rozchyłam wargi, z jego ust wydobywa się jęk, a klucz francuski wypada mu z dłoni z głośnym brzękiem.

Jego silne ręce zamykają mnie w bezpiecznych objęciach. Jego aksamitny język pieści mój, a ja cała rozplątam się w środku, co jest dla mnie zupełnie nowym odczuciem. To coś więcej niż pocałunek, to... to po prostu coś dużo więcej.

Jego ręce nie przestają się poruszać: jedna gładzi mnie po plecach, a druga bawi się moimi włosami.

Ale nie tylko Alex odkrywa nieznany teren. Moje ręce też wędrują po całym jego ciele, a gdy jego mięśnie napinają się pod wpływem mojego dotyku, jego bliskość staje się jeszcze bardziej intensywna. Dotykam jego brody i czuję na skórze drapanie szorstkiego, jednodniowego zarostu.

Głośnie chrząknięcie Enrique każe nam się od siebie odkleić.

Alex patrzy na mnie namiętym wzrokiem.

— Muszę wracać do pracy — mówi, oddychając ciężko.

— Aha. No tak. — Nagle zawstydzona tą publiczną demonstracją uczuć, cofam się o krok.

— Znajdziesz dziś dla mnie później czas? — pyta.

— Moja przyjaciółka Sierra przychodzi dziś na kolację.

— Ta, która ciągle czegoś szuka w torebce?

— Ta sama. — Muszę zmienić temat, bo w przeciwnym razie jego też będę chciała

zaprosić. Już to widzę — twarz mojej mamy, która na widok Aleksa i jego tatuaży wykrzywia się z odrazy.

— W niedzielę jest ślub mojej kuzynki Eleny. Chodź ze mną — prosi.

Wbijam wzrok w ziemię.

— Moi przyjaciele nie mogą się o nas dowiedzieć. Ani moi rodzice.

— Ode mnie się nie dowiedzą.

— A co z gośćmi na ślubie? Zobaczą nas razem.

— Nie będzie tam nikogo ze szkoły. Poza moją rodziną, ale tu akurat dopilnuję, żeby trzymali gęby na kłódkę.

Nie mogę. Nigdy nie byłam mistrzynią kłamstw i wykrętów. Odpycham go od siebie.

— Nie mogę myśleć, jak stoisz tak blisko.

— I dobrze. A teraz co do ślubu.

Boże, sam jego widok sprawia, że chcę iść.

— O której?

— W południe. To będzie coś, czego nigdy nie zapomnisz. Uwierz mi. Przyjadę po ciebie o jedenastej.

— Jeszcze się nie zgodziłam.

— Ale miałaś zamiar — stwierdza tym swoim mrocznym, dźwięcznym głosem.

— To może spotkamy się o jedenastej tutaj — proponuję i wskazuję na warsztat. Jeśli moja mama się o nas dowie, rozpęta się piekło.

Alex bierze mnie pod brodę i zmusza, żebym spojrzała mu w oczy.

— Czemu nie boisz się być ze mną?

— Żartujesz? Jestem przerażona. — Patrzę na tatuaże pokrywające jego ręce.

— Nie będę udawać, że moje życie jest bez skazy. — Unosi nasze dłonie tak, żeby przylgnęły do siebie wnętrzami. Ciekawe, czy stykając swoje szorstkie palce z moimi o umalowanych paznokciach, zastanawia się nad tym, jak różny mamy kolor skóry? — Z jednej strony tak bardzo się różnimy...

Splatam razem nasze palce.

— Tak, ale z drugiej jesteśmy do siebie bardzo podobni.

Słyszając to, uśmiecha się, ale Enrique znów chrząka.

— W takim razie czekam tu na ciebie w niedzielę o jedenastej — mówi.

Alex cofa się, skłania i puszcza do mnie oko.

— Tym razem to randka.

36. Alex

Stary, całowała cię tak, jakby to miał być ostatni pocałunek w jej życiu. Jeśli tak całuje, to aż boję się pomyśleć, jak...

— Zamknij się, Enrique.

— Ona cię zniszczy, Alejo — ciągnie Enrique, używając mojej hiszpańskiej ksywki. — Spójrz na siebie: wczoraj wylądowałeś w areszcie, dziś zawałasz szkołę, żeby móc odzyskać motor. Nie da się ukryć, że ma *buena torta*, że to niezła laseczka, ale czy jest tego warta?

— Muszę wracać do roboty — mówię, a od gadania Enrique mam mętlik w głowie. Przez resztę popołudnia naprawiam chevroleta blazera, choć tak naprawdę wolałbym nie robić nic innego, tylko całować się z moją *mamacita*.

Zdecydowanie jest tego warta.

— Alex, przyjechał Hector. Z Chuyem — mówi Enrique o szóstej, kiedy chcę już zbierać się do domu.

Wycieram ręce o robocze spodnie.

— Gdzie są?

— W moim biurze.

Idę tam i czuję narastający lęk. Otwieram drzwi i widzę Hectora, który stoi władczo na środku. Chuy czeka pod ścianą i przygląda się nie do końca niewinnym wzrokiem.

— Enrique, to prywatna rozmowa.

Nie zauważyłem za sobą mojego kuzyna, który zjawił się na wypadek, gdybym potrzebował sprzymierzeńca. Kiwam do niego głową. Jestem lojalny względem Krwi, Hector nie musi wątpić w moją wierność. Obecność Chuya dowodzi, że sprawa jest poważna. Gdyby Hector przyjechał sam, nie denerwowałbym się tak.

— Alex — mówi Hector, gdy Enrique znika z pola widzenia. — Czy nie przyjemniej spotkać się tutaj niż w sądzie?

Uśmiecham się do niego blado i zamykam za sobą drzwi.

Hector wskazuje na małą, poobdzieraną kanapkę po przeciwnej stronie biura.

— Siadaj. — Czeka, aż zajmę miejsce. — Musisz mi wyświadczyć przysługę, *amigo*.

Nie ma sensu odwlekać tego, co nieuniknione.

— Jakiego rodzaju?

— Trzydziestego pierwszego października jest dostawa do zrobienia.

To jeszcze ponad półtora miesiąca. Wieczór Halloween.

— Nie handluję — wtrącam. — Od początku o tym wiedziałeś.

Obserwuję Chuya jak miotacz podczas meczu bejsbolowego, kiedy przeciwnik oddala się za bardzo od bazy.

Hector podchodzi do mnie i kładzie mi ręce na ramionach.

— Musisz zapomnieć o tym, co się stało z twoim starym. Jeśli chcesz zajść wyżej w Krwi, musisz handlować.

— W takim razie nie chcę.

Ręka Hectora sztywnieje, a Chuy robi krok naprzód. Niema groźba.

— Przykro mi, ale to nie takie proste — stwierdza Hector. — Musisz to dla mnie zrobić. I szczerze mówiąc, jesteś moim dłużnikiem.

Cholera. Gdybym nie został aresztowany, nie miałbym wobec Hectora żadnych zobowiązań.

— Wiem, że nie sprawisz mi zawodu. A tak na marginesie, jak twoja mama? Dawno jej nie widziałem.

— W porządku — odpowiadam, zastanawiając się, co *mi'ama* ma wspólnego z tą rozmową.

— Pozdrów ją ode mnie, dobrze?

Co to ma, do cholery, znaczyć?

Hector otwiera drzwi i pokazuje Chuyowi głową, że wychodzą, a ja zostaję sam ze swoim nowym zmartwieniem.

Gdy zamykają się za nimi drzwi, siadam wygodniej i zastanawiam się, czy nadaję się do handlu narkotykami. Ale nie mam wyjścia, jeśli chcę, żeby moja rodzina była bezpieczna.

37. Brittany

Nie wierzę, że zerwałaś z Colinem. — Na moim łóżku, po kolacji, Sierra maluje sobie paznokcie. — Mam nadzieję, że nie będziesz tego żałować, Brit. Byliście ze sobą tak długo. Myślałam, że go kochasz. Złamałaś mu serce. Płakał Dougowi do słuchawki.

Siadam.

— Chcę być szczęśliwa. Z Colinem już nie byłam. Przyznał mi się, że zdradził mnie podczas wakacji z jakąś nowo poznaną dziewczyną. Przespał się z nią, Sierra.

— Co? Nie wierzę.

— To uwierz. Gdy wyjeżdżał na wakacje, wszystko było już między nami skończone, tylko dopiero po jakimś czasie do mnie dotarło, że nie ma po co dłużej się okłamywać.

— Przerzuciłaś się teraz na Aleksa? Colin jest przekonany, że wymieniasz ze swoim partnerem z chemii coś więcej niż odczynniki w probówkach.

— Nie — kłamię. Choć Sierra jest moją najlepszą przyjaciółką, wierzy w określony podział społeczny. Mimo że chcę jej powiedzieć prawdę, nie mogę. Jeszcze nie teraz.

Sierra zakręca buteleczkę z lakierem i prycha naburmuszona.

— Brit, jestem twoją najlepszą przyjaciółką, czy w to wierzysz, czy nie. Przyznaj, że kłamiesz.

— Co mam ci powiedzieć? — pytam.

— Może prawdę, tak dla odmiany? Jezu, Brit, rozumiem, że nie chcesz mówić Darlene, bo jest niezrównoważona emocjonalnie. I rozumiem też, że możesz nie chcieć, żeby Emki wiedziały o wszystkim. Ale to jestem ja. Twoja najlepsza przyjaciółka. Ta sama, która wie o Shelley i która była świadkiem wybuchów twojej mamy.

Sierra bierze torebkę i zawiesza ją sobie na ramieniu.

Nie chcę, żeby się na mnie wściekła, ale musi wiedzieć, skąd moje obiekcje.

— A co, jeśli będziesz chciała powiedzieć Dougowi? Nie chcę, żebyś przeze mnie musiała go okłamywać.

Sierra patrzy na mnie ze wzgardliwą miną, po którą sama tak często sięgam.

— Chrzanię cię, Brit. Dzięki za świadomość, że moja najlepsza przyjaciółka nie ma do mnie krztyny zaufania. — Przed wyjściem z pokoju odwraca się i mówi: — Wiesz na pewno, że niektórzy mają tak zwany wybiórczy słuch? Ty masz wybiórcze zaufanie. Widziałam cię dziś na korytarzu pogrążoną w poważnej rozmowie z Isabel Avilą. Gdybym cię nie znała, powiedziałabym, że jej się z czegoś zwierzasz. — Sierra unosi w górę obie ręce. — Dobra, przyznaję: jestem zazdrosna, że moja najlepsza przyjaciółka zwierza się najwyraźniej komuś innemu zamiast mnie. Zadzwoń, gdy wreszcie do ciebie dotrze, że cholernie mi zależy na twoim szczęściu.

Ma rację. Ale cała ta sprawa z Alekssem jest taka świeża, a ja czuję się w związku z tym taka bezbronna. Zwróciłam się do Isabel, bo jest jedyną osobą, która zna i mnie, i Aleksa.

— Sierra, jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Przecież wiesz — mówię z nadzieją, że wie, że to prawda. Być może faktycznie mam problem z zaufaniem, co nie zmienia faktu, że Sierra jest najbliższą mi osobą.

— To zacznij zachowywać się stosownie do tego — rzuca i wychodzi.

W drodze na spotkanie z Alekssem ocieram kroplę potu, która spływa mi powoli ze skroni.

Zdecydowałam się na kremową, dopasowaną letnią sukienkę na cieniotkich ramiączkach. Gdy będę wracać, rodzice będą już w domu, więc zapakowałam do torby sportowej ubrania na zmianę. Po powrocie mama zobaczy taką Brittany, jakiej się spodziewa — idealną córkę. Co za różnica, że to nieprawda, skoro ona jest dzięki temu zadowolona. Sierra ma rację. Moje zaufanie jest wybiórcze.

Skręcam i wjeżdżam w uliczkę prowadzącą do warsztatu. Gdy zauważam Aleksa, który w oczekiwaniu na mnie opiera się o swój motocykl na parkingu, serce zaczyna bić mi szybciej.

O rany. No to wpadłam.

Nieodłączna bandana zniknęła. Gęste czarne włosy Aleksa opadają mu na czoło, zachęcając, żeby je odgarnąć. W miejsce džinsów i T-shirtu pojawiły się czarne spodnie i czarna jedwabna koszula. Wygląda jak młody meksykański śmiałek. Zatrzymuję się obok niego, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

— *Querida*, skarbie, wyglądasz, jakbyś miała jakieś sekrety.

Bo mam, myślę, wysiadając z auta. Ciebie.

— *Diosmio*. Wyglądasz... *preciosa*. Prześlicznie.

Okręcam się wokół własnej osi.

— Sukienka jest okej?

— Chodź tu — mówi i przyciąga mnie do siebie. — Właściwie to nie chcę już iść na ślub.

Wolę mieć cię tylko dla siebie.

— O nie. — Przesuwam powoli palec wzdłuż jego policzka.

— Ale z ciebie kokietka.

Uwielbiam tę uwodzicielską stronę Aleksa. Pozwala mi zapomnieć o jego demonach.

— Przyjechałam na meksykański ślub i chcę go zobaczyć.

— No popatrz, a ja myślałam, że przyjechałaś spotkać się ze mną.

— Masz o sobie bardzo wysokie mniemanie, Fuentes.

— Mam jeszcze parę innych rzeczy. — Przygniata mnie do samochodu, a jego oddech parzy mi skórę na szyi bardziej niż przedpołudniowe słońce. Zamykam oczy i czekam na jego usta, ale zamiast tego słyszę tylko: — Daj mi kluczyki — prosi, po czym sam mi je wyjmuję z ręki.

— Chyba nie wrzucisz ich w krzaki?

— Nie kuś.

Alex otwiera drzwi swojego samochodu i siada za kierownicą.

— Nie poprosisz, żebym wsiadła? — pytam zdezorientowana.

— Nie. Wstawię twoje auto do warsztatu, żeby nikt go nie zwinął. To oficjalna randka. Ja prowadzę.

Wskazuję na motor.

— Chyba sobie nie wyobrażasz, że na to wsiadę?

Jego lewa brew unosi się leciutko.

— A czemu nie? Julio nie jest dla ciebie wystarczająco dobry?

— Julio? Nazwałeś swój motor Julio?

— Po stryjecznym dziadku, który pomógł rodzicom przeprowadzić się z Meksyku.

— Nie mam nic przeciwko Julio. Nie chcę tylko na nim jechać w takiej krótkiej sukience.

Chyba że wszyscy mają widzieć moje majtki.

Alex masuje się po brodzie i rozważa tę opcję.

— To by dopiero był widok.

Krzyżuję przed sobą ręce.

— Żartuję. Jedziemy samochodem mojego kuzyna. — Wsiadamy do czarnej toyoty camry zaparkowanej po przeciwnej stronie ulicy.

Po kilku minutach jazdy Alex wyciąga papierosa z paczki leżącej na desce rozdzielczej.

Krzywię się na dźwięk odpalanej zapalniczki.

— Co? — pyta z zapalonym papierosem w ustach.

Może palić, jeśli chce. Być może jesteśmy na oficjalnej randce, ale nie jestem przecież jego oficjalną dziewczyną. Kręcę głową.

— Nic.

Wypuszcza z ust dym, który drażni mnie bardziej niż perfumy mamy. Opuszczam maksymalnie okno i tłumię kaszel.

Stajemy na światłach, a Alex zerka na mnie.

— Jeśli przeszkadza ci, że palę, to mi powiedz.

— Okej, przeszkadza mi, że palisz — przyznaję.

— Czemu po prostu mi nie powiedziałaś? — mówi i gasi papierosa w popielniczce.

— Jak możesz w ogóle to lubić? — pytam, gdy znów ruszamy.

— Relaksuje mnie to.

— To znaczy, że ja cię stresuję?

Patrzy mi w oczy, po czym przesuwa wzrok w dół na moje piersi i odsłaniającą uda sukienkę.

— W tej kiecce zdecydowanie tak.

38. Alex

Jeśli nie przestanę się gapić na jej długie nogi, spowoduję wypadek.

— Jak twoja siostra? — zmieniam temat.

— Nie może się doczekać, aż znów ogra cię w warcaby.

— Tak? To jej powiedz, że dałem jej fory. Chciałem zrobić na tobie wrażenie.

— Przegrywając?

Wzruszam ramionami.

— Poskutkowało, nie?

Poprawia sobie sukienkę, jakby chciała zrobić wrażenie na mnie. Chcę, żeby się rozluźniła, więc przesuвам palcami wzdłuż jej ramienia i biorę na koniec za rękę.

— Powiedz Shelley, że przyjadę na rewanż — mówię.

Odwraca się do mnie i patrzy na mnie rozpromieniona tymi swoimi niebieskimi oczami.

— Naprawdę?

— Oczywiście.

Po drodze staram się ją jakoś zagadywać. Nie bardzo mi wychodzi. Nie umiem rozmawiać o niczym. Dobrze, że milczenie najwyraźniej w ogóle jej nie przeszkadza.

Niedługo potem parkuję przed małym, dwupiętrowym, ceglanym domem.

— Ślub nie jest w kościele?

— Nie w przypadku Eleny. Chciała się pobrać w domu rodziców.

Obejmuję ją w pasie i idziemy do domu. Nie wiem, czemu muszę się tak afiszować z tym, że należy do mnie. Może jednak jestem troglodytą.

Wchodzimy do środka. W ogródku słychać grających *mariachi*, a dom aż pęka w szwach. Zerkam na minę Brittany, zastanawiając się, czy czuje się tak, jakby w jakiś magiczny sposób przeniosła się do Meksyku. Nikt z mojej rodziny nie mieszka w dużym domu z basenem, do jakiego przywykła.

Enrique z kilkoma innymi kuzynami wrzeszczy na nasz widok. Wszyscy mówią po hiszpańsku, co w niczym by nie przeszkadzało, gdyby towarzysząca mi dziewczyna nie mówiła tylko po angielsku. Dla mnie to normalne, że moje ciotki zacałowują mnie na śmierć, a wujkowie klepią serdecznie po plecach. Ale nie wiem, czy dla niej też. Przyciągam ją do siebie, żeby wiedziała, że o niej pamiętam, i próbuję przedstawić ją swojej rodzinie, ale poddaję się, gdy uświadamiam sobie, że nie ma cudów, żeby zapamiętała ich wszystkich.

— *Ese!* — odzywa się ktoś za naszymi plecami.

Odwracam się do Paco.

— Co tam? — mówię i klepię przyjaciela po plecach. — Brittany, na pewno kojarzysz ze szkoły *mi mejor amigo*. Nie bój się, nikomu nie powie, że tu byłaś.

— Będę trzymać głowę na kłódkę — obiecuje i jak skończony kretyn pokazuje na migi, że zamyka usta i wyrzuca klucz.

— Cześć, Paco — wita się ze śmiechem Brittany.

Podchodzi do nas Jorge w białym fraku i z czerwoną różą w butonierce.

Klepię mojego przyszłego kuzyna w łopatki.

— Cześć, stary, ale się odstawileś.

— Sam też nie wyglądasz najgorzej. Przedstawisz mnie swojej znajomej, czy nie?

— Brittany, to Jorge. To biedak... znaczy się szczęściarz, który żeni się z moją kuzynką

Eleną.

Jorge obejmuje Brittany.

— Przyjaciele Aleksa są naszymi przyjaciółmi.

— A gdzie panna młoda? — pyta Paco.

— Płacze na górze w sypialni rodziców.

— Ze szczęścia? — zgaduję.

— Nie, stary. Poszedłem dać jej buziaka, a ona się teraz zastanawia, czy wszystkiego nie odwołać, bo mówi, że to przynosi pecha, gdy pan młody zobaczy pannę młodą w sukni przed ślubem — wyjaśnia Jorge i wzrusza ramionami.

— W takim razie powodzenia. Elena jest przesądna. Pewnie każe ci zrobić jakieś bzdury, żeby odczynić pecha.

Paco i Jorge zaczynają się zastanawiać, co Elena każe mu zrobić, żeby zażegnać nieszczęście, a ja biorę Brittany za rękę i wyprowadzam ją na dwór. W ogrodzie gra zespół. Mimo że jesteśmy *pochos*— Meksykanami mieszkającymi w Stanach — zdecydowanie nie dajemy wygasnąć naszym tradycjom i kulturze. Nasze jedzenie jest pikantne, nasze rodziny liczne i mocno ze sobą związane, a muzyka taka, że nogi same rwą się do tańca.

— Jesteście z Paco kuzynami? — pyta Brittany.

— Nie, ale on lubi tak myśleć. Carlos, to jest Brittany — przedstawiam, gdy podchodzimy do mojego brata.

— Wiem — mówi Carlos. — Przecież widziałem, jak się lizecie.

Brittany staje jak wmurowana.

— Licz się ze słowami — ostrzegam, trzepiąc go w tył głowy.

Brittany kładzie mi rękę na piersi.

— Spokojnie, Alex. Nie musisz mnie przed wszystkimi bronić.

Carlos patrzy na mnie bezczelnie.

— Racja, braciszku. Nie musisz jej bronić. No może tylko przed *mama*.

Dość tego. Rzucam Carlosowi kilka ostrych słów po hiszpańsku tak, żeby Brittany nie zrozumiała.

— *Vete, cabrón nomolestes* — rozkazuję mu sływać i jej nie denerwować. Czy on chce zepsuć jej zabawę? Carlos prychnął obrażony i idzie po coś do jedzenia.

— A gdzie twój drugi brat? — pyta Brittany.

Siadamy przy jednym z wielu wypożyczonych stoliczków, rozstawionych na środku ogrodu. Kładę rękę na oparciu jej krzesła.

— Luis jest tam. — Pokazuję w kąt ogrodu, gdzie mój najmłodszy brat robi z siebie przedstawienie, naśladując różne zwierzęta zagrodowe. Będę mu musiał powiedzieć, że w gimnazjum akurat ta umiejętność nie zadziałała na dziewczyny jak magnes.

Brittany przygląda się czwórce biegających w pobliżu dzieciaków mojego kuzyna, z których najstarsze ma siedem lat. Dwuletnia Marissa uznała, że sukienka jej przeszkadza i porzuciła ją gdzieś w ogrodzie.

— Dla ciebie pewnie wszyscy wyglądają jak banda hałaśliwych *mojados*, nielegalnych meksykańskich robotli.

Uśmiecha się.

— Nie. Raczej jak ludzie, którzy fajnie się bawią na przyjęciu ślubnym w ogrodzie. Kto to? — pyta, gdy mija nas mężczyzna w wojskowym mundurze. — Jeszcze jeden kuzyn?

— Tak. Paul wrócił właśnie z Dalekiego Wschodu. Nie uwierzysz, ale swego czasu należał do Python Trio, gangu z Chicago. Rany, zanim wstąpił do piechoty morskiej, miał poważny problem z narkotykami.

Brittany zerka na mnie szybko.

— Mówiłem ci, że nie biorę. A przynajmniej już nie — stwierdzam stanowczo, bo musi mi uwierzyć. — Ani nie handluję.

— Obiecujesz?

— Tak — odpowiadam, przypominając sobie wieczór na plaży, gdy upaliłem się z Carmen. To był ostatni raz. — Niezależnie od tego, co o mnie mówią, od takiego syfu jak *coca* trzymam się z daleka, bo z tym nie ma żartów. Wierz lub nie, ale chciałbym zachować pełny zestaw szarych komórek, z którym się urodziłem.

— A Paco? — pyta. — On bierze?

— Czasami.

Patrzy na Paco, który śmieje się i żartuje z moją rodziną, do której chciałby należeć dużo bardziej niż do własnej. Jego mama odeszła kilka lat temu i zostawiła go samego z ojcem w dość gównianej sytuacji. Trudno go winić, że chce od tego uciec.

W końcu pojawia się moja kuzynka Elena w białej koronkowej sukni i rozpoczyna się uroczystość.

Podczas składania przysięgi stają za Brittany i obejmują ją mocno. Zastanawiam się, w co będzie ubrana na swoim ślubie. Pewnie zawodowi fotografowie na zawsze uwiecznią tę chwilę.

— *Ahora los declare marido y mujer* — obwieszcza ksiądz, ogłaszając młodych mężem i żoną.

Panna i pan młody całują się i wszyscy klaszczą.

Brittany ściska mnie za rękę.

39. Brittany

Od razu widać, że Jorge i Elena są w sobie szaleńczo zakochani, w efekcie czego zaczynam się zastanawiać, czy ja też będę tak bardzo zakochana w swoim przyszłym mężu.

Myślę o Shelley. Nigdy nie będzie miała męża, nie będzie miała dzieci. Wiem, że moje dzieci będą ją kochać tak samo bardzo jak ja. Nie braknie jej w życiu miłości. Ale czy nie będzie w głębi duszy tęsknić za czymś, czego nigdy nie będzie mogła mieć — za mężem i własną rodziną?

Oglądam się na Aleksa i nie bardzo widzę siebie w gangu. To nie miejsce dla mnie. Ale ten chłopak, związany bezpośrednio ze wszystkim, co budzi mój wewnętrzny sprzeciw, jest mi tak bliski, jak nikt inny. Muszę w jakiś sposób nakłonić go, żeby zmienił swoje życie, aby któregoś dnia ludzie mogli nas uznać za idealną parę. To mój cel.

Ogród wypełnia się muzyką, a ja obejmuję Aleksa w pasie i opieram głowę o jego pierś. Odgarnia mi z szyi luźne kosmyki i tuli mnie do siebie, kołysząc w rytm muzyki.

Do panny młodej podchodzi jakiś facet z banknotem pięciodolarowym.

— To tradycja — wyjaśnia Alex. — Płaci za taniec z panną młodą. To tak zwany taniec dobrobytu.

Patrzę zafascynowana, jak mężczyzna za pomocą agrafki przyczepia banknot do welonu. Moja mama byłaby przerażona.

Ktoś krzyczy coś do mężczyzny tańczącego z panną młodą i wszyscy się śmieją.

— Co ich tak rozśmieszyło?

— Mówią, że przypiął pieniądze podejrzanie blisko jej tyłka.

Przyglądam się tańczącym parom i próbuję naśladować ich ruchy. Gdy panna młoda kończy tańczyć, pytam Aleksa, czy też z nią zatańczy.

Mówi, że tak, więc popycham go w jej kierunku.

— To idź zatańczyć z Eleną, a ja pójdę porozmawiać z twoją mamą.

— Na pewno chcesz to zrobić?

— Tak. Widziałam ją, kiedy przyszliśmy i nie chcę udawać, że jej nie zauważam. Nie martw się o mnie. Muszę to zrobić.

Alex wyjmuje z portfela banknot dziesięciodolarowy. Chcąc nie chcąc, widzę, że w portfelu nic nie zostaje. Odda pannie młodej wszystko, co przy sobie ma. Może sobie na to pozwolić?

Wiem, że pracuje w warsztacie, ale zarobione pieniądze oddaje pewnie mamie.

Odsuwam się i dopiero w ostatniej chwili puszczam jego rękę.

— Zaraz wracam.

Podchodzę do mamy Aleksa. Stoi przy rzędzie stołów, na których kobiety rozstawiają półmiski z jedzeniem. Ma na sobie czerwoną portfelową sukienkę i wygląda młodziej niż moja mama. Moja jest uznawana za ładną, ale pani Fuentes cechuje się tą ponadczasową urodą gwiazdy filmowej. Ma duże, brązowe oczy, rzęsy sięgające niemal brwi i nieskazitelną, lekko opaloną skórę.

Delikatnie stukam ją w ramię, gdy rozkłada na stole serwetki.

— Dzień dobry, pani Fuentes — mówię.

— Brittany, zgadza się? — pyta.

Kiwam głową. Ponowna prezentacja za nami, Brittany. Powiedz coś.

— Eee, odkąd przyjechaliśmy, myślałam, żeby do pani podejść. Uznałam, że teraz będzie dobry moment, ale zamiast mówić do rzeczy, gadam tylko nieskładnie. Zawsze tak mam, gdy się denerwuję.

Kobieta patrzy na mnie jak na wariatkę.

— Słucham — zachęca.

— No tak, wiem, że nie poznałyśmy się w najbardziej sprzyjających okolicznościach. I przepraszam, jeśli ostatnim razem w jakikolwiek sposób panią uraziłam. Chciałam tylko powiedzieć, że nie zjawiłam się w pani domu z zamiarem całowania się z Alekssem.

— Wybacz ciekawość, ale jakie masz właściwie zamiary?

— Słucham?

— Jakie masz zamiary względem Aleksa?

— Ja... nie jestem chyba pewna, co by pani chciała usłyszeć. Szczerze mówiąc, okaże się chyba z biegiem czasu.

Pani Fuentes kładzie mi rękę na ramieniu.

— Bóg jeden wie, że nie jestem najlepszą matką na świecie. Ale kocham moich synów ponad życie, Brittany. I zrobię wszystko, żeby ich chronić. Widzę, jak on na ciebie patrzy i przeraża mnie to. Nie pozwolę, żeby kolejny raz cierpiał przez kogoś, na kim mu zależy.

Słyszając, jak mama Aleksa o nim mówi, sama zaczynam tęsknić za matką, która troszczyłaby

się o mnie i kochała mnie równie mocno jak mama Aleksa swojego syna.

Słowa pani Fuentes poruszają mnie do żywego i w gardle narasta mi gęstwa wielkości piłki golfowej.

Prawda jest taka, że w ostatnim czasie w ogóle przestałam czuć się częścią swojej rodziny. Jestem tylko osobą, która ma cały czas mówić i robić to, co należy, bo tego oczekują moi rodzice. Zgadzałam się na to tak długo po to, by rodzice poświęcili pełną uwagę Shelley, która naprawdę ich potrzebuje.

Czasem strasznie trudno być „normalnym” dzieckiem, które ma im wszystko zrekompensować. Nikt mi nigdy nie mówił, że nie muszę być zawsze idealna. Prawda jest taka, że przez całe życie wiecznie czuję się winna.

Winna, że jestem zdrowym dzieckiem.

Winna, że czuję się odpowiedzialna za to, żeby Shelley była kochana tak samo mocno jak ja.

Winna, że boję się, że moje dzieci mogą urodzić się takie same jak moja siostra.

Winna, że wstydzę się, gdy ludzie gapią się na Shelley w miejscach publicznych.

Nigdy nie wyzwolę się z poczucia winy. Jakim cudem, skoro towarzyszy mi z samej racji urodzenia? Dla pani Fuentes rodzina oznacza miłość i troskę. Dla mnie — poczucie winy i warunkową miłość.

— Pani Fuentes, nie mogę obiecać, że nie skrzywdzę Aleksa. Ale nie jestem w stanie trzymać się od niego z daleka, bo już próbowałam. — Bo przy Aleksie znikają moje własne demony. Czuję, że do oczu napływają mi łzy i zaczynają spływać po policzkach. Przepycham się przez tłum w poszukiwaniu łazienki.

Akurat wychodzi z niej Paco, a ja mijam go tylko i wbiegam do środka.

— Lepiej, żebyś zaczekała, zanim... — głos Paco cichnie, gdy zamykam się od wewnątrz. Ocieram oczy i przeglądam się w lustrze. Wyglądam okropnie. Rozmazał mi się tusz i... ech, to bez sensu. Osuwam się na podłogę i siadam na zimnych kafelkach. Już rozumiem, co chciał mi powiedzieć Paco. W łazience śmierdzi, a właściwie cuchnie... od tego prawie zbiera mi się na wymioty. Zakrywam nos ręką i staram się nie zwracać uwagi na obrzydliwy smród, myśląc o tym, co powiedziała pani Fuentes.

Siedzę na podłodze w łazience, wycieram oczy papierem toaletowym i staram się nie oddychać przez nos.

Głośne pukanie do drzwi przerywa mi płacz.

— Brittany, jesteś tam? — dobiega mnie głos Aleksa.

— Nie.

— Wyjdź, proszę.

— Nie.

— To mnie wpuść.

— Nie.

— Chcę cię czegoś nauczyć po hiszpańsku.

— Czego?

— *No es gran cosa.*

— A co to znaczy? — pytam wciąż z papierem w ręce.

— Powiem ci, jak mnie wpuścisz.

Przekręcam klamkę.

Alex wchodzi do środka.

— To znaczy: Nie ma się czym przejmować. — Zamyka za sobą drzwi, przykłęka przy mnie i przytula mnie mocno do siebie. Zaraz potem wciąga głośno powietrze. — A niech to. Był tu Paco?

Kiwam głową.

Alex gładzi mnie po włosach i mruczy coś po hiszpańsku.

— Co ci powiedziała moja mama?

Wtulam twarz w jego pierś.

— Była ze mną po prostu szczerą — mamrocę mu w koszulę.

Przerywa nam głośnie pukanie do drzwi.

— *Abre la puerta, soy Elena.*

— Kto to?

— Panna młoda.

— Wpuśćcie mnie! — żąda Elena.

Alex otwiera drzwi. Do środka wciska się zjawia w białych koronkach z mnóstwem banknotów przypiętych do trenu i zamyka za sobą drzwi.

— No dobra, co jest grane? — Ona też pociąga nosem kilka razy. — Paco był w środku?

Oboje z Alekssem kiwamy głowami.

— Co ten koleś do cholery żre, że wychodzi mu z drugiej strony taka zgnilizna? Cholera jasna — mówi Elena, odrywa sobie kawałek papieru i zatyka nos.

— Uroczystość była przepiękna — chwałę z za własnego kawałka papieru. To najbardziej absurdalna i surrealistyczna sytuacja, w jakiej kiedykolwiek się znajdowałam.

Elena bierze mnie za rękę.

— Chodź się bawić. Moja ciotka bywa trudna, ale nie życzy nikomu źle. Poza tym wydaje mi się, że naprawdę cię polubiła.

— Odwiozę ją do domu — decyduje Alex, wcielając się znów w mojego wybawiciela. Zastanawiam się, kiedy mu się to znudzi.

— Nigdzie jej nie zabierasz, bo jeśli spróbujesz, zamknę was oboje w tym smrodzie, żebyście zostali.

Elena nie rzuca słów na wiatr.

Kolejne pukanie do drzwi.

— *Vete vete.*

Nie rozumiem, co powiedziała Elena, ale na pewno zrobiła to z dużym entuzjazmem.

— *Soy Jorge.*

Wzruszam ramionami i patrząc pytającym wzrokiem na Aleksa.

— To pan młody — wyjaśnia.

Jorge wciska się do środka. Nie jest tak nieokrzesany jak reszta z nas, bo nie zwraca uwagi na fakt, że w środku śmierdzi padliną. Ale pociąga kilka razy głośno nosem i zaczyna łzawić.

— Chodź, Elena — mówi Jorge, starając się dyskretnie zatkać nos, choć nie bardzo mu to wychodzi. — Goście zastanawiają się, gdzie się podziałas.

— Nie widzisz, że rozmawiam z kuzynem i dziewczyną, z którą przyszedł?

— Tak, ale...

Elena unosi dłoń, żeby go uciszyć, a drugą przytrzymuje sobie przy nosie papier.

— Mówiłam, że rozmawiam z kuzynem i dziewczyną, z którą przyszedł — powtarza stanowczo. — I jeszcze nie skończyłam.

— Ty — mówi, wskazując na mnie palcem. — Idziesz ze mną. Alex, masz dla mnie zaśpiewać z braćmi.

Alex kręci głową.

— Elena, myślę, że...

Elena unosi rękę tuż przed twarzą Aleksa, czym ucisza nawet jego.

— Nie prosiłam, żebyś myślał. Prosiłam, żebyś zaśpiewał razem z braćmi dla mnie i mojego świeżo poślubionego męża.

Elena otwiera drzwi i ciągnie mnie za sobą przez cały dom, zatrzymując się dopiero w ogrodzie. Puszczam mnie, ale tylko po to, żeby wyrwać mikrofon jednemu z muzyków.

— Paco! — obwieszcza z mocą. — Tak, do ciebie mówię — woła Elena i wskazuje na Paco, który zabawia rozmową gromadkę dziewczyn. — Następnym razem, jak będziesz chciał się wysrać, zrób to w jakimś innym domu.

Wianuszek dziewcząt wokół Paco rozprasza się ze śmiechem i Paco zostaje sam.

Jorge wbiega na scenę i próbuje znieść z niej żonę. Biedak męczy się wśród śmiechów i oklasków.

Kiedy Elena zostaje wreszcie usunięta ze sceny, Alex zamienia parę słów z zespołem, a goście okrzykami zachęcają braci Fuentesów do występu.

Paco przysiada się do mnie.

— Ech, przepraszam za tę łazienkę. Próbowalem cię ostrzec — mówi speszony.

— Nic nie szkodzi. Wydaje mi się, że Elena wystarczająco cię upokorzyła. — Przysuwam się do niego i pytam: — Tak szczerze, co myślisz o mnie i Aleksie?

— Tak szczerze, to nie spotkało go chyba w życiu nic lepszego.

40. Alex

Po śmierci taty mama próbowała rozweselić mnie, Carlosa i Luisa muzyką. Tańczyliśmy w domu i śpiewaliśmy z nią na zmianę. Chyba chciała w ten sposób zapomnieć o własnym bólu, przynajmniej na chwilę. W nocy jednak słyszałem, jak płacze w swoim pokoju. Nigdy nie otwierałem drzwi, ale zawsze miałem ochotę zacząć śpiewać i przegnać piosenką cały jej smutek.

Zamieniam parę słów z zespołem, po czym biorę mikrofon.

— Nie wystawiałbym siebie na takie pośmiewisko, ale bracia Fuentes nie mogą odmówić prośbie samej panny młodej. Elena potrafi być bardzo przekonująca.

— Wiem coś o tym! — woła gdzieś z tyłu Jorge.

Elena wali go pięścią w ramię. Jorge krzywi się. Elena ma cios. Jorge całuje pannę młodą, zbyt szczęśliwy, żeby mieć jej to za złe.

Zaczynamy śpiewać. Nic poważnego. Improwizujemy, łącząc piosenki Enrique Iglesiasa, Shakiry i nawet mojego ulubionego zespołu Mana. Przyklękam, żeby zaśpiewać dla moich małych kuzynek i puszczam oko do Brittany.

W tym samym momencie dostrzegam jakieś zamieszanie i słyszę zdumione szepty. Hector. Zaszczycił uroczystość swoją obecnością, co nie często się zdarza. Idzie przez ogród w drogim garniturze i wszyscy się na niego gapią. Kończę śpiewać i siadam przy Brittany. Nagle czuję, że muszę ją chronić.

— Chcesz papierosa? — pyta Paco, wyciągając z tylnej kieszeni paczkę marlboro.

Zerkam na Brittany i odpowiadam:

— Nie.

Paco patrzy na mnie pytającym wzrokiem, po czym wrusza ramionami i zapala sobie papierosa.

— Świetny występ, Alex. Jeszcze parę minut, a twoja *novia* zaczęłaby jeść mi z ręki.

Nazwał Brittany moją dziewczyną. Jest nią?

Prowadzę Brittany do lodówki z napojami. Paco idzie za nami. Uważam, żeby nie znalazła się w pobliżu Hectora.

Mario, kumpel jednego z moich kuzynów, stoi przy lodówce, parując w barwach Python Trio i dużych, workowatych dzinsach, które spadają mu z tyłka. Gang Python Trio jest naszym sprzymierzeńcem, ale gdyby Brittany spotkała Mario na ulicy, pewnie rzuciłaby się biegiem w przeciwnym kierunku.

— Cześć, Alex, Paco — mówi Mario.

— Widzę, że wystroiłeś się na ślub, Mario — mruczę.

— *Cabrón*, smokingi są dla białasów — stwierdza Mario, nie zważając na fakt, że towarzysząca mi dziewczyna jest biała. — Wy w tych podmiejskich gangach jesteście zbyt wydelikaceni. W mieście są prawdziwi bracia.

— Dobra, dobra, twardzielu — mówi bezczelnie Paco. — Powiedz to Hectorowi.

Rzucam Paco wściekle spojrzenie.

— Mario, jeśli nie przestaniesz chrzanić, to osobiście ci udowodnię, jacy jesteśmy twardzi... nigdy nie waz się szykanować LK.

Mario się cofa.

— Cóż, mam randkę z butelką corony. Nara, *guy*.

— Wygląda, jakby narobił w gacie — stwierdza Paco, odprowadzając wzrokiem Mario. Patrzę na Brittany, która wydaje się bledsza niż zwykle.

— Wszystko w porządku?

— Groziłeś mi — szepcze. — Ty mi normalnie groziłeś.

Zamiast odpowiadać, biorę ją za rękę i prowadzę na brzeg zaimprovizowanego parkietu, będącego tak naprawdę kawałkiem trawnika. Grają coś wolnego.

Przyciągam ją do siebie, ale ona się odsuwa.

— Co ty robisz?

— Tańcz ze mną — nakazuję. — I nie dyskutuj. Obejmij mnie i tańcz. — Nie chcę słuchać o tym, że należę do gangu i że ją to przeraża, i że muszę z niego wystąpić, jeśli mamy się dalej spotykać.

— Ale...

— Zapomnij o tym, co powiedziałem Mario — szepczę jej do ucha. — Próbował nas wybadać, sprawdzić naszą lojalność względem Hectora. Jeśli wyczuje jakiś rozłam, jego gang może to wykorzystać. Widzisz, wszystkie gangi dzielą się na Folksów i People. Każdy jest powiązany z jedną z tych grup. Gangi związane z Folksami walczą z gangami związanymi z People. Mario jest związany...

— Alex — przerywa mi Brittany.

— Co?

— Obiecuj mi, że nic ci się nie stanie.

Nie mogę.

— Po prostu tańcz — nakazuję cicho i przesuwam jej rękę tak, żeby mnie obejmowały.

Zerkam nad głową Brittany i widzę, że Hector rozmawia o czymś poważnie z moją mamą. Zastanawiam się, o czym dyskutują. Mama odwraca się od niego i chce odejść, ale on łapie ją za rękę i przyciąga z powrotem do siebie, szepcząc jej coś do ucha. Kiedy chcę już zejść z parkietu i dowiedzieć się, co jest do cholery grane, *mi'ama* uśmiecha się zalotnie do Hectora i wybucha śmiechem. Najwyraźniej mam paranoję.

Mijają godziny i nad miastem zapada wieczór. Wesele trwa w najlepsze, gdy wracamy do samochodu. W drodze powrotnej do Fairfield oboje milczymy.

— Chodź tu do mnie — mówię cicho po zaparkowaniu na tyłach warsztatu.

Brittany nachyla się nad przegródką i przytula do mnie.

— Cudownie się bawiłam — szepcze. — No może nie wtedy, gdy uciekłam do łazienki... i gdy groziłeś temu facetowi.

— Zapomnij o tym i pocałuj mnie — mówię.

Wsuwam rękę w jej włosy. Brittany obejmuje mnie za szyję, gdy wędruję językiem doliną pomiędzy jej wargami. Rozchylam jej usta i pogłębiam pocałunek. To jak tango, najpierw powolne i rytmiczne, a potem, gdy oboje zaczynamy ciężko oddychać i nasze języki łączą się ze sobą, pocałunek zamienia się w podniecający, szybki taniec, w którym najchętniej zatopiłbym się na zawsze. Pocałunki Carmen mogły być ekscytujące, ale pocałunki Brittany są bardziej zmysłowe, podniecające i maksymalnie uzależniające.

Siedzimy cały czas w samochodzie, ale na przednich siedzeniach jest ciasno i nie jest nam wygodnie. Nie wiedzieć kiedy przenosimy się na tylną kanapę. Wciąż daleko do ideału, ale nie zwracam na to większej uwagi.

Całkowicie pochłaniają mnie jęki, pocałunki i ręce Brittany, wplątane w moje włosy. I zapach waniliowych ciasteczek. Nie chcę posuwać się dziś za daleko. Ale mimowolnie przesuwam rękę coraz wyżej jej nagich ud.

— Boże, jak mi dobrze — szepcze Brittany.

Kładę ją na kanapie, a moje ręce wędrują samowolnie po jej ciele. Moje usta pieszczą zagłębienie w jej szyi i zsuwam jej delikatnie ramiączka sukienki i stanika. Brittany w odpowiedzi zaczyna rozpinąć mi koszulę. Gdy poły rozsuwają się na boki, palce Brittany przesuwają się po mojej klatce piersiowej, parząc mi skórę.

— Jesteś... idealny — dyszy.

Nie będę się z nią teraz kłócić. Przesuwam się niżej, a mój język toruje sobie drogę do jej jedwabistej skóry wystawionej na wieczorne powietrze. Brittany chwytą mnie za włosy z tyłu

głowy i przyciska mocniej do siebie. Smakuje tak cudownie. Zbyt cudownie. Jak cukierek.

Caramelo!

Odsuwam się minimalnie i patrzę jej w oczy — w te roziskrzzone szafiry lśniące z pożądania. To jest dopiero ideał.

— Pragnę cię, *chula*, moja śliczna — mówię ochryple. Brittany napiera na mój nabrzmiąły członek, a rozkosz i ból stają się niemal nie do zniesienia. Ale kiedy zaczynam zsuwać jej majtki, przytrzymuje moją rękę, po czym ją odsuwa.

— Nie... nie jestem gotowa, Alex. Przestań.

Zsuwam się z niej i siadam obok, czekając, aż ochłone.

Nie mogę patrzeć, gdy poprawia ramiączka i zakrywa swoje ciało. Cholera, za bardzo się pospieszyłem. Powtarzałem sobie, żeby nie dać się ponieść emocjom, żeby przy tej dziewczynie zachować trzeźwość umysłu. Przeczesuję sobie włosy palcami i wypuszczam powoli powietrze z płuc.

— Przepraszam.

— Nie, to ja przepraszam. To nie twoja wina. Sama cię nakręcałam i masz prawo być na mnie wściekły. Słuchaj, dopiero co rozstałam się z Colinem i mam sporo problemów w domu. — Chowa twarz w dłoniach. — Jestem strasznie skołowana. — Bierze torebkę i otwiera drzwi.

Wysiadam za nią, a czarne poły mojej rozpiętej koszuli powiewają jak peleryna wampira. Albo samej śmierci.

— Brittany, zaczekaj.

— Proszę... otwórz bramę. Chcę zabrać samochód.

— Nie jedź jeszcze.

Wprowadzam kod.

— Przepraszam — powtarza.

— Przestań w kółko przepraszać. Słuchaj, bez względu na to, co się stało, nie jestem z tobą po to, żeby dobrać ci się do majtek. Poniosło mnie, bo tak dobrze nam było dziś razem, a twój waniliowy zapach doprowadza mnie do obłędu i... cholera, naprawdę schrzaniłem sprawę, co?

Brittany wsiada do samochodu.

— Możemy trochę zwolnić, Alex? Dla mnie to zdecydowanie za szybko.

— Dobrze — mówię i kiwam głową. Wsadzam ręce do kieszeni, bo najchętniej wyciągnąłbym ją z powrotem z samochodu.

A Brittany, cholera jasna, odjeżdża.

Zapłatałem się w jej niecierpliwe, niespokojne dłonie i przeholowałem. Kiedy jej ciało jest blisko mnie, jestem w stanie myśleć tylko o niej.

Zakład.

W tym wszystkim powinno chodzić wyłącznie o zakład, a nie o to, żeby zakochać się w dziewczynie z północnej strony miasta. Muszę wbić sobie do głowy, że Brittany interesuje mnie tylko ze względu na zakład i nie zwracać uwagi na to, co naprawdę czuję.

W tej zabawie nie może chodzić o uczucia.

41. Brittany

Zajeżdżam do McDonalda, gdzie nikt mnie nie rozpozna, przebieram się w dzinsy i różowy, portfelowy sweterek, po czym jadę do domu.

Boję się, bo z Aleksem wszystko jest zbyt żywiołowe. Kiedy z nim jestem, wszystko jest zdecydowanie bardziej intensywne. Moje uczucia, emocje, pożądanie. Nigdy nie byłam uzależniona od Colina, nigdy nie chciałam przebywać z nim dwadzieścia cztery godziny na dobę. Pożadam Aleksa. O Boże. Chyba się w nim zakochuję.

Ale wiem, że kochać kogoś znaczy stracić kawałek siebie. A dziś w samochodzie, gdy Alex włożył mi rękę pod sukienkę, bałam się stracić kontrolę. Moje życie polega na zachowywaniu kontroli, więc nie jest dobrze. Przeraza mnie to.

Wchodzę do domu, chcąc przedostać się niezauważenie do swojego pokoju i odwiesić sukienkę do szafy. Niestety w holu czeka na mnie mama.

— Gdzie byłaś? — pyta surowo, trzymając w wyciągniętej ręce mój podręcznik do chemii i teczkę z materiałami. — Mówiłaś, że idziesz potrenować, a potem uczyć się z tym całym Hernandezem.

No to po mnie. Albo muszę się zamknąć, albo przyznać.

— Ma na nazwisko Fuentes, a nie Hernandez. I tak, byłam z nim.

Cisza.

Usta mojej mamy układają się w mocno zaciśniętą, wąską linijkę.

— To jasne, że się nie uczyliście. Co masz w tej torbie? — chce wiedzieć. — Narkotyki? Schowałaś tam narkotyki?

— Nie biorę narkotyków — odpowiadam ostro.

Mama unosi brew i wskazuje na moją torbę.

— Otwieraj — rozkazuje.

Prycham z wściekłości i przyklękam, żeby rozpiąć suwak przy torbie. Czuję się jak w więzieniu. Pokazuję jej sukienkę.

— Sukienka? — pyta mama.

— Byłam z Alekssem na ślubie. Jego kuzynka wychodziła za mąż.

— Ten chłopak namówił cię do kłamstwa. Manipuluje tobą, Brittany.

— Nie namówił mnie do kłamstwa, mam — odpowiadam poirytowana. — Może byś wreszcie zauważyła, że mam własny rozum? Zrobiłam to z własnej woli.

Mama wpada w istny szał. Poznaje po jej rozwścieczonym spojrzeniu i trzęsących się rękach.

— Jeśli jeszcze raz... choć jeden jedyny raz dowiem się, że znów się z nim spotkałaś, bez problemu przekonam twojego ojca, że powinnaś dokończyć liceum w szkole z internatem. Uważasz, że nie mam wystarczająco dużo zmartwień z Shelley? Obiecuj, że zerwiesz z nim poza szkołą wszelkie kontakty.

Obiecuję, po czym biegnę do pokoju i dzwonię do Sierry.

— Co tam? — pyta.

— Sierra, potrzebna mi moja najbliższa przyjaciółka.

— I wybrałaś mnie? No, no, ale mi pochlebiłaś — stwierdza oschle.

— Dobra, okłamałam cię. Lubię Aleksa. Bardzo.

Cisza.

Cisza.

— Sierra, jesteś tam? Czy po prostu mnie olewasz?

— Nie olewam cię, Brit. Zastanawiam się tylko, czemu zdecydowałaś się mi powiedzieć akurat teraz.

— Bo muszę o tym pogadać. Z tobą. Nienawidzisz mnie?

— Jesteś moją najlepszą przyjaciółką — mówi.

— A ty moją.

— Najlepsze przyjaciółki pozostają najlepszymi przyjaciółkami niezależnie od tego, czy jedna z nich dostaje kompletnego świra i postanawia spotykać się z gangsterem. Zgadza się?

— Taką mam nadzieję.

— Brit, nie okłamuj mnie więcej.

— Nie będę. I możesz powiedzieć Dougowi, pod warunkiem że zachowa to dla siebie.

— Dzięki za zaufanie, Brit. Być może myślisz, że to dla mnie nic nie znaczy, ale znaczy.

Gdy kończę relacjonować wszystko Sierze, ciesząc się, że między nami znów jest jak dawniej, dzwoni drugi telefon. Isabel.

— Muszę z tobą porozmawiać — mówi, gdy odbieram.

— Co się dzieje?

— Widziałaś się dziś z Paco?

Hm... to by było tyle, jeśli chodzi o tajemnice.

— Tak.

— Mówiłaś coś o mnie?

— Nie. A co? Chciałaś, żebym to zrobiła?

— Nie. Tak. Sama nie wiem. Jestem skołowana.

— Isabel, powiedz mu po prostu, co czujesz. W moim przypadku zadziałało.

— Tak, ale ty jesteś Brittany Ellis.

— Chcesz wiedzieć, jak to jest być Brittany Ellis? To ci powiem. Tak samo jak inni nie wierzę w siebie. Znajduję się tylko pod większą presją, żeby grać, byle tylko ludzie nie stracili swojego wyobrażenia o mnie i nie zobaczyli, że jestem dokładnie taka sama jak wszyscy. A w efekcie jestem bardziej bezbronna, bardziej wystawiona na oceny i bardziej narażona na plotki.

— W takim razie chyba się nie ucieszysz z tego, co gadają o tobie i Aleksie moi znajomi. Chcesz wiedzieć, co mówią?

— Nie.

— Na pewno?

— Na pewno. Jeśli uważasz się za moją przyjaciółkę, to mi nie mów.

Bo jeśli dowiem się, co o mnie mówią, będę musiała się z tym skonfrontować. A w tej chwili naprawdę wolę żyć w słodkiej nieświadomości.

42. Alex

Po tym, jak Brittany wyjechała pośpieszenie z warsztatu, żeby tylko ode mnie uciec, nie mam ochoty z nikim gadać i liczę, że po powrocie do domu nie natknę się na *mi'amę*. Ale jeden rzut oka na kanapę w salonie rozwiewa moje nadzieje.

Telewizor jest wyłączony, światła przygaszone, a moi bracia odesłani zapewne do pokoju.

— Alejandro — zaczyna mama. — Nie chciałam dla nas takiego życia.

— Wiem.

— Mam nadzieję, że Brittany nie nabija ci głowy żadnymi głupimi pomysłami.

Wzruszam ramionami.

— To znaczy jakimi? Takimi, że nie podoba jej się, że jestem w gangu? Może nie ty zadecydowałaś o tym, że nasze życie wygląda tak, jak wygląda, ale na pewno nie protestowałaś, gdy mnie werbowali.

— Nie mów tak, Alejandro.

— Bo prawda jest zbyt bolesna? Należę do gangu, żeby chronić ciebie i braci, *mama*.

Dobrze o tym wiesz, mimo że o tym nie rozmawiamy — podnoszę głos w odpowiedzi na moją narastającą frustrację. — To decyzja, którą podjąłem dawno temu. Możesz udawać, że mnie do niej nie zachęcałaś, ale — ściągam koszulę, żeby odsłonić tatuaże Latynoskiej Krwi — przyjrzyj mi się, ale tak dokładnie. Jestem członkiem gangu tak jak *papa*. Chcesz, żebym też zaczął handlować narkotykami?

Po twarzy ciekną jej łzy.

— Gdybym wierzyła, że jest inne rozwiązanie...

— Za bardzo się bałaś opuścić tę dziurę, a teraz nie mamy już wyjścia. Nie przelewaj swojego poczucia winy ani na mnie, ani na moją dziewczynę.

— Jesteś niesprawiedliwy — mówi i wstaje.

— Niesprawiedliwe jest to, że od śmierci *mi papa* żyjesz jak wdowa, pogrążona w wiecznej żałobie. Czemu nie wrócimy do Meksyku? Powiedz wujkowi Julio, że wysyłając nas do Stanów za oszczędności swojego życia, popełnił błąd. A może boisz się wrócić do Meksyku i przyznać się swojej rodzinie, że ci się nie udało?

— Nie będziemy o tym rozmawiać.

— Przejrzyj na oczy. — Rozkładam szeroko ręce. — Co cię tu trzyma? Synowie? To tylko wymówka. Czy tak według ciebie wygląda spełnienie marzenia o Ameryce? — Wskazuję ołtarzyk na cześć taty. — Był gangsterem, a nie świętym.

— Nie miał wyboru — płacze mama. — Chronił nas.

— A teraz ja nas chronię. Jak mnie rozwałą, to też mi wystawisz ołtarzyk? A potem Carlosowi? Bo masz świadomość, że jest następny w kolejce? A zaraz za nim Luis.

Mi'ama wymierza mi policzek, po czym robi krok w tył. *Dios mío*, nienawidzę siebie za to,

że ją zdenerwowałem. Łapię ją za ramię, żeby ją przytulić i przeprosić, ale ona krzywi się tylko.

— Mamo? — pytam, nie wiedząc, o co chodzi. Nie złapałem jej mocno, ale zachowuje się tak, jakby ją zabolalo.

Wysuwa się z mojego uścisku i odwraca, ale ja nie mam zamiaru tak tego zostawić. Podchodzę do niej i podwijam rękaw jej sukienki. Z przerażeniem widzę na jej ramieniu paskudnego sińca. Jego fioletowe, czarne i sine kręgi wpatrują się we mnie, a ja z miejsca sobie przypominam rozmowę mamy i Hectora na ślubie.

— Hector ci to zrobił? — pytam łagodnie.

— Musisz przestać wypytywać o ojca — mówi szybko i opuszcza rękaw, żeby zakryć siniak.

Ogarnia mnie dzika wściekłość, gdy uświadamiam sobie, że siniaki *mi'amy* miały być dla mnie ostrzeżeniem.

— Czemu? Kogo Hector stara się chronić? — Chroni kogoś z LK czy członka innego, sprzymierzonego z nami gangu? Chciałbym go o to zapytać. Ale dużo bardziej chciałbym się zemścić i skopać mu tyłek za to, że skrzywdził moją mamę. Hector jest jednak nietykalny. Wiadomo, że jeśli postawię się Hectorowi, to tak jakbym wystąpił przeciwko Krwi.

Mama rzuca mi gniewne spojrzenie.

— Nie zadawaj mi takich pytań. O pewnych rzeczach nie masz pojęcia, Alejandro. I nigdy nie powinienes o nich wiedzieć. Po prostu sobie odpuść.

— Myślisz, że życie w nieświadomości to dobre rozwiązanie? *Papa* był gangsterem i handlował narkotykami. Nie boję się prawdy, do jasnej cholery. Czemu wszyscy wokół mnie starają się ją ukryć?

Zaciskam dłonie przy ciele i czuję, że są spocone. Słyszę jakieś poruszenie w korytarzu. Odwracam głowę i widzę moich braci, którzy patrzą na nas ze zdumieniem.

Cholera.

Gdy tylko mama zauważy Luisa i Carlosa, wciąga z sykiem powietrze w płuca. Zrobiłbym wszystko, żeby nie cierpiała.

Podchodzę do niej i kładę jej delikatnie rękę na ramieniu.

— *Perdón, mama* — przepraszam.

Odtrąca moją rękę i powstrzymując się od płaczu, biegnie do swojego pokoju, zatrzaskując za sobą drzwi.

— To prawda? — pyta Carlos głosem napiętym jak struna.

Kiwam potwierdzająco.

— Tak.

Luis kręci głową i dezorientowany marszczy brwi.

— Co wy mówicie? Nic nie rozumiem. Myślałem, że *papa* był dobrym człowiekiem. *Mama* zawsze mówiła, że był dobry.

Podchodzę do mojego najmłodszego brata i przyciągam jego głowę do siebie.

— To wszystko jedno wielkie kłamstwo! — wrzeszczy Carlos. — Ty, on. To wszystko kłamstwo. *Mentiras!*

— Carlos... — zaczynam, puszczając Luisa i łapiąc drugiego brata za rękę.

Carlos patrzy na moją rękę z obrzydzeniem i cały aż kipi z wściekłości.

— A ja myślałem, że wstąpiłeś do Latynoskiej Krwi, żeby nas chronić. Ale ty po prostu poszedłeś w ślady *papy*. Masz w dupie bohaterstwo. Podobają ci się w LK, ale mnie nie pozwalasz wstąpić. Czy to nie lekka hipokryzja, braciszku?

— Może.

— Jesteś zakałą rodziny, wiesz o tym, prawda?

Gdy tylko puszczam jego rękę, Carlos rzuca się do tylnych drzwi i wybiega z domu.

Milczenie przerywa cichy głos Luisa.

— Czasem dobrzy ludzie muszą robić rzeczy, które nie są dobre. Prawda?

Mierzwię mu włosy. Luis jest dużo bardziej niewinny niż ja w jego wieku.

— Wiesz co, myślę, że będziesz najmądrzejszym Fuentesem w historii naszej rodziny,

braciszku. A teraz wracaj do łóżka i daj mi pogadać z Carlosem.

Znajduję Carlosa na tylnym ganku, wychodzącym na ogródek sąsiadów.

— Czy tak właśnie umarł? — pyta, gdy przysiadam się do niego. — Podczas transakcji?

— Tak.

— Zabrał cię ze sobą?

Kiwam głową.

— Co za drań, miałeś tylko sześć lat. — Carlos wypuszcza cynicznie powietrze. —

Widziałem dziś Hectora na boisku do koszykówki na Main Street.

— Trzymaj się od niego z daleka. Prawda jest taka, że po śmierci *papy* nie miałem wyboru, a teraz też już nie mam wyjścia. Jeśli myślisz, że należę do LK, bo mi się to podoba, to przestań tak myśleć. Nie chcę, żebyś należał do gangu.

— Wiem.

Patrzę na niego surowo, tym samym wzrokiem, którym patrzyła na mnie mama, gdy wkładałem piłki tenisowe do jej rajstop i wyrzucałem je w powietrze, żeby sprawdzić, jak wysoko polecą.

— Posłuchaj mnie, Carlos. Bardzo uważnie. Skup się na szkole, żebyś mógł iść na studia. Bądź kimś. — W przeciwieństwie do mnie.

Zapada długa cisza.

— Destiny też nie chce, żebym wstępował do gangu. Chce iść na uniwersytet i zrobić dyplom z pielęgniarstwa. — Carlos chichocze. — Powiedziała, że byłoby super, gdybyśmy poszli na tę samą uczelnię. — Słucham, bo muszę przestać mu doradzać i pozwolić przemyśleć resztę samemu. — Lubię Brittany, wiesz? — mówi.

— Ja też. — Wracam myślami do tego, co wydarzyło się w samochodzie. Pokazowo mnie poniosło. Mam nadzieję, że nie spieprzyłem wszystkiego dokumentnie.

— Widziałem, jak rozmawiała z *mama* na ślubie. Twarda była.

— Prawdę mówiąc, później w łazience trochę się rozkleiła.

— Jak na tak mądrego gościa, jesteś *loco*, jeśli sądzisz, że sam dasz sobie ze wszystkim radę.

— Jestem twardy. I zawsze przygotowany na najgorsze.

Carlos klepie mnie po plecach.

— Nie wiem czemu, braciszku, ale mam wrażenie, że randki z dziewczyną z północnej strony są trudniejsze niż bycie w gangu.

To świetna okazja, żeby powiedzieć mu prawdę.

— Carlos, członkowie LK gadają wiecznie o braterstwie, honorze i lojalności i wszystko wydaje się takie super. Ale to nie jest rodzina, wiesz? A braterstwo trwa tylko do czasu, póki zgadzasz się robić to, czego od ciebie oczekują.

Mama otwiera drzwi i patrzy na nas z góry. Jest strasznie smutna. Chciałbym móc odmienić jej życie i sprawić, żeby nie cierpiała, ale wiem, że nie mogę.

— Carlos, daj mi porozmawiać z Alejandro na osobności.

Gdy Carlos wchodzi do domu i nie może nas już słyszeć, mama siada obok mnie. Trzyma w ręce papierosa, pierwszego od bardzo dawna.

Czekam, aż zacznie mówić pierwsza. Ja powiedziałem dziś już wystarczająco dużo.

— Popełniłam w życiu wiele błędów, Alejandro — mówi i wypuszcza dym w stronę księżycy. — Niektórych nie da się naprawić niezależnie od tego, jak bardzo proszę o to Boga. — Wyciąga rękę i zakłada mi włosy za uszy. — Jesteś nastolatkiem, na którego spadły obowiązki dorosłego mężczyzny. Wiem, że to niesprawiedliwe.

— *Esta bien*.

— Nieprawda, nie jest w porządku. Ja też musiałam zbyt szybko dorosnąć. Nie skończyłam nawet ogólniaka, bo zaszłam w ciążę z tobą. — Patrzy na mnie tak, jakby widziała samą siebie jako nastolatkę, nie tak dawno temu. — Bardzo chciałam mieć dziecko. Twój ojciec chciał zaczekać, aż skończymy szkołę, ale ja postarałam się o to szybciej. Najbardziej na świecie chciałam być mamą.

— Żałujesz? — pytam.

— Bycia mamą? Nigdy. Żałuję natomiast, że uwiodłam twojego ojca i postarałam się, żeby nie użył prezerwatywy.

— Nie chcę tego słuchać.

— Ale powiem ci o tym bez względu na to, czy chcesz tego słuchać, czy nie. Musisz być ostrożny, Alex.

— Jestem.

Zaciąga się znów papierosem i kręci głową.

— Nie rozumiesz. Ty możesz uważać, ale dziewczyny nie. Dziewczyny są perfidne. Wiem coś o tym, bo jestem jedną z nich.

— Brittany jest...

— Dziewczyną, która może skłonić cię do robienia rzeczy, których nie chcesz robić.

— Uwierz mi, mamó. Ona nie chce zająć w ciążę.

— Nie, ale będzie chciała innych rzeczy. Takich, których nigdy nie będziesz mógł jej dać. Podnoszę głowę i patrzę na gwiazdy, księżyc i wszechświat, który nie ma końca.

— Ale co, jeśli sam chcę je dać?

Mama wypuszcza powoli powietrze z płuc, w efekcie czego dym ulatuje jej z ust jedną długą smugą.

— Okazuje się, że mając trzydzieści pięć lat, żyję już wystarczająco długo, żeby być świadkiem, jak ludzie umierają, sądząc, że mogą zmienić ten świat. Bez względu na to, co sądzisz, twój ojciec zginął, usiłując zmienić swoje życie na lepsze. Twoje wspomnienia się zniekształciły. Byłeś wtedy małym chłopcem, za małym, żeby cokolwiek rozumieć.

— Teraz jestem wystarczająco duży.

Spod powieki wymyka jej się samotna łza, którą szybko ociera.

— Tak, ale teraz jest już za późno.

43. Brittany

Brit, przypomnij mi, czemu właściwie zajeżdżamy po Aleksa Fuentesesa i jedziemy razem do Lake Geneva? — pyta Sierra.

— Mama groziła, że jeśli spotkam się z nim poza szkołą, to będę miała problemy, więc Lake Geneva to idealne miejsce. Nikt nas tam nie zna.

— Poza nami.

— Ale wy na mnie nie doniesiecie. Prawda?

Widzę, że Doug przewraca oczami. Na początku pomysł wydawał mi się dobry. Jednodniowy wypad do Lake Geneva na podwójną randkę musi być fajny. Oczywiście po tym, gdy zszokowani Sierra i Doug oswoją się już z myślą, że jesteśmy parą.

— Błagam, nie suszcie mi już o to głowy.

— Ten koleś jest beznadziejny, Brit — mówi Doug, jadąc na szkolny parking, gdzie ma na nas czekać Alex. — Sierra, to twoja najlepsza przyjaciółka. Przemów jej do rozsądku.

— Próbowałam, ale znasz ją. Jak się uprze, to się uprze.

Wzdycham.

— Moglibyście z łaski swojej przestać mówić o mnie tak, jakby mnie tu nie było? Lubię Aleksa. A on lubi mnie. Chcę dać nam szansę.

— I jak masz zamiar to zrobić? Wiecznie się z nim kryjąc? — pyta Sierra.

Na szczęście wjeżdżamy na parking i nie muszę odpowiadać. Alex siedzi na krawężniku obok swojego motoru, wyciągając przed sobą swoje długie nogi. Zagryzam niespokojnie dolną wargę i otwieram tylne drzwi.

Na widok Douga za kierownicą i siedzącej obok Sierry Alex zaciska mocno szczęki.

— Wskakuj, Alex — rzucam i przesuwam się.

Nachyla się do samochodu.

— To chyba nie najlepszy pomysł.

— Nie wyglupiaj się. Doug obiecał być miły. Prawda, Doug? — Wstrzymuję oddech w oczekiwaniu na odpowiedź.

Doug bez przekonania kiwa głową.

— Jasne — mówi martwym głosem.

Jestem pewna, że każdy inny facet by sobie odpuścił. Ale Alex siada obok mnie.

— Gdzie jedziemy? — pyta.

— Do Lake Geneva — odpowiadam. — Byłeś tam kiedyś?

— Nie.

— To jakąś godzinę drogi stąd. Rodzice Douga mają tam domek.

W czasie jazdy można by pomyśleć, że siedzimy w bibliotece, a nie w samochodzie. Nikt się nie odzywa. Gdy Doug zatrzymuje się na tankowanie, Alex wysiada, odchodzi na bok i zapala papierosa.

Siedzę przygnębiona. Nie tak sobie wyobrażałam ten dzień. Sierra i Doug są zwykle razem strasznie zabawni, ale teraz mamy mniej więcej taki ubaw jak na pogrzebie.

— Nie mogłabyś chociaż spróbować o czymś pogadać? — proszę swoją najlepszą przyjaciółkę. — Potrafisz godzinami gadać o tym, jakiego psa byś wolała pocałować, ale nie możesz sklecić dwóch zdań w obecności chłopaka, na którym mi zależy?

Sierra odwraca się do mnie:

— Przepraszam. Tylko że... Brit, stać cię na kogoś lepszego. Na kogoś dużo lepszego.

— Na przykład na Colina?

— Na kogokolwiek — obrusza się Sierra i odwraca z powrotem.

Alex wsiada do samochodu, a ja uśmiecham się do niego niewyraźnie. Kiedy nie odwzajemnia uśmiechu, biorę go za rękę. Nie zaciska jej na mojej, ale też jej nie wrywa. To dobrze?

Gdy wyjeżdżamy ze stacji, Alex mówi:

— Masz niedokręcone koło. Słyszysz to stukanie z tyłu z lewej strony?

Doug wzrusza ramionami.

— Od miesiąca tak łomocze. Drobiazg.

— Zatrzymaj się, to poprawię. Lepiej, żeby nie odpadło nam na autostradzie.

Widzę, że Doug nie ma zaufania do opinii Aleksa, ale po jakichś dwóch kilometrach zjeżdża niechętnie na pobocze.

— Doug — Sierra wskazuje na księgarnię dla dorosłych, naprzeciwko której się zatrzymaliśmy. — Wiesz, jakiego rodzaju ludzie tam chodzą?

— Skarbie, w tej chwili naprawdę mam to gdzieś. — Odwraca się do Aleksa. — Okej, mądrało. Do roboty.

Alex i Doug wysiadają z samochodu.

— Przepraszam, że na ciebie naskoczyłam — mówię do Sierry.

— Ja też przepraszam.

— Myślisz, że Doug z Alekssem zaczną się bić?

— Możliwe. Chodź, lepiej mieć ich na oku.

Na dworze Alex wyjmuje z bagażnika narzędzia.

Podnosi na lewarku samochód, po czym bierze łyżkę do opon. Doug bierze się pod boki i wysuwa buntowniczo brodę.

— Co cię gryzie, Thompson? — pyta Alex.

— Nie lubię cię, Fuentes.

— A myślisz, że ty jesteś moim ulubieńcem? — warczy w odpowiedzi Alex, po czym klęka przy kole i dokręca nakrętki.

Zerkam na Sierrę. Powinnyśmy interweniować? Sierra wzrusza ramionami. Ja robię to samo. Ostatecznie nie doszło do rozlewu krwi... jeszcze.

Obok nas zatrzymuje się z piskiem opon jakiś samochód. W środku siedzi czterech Latynosów, dwóch z przodu i dwóch z tyłu. Alex nie zwraca na nich uwagi, tylko opuszcza podnośnik i wrzuca go do bagażnika.

— Hej, *mamacitas*. Może olejecie swoich fagasów i pojedziecie z nami? Zabawimy się trochę! — woła jeden z nich przez okno.

— Spieprzaj! — krzyczy Doug.

Jeden z chłopaków wysiada z auta i zaczyna iść w stronę Douga. Sierra krzyczy coś, ale jej nie słucham. Patrzę, jak Alex zdejmuje kurtkę i zagradza koleśowi drogę.

— Zejdź mi z drogi — rzuca gość. — Nie broń tego białego fiuta, bo tylko się ponizas.

Alex stoi tuż przed nim, ściskając mocno w ręce łyżkę do opon.

— Zadzieras z białym fiutem, zadzieras ze mną. Proste jak drut. Kapujesz? *Comprendes, amigo?*

Z auta wysiada jeszcze jeden chłopak. Sytuacja robi się poważna.

— Dziewczyny, do samochodu — rozkazuje Alex ostro.

— Ale...

W jego oczach maluje się niebezpieczny spokój. O rany. Jest śmiertelnie poważny.

Doug rzuca Sierze kluczyki. I co? Mamy schować się w samochodzie i patrzeć, jak się bią?

— Nigdzie nie idę — sprzeciwiam się.

— Ja też nie — wtóruje mi Sierra.

Z drugiego samochodu wystawia głowę jeszcze jeden chłopak.

— Alejo, to ty?

Alex wyraźnie się rozluźnia.

— Malutki? Co ty, do cholery, robisz z tymi *pendejos*?

Chłopak nazwany Malutkim rzuca coś po hiszpańsku do swoich kumpli, którzy wskakują z powrotem do auta. Wyglądają, jakby im ulżyło, że nie muszą bić się z Alekssem i Dougiem.

— Powiem ci pod warunkiem, że ty mi najpierw powiesz, co robisz z bandą *gringos* — mówi Malutki.

Alex parska śmiechem.

— Zjeżdżajcie stąd.

W drodze do samochodu Doug rzuca:

— Dzięki, że stanąłeś po mojej stronie.

Alex mruczy:

— Nie ma sprawy.

Nikt się nie odzywa do samego Lake Geneva. Doug zatrzymuje się przed jakąś knajpą na lunch. Zamawiamy ze Sierrą po sałatce, a Doug i Alex burgery.

Podczas oczekiwania na jedzenie dalej nikt nic nie mówi. Kopię Sierrę pod stołem.

— Eee, Alex — zaczyna. — Widziałeś ostatnio jakiś fajny film?

— Nie.

— A idziesz na studia?

Alex kręci głową.

Doug zaskakuje mnie i przejmuje pałeczkę.

— Skąd tyle wiesz o samochodach?

— Od kuzyna — wyjaśnia Alex. — Przesiadywałem u niego weekendami i przyglądałem się, jak reanimuje różne gruchoty.

— Mój tata ma w garażu karmanna gnię, rocznik 72. Wydaje mu się, że jakimś magicznym sposobem sam zacznie działać.

— A co z nim jest nie tak? — pyta Alex.

Słucha uważnie wyjaśnień Douga. Podczas gdy oni dyskutują o sensie kupowania na eBayu odnowionych części do silnika, siadam wygodniej i odprężam się. Mam wrażenie, że w miarę rozmowy znika wcześniejsze napięcie.

Po jedzeniu idziemy się przejść Main Steet. Alex bierze mnie za rękę, a ja nie pragnę niczego bardziej, niż teraz tu z nim być.

— Ooo, to ta nowa galeria! — woła Sierra i pokazuje jakiś lokal po drugiej stronie ulicy. — Patrzcie, właśnie mają wernisaż. Chodźmy zobaczyć!

— Super — mówię.

— Zaczekam na zewnątrz — mówi Alex, gdy przechodzimy za Sierrą i Dougiem przez ulicę. — Nie nadaję się na chodzenie po galeriach.

To nieprawda. Kiedy on wreszcie zda sobie sprawę, że nie musi żyć według szablonu, w który inni go wciskają? Gdy już będzie w środku, przekona się, że pasuje do galerii tak samo jak do warsztatu samochodowego.

— No chodź. — Ciągnę go za sobą. Wchodzimy do środka, a ja uśmiecham się w duchu. Na stołach piętrzą się stopy jedzenia. Po galerii kręci się jakieś czterdzieści osób i ogląda obrazy.

Alex chodzi obok mnie cały spięty.

— Wyluzuj się.

— Łatwo ci powiedzieć — mruczy.

44. Alex

Zaciągnięcie mnie do galerii nie należało do jej najlepszych pomysłów. Kiedy Sierra uprowadziła Brittany, żeby pokazać jej jakiś obraz, poczułem się jeszcze bardziej nieswojo.

Krążę po galerii i patrzę na stół z jedzeniem, zadowolony, że jesteśmy już po posiłku. To, co tu leży, trudno w ogóle nazwać jedzeniem. Sushi, które wolałbym najpierw wrzucić do mikrofal, żeby w ogóle było zjadliwe. I kanapeczki wielkości ćwierćdolarówek.

— Skończyło się wasabi.

Wciąż staram się zidentyfikować wyłożone potrawy, gdy ktoś stuka mnie w plecy.

Odwracam się i widzę niskiego blondyna. Przypomina mi Oślego Łba, przez co od razu mam mu ochotę przywalić.

— Skończyło się wasabi — powtarza.

Gdybym do diabła wiedział, co to jest wasabi, to bym coś odpowiedział. Ale nie wiem, więc nie odpowiadam. I czuję się przez to jak głupek.

— Nie mówisz po angielsku?

Zaciskam pięści. Owszem, mówię po angielsku, ty matole. Ale gdy ostatnim razem byłem na lekcji angielskiego, słowo „wasabi” nie pojawiło się na cholernym dyktandzie. Zamiast się odzywać, olewam gościa i podchodzę do jednego z obrazów.

Namalowana jest na nim dziewczyna spacerująca z psem po czymś, co najwyraźniej miało przedstawiać kulę ziemską.

— Tu jesteś — odzywa się Brittany, podchodząc do mnie. Są z nią Doug i Sierra.

— Brit, to Perry Landis — mówi Doug, pokazując na sobowtóra Colina. — Artysta.

— O mój Boże, pańskie prace są niesamowite! — woła z entuzjazmem Brittany.

Powiedziała „o mój Boże” tak, jakby naprawdę była słodką idiotką.

— Co sądzisz na temat tego? — pyta blondas.

Brittany chrząka.

— Myślę, że to wnikliwe studium związku człowieka, zwierząt i Ziemi.

Jezu Chryste. Co za brednie.

Perry obejmuje ją, a ja najchętniej przywaliłbym mu na środku galerii.

— Głębokie przemyślenia.

Gówno, a nie głębokie. Chce się jej dobrać do majtek... ale jeśli ja mam coś do powiedzenia w tym temacie, lepiej żeby trzymał od nich łapska z daleka.

— A tobie jak się podoba, Alex? — odwraca się do mnie Brittany.

— Cóż... — Gładzę się po brodzie i spoglądam na obraz. — Moim zdaniem cała kolekcja jest warta dolca, góra dwa.

Sierra robi wielkie oczy i, zszokowana, zasłania usta. Doug parska do szklanki. A Brittany? Patrzę na moją „przekonajmy się, co z tego będzie” dziewczynę.

— Alex, powinieneś przeprosić Perry’ego — nakazuje.

Jasne, zrobię to tuż po jego przeprosinach za wasabi.

Nie ma mowy.

— Spadam stąd — mówię, po czym odwracam się i wychodzę z galerii. *Me voy.*

Na dworze, po drugiej stronie ulicy częstuję się papierosem od kelnerki, która właśnie wyszła na przerwę. Przed oczami mam cały czas obraz Brittany, gdy kazała mi przeprosić.

Źle znoszę rozkazy.

Cholera, szlag mnie trafiał, jak ten dupek, a nie żaden artysta, obejmował moją kobietę. Jestem przekonany, że każdy facet chce położyć na niej w jakikolwiek sposób swoje łapska, byle tylko móc się pochwalić, że ją dotknął. Ja też chcę jej dotykać, ale chcę równocześnie, żeby ona chciała tylko mnie. A nie żeby strofowała mnie jak niegrzecznego psiaka i trzymała mnie za rękę tylko wtedy, gdy nie musi przed nikim grać.

Wszystko idzie zdecydowanie nie tak.

— Widziałam, że wychodziłeś z galerii. Tylko nochale tam chodzą — mówi kelnerka, gdy oddaje jej zapalniczkę.

Wasabi. A teraz nochale. Serio, można by pomyśleć, że nie znam angielskiego.

— Nochale?

— No wiesz, tacy, co zadzierają nosa. Pozerzy z wyższych sfer.

— No cóż, ja zdecydowanie do nich nie należę. Jestem raczej przedstawicielem niższych sfer, który znalazł się tam z grupką nochali. — Zaciągam się mocno papierosem, wdzięczny za nikotynę. Od razu mi lepiej. No dobra, płuca mam pewnie kompletnie zrujnowane, ale mam też nieodparte wrażenie, że zdążę umrzeć, zanim postanowią odmówić mi posłuszeństwa.

— A ja jestem Mandy z niższych sfer — przedstawia się kelnerka z uśmiechem, wyciągając do mnie rękę. Ma jasnobrązowe włosy z fioletowymi pasemkami. Ładna jest, ale to nie Brittany.

Podaję jej rękę.

— Alex.

Patrzy na moje tatuaże.

— Też mam dwa. Chcesz zobaczyć?

Niespecjalnie. Mam dziwne przeczucie, że upiła się któregoś wieczoru i wytatuowała sobie piersi... albo tyłek.

— Alex! — woła Brittany spod wejścia do galerii.

Dalej palę i próbuję nie myśleć o tym, że przywiozła mnie tu, bo jestem jej wstydliwą tajemnicą. Nie chcę już być żadną cholerną tajemnicą.

Moja pseudodziewczyna przechodzi przez ulicę. Jej markowe buty stukają po chodniku, co mi przypomina, że jest ode mnie o klasę lepsza. Wpatruje się we mnie i w Mandy, dwójkę z niższych sfer, która pali sobie razem papieroska.

— Mandy miała mi właśnie pokazać swoje tatuaże — mówię Brittany, żeby ją wkurzyć.

— O, nie wątpię. Ty też jej chciałeś pokazać swoje? — Patrzy na mnie oskarżycielsko.

— Nie lubię dramatyzować — stwierdza Mandy. Wyrzuca papierosa i przygniata go czubkiem adidasa. — Życzę wam szczęścia. Bóg jeden wie, że go potrzebujecie.

Zaciągam się jeszcze raz, myśląc przy tym, że wolałbym, żeby Brittany mnie tak nie prowokowała.

— Wracaj do galerii, *querida*. Pojadę do domu autobusem.

— Myślałam, że spędzimy razem fajny dzień, Alex, w mieście, w którym nikt nas nie zna. Nie masz czasem ochoty na odrobinę anonimowości?

— Myślisz, że to fajne, gdy ten mały pseudoartystyczny śmieć bierze mnie za kucharczyka? Wolę już być raczej uznawany za gangstera niż za biednego imigranta i kucharczyka.

— Ale ty nawet nie dałeś sobie szansy. Gdybyś się wyluzował i przestał być taki przewrażliwiony, mógłbyś się wśród nich odnaleźć. Mógłbyś być jednym z nich.

— Ale wszyscy tam są sztuczni. Nawet ty. Przejrzyj na oczy, panno „O mój Boże!” Nie chcę być jednym z nich. Rozumiesz? *Entiendes?*

— Aż nazbyt wyraźnie. I jeśli chcesz wiedzieć, wcale nie jestem sztuczna. Możesz tak to sobie nazywać, ale my to nazywamy kulturą i dobrym wychowaniem.

— Chyba w twoich kręgach, nie w moich. W moich nazywamy rzeczy po imieniu. I nigdy nie waż się zmuszać mnie do przeprosin, jakbyś była moją matką. Przysięgam, Brittany, zrobisz tak jeszcze raz i z nami koniec.

O rany. Jej oczy zachodzą łzami. Odwraca się tyłem, a ja najchętniej bym sobie przywalił za to, że sprawiłem jej przykrość.

Gaszę papierosa.

— Przepraszam. Nie chciałem zachować się jak dupek. No dobra, chciałem. Ale to dlatego, że źle się tam czułem.

Nie patrzy na mnie. Gładzę ją po plecach, a ona na szczęście się nie odsuwa.

Mówię dalej:

— Brittany, uwielbiam z tobą być. Cholera, po przyjeździe do szkoły rozglądam się za tobą jak głupi. I jak tylko zobaczę te twoje anielskie promyczki — mówię, przeczesując palcami jej włosy — to wiem, że przeżyję jakoś ten dzień.

— Nie jestem aniołem.

— Dla mnie jesteś. Jeśli mi wybaczysz, pójdę i przeproszę tego całego artystę.

Otwiera oczy.

— Naprawdę?

— Tak. Nie chcę tego robić. Ale zrobię... dla ciebie.

Uśmiecha się do mnie leciutko.

— Nie rób tego. Doceniam, że chcesz to zrobić dla mnie, ale masz rację. Jego obrazy faktycznie były do bani.

— Tu jesteście — woła Sierra. — Wszędzie was szukaliśmy, gołąbeczki. Wracajmy do auta i jedźmy wreszcie do domku.

Po przyjeździe na miejsce Doug klaszcze w ręce.

— Jacuzzi czy film? — pyta.

Sierra podchodzi do okna z widokiem na jezioro.

— Przy filmie zasnę.

Siedzę z Brittany na kanapie w salonie, myśląc o tym, że ta wielka willa to drugi dom Douga. A jest większa niż dom, w którym sam mieszkam. A jacuzzi? Jezu, bogaci naprawdę mogą sobie pozwolić na wszystko.

— Nie mam kąpielówek — mówię.

— Nie szkodzi — uspokaja mnie Brittany. — Doug pewnie coś ci znajdzie w przebieralni.

W przebieralni Doug grzebie w szufladzie w poszukiwaniu kąpielówek.

— Są tylko dwie pary. — Wyciąga skąpe slipy i podaje mi je. — Te będą na ciebie dobre, wielkoludzie?

— Prawe jądro mi się nie zmieści. Może ty weźmiesz te, a ja włożę te — proponuję i biorę sobie z szuflady bokserki. Zauważam, że dziewczyny gdzieś zniknęły. — Gdzie poszły?

— Przebrać się. No i na pewno sobie o nas poplotkować.

Rozbieram się w małej kabinie, wkładam kąpielówki i rozmyślam o życiu w domu. Tu, w Lake Geneva, łatwo zapomnieć na chwilę o prawdziwym życiu. Nie trzeba się martwić, kto jest twoim sojusznikiem.

Gdy wychodzę z kabiny, Doug mówi:

— Wiesz, że nie będzie jej łatwo przez to, że jesteście razem? Ludzie już zaczynają gadać.

— Słuchaj, Duggie. Nigdy w życiu nie zależało mi na nikim ani na niczym tak jak na tej dziewczynie. Nie zrezygnuję z niej. Zacznę się przejmować, co myślą inni, jak kopnę w kalendarz.

Doug uśmiecha się i wyciąga do mnie ręce.

— Ach, Fuentes, to chyba początek męskiej przyjaźni. Męski uścisk?

— Nigdy w życiu, białasie.

Doug klepie mnie po plecach i idziemy do jacuzzi. Mimo wszystko też uważam, że nawet jeśli to nie początek przyjaźni, to przynajmniej wzajemnego zrozumienia. Tak czy inaczej, nie mam zamiaru się z nim ścisnąć.

— Bardzo seksowne, skarbie — mówi Sierra, przyglądając się obcisłym kąpielówkom Douga.

Doug idzie jak kaczką, starając się jakoś rozciągnąć kąpielówki.

— Przysięgam, że zaraz po wejściu do basenu zdejmuję to cholerstwo. Miażdży mi jądra.

— Może zachowaj to dla siebie — wtrąca Brittany i zatyka sobie uszy. Ma na sobie żółte bikini, które nie pozostawia wyobraźni zbyt wielkiego pola do popisu. Ciekawe, czy ma

świadomość, że wygląda jak słonecznik gotowy obsypać słońcem wszystkich, którzy tylko na niego spojrzą?

Doug i Sierra wchodzą do jacuzzi.

Też wskakuję i siadam obok Brittany. Nigdy nie kąpałem się w jacuzzi i nie jestem pewny, jakie obowiązują tu zasady. Będziemy siedzieć i gadać, czy dzielimy się na pary i całujemy? Druga opcja bardziej mi się podoba, ale Brittany wyraźnie się stresuje.

Zwłaszcza gdy Doug wyrzuca z basenu kąpielówki.

Krzywię się.

— Stary, no co ty?

— No co? Chcę mieć kiedyś dzieci, Fuentes. To cholerstwo odcinało mi dopływ krwi.

Brittany wychodzi z basenu i owija się ręcznikiem.

— Chodźmy do środka, Alex.

— Zostańcie — prosi Sierra. — Zaraz mu każę włożyć ten pokrowiec z powrotem.

— Daj spokój. Zostańcie sobie we dwoje. My będziemy w domu — odpowiada Brittany.

Wychodzę za nią, a ona podaje mi drugi ręcznik.

Obejmuję ją i wracamy do domu.

— Wszystko dobrze?

— Jak najbardziej. Myślałam, że tobie się nie podoba.

— Nie, jest okej. Ale... — W środku biorę do ręki szklaną figurkę i oglądam ją. — Widząc ten dom, takie życie... chcę tu z tobą być, ale im dłużej się rozglądam, tym bardziej sobie uświadamiam, że to nigdy nie będę ja.

— Za dużo myślisz. — Brittany kłeka na dywanie i klepie ręką podłogę obok siebie. — Połóż się na brzuchu. Umiem robić szwedzki masaż. Rozluźnisz się.

— Nie jesteś ze Szwecji.

— Ty też nie. Więc nawet jak mi coś nie wyjdzie, i tak się nie zorientujesz.

Kładę się obok niej.

— Myślałem, że mieliśmy zwolnić.

— Masaż pleców jest niewinny.

Moje oczy wędrują po jej boskim ciele przesłoniętym tylko bikini.

— Lepiej, żebyś wiedziała, że bywałem w intymnych sytuacjach z dziewczynami, które miały na sobie znacznie więcej.

Klepie mnie w tyłek.

— Zachowuj się.

Mruczę, gdy jej ręce przesuwają się po moich plecach. Rany, co za tortura. Staram się nad sobą panować, ale dotyk jej rąk jest tak cholernie przyjemny, że moje ciało reaguje samoistnie.

— Jesteś spięty — szepcze mi do ucha.

Oczywiście, że jestem spięty. Jej ręce nie przestają się poruszać. W odpowiedzi znów mruczę.

Po kilku minutach masażu, przy którym kompletnie tracę zdrowy rozsądek, z jacuzzi dochodzą nas głośne jęki, pomruki i stęknienia. Doug i Sierra najwyraźniej pominęli etap masażu.

— Myślisz, że to robią? — pyta.

— Albo to, albo Doug jest bardzo religijnym człowiekiem — mówię, mając na myśli fakt, że koleś co dwie sekundy krzyczy „O Boże!”

— Masz przez to ochotę na seks? — szepcze mi cichutko do ucha.

— Nie, ale jeśli dalej mnie będziesz tak masować, to możesz zapomnieć o wszystkich tych bredniach o zwalnianiu tempa. — Siadam i patrzę jej w oczy. — Nie potrafię tylko stwierdzić, czy wiesz, że jesteś kokietką i się ze mną bawisz, czy naprawdę jesteś taka niewinna?

— Nie jestem kokietką.

Unoszę brew i zerkam na jej rękę, którą położyła na moim udzie. Zabiera ją szybko.

— No dobra, nie chciałam kłaść tam ręki. Okej, chciałam, nie do końca. Ja tylko... chcę powiedzieć, że...

— Lubię, jak się jąkasz — mówię i kładę ją obok siebie, po czym demonstruję jej moją

własną wersję szwedzkiego masażu, póki nie przerywają nam Sierra z Dougiem.

Dwa tygodnie później przychodzi zawiadomienie, że mam się stawić w sądzie w związku z zarzutem o nielegalne posiadanie broni. Nie mówię o niczym Brittany, bo zaczęłyby się denerwować. Zaczęłyby pewnie gadać, że obrońca z urzędu nie jest taki dobry jak prywatny adwokat. Szkopuł w tym, że mnie nie stać na adwokata.

Stoję właśnie przed głównym wejściem do szkoły i zamartwiam się swoją przyszłością, gdy ktoś wpada na mnie i omal mnie nie przewraca.

— Co do diabła? — Odpycham gościa, który na mnie wpadł.

— Sorry — przeprasza nerwowo.

Okazuje się, że to nikt inny tylko Białas z aresztu.

— No chodź tu, dziwołagu! — woła Sam.

Robię krok i staję między nimi.

— Sam, w czym problem?

— Ten *pendejo* zajął mi miejsce parkingowe — mówi Sam i pokazuje na stojącego za mną Białasa.

— No i? Zaparkowałeś gdzie indziej?

Sam stoi wyprężony, gotowy nakopać Białasowi. Może to zrobić bez trudu.

— Tak, zaparkowałem.

— To daj mu spokój. Znam go. Jest w porządku.

Sam unosi brew.

— Znasz go?

— Słuchaj — zerkam szybko na Białasa i widzę, że na szczęście ma na sobie niebieską koszulę na guziki, a nie koralową koszulkę polo. W dalszym ciągu jest dziwakiem, ale mogę przynajmniej z poważną twarzą powiedzieć: — Ten koleś siedział w pierdlu więcej razy ode mnie. Może wygląda jak kompletny *pendejo*, ale mimo swojej pedalskiej fryzurki i badziewiastej koszuli to prawdziwy twardziel.

— Ściemniasz, Alex — mówi Sam.

Odsuwam się i wzruszam ramionami.

— Pamiętaj, że ostrzegałem.

Białas robi krok do przodu, starając się wyglądać na twardziela. Zagryzam dolną wargę, żeby się nie roześmiać i zakładam przed sobą ręce, jakbym czekał na mordobicie. Moi kumple z LK też czekają w nadziei, że biały dziwak skopie tyłek Samowi.

Sam patrzy najpierw na mnie, potem na Białasa i robi krok w tył.

— Jeśli mnie wkęcasz, Alex...

— Sprawdź kartotekę policyjną. Specjalizuje się w kradzieży aut.

Sam zastanawia się, co dalej zrobić. Białas nie czeka. Podchodzi do mnie i wystawia pięść.

— Jeśli będziesz czegoś potrzebować, Alex, możesz na mnie liczyć.

Moja pięść łączy się z pięścią Białasa. Chwilę później już go nie ma, a ja cieszę się, że nikt nie zauważył, że ręce trzęsły się mu ze strachu.

Po pierwszej lekcji znajduję Białasa przy jego szafce.

— Mówiłeś serio? Że jeśli bym czegoś potrzebował, to mogę liczyć na twoją pomoc?

— Dziś rano uratowałeś mi życie — mówi Białas. — Nie wiem, czemu się za mną wstawiłeś, ale miałem cholernego stracha.

— To podstawowa zasada. Nie daj po sobie poznać, że masz stracha.

Białas parska. To chyba ma być śmiech. Albo śmiech, albo chore zatoki.

— Postaram się o tym pamiętać, gdy następnym razem jakiś gangster będzie groził, że mnie zabije. — Wyciąga do mnie rękę. — Jestem Gary Frankel.

Ściskam podaną dłoń.

— Słuchaj, Gary — mówię. — W przyszłym tygodniu mam rozprawę i wołałbym nie zdawać się na obrońcę z urzędu. Myślisz, że twoja mama mogłaby mi pomóc?

Gary uśmiecha się.

— Myślę, że tak. Jest naprawdę niezła. Jeśli to twoje pierwsze przestępstwo, pewnie zrobi

tak, żeby skończyło się na krótkich zawiasach.

— Nie stać mnie...

— Zapomnij o pieniądzach, Alex. Tu masz jej wizytówkę. Powiem jej, że jesteś moim kumplem i zrobi to pro bono.

Gary oddała się korytarzem, a ja myślę, jakie to dziwne, że najmniej spodziewane osoby stają się twoim sprzymierzeńcem. I że pewna blondynka może sprawić, że przyszłość nabiera nagle perspektyw.

45. Brittany

W sobotę po południu po meczu — meczu, który wygraliśmy, dzięki przyłożeniu Douga na cztery sekundy przed końcowym gwizdkiem — rozmawiam ze Sierrą i Emkami na brzegu boiska. Staramy się ustalić, gdzie chcemy uczcić zwycięstwo.

— Może w Lou Malnati? — proponuje Morgan.

Wszystkie się zgadzamy, bo to najlepsza pizzeria w mieście. Megan jest na diecie i chętnie zje ich słynną sałatkę, więc wszystkim pasuje.

Dogadujemy szczegóły, a ja oglądam się na Isabel, która rozmawia z Marią Ruiz.

Podchodzę do nich.

— Cześć, laski — mówię. — Chcecie wybrać się dziś z nami do Lou Malnati?

Skołowana Maria marszczy brwi. Isabel nie.

— Pewnie — odpowiada.

Maria patrzy najpierw na Isabel, potem na mnie i znów na Isabel. Mówi coś do niej po hiszpańsku, po czym dodaje, że spotka się z nami na miejscu.

— Co powiedziała?

— Chciała wiedzieć, czemu zaproponowałam nam wspólne wyjście ze swoimi przyjaciółmi.

— I co jej powiedziałaś?

— Powiedziałam jej, że my też się przyjaźnimy, choć zwykle moi przyjaciele mówią na mnie Isa, a nie Isabel.

Prowadzę ją do reszty moich koleżanek i zerkam na Sierrę, która całkiem niedawno przyznała, że jest zazdrosna o moją przyjaźń z Isabel. Ale zamiast potraktować ją chłodno, uśmiecha się i prosi, żeby pokazała jej, jak w jednym z naszych układów robi podwójny przewrót w tył. To tylko uświadamia mi wyraźniej, czemu jest moją najlepszą przyjaciółką. Madison wydaje się równie zdumiona jak wcześniej Maria, kiedy informuję wszystkich, że Maria i Isabel idą z nami do Lou Malnati, nic jednak nie mówi.

Może, ale tylko może, to malutki kroczek w kierunku tego, co doktor Aguirre nazwał „kładzeniem kresu wszelkim podziałom”. Nie jestem tak naiwna, by sądzić, że uda mi się zmienić Fairfield z dnia na dzień, ale w ciągu ostatnich tygodni zaczęłam inaczej patrzeć na niektórych ludzi. Mam nadzieję, że oni na mnie też.

W restauracji siedzę obok Isabel. Do środka weszła właśnie grupka futbolistów, więc knajpa została opanowana przez uczniów Fairfield. Darlene zjawia się z Colinem u boku. Colin obejmuje ją, jakby byli parą.

Sierra, która siedzi po mojej drugiej stronie, mówi:

— Powiedz mi, że nie włożyła ręki do jego tylnej kieszeni. Ale żenada.

— Mam to gdzieś — mówię na wypadek, gdyby miała jakieś wątpliwości co do tego, czy się przejęłam. — Jeśli chcą się spotykać, to szczęście im Boże.

— Robi to tylko dlatego, że chce mieć wszystko to co ty. Rywalizuje z tobą. Najpierw zajęła twoje miejsce w cheerleaderkach, teraz położyła łapę na Colinie. Niedługo będzie chciała zmienić imię na Brittany.

— Bardzo śmieszne.

— Teraz tak mówisz — stwierdza, po czym nachyla się mi do ucha i szepcze: — Ale przestanie być tak śmiesznie, gdy zechce Aleksa.

— I to już przestało być śmieszne.

Wchodzi Doug i Sierra macha do niego. Nie ma już dla niego miejsca, więc Sierra wstaje i

siada mu na kolanach. Zaczynają się całować, a ja jak na dany sygnał odwracam się, żeby pogadać z Isabel.

— Jak tam sprawy z wiesz kim? — pytam świadoma, że nie mogę użyć imienia Paco, bo Isabel nie chce, żeby Maria widziała o jej zauroczeniu.

Wzdycha.

— Nijak.

— Czemu? Nie rozmawiałaś z nim, tak jak ci mówiłam?

— Nie. Zachowywał się jak totalny *pendejo* i udawał, że zupełnie nie pamięta wspólnej nocy. Wydaje mi się, że nie wspomina o tym, bo nie chce niczego więcej.

Myślę o tym, jak zerwałam z Colinem i odważyłam się wyznać wszystko Aleksowi. Za każdym razem, gdy odrzucam cudze oczekiwania i w końcu robię to, co moim zdaniem jest właściwe, czuję się silniejsza.

— Zaryzykuj, Isa. Gwarantuję, że warto.

— Właśnie powiedziałaś do mnie Isa.

— Wiem. Nie przeszkadza ci to?

Żartobliwie uderza mnie w ramię.

— Nie, Brit. Nie przeszkadza.

Rozmowa na temat Paco dodaje mi odwagi, co z kolei sprawia, że zaczynam myśleć o Aleksie. Zaraz po jedzeniu, gdy wszyscy zaczynają się rozchodzić, idę do samochodu i dzwonię po drodze do Aleksa.

— Wiesz, gdzie jest klub Mystique?

— Tak.

— Spotkajmy się tam o dziewiątej.

— Czemu? O co chodzi?

— Zobaczysz. — Rozłączam się i widzę, że tuż za mną idzie Darlene. Słyszała moją rozmowę z Alekssem?

— Wielka randka? — pyta.

Czyli słyszała.

— Co ja ci takiego zrobiłam, że tak bardzo mnie nienawidzisz? W jednej chwili się przyjaźnimy, a zaraz potem knujesz jakieś intrygi.

Darlene wzrusza ramionami, po czym odrzuca w tył włosy. Sam ten gest to wystarczający sygnał, że nie mogę już jej uznawać za swoją przyjaciółkę.

— Chyba mam dość życia w twoim cieniu, Brit. Czas oddać władzę. Już za długo zgrywasz księżniczkę Fairfield. Czas się usunąć i pozwolić innym znaleźć się w centrum uwagi.

— Ależ weź sobie tę uwagę. Na zdrowie. — Nie ma pojęcia, że tak naprawdę nigdy jej nie chciałam. Po prostu wykorzystałam zainteresowanie wokół mnie, żeby łatwiej mi było grać swoją rolę.

Gdy przyjeżdżam o dziewiątej pod klub Mystique, Alex podkrada się do mnie od tyłu. Odwracam się i obejmuję go za szyję.

— Prrr, dziewczyno — mówi zaskoczony. — Myślałem, że mamy ukrywać nasz związek. Przykro mi to mówić, ale obok stoi grupka z północnej części Fairfield. Gapią się na nas.

— Nie obchodzi mnie to. Już nie.

— Czemu?

— Żyje się tylko raz.

Wyraźnie podoba mu się moja odpowiedź, bo bierze mnie za rękę i prowadzi na koniec kolejki. Na dworze jest chłodno, więc podczas oczekiwania na wejście do klubu rozchyła skórzaną kurtkę i chowa mnie w środku, ogrzewając swoim ciałem.

Wtulając się mocno w niego, podnoszę głowę i patrzę na niego.

— Zatańczysz ze mną? — pytam.

— A żebyś wiedziała.

— Colin nigdy nie chciał ze mną tańczyć.

— Nie jestem Colinem, *querida*, i nigdy nie będę.

— To dobrze. Mam ciebie, Alex. Zrozumiałam, że niczego więcej mi nie potrzeba i jestem gotowa pokazać to światu.

Po wejściu do środka Alex od razu ciągnie mnie na parkiet. Nie zważam na natarczywe spojrzenia uczniów z mojej części miasta i przyciągam Aleksa blisko siebie, poruszając się z nim w rytm muzyki tak, jakbyśmy stanowili jedno.

Tańczymy tak, jakbyśmy od zawsze byli razem, wszystkie nasze ruchy są do siebie idealnie dopasowane. Po raz pierwszy nie boję się, co ktoś pomyśli, widząc nas razem. W przyszłym roku w college'u nie będzie miało znaczenia, kto pochodził z jakiej części miasta.

Troy, chłopak, z którym tańczyłam ostatnim razem w Mystique, stuka mnie w ramię. Muzyka wprawia cały parkiet w wibracje.

— Kim jest nowy szczęśliwiec? — pyta.

— Troy, to mój chłopak, Alex. Alex, to jest Troy.

— Cześć, stary — mówi Alex, witając się z Troyem krótkim uściskiem dłoni.

— Mam wrażenie, że ten facet nie popełni tego samego błędu co ostatni — stwierdza Troy.

Nie odpowiadam, bo czuję, że Alex obejmuje mnie w pasie i przytula do siebie, i nie ma nic właściwszego, niż mieć go tak blisko siebie. Chyba spodobało mu się, że nazwałam go swoim chłopakiem. Cudownie było móc powiedzieć to na głos. Opieram się o niego plecami i zamykam oczy, pozwalając, żeby ruch naszych ciał stopił się w jedno z muzyką.

Po jakimś czasie schodzimy z parkietu, żeby odetchnąć. Wyciągam komórkę i mówię:

— Zrób jakąś minę.

Na pierwszym zdjęciu stara się wyglądać jak niegrzeczny chłopiec. Wybucham śmiechem. Pstrykam następną fotkę, zanim zdąży się ustawić.

— Zrobmy sobie wspólne zdjęcie — proponuje Alex i przyciąga mnie do siebie. Przytulam policzek do jego twarzy, a on wyciąga jak najdalej rękę z moim telefonem i uwiecznia tę idealną chwilę. Zaraz potem bierze mnie w ramiona i całuje.

Przytulona do Aleksa, przyglądam się rozbawionemu tłumowi. Na piętrze, tuż przy balkonie, stoi Colin — ostatnia osoba, której się tu spodziewałam. Colin nie cierpi tego miejsca, nie cierpi tańczyć.

Patrzy mi z wściekłością w oczy, po czym pokazowo całuje stojącą obok dziewczynę. To Darlene. Oddaje mu ochoczo pocałunek, podczas gdy on łapie ją za tyłek i zaczyna kołysać jej biodrami w rytm muzyki. Darlene wiedziała, że będę tu dziś z Alekssem i najwyraźniej wszystko zaplanowała.

— Chcesz iść? — pyta Alex, gdy zauważa Colina i Darlene.

Odwracam się do niego i zapiera mi dech w piersiach na sam widok jego pięknej, męskiej twarzy.

— Nie. Ale strasznie tu gorąco. Zdejmą kurtkę.

Alex waha się chwilę, po czym przyznaje:

— Nie mogę.

— Czemu?

Krzywi się.

— Powiedz mi prawdę, Alex.

Zakłada mi za ucho luźny kosmyk, który opada mi na twarz.

— *Mujer*, to nie jest terytorium Latynoskiej Krwi, tylko Fremont 5, naszych wrogów. Twój kolega Troy jest jednym z nich.

Co? Gdy zaproponowałam, żebyśmy tu przyszli, nie zastanawiałam się nad terytoriami i powiązaniem gangów. Chciałam po prostu potańczyć.

— O Boże, Alex, naraziłam cię na niebezpieczeństwo. Chodźmy stąd! — mówię spanikowana.

Alex przyciąga mnie do siebie i szepcze mi do ucha:

— Żyje się tylko raz, nie tak mówiłaś? Zatańcz ze mną jeszcze.

— Ale...

Przerywa mi pocałunkiem tak namiętnym, że zapominam, czym się właściwie martwiłam.

Gdy tylko dochodzę do siebie, wracamy na parkiet.

Podjęliśmy ryzyko i tańczyliśmy pod nosem rekinów, ale wyszliśmy z tego bez zadraśnięcia. Czyhające niebezpieczeństwo sprawiło tylko, że odczuwaliśmy swoją bliskość jeszcze intensywniej.

W damskiej toalecie Darlene poprawia przed lustrem makijaż. Obie się widzimy.

— Cześć — mówię.

Mija mnie bez słowa. To przedsmak tego, co znaczy być wyrzutkiem z północy, ale mało mnie to obchodzi.

Po imprezie, gdy Alex odprowadza mnie do auta, biorę go za rękę i patrzę w gwiazdy.

— Gdybyś mógł wypowiedzieć życzenie, co by to było? — pytam.

— Żeby czas stanął w miejscu.

— Czemu?

Wzrusza ramionami.

— Bo mógłbym żyć zawsze tą jedną chwilą. A ty jakie życzenie byś wypowiedziała?

— Żebyśmy poszli razem na studia. Bo podczas gdy chcesz powstrzymać nadejście przyszłości, ja nie mogę się jej doczekać. Nie byłoby super, gdybyśmy poszli na tę samą uczelnię? Pytam poważnie, Alex.

Odsuwa się ode mnie.

— Jak na kogoś, kto chciał zwolnić tempo, robisz zdecydowanie dalekosiężne plany.

— Wiem. Przepraszam. Nic na to nie poradzę. Złożyłam wstępnie papiery na Uniwersytet Kolorado, żeby być blisko siostry. Ten ośrodek, gdzie chcą ją odesłać moi rodzice, znajduje się kilka kilometrów od kampusu. Co ci szkodzi złożyć papiery, co?

— Chyba nic.

— Naprawdę?

Ściska mnie za rękę.

— Dla tego uśmiechu zrobię wszystko.

46. Alex

Chcę wiedzieć, jak wygląda sytuacja z Brittany — mówi Lucky przed magazynem. — Chłopaki robią zakłady i większość stawia na ciebie. Wiedzą coś więcej niż ja?

Wzruszam ramionami i zerkam na Julio, lśniącego czystością, bo dopiero co go umyłem. Gdyby mój motocykl mógł mówić, błagałby mnie, żebym nie dał mu trafić w ręce Lucky'ego. Ale nie mam zamiaru zdradzać czegokolwiek na temat Brittany. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Podchodzi do nas Hector i przegania Lucky'ego.

— Musimy pogadać, Fuentes — mówi poważnym głosem. — Na temat tej przysługi, o której wcześniej rozmawialiśmy. W wieczór Halloween weźmiesz samochód z wypożyczalni, pojedziesz we wskazane miejsce i wymienisz towar na forszę. Myślisz, że sobie poradzisz?

Mój brat ma rację. Rzeczywiście w moich żyłach płynie krew *mi papa*. Biorąc udział w tej transakcji, przypieczętuję swoją przyszłość w Krwi — coś, co przysługuje mi z racji urodzenia. Inne dzieciaki dostają od rodziców w spadku pieniądze albo rodzinną firmę. Ja odziedziczyłem Latynoską Krew.

— Nie ma rzeczy, z którą sobie nie poradzę — mówię Hectorowi, mimo że czuję ucisk w żołądku. Świadomie okłamałem Brittany. Jej twarz cała się rozpromieniła, gdy mówiła o perspektywie studiowania na tej samej uczelni. Nie mogłem powiedzieć jej prawdy: że nie tylko zostaję w Latynoskiej Krwi, ale na dodatek „wymienię towar na forszę”.

Hector klepie mnie po plecach.

— Mój lojalny brat. Wiedziałem, że Krew okaże się silniejsza niż strach. *Somos hermanos, c'no?* — Jesteśmy braćmi, zgadza się?

— *Seguroi* — potwierdzam, żeby nie wątpił w moją lojalność wobec niego i Krwi. Ale to nie transakcji się boję. Boję się tego, że kładzie ona kres moim marzeniom. Handlując narkotykami, przekroczę pewną granicę. Jak *mi papa*.

— Sie ma, Alex.

Paco stoi kilka metrów ode mnie. Nawet nie zauważyłem odejścia Hectora.

— Co jest?

— Musisz mi pomóc, *compa* — prosi Paco.

— Tobie też?

Patrzy na mnie tym swoim spojrzeniem, mówiącym: Jestem Paco i jestem naprawdę wkurzony.

— Wybierz się ze mną po prostu na małą przejażdżkę.

Trzy minuty później siedzę w pożyczonym czerwonym chevrolecie *camaro*.

Wzdycham.

— Powiesz mi, w czym mam ci pomóc, czy będziesz mnie trzymać w niepewności?

— Właściwie to będę cię trzymać w niepewności.

Widzę na poboczu znak z napisem „Witamy”.

— Winnetka? — Czego Paco szuka w tej bogatej miejscowości na obrzeżach Chicago?

— Zaufanie — mówi Paco.

— Co?

— Przyjaciele muszą sobie ufać.

Siadam wygodniej, świadomy, że mój tok myślenia przebiega tak samo jak u bohaterów kiepskich westernów. Najpierw zgodziłem się przeprowadzić transakcję narkotykową, a teraz jadę na bogate przedmieścia, najwyraźniej bez powodu.

— Jesteśmy na miejscu — obwieszcza Paco.

Podnoszę głowę i patrzę na znak.

— To chyba jakiś żart.

— Nie.

— Jeśli chcesz obrabować to miejsce, to ja tu zaczekam.

Paco przewraca oczami.

— Nie przyjechaliśmy okradać golfistów.

— To po co mnie tu zaciągnąłeś?

— Na partyjkę golfa. Rusz tyłek i mi pomóż.

— Jest połowa października i na dworze jest trzysta stopni, Paco.

— Wszystko jest kwestią priorytetów i przyjętej perspektywy.

Siedzę w aucie i zastanawiam się, jak wrócić do domu. Powrót piechotą zajmie za dużo czasu. Nie wiem, gdzie jest najbliższy przystanek i... i... i skopię Paco tyłek za to, że przywiózł mnie na jakieś pieprzone pole golfowe.

Podchodzę do Paco, który stawia właśnie na ziemi koszyk z piłkami. Rany, są ich chyba całe setki.

— Skąd masz kij? — pytam.

Paco robi kijem młyńca, jakby to było śmigło helikoptera.

— Z wypożyczalni. Chciałbyś też sobie postrzelać?

— Nie.

Paco wskazuje końcem kija golfowego zieloną drewnianą ławkę za nami.

— W takim razie zaczekaj tam.

Siadam i patrzę na innych facetów, którzy uderzają w piłki w wydzielonych sektorach i obserwują nas niespokojnie kątem oka. Doskonale wiem, że obaj z Paco wyglądamy zupełnie inaczej niż reszta ludzi na polu. Dżinsy, T-shirty, tatuaże i bandany na głowach sprawiają, że różnimy się od golfistów ubranych w większości w koszulki polo z długimi rękawami i spodnie khaki. Poza tym ich skóra nie jest w żaden sposób naznaczona.

Zwykle mi to nie przeszkadza, ale po rozmowie z Hectorem wolałbym wrócić do domu, zamiast robić z siebie widowisko. Opieram łokcie o kolana i patrzę, jak Paco totalnie się kompromituje.

Bierze małą białą golfową piłeczkę i ustawia ją na białej okrągłej podstawce w białej sztucznej murawie. Krzywię się, gdy bierze zamach kijem. Kij zamiast w piłkę trafia w sztuczną trawę. Paco przeklina. Facet z sektora obok rzuca mu krótkie spojrzenie i przenosi się w inne

miejsce.

Paco próbuje jeszcze raz. Tym razem trafia w piłeczkę, ale toczy się ona tylko kawałek po trawie tuż przed nim. Paco podejmuje kolejne próby, ale z każdym uderzeniem naraża się tylko na coraz większą kompromitację. Czy jemu się wydaje, że uderza w krążek hokejowy?

— Skończyłeś? — pytam, gdy zużył już połowę piłeczek z kosza.

— Alex — zaczyna Paco i opiera się o kij golfowy jak o laskę. — Uważasz, że moim przeznaczeniem jest grać w golfa?

Patrzę mu prosto w oczy i odpowiadam:

— Nie.

— Słyszałem twoją rozmowę z Hectorem. Ja natomiast nie uważam, żeby twoim przeznaczeniem był handel narkotykami.

— Po to tu przyjechaliśmy? Chcesz mi dać coś do zrozumienia?

— Posłuchaj mnie — mówi z naciskiem Paco. — Kluczyki do samochodu mam w kieszeni i nigdzie się stąd nie ruszę, póki nie zużyję wszystkich piłeczek, więc równie dobrze możesz mnie wysłuchać. Nie jestem taki mądry jak ty. Nie mam perspektyw, ale ty jesteś wystarczająco inteligentny, żeby iść na studia i zostać lekarzem albo programistą, albo kimkolwiek. Tak samo jak mnie nie jest przeznaczona gra w golfa, tak i tobie nie jest przeznaczony handel narkotykami. Pozwól mi zrobić to za ciebie.

— Nie ma mowy, stary. Doceniam, że zrobiłeś z siebie kretyna tylko po to, żeby przemówić mi do rozumu, ale wiem, co muszę zrobić.

Paco ustawia nową piłeczkę, bierze zamach, ale piłeczka znów toczy się tylko kawałek po trawie.

— Brittany to niezła laska. Idzie na studia?

Wiem, do czego zmierza. Niestety mój najlepszy kumpel nie jest zbyt subtelny.

— Tak. W Kolorado. — Żeby być blisko siostry, osoby, o którą troszczy się bardziej niż o siebie samą.

Paco gwizdże.

— Na pewno pozna tam mnóstwo facetów. No wiesz, prawdziwych mężczyzn w kowbojskich kapeluszach.

Czuję, że napinają mi się wszystkie mięśnie. Nie chcę o tym myśleć. Odzywam się do Paco dopiero w samochodzie.

— Kiedy przestaniesz wpięprzać się w moje sprawy? — pytam.

Parska śmiechem.

— Nigdy.

— To chyba nie będziesz miał nic przeciwko, że ja wtrączę się w twoje. Co zaszło między tobą i Isą, co?

— Poprzytulaliśmy się trochę. Sprawa zamknięta.

— Może dla ciebie, bo mam wrażenie, że ona sądzi inaczej.

— No cóż, to jej problem. — Paco włącza radio i podkręca muzykę.

Nigdy z nikim się nie umawiał, bo boi się bliskości. Nawet Isa nie wie, jak bardzo maltretuje go jego ojciec. Doskonale rozumiem, czemu trzyma na dystans dziewczynę, na której mu zależy. Bo prawda jest taka, że czasem igrając z ogniem, faktycznie można się poparzyć.

47. Brittany

Paco, co ty tu robisz? — Ostatnia osoba, którą spodziewałabym się zobaczyć w moim domu, to najlepszy kumpel Aleksa.

— Muszę z tobą pogadać.

— Wejdiesz?

— Jesteś pewna, że to nie problem? — pyta nerwowo.

— Oczywiście. — Dla moich rodziców to pewnie problem, ale nie dla mnie. Przecież rodzice i tak nie zmienią nagle zdania w sprawie Shelley. Mam już dość udawania, dość kulenia się ze strachu przed gniewem mamy. To najlepszy przyjaciel Aleksa. Zaakceptował mnie. Na pewno

nie było mu łatwo tu przyjechać. Otwieram szeroko drzwi i wpuszczam Paco do środka. Jeśli spyta mnie o Isabel, co mam powiedzieć? Zobowiązałam się zachować tajemnicę.

— Kto przyszedł, Brit?

— Paco — odpowiadam mamie. — Kolega ze szkoły.

— Kolacja jest na stole — mówi moja mama niezbyt delikatnie. — Powiedz koledze, że to niegrzecznie przychodzić w porze kolacji.

Odwracam się do Paco:

— Zjesz z nami? — To jawny bunt i dobrze mi z tym. Czuję, że mnie wyzwała.

Słyszę, jak mama z głośnym stukaniem wchodzi do kuchni.

— Nie, dziękuję — odpowiada Paco, powstrzymując parsknięcie. — Właściwie to chciałem pogadać, no wiesz, o Aleksie.

Nie wiem, czy mi ulżyło, że nie wypytuje mnie o Isabel, czy raczej się zdenerwowałam, bo skoro jest tu Paco, to sprawa musi być poważna.

Prowadzę go przez dom. Mijamy Shelley w salonie, gdzie ogląda jakieś czasopisma.

— Shelley, to Paco. Przyjaciel Aleksa. Paco, to moja siostra, Shelley.

Na dźwięk imienia Aleksa Shelley wydaje uszczęśliwiony pisk.

— Cześć, Shelley — wita się Paco.

Shelley uśmiecha się szeroko.

— Shell-bell, musisz mi pomóc. — Shelley kiwa głową w odpowiedzi na mój szept. —

Chcę, żebyś zajęła mamę, bo ja muszę pogadać z Paco.

Moja siostra uśmiecha się szeroko i wiem, że mnie nie zawiedzie.

Mama wchodzi do pokoju i nie zwracając uwagi na mnie i Paco, zabiera Shelley do kuchni.

Patrzę na Paco niespokojnie i wyprowadzam go na dwór, z dala od ciekawskich uszu matki.

— O co chodzi?

— Alex potrzebuje pomocy. Mnie nie chce słuchać. Szykuje się duża transakcja, a Alex ma być *elmero mero*, głównym dowodzącym całej akcji.

— Alex tego nie zrobi. Obiecał mi.

Mina Paco wyraźnie mi mówi, że ma inne informacje na ten temat.

— Próbowałem go od tego odwieść. Ta akcja... to poważna transakcja. Coś mi tu nie gra, Brittany. Hector przymusza do tego Aleksa i zabij mnie, ale nie powiem ci czemu. Czemu akurat Aleksa?

— Ale co ja mogę zrobić? — pytam.

— Każ Aleksowi się jakoś z tego wykręcić. Jeśli ktoś jest w stanie się wykręcić, to tylko on.

Każ mu? Alex nie cierpi, gdy mu się cokolwiek narzuca. Nie mieści mi się w głowie, że mógłby się zgodzić na udział w transakcji narkotykowej.

— Brittany, kolacja już wystygła! — krzyczy mama z kuchni. — A twój ojciec właśnie wrócił do domu. Choć raz siądźmy do stołu jak rodzina.

Odgłos tłuczonych talerzy przywołuje mamę z powrotem do kuchni. Błyskotliwa dywersja Shelley.

Ale właściwie to nie zadanie dla Shelley pomagać mi zatajać prawdę przed rodzicami.

— Zaczekaj tu — rzucam. — Chyba że chcesz być świadkiem awantury u Ellisów.

Paco zaciera rękę.

— Musi być lepsza niż klótnie w mojej rodzinie.

Wchodzę do kuchni i cmokam tatę w policzek.

— Kim jest twój kolega? — pyta nieufnie tata.

— Paco, to mój tata. Tato, to mój kolega Paco.

Paco mówi:

— Dzień dobry. — Tata kiwa głową. Mama krzywi się brzydtko.

— Paco i ja musimy wyjść.

— Gdzie? — pyta mój tata, zupełnie zdezorientowany.

— Zobaczyć się z Alekssem.

— Nie ma mowy — mówi mama.

Tata unosi obie ręce, nic z tego nie rozumiejąc.

— Kto to jest Alex?

— Ten drugi Meksykanin, o którym ci mówiłam — cedzi przez zęby mama. — Nie pamiętasz?

— Ostatnio niewiele pamiętam, Patricio.

Mama wstaje z pełnym talerzem i wrzuca go do zlewu. Talerz roztrzaskuje się, a jedzenie rozbryzguje się na wszystkie strony.

— Brittany, dajemy ci wszystko, czego chcesz — zaczyna mama. — Nowe auto, markowe ubrania...

Tym razem nie wytrzymuję.

— Ale to wszystko tylko pozory, mamo. Jasne, dla świata jesteście ludźmi sukcesu, ale jako rodzice jesteście naprawdę do bani. Z rodzicielstwa dałabym wam dwóję z minusem, a i tak macie szczęście, że to nie pani Peterson was ocenia, bo byście oblali. Czemu tak bardzo się boicie pokazać, że też macie problemy, jak cała reszta świata?

Nakręcam się i nie ma już odwrotu.

— Alex potrzebuje mojej pomocy. Jestem, kim jestem, między innymi dlatego, że jestem wierna ludziom, którzy są dla mnie ważni. Jeśli to was boli albo przeraża, to bardzo mi przykro.

Shelley wydaje jakieś dźwięki i odwracam się do niej.

— Brittany — mówi mechaniczny głos z urządzenia wspomagającego komunikację przymocowanego do wózka mojej siostry. Palce Shelley poruszają się, wydobywając kolejne słowa: — Dobrze. Dziewczyna.

Łapię moją siostrę za rękę, po czym znów zwracam się do rodziców.

— Jeśli chcecie mnie wyrzucić z domu albo mnie wydziedziczyć za to, że jestem sobą, to zróbcie to i miejmy to już za sobą.

Mam dość strachu. Strachu o Aleksa, o Shelley i o samą siebie. Czas stawić czoło moim lękom, bo na całe życie zatonę w obawach i poczuciu winy. Nie jestem idealna. Najwyższy czas, żeby świat też się o tym dowiedział.

— Mamo, zgłoszę się do szkolnego psychologa.

Mama krzywi się z odrazą.

— To niedorzeczne. Zostanie ci to w papierach do końca życia. Niepotrzebny ci psycholog.

— Potrzebny. — Zbieram się na odwagę i dodaję: — I tobie też. Nam wszystkim.

— Posłuchaj mnie, Brittany. Jeśli wyjdiesz z domu... możesz już nie wracać.

— Buntujesz się — wtrąca ojciec.

— Wiem. I dobrze mi z tym. — Biorę torebkę. To wszystko, co mam, chyba że wliczyć to, w co jestem ubrana. Uśmiecham się promiennie i podaję rękę Paco. — Idziemy?

Bez wahania bierze mnie za rękę.

— Tak. — Już w samochodzie mówi: — Twarda z ciebie sztuka. Nigdy nie sądziłem, że jesteś taka waleczna. — Paco wiezie mnie w najciemniejszy zakątek Fairfield. Prowadzi mnie do dużego magazynu na jakiejś nieuczęszczanej bocznej drodze. Jakby sama matka natura chciała nas ostrzec, niebo zaczynają zasnuwać złowieszcze czarne chmury i wyraźnie się ochładza.

Zatrzymuje nas jakiś osiłek.

— Kim jest ta śnieżynka? — pyta.

Paco odpowiada:

— Jest czysta.

Osiłek taksuje mnie wymownie wzrokiem i dopiero potem otwiera drzwi.

— Jeśli zacznie węszyć, ty za to bekniesz, Paco — ostrzega.

Chcę tylko zabrać stąd Aleksa, bo mam wrażenie, że wszędzie tu czai się niebezpieczeństwo.

— Hej! — woła gdzieś obok jakiś chropawy głos. — Jeśli potrzebujesz czegoś na wzmocnienie, służę pomocą, *si*?

— Chodź — mówi Paco, po czym bierze mnie za rękę i ciągnie korytarzem na wprost. Z drugiej strony magazynu słyszę jakieś głosy... głos Aleksa.

— Sama do niego pójde.

— To nie najlepszy pomysł. Zaczekaj, aż Hector skończy z nim rozmawiać — mówi Paco, ale go nie słucham.

Idę tam, skąd dochodzi głos Aleksa. Rozmawia z jakimiś dwoma facetami. Rozmowa jest najwyraźniej poważna. Jeden z gości wyciąga jakiś papier i podaje Aleksowi. W tym samym momencie Alex mnie zauważa.

Mówi coś do faceta po hiszpańsku, po czym składa kartkę i chowa ją sobie do kieszeni. Jego głos jest twardy i ostry, tak samo jak wyraz jego twarzy.

— Co ty tu, do cholery, robisz? — pyta.

— Ja tylko,

Nie mogę skończyć, bo Alex łapie mnie za ramię.

— Ty tylko natychmiast wychodzisz. Kto cię tu, do cholery, przywiózł?

Zastanawiam się nad odpowiedzią, gdy z półmroku wyłania się Paco.

— Alex, proszę cię. Być może to Paco mnie tu przywiózł, ale sama chciałam.

— Ty *culero* — rzuca Alex i puszcza mnie, podchodząc do Paco.

— Czy nie tak wygląda twoja przyszłość, Alex? — pyta Paco. — Czemu wstydzisz się pokazać swojej *novii* swój drugi dom?

Alex wali Paco pięścią w twarz. Paco przewraca się. Podbiegam do niego i rzucam Aleksowi ostre, ostrzegawcze spojrzenie.

— Jak mogłeś to zrobić! — drę się. — To twój najlepszy przyjaciel, Alex.

— Nie chcę, żebyś tu była! — Z ust Paco cieknie strużka krwi. — Nie powinienes jej tu przywozić — mówi Alex, już spokojniej. — To nie miejsce dla niej.

— Ani dla ciebie, brachu — odpowiada cicho Paco. — A teraz zabierz ją stąd. Dość się napatrzyła.

— Chodź ze mną — nakazuje mi Alex i wyciąga do mnie rękę.

Zamiast do niego podejść, unoszę delikatnie brodę Paco i oglądam obrażenia.

— Mój Boże, leci ci krew — mówię i czuję przyływ paniki. Od krwi robi mi się niedobrze. Krew i przemoc zawsze sprawiają, że tracę nad sobą panowanie.

Paco odsuwa łagodnie moją rękę.

— Nic mi nie będzie. Idź z nim.

W ciemności rozlega się jakiś tubalny głos i mówi coś do Aleksa i Paco po hiszpańsku.

Jest tak władczy, że zaczynam drzeć. Wcześniej się nie bałam, ale teraz zdecydowanie już tak. Ten sam facet rozmawiał wcześniej z Alekssem. Ma na sobie ciemny garnitur i śnieżnobiałą koszulę. Jego twarz mignęła mi przelotnie na ślubie. Ma kruczoczarne, zaczesane do tyłu włosy i bardzo ciemną karnację. Jedno spojrzenie upewnia mnie, że to ktoś bardzo potężny w Latynoskiej Krwi. Po jego bokach stają dwaj postawni mężczyźni o nieprzyjemnym wyrazie twarzy.

— *Nada*, Hector — odzywają się jednym głosem Alex i Paco.

— To zabierz ją stąd, Fuentes.

Alex bierze mnie za rękę i wyprowadza szybko z magazynu. Gdy wreszcie wychodzimy, wypuszczam wstrzymywane powietrze.

48. Alex

Wynośmy się stąd. Oboje, *miamor. Vamos!*

Oddycham z ulgą, gdy wsiamam na Julio, a Brittany wskakuje za mną. Obejmuje mnie w pasie i przytula się mocno, gdy wyjeżdżam na pełnym gazie z parkingu.

Pędzimy ulicami tak, że wszystko się rozmazuje. Nie zatrzymuję się nawet wtedy, gdy zaczyna lać.

— Możemy już stanąć?! — wrzeszczy Brittany, żeby przekrzyczeć szalejącą burzę.

Zatrzymuję się pod starym, nieużywanym mostem przy jeziorze. Ciężkie krople deszczu walą w beton, ale my mamy schronienie.

Brittany zeskakuje z motoru.

— Jesteś skończonym idiotą! — woła. — Nie możesz handlować narkotykami. To

niebezpieczne i głupie, a poza tym obiecałeś mi. Możesz trafić do więzienia. Do więzienia, Alex. Może cię to nie rusza, ale mnie tak. Nie pozwolę ci zrujnować sobie życia.

— Co mam ci powiedzieć?

— Nic. Wszystko. Powiedz cokolwiek, żebym nie czuła się jak kompletna kretyńska.

— Prawda jest taka... Brittany, spójrz na mnie.

— Nie mogę — mówi, wbijając wzrok w zacinający deszcz. — Jestem już zmęczona ciągłym wyobrażaniem sobie najgorszego.

Przyciągam ją do siebie.

— To przestań sobie wyobrażać, *muneca*. Wszystko samo się ułoży.

— Ale...

— Żadnego ale. Zaufaj mi. — Zamykam jej usta pocałunkiem. Zapach deszczu i ciasteczek uspokaja mnie.

Obejmuję ją w pasie. Ona chwyta mnie za przemoknięte ramiona i przyciąga do siebie.

Wsuwam jej ręce pod bluzkę i moje palce odnajdują jej pępek.

— Chodź tu do mnie. — Siedzam ją przed sobą na motorze.

Całuję ją bez wytchnienia. Szepczę, jak cudownie czuć ją przy sobie, płacząc w każdym zdaniu hiszpański z angielskim. Przesuwam ustami wzdłuż jej szyi i zatrzymuję się nisko, a wtedy ona odchyła się lekko i pozwala zdjąć sobie bluzkę. Mogę sprawić, żeby zapomniała o wszystkim, co złe. Do cholery, kiedy jesteśmy razem, potrafię myśleć tylko o niej.

— Przestaję nad sobą panować — przyznaje Brittany i zagryza wargę. Uwielbiam te wargi.

— *Mamacita*, ja już dawno przestałem — mówię i przyciskam się do niej, żeby wiedziała, jak bardzo już mnie poniosło.

Jej biodra zaczynają poruszać się powoli tuż przy moich, zapraszając mnie do czegoś, na co nie zasługuję. Muskam opuszkami palców jej usta. Całuję je, a ja po chwili przesuwam dłoń wzdłuż jej brody i szyi, aż do piersi.

Łapie mnie za rękę.

— Nie chcę przestawać, Alex.

Obejmuję ją całym ciałem.

Tak łatwo mógłbym ją wziąć. Cholera, sama o to prosi. Ale Bóg jeden widzi, że obudziło się chyba we mnie sumienie.

To przez ten szurnięty zakład z Luckym. I przez to, co mówiła mama o tym, jak łatwo można dziewczynie sprawić dziecko.

Gdy się zakładałem, nic nie czułem do tej wielowymiarowej białej dziewczyny. Ale teraz... jasna cholera, nie chcę nawet myśleć o swoich uczuciach. Nienawidzę uczuć. Potrafią tylko spięprzyć człowiekowi życie. I niech padnę trupem, ale chcę się kochać z Brittany, a nie pieprzyć się z nią na motorze jak z tanią dziwką.

Odrywam ręce od jej boskiego ciała, od jej *cuerpo perfecto* — pierwsza rozsądna rzecz, jaką dziś zrobiłem.

— Nie mogę cię wziąć w ten sposób. Nie tutaj — mówię głosem zachrypłym z nadmiaru emocji. Ta dziewczyna była gotowa oddać mi swoje ciało, mimo że wie, kim jestem i co mam zamiar zrobić. Ciężko zaakceptować rzeczywistość.

Spodziewam się zobaczyć na jej twarzy zawstydzenie, może nawet wściekłość. Ale ona tylko wtula się we mnie i obejmuje mocno. Nie rób mi tego, mam ochotę powiedzieć. Zamiast tego przytulam ją z całych sił do siebie.

— Kocham cię — szepcze tak cicho, że równie dobrze mogłem usłyszeć jej myśl.

Nie — chcę powiedzieć. *No! No!*

Czuję ucisk w sercu i przyciągam ją do siebie mocniej. *Dios mio*, gdyby moje życie było inne, nigdy nie pozwoliłbym jej odejść. Zanurzam twarz w jej włosach i wyobrażam sobie, że uciekamy razem z Fairfield.

Siedzimy tak długo, deszcz dawno już przestał padać i czas wrócić do rzeczywistości.

Pomagam jej zsiąść z motoru, żeby mogła się ubrać.

Brittany patrzy na mnie z nadzieją:

— Pojedziesz na tę transakcję?

Zsiadam z Julio i idę na koniec tunelu. Wystawiam rękę pod zimną wodę, wciąż ściekającą z krawędzi mostu.

— Muszę — mówię odwrócony plecami.

Staje obok mnie.

— Czemu? Czemu musisz zrobić coś, przez co możesz trafić do więzienia?

Obejmuję dłonią jej delikatny, blady policzek i uśmiecham się smutno.

— Nie wiedziałaś, że członkowie gangu handlują narkotykami? Taka ich rola.

— Więc odejdz z gangu. Na pewno jest jakiś sposób...

— Jeśli chcesz odejść, sprawdzają twoją wytrzymałość. Czasem cię torturują, czasem biją.

Jeśli przeżyjesz, droga wolna. Ale musisz wiedzieć, *preciosa*, że tylko raz widziałem, żeby ktoś wyszedł z tego żywy. I facet do tej pory żałuje, że przeżył, bo tak go zmasakrowali. Boże, nigdy tego nie zrozumiesz. Muszę tam być ze względu na rodzinę.

— Ze względu na pieniądze?

Puszczam jej rękę.

— Nie, nie ze względu na pieniądze. — Odchylam głowę i krzywię się poirytowany. —

Mozemy zmienić temat?

— Ale ja nie zgadzam się, żebyś robił coś niezgodnego z prawem.

— *Querida*, tobie potrzebny jest święty. Albo przynajmniej duchowny. A ja nie jestem ani jednym, ani drugim.

— Czy ja nie jestem dla ciebie ważna?

— Jesteś.

— To udowodnij mi to.

Zdejmuję z głowy bandanę i przeczesuję ręką włosy.

— Zdajesz sobie sprawę, jak mi ciężko? *Mi madre* wymaga ode mnie, żebym przez przynależność do Krwi zapewnił rodzinie bezpieczeństwo, ale nie chce się do tego przyznać. Hector chce, żebym udowodnił mu swoją lojalność względem Krwi, a ty... jedyna osoba, z którą mógłbym kiedyś zacząć życie, ty żądasz dowodów miłości, które mogą narazić na niebezpieczeństwo moją rodzinę. Wiesz, że muszę to zrobić. I nikt, nawet ty, nie zmieni mojej decyzji. *Oluidalo*. Zapomnij o tym.

— Zrezygnujesz z tego, co nas łączy?

— Cholera, nie rób tego. Nie musimy z niczego rezygnować.

— Jeśli zaczniesz handlować, to koniec. Ja dla ciebie... dla nas zaryzykowałam utratę wszystkiego. Przyjaciół. Rodziców. Wszystkiego. Nie możesz zrobić tego samego?

Rzucam jej swoją kurtkę, bo zaczyna dygotać z zimna.

— Masz. Ubierz się.

No i tyle. Tak wygląda moje życie. Jeśli nie jest w stanie tego zaakceptować, niech wraca do Colina Adamsa. Albo kogokolwiek, kogo może zamienić w swoją lalczkę.

Prosi, żebym odwiózł ją do Sierry.

— Chyba powinniśmy skończyć projekt z chemii oddzielnie — mówi Brittany. Gdy dojeżdżamy do dużego domu na plaży, oddaje mi kurtkę. — Chcesz skonstruować ogrzewacze czy wolisz zrobić opis?

— Ty wybierz.

— Nieźle sobie radzę z pisaniem...

— Świetnie. Ja w takim razie zajmę się całą resztą.

— Alex, to nie musi się tak kończyć.

Patrzę, jak do oczu napływają jej łzy. Muszę się stąd zmyć, zanim zaczną płakać. Bo to nie skończy się dla mnie dobrze.

— Musi — rzucam i odjeżdżam.

49. Brittany

Po zużyciu dwóch opakowań chusteczek Sierra przestała próbować mnie pocieszyć i

pozwoliła mi po prostu płakać, póki nie zasnę. Rano poprosiłam, żeby nie rozsuwała zasłon i nie podnosiła rolet. W końcu co w tym złego, że ktoś zostanie cały dzień w łóżku?

— Dzięki, że nie powiedziałaś: „A nie mówiłam?” — rzucam, przeglądając zawartość jej szafy w poszukiwaniu czegoś, co mogę na siebie włożyć po tym, gdy już zmusiła mnie do wyjścia z łóżka.

Sierra stoi przed toaletką i się maluje.

— Nie powiedziałam, ale zdecydowanie tak myślę.

— Dzięki — rzucam oschle.

Sierra wyjmuje z szafy dzinsy i bluzkę z długimi rękawami.

— Masz, włóż to. W moich ciuchach nie będziesz wyglądać nawet w połowie tak dobrze, jak w swoich, ale i tak dużo lepiej niż każda inna dziewczyna w Fairfield.

— Nie mów tak.

— Czemu? Przecież to prawda.

— Nie. Mam za grubą górną wargę.

— Facetom się podoba. Gwiazdy filmowe płacą grubą kasę za powiększenie ust.

— Mam haczykowany nos.

— Tylko pod określonym kątem.

— I krzywe cycki.

— Są duże, Brit. A faceci mają obsesję na punkcie dużych cycków. Naprawdę mało ich obchodzi, czy są krzywe. — Zaciąga mnie przed lustro. — Spójrz prawdzie w oczy. Wyglądasz jak modelka. No dobra, teraz masz przekrwione i zapuchnięte oczy, bo całą noc ryczałaś. Ale poza tym nie ma się do czego przyczepić. Popatrz na siebie w lustrze, Brit i powiedz na głos: Jestem boska.

— Nie.

— No spróbuj. Od razu lepiej się poczujesz. Popatrz w lustro i wrzaśnij: Moje cycki są super!

— Nie-e.

— A możesz chociaż przyznać, że masz świetne włosy?

Patrzę na Sierrę.

— Ty mówisz do swojego odbicia?

— Tak. Chcesz zobaczyć? — Odsuwa mnie i podchodzi do lustra. — Nieźle, Sierra — mówi do siebie. — Doug to prawdziwy szczęściarz. — Odwraca się do mnie. — Widzisz, to łatwe. Zamiast się śmiać, zaczynam płakać.

— Jestem aż taka brzydka?

Kręcę głową.

— Płaczesz, bo nie mam ciuchów z błyskotkami? Wiem, że mama wywaliła cię z domu, ale może pozwoli nam zabrać trochę rzeczy z twojej szafy? Nie wiem, jak długo będziesz chciała nosić rozmiar trzydzieści osiem, skoro sama nosisz trzydzieści cztery.

Mama nie dzwoniła wczoraj, żeby sprawdzić, czy tu jestem. Raczej tego oczekiwałam, ale z drugiej strony ona rzadko kiedy spełnia moje oczekiwania. A tata... pewnie w ogóle nie wie, że nie wróciłam do domu na noc. Mogą sobie zatrzymać moje ciuchy. Chociaż pewnie i tak zakradnę się do domu w ciągu dnia, żeby zobaczyć się z Shelley.

— Mogę ci coś doradzić? — pyta Sierra.

Patrzę na nią niepewnie.

— Nie wiem. Od początku ci się nie podobało, że spotykam się z Alekssem.

— Nieprawda, Brit. Nie mówiłam ci tego, ale to naprawdę fajny facet, jak już się trochę wyluzuje. Wtedy w Lake Geneva świetnie się bawiłam. Doug też i powiedział nawet, że Alex to fajny kumpel. Nie wiem, co między wami zaszło, ale albo musisz o nim zapomnieć, albo wytoczyć cały swój arsenał.

— Tak właśnie postępujesz z Dougiem?

Sierra uśmiecha się.

— Czasem Doug potrzebuje małego wstrząsu. Gdy nasz związek robi się zbyt spokojny, trochę go podkręcam. Nie zrozum mnie źle. Nie mówię, że masz zacząć uganiać się za Alekssem.

Ale jeśli naprawdę ci na nim zależy, to przecież ci nie powiem, żebyś o niego nie walczyła? Brit, nienawidzę, jak jesteś smutna.

— A z Alekssem byłam szczęśliwa?

— Chyba raczej miałaś na jego punkcie obsesję. Ale tak, szczęśliwa też byłaś. Tak szczęśliwa, jak już długo, długo nie byłaś. W przypadku człowieka, na którym tak bardzo ci zależy, ból jest równie intensywny jak wcześniej szczęście. Czy to ma jakiś sens?

— Ma. Ale wychodzi też na to, że cierpię na chorobę maniakalno-depresyjną.

— To normalne w miłości.

50. Alex

Następnego dnia po wizycie Brittany w magazynie jem śniadanie, gdy za drzwiami mojego domu miga mi czyjaś wygolona głowa.

— Paco, jeśli to ty, to, do cholery, lepiej nawet do mnie nie podchodź! — krzyczę.

Mi'ama trzepie mnie w tył głowy.

— Nie odnoś się w ten sposób do przyjaciół, Alejandro.

Wracam do jedzenia, podczas gdy mama otwiera drzwi temu... zdrajcy.

— Chyba się już na mnie nie gniewasz? — pyta Paco. — Czy gniewasz?

— Oczywiście, że się na ciebie nie gniewa, Paco. Siadaj i zjedz z nami. Przygotowałam *chorizo con huevos*.

Paco ma czelność poklepać mnie po ramieniu.

— Wybaczam ci, stary.

Podnoszę głowę i patrzę najpierw na *miamę*, żeby się upewnić, że jest czymś zajęta, a potem na niego.

— Ty wybaczasz mnie?

— Paskudnie rozwalileś sobie wargę, Paco — zauważa mama, oceniając moje dzieło.

Paco maca się delikatnie po ustach.

— Tak, nadziealem się na pięść. Wie pani, jak to jest.

— Nie bardzo. Ale jeśli będziesz nadziewać się na zbyt wiele pięści, wylądujesz w końcu w szpitalu — ostrzega i kiwa na niego palcem. — No dobrze, idę do pracy. Paco, trzymaj się dziś z daleka od pięści, *si*? Nie zapomnij zamknąć domu na klucz, jak będziesz wychodzić, Alejandro, *porfis*... — prosi.

Patrzę z wściekłością na Paco.

— Co?

— Dobrze wiesz co. Jak mogłeś przywieźć Brittany do magazynu?

— Przepraszam — mówi Paco, pochłaniając nasze śniadanie.

— Wcale nie jest ci przykro.

— No dobra, masz rację. Nie jest.

Patrzę z obrzydzeniem, jak zgarnia palcami jajka i kiełbasę i wrzuca je sobie do buzi.

— W ogóle nie wiem, czemu się z tobą zadaję — stwierdzam.

— No to jak się potoczyły wczoraj sprawy z Brittany? — pyta Paco, wychodząc za mną z domu.

Śniadanie staje mi w gardle i to nie na skutek kultury jedzenia Paco. Łapię go za fraki.

— Ze mną i Brittany koniec. Nie wypowiadaj nawet przy mnie jej imienia.

— O wilku mowa — mówi Paco i wyciąga szyję. Puszczam go i odwracam się, spodziewając się zobaczyć Brittany. Ale nie ma jej, a chwilę później pięść Paco ląduje na mojej twarzy.

— Teraz jesteśmy kwita. A tak na marginesie, chłopie, z panną Ellis to poważna sprawa, skoro nie pozwalasz mi nawet wypowiadać przy tobie jej imienia. Wiem, że mógłbyś mnie zabić gołymi rękami — mówi Paco — ale wiesz co... jakoś nie wydaje mi się, żebyś to zrobił.

Macam się po twarzy i czuję krew.

— Nie byłbym wcale taki pewny. Powiem ci coś. Nie skopię ci tyłka pod warunkiem, że przestaniesz się mieszać w moje sprawy. I tyczy się to zarówno Hectora, jak i panny Ellis.

— Muszę przyznać, że mieszając się w twoje sprawy, mam niezły ubaw. Cholera, nawet lańsko, które spuścił mi wczoraj stary, bo był kompletnie zalany, nie zapewnia mi takiej rozrywki jak twoje życie.

Spuszczam głowę.

— Przepraszam, Paco. Nie powinienem był cię bić. Twój stary wystarczająco cię leje.

Paco mruczy tylko „spoko”.

Wczoraj po raz pierwszy żałowałem, że kogoś uderzyłem. Ojciec Paco leje go z taką regularnością, że chłopak ma już pewnie od tego blizny. Jestem skończonym draniem, że go uderzyłem. W pewnym sensie cieszę się, że między mną i Brittany to koniec. Przy niej nie jestem w stanie panować nad swoimi uczuciami i emocjami.

Mam tylko nadzieję, że poza chemią uda mi się jej jakoś unikać. No, jasne. Nawet gdy nie ma jej przy mnie fizycznie i tak ciągle o niej myślę.

Dobre w moim rozstaniu z Brittany jest to, że w ciągu ostatnich dwóch tygodni miałem czas zastanowić się nad morderstwem taty. Przed oczami zaczynają mi się pojawiać przeblyski tamtego wieczoru. Coś się nie zgadza, ale nie potrafię stwierdzić co. Tata śmiał się i rozmawiał, a kiedy ktoś wycelował w niego pistolet, był zszokowany i zdenerwowany. Nie powinien cały czas zachowywać się nieufnie?

Dziś jest Halloween, wieczór, który Hector wybrał na transakcję. Przez cały dzień jestem niespokojny. Zrobiłem dziś siedem samochodów: od wymiany oleju po wymianę zużytych, przeciekających uszczelek.

Zostawiłem pistolet Hectora w szufladzie w sypialni, bo nie chcę chodzić uzbrojony, póki nie będzie to absolutnie konieczne. Choć właściwie postąpiłem głupio, bo to przecież pierwsza z wielu transakcji, które będę musiał w życiu przeprowadzić.

Jesteś jak twój stary. Odpycham wewnętrzny głos, który przez cały dzień nie daje mi spokoju. *Como el viejo*.

To silniejsze ode mnie. Cały czas przypomina mi się, jak tata mówił: „*Somos cuates, Alejandro*. Ty i ja jesteśmy najlepszymi kumplami”. Zawsze mówił po hiszpańsku, jakby nigdy nie wyjechał z Meksyku. „Pewnego dnia będziesz taki silny jak tata?” — pytał po hiszpańsku. Mój ojciec był dla mnie zawsze niemal jak Bóg. „*Claro, papa*. Chcę być taki jak ty”.

Ojciec nigdy mi nie powiedział, że mogę być kimś lepszym, że mogę osiągnąć coś więcej niż on. A dziś udowodnię, że jestem jego wiernym odbiciem. Starałem się być inny, mówiąc Carlosowi i Luisowi, że mogą pójść inną drogą. Ale jestem idiotą, skoro sądzę, że mogę stanowić dla nich jakikolwiek przykład.

Zaczynam myśleć o Brittany. Starałem się zapomnieć o tym, że wybiera się dziś z kimś innym na bal z okazji Halloween. Podobno ze swoim dawnym chłopakiem. Staram się odsunąć od siebie myśl, że jakiś inny facet położy na niej swoje łapska.

Na pewno ją dziś pocałuje. Bo kto nie chciałby pocałować tych słodkich, delikatnych, cudownych ust?

Mam zamiar dziś pracować do samego wieczora, póki nie będę musiał jechać na akcję. Bo gdybym został sam w domu, chybabym z tego wszystkiego oszalał.

Nitownica wymyka mi się z rąk i uderza mnie w czoło. Zamiast wściekać się na siebie, zwałam wszystko na Brittany. A o ósmej jestem już na nią maksymalnie wkurzony, niezależnie od tego, czy na to zasłużyła, czy nie.

51. Brittany

Stoję przed Warsztatem Samochodowym Enrique i oddycham głęboko, żeby się uspokoić. Nigdzie nie widać camry Enrique, więc wiem, że Alex jest sam.

Mam zamiar go uwieść.

Jeśli to, co mam na sobie, nie wystarczy, to nic nie wystarczy. Daję mu... wytaczam cały swój arsenał. Stukam do drzwi, po czym zaciskam mocno powieki i błagam w duchu, żeby wszystko poszło zgodnie z planem.

Rozchyłam swój długi, srebrny, satynowy płaszcz i czuję na gołej skórze powiew zimnego

wieczornego powietrza. Gdy skrzyknięcie drzwi informuje mnie o pojawieniu się Aleksa, uchylam powoli powieki. Ale to nie czarne oczy Aleksa wpatrują się w moje skąpo odziane ciało. To Enrique gapi się na mój różowy koronkowy stanik i spódniczkę cheerleaderki, jakby dostała mu się gwiazdka z nieba.

Skręcając się ze wstydu, owijam się szybko płaszczem. Najchętniej owinęłabym się nim dwa razy.

— Ehm, Alex — parska śmiechem Enrique. — Ktoś ci przyszedł zrobić psikus na Halloween.

Jestem pewnie czerwona jak burak, ale jestem też zdeterminowana doprowadzić sprawę do końca. Przyszłam pokazać Aleksowi, że nie mam zamiaru go opuszczać.

— Kto to? — odzywa się ze środka głos Aleksa.

— Właśnie wychodziłem — mówi Enrique, wymijając mnie. — Powiedz Aleksowi, żeby zamknął drzwi. *Adiós*.

Enrique idzie ciemną ulicą, nucąc coś pod nosem.

— Hej, Enrique. *Quien esta ahí?* Kto to? — głos Aleksa cichnie, gdy dochodzi pod drzwi warsztatu. Patrzy na mnie ze wzdrganiem. — Zgubiłaś drogę czy popsuł ci się samochód?

— Ani jedno, ani drugie — mówię.

— Płatasz halloweenowe psikusy po mojej stronie miasta?

— Nie.

— Między nami koniec, *mujer*. *Me oyes?* Słyszysz? Czemu ciągle pojawiaasz się w moim życiu i robisz mi bajzel w głowie? Poza tym nie miałaś iść przypadkiem na bal z jakimś fagasem z college'u?

— Spławiłam go. Możemy pogadać?

— Słuchaj. Zostało mi jeszcze cholernie dużo roboty. Po co przyszłaś? I gdzie jest Enrique?

— On, eee, wyszedł — odpowiadam nerwowo. — Chyba go wypłoszyłam.

— Ty? Nie wydaje mi się.

— Pokazałam mu, co mam pod płaszczem.

Alex unosi wysoko brwi.

— Wpuść mnie do środka, zanim zamarnię. Błagam. — Oglądam się za siebie. Ciemność wydaje się zachęcająca i serce zaczyna mi mocniej bić. Zaciągam ciaśniej płaszcz, bo z zimna mam już gęsią skórę. Zaczynam się trząść.

Alex wzdycha, wpuszcza mnie do warsztatu i zamyka drzwi. Na szczęście na środku stoi grzejnik. Podchodzę do niego i rozcieram sobie ręce.

— Słuchaj, tak naprawdę cieszę się, że przyszłaś. Ale czy przypadkiem ze sobą nie zerwaliście?

— Chcę nam dać jeszcze jedną szansę. Udawanie, że robimy tylko wspólny projekt z chemii, było dla mnie torturą. Tęsknię za tobą. Ty za mną nie?

Alex ma sceptyczną minę. Przekrzywia lekko głowę, jakby nie do końca dowierzał własnym uszom.

— Wiesz, że ciągle jestem w Krwi.

— Wiem. Zgadza mi się na tyle, ile możesz mi dać, Alex.

— Nigdy nie będę w stanie sprostać twoim oczekiwaniom.

— A co, jeśli ci powiem, że nie będę niczego oczekiwać?

Alex robi głęboki wdech, po czym wypuszcza powoli powietrze. Widzę, że intensywnie się zastanawia, bo robi się nagle bardzo poważny.

— Wiesz co — mówi. — Dotrzymaj mi towarzystwa przy kolacji. Nie będę cię nawet pytać, co masz... albo czego nie masz... pod płaszczem. Zgoda?

Uśmiecham się niepewnie i przyglądam włosy.

— Zgoda.

— Nie musisz tego dla mnie robić — mówi, delikatnie odsuwając moją rękę od włosów. — Przyniosę koc, żebyś się nie pobrudziła.

Czekam, aż wyciągnie z szafy czysty jasnozielony koc.

Siadamy na nim, a Alex zerka na zegarek.

— Chcesz trochę? — pyta, wskazując na swoją kolację.

Może jedzenie mnie odrobinę rozluźni.

— A co to?

— *Enchiladas*. *Miama* robi boskie enchilady. — Nabija na widelec kawałeczek i podsuwa mi do ust. — Jeśli nie jesteś przyzwyczajona do tak pikantnego jedzenia...

— Uwielbiam pikantne — przerywam mu i biorę kęs do ust. Zaczynam żuć, czując przyjemną mieszankę smaków. Przetykam, a mój język powoli zajmuje się żywym ogniem. Gdzieś w tle pozostał smak, ale drogę do niego zagrażdza płomienie.

— Ostre — udaje mi się tylko wydusić, gdy staram się przełknąć ślinę.

— Uprzedzałem. — Alex podaje mi kubek, z którego pił. — Masz, napij się. Zwykle pomaga mleko, ale mam tylko wodę.

Wyrwam mu kubek. Płyn chłodzi mi język, ale gdy tylko dopijam wodę, mam wrażenie, jakby ktoś znów dorzucił do ognia.

— Wody...

Napełnia mi jeszcze jeden kubek.

— Masz, napij się jeszcze, choć to raczej nie pomoże. Zaraz samo przejdzie.

Zamiast pić, wkładam tylko język do chłodnej wody i trzymam go tak. *Aaach...*

— W porządku?

— A fykłałam f poszātu? — pytam.

— Z tym językiem w wodzie wyglądasz wręcz podniecająco. Zjesz jeszcze odrobinę? — pyta złośliwie i znów zachowuje się jak Alex, którego znam.

— Ne siękuje.

— Język dalej piecze?

Wyjmuję język z wody.

— Mam wrażenie, jakby biegało mi po nim milion piłkarzy w korkach.

— *Auc* — mówi ze śmiechem. — Wiesz, słyszałem kiedyś, że ponoć całowanie pomaga na pieczenie.

— Czy w ten żaloszny sposób dajesz mi do zrozumienia, że chcesz mnie pocałować?

Patrzy mi w oczy i hipnotyzuje mnie swoim ciemnym spojrzeniem.

— *Querida*, zawsze chcę cię całować.

— Obawiam się, że to nie będzie takie proste, Alex. Musisz mi najpierw odpowiedzieć na parę pytań. Najpierw odpowiedzi, potem całowanie.

— Czy po to tu przyszedłaś bez ubrania pod płaszczem?

— A kto powiedział, że nie mam ubrania? — mówię i nachylam się bliżej.

Alex odstawia talerz.

Nawet jeśli dalej palą mnie usta, to przestałam już na to zwracać uwagę. Pora przejąć kontrolę nad sytuacją.

— Zagrajmy, Alex. Nazywam tę grę „Rozbierane pytania”. Po zadaniu każdego pytania musisz zdjąć z siebie jedną rzecz. To samo ja.

— Wychodzi na to, że mogę zadać siedem, *querida*. A ty?

— Rozbieraj się, Alex. Właśnie zadałeś pierwsze pytanie.

Kiwa tylko głową i ściga but.

— Czemu nie zaczniesz od koszuli? — pytam.

— Właśnie zadałaś pytanie. Twoja kolej...

— To nie było pytanie — upieram się.

— Zapytałaś, czemu nie zacznę od koszuli. — Wyszczерza się w uśmiechu.

Serce zaczyna mi walić. Ściągam spódniczkę, cały czas zaciskając płaszcz mocno wokół siebie.

— Teraz zostały mi cztery.

Alex usiłuje trzymać się na dystans, ale w jego oczach widzę to samo pożądanie co kiedyś. Z twarzy znika mu głupi uśmiech i oblizuje wargi.

— Mam straszną ochotę na papierosa. Szkoda, że znów rzuciłem. Cztery, mówisz?

— Dziwnie przypomina mi to pytanie, Alex.

Kręci głową.

— Nie, mądrało, to nie było pytanie. Ale starałaś się. Hm, zobaczmy. Dlaczego tak naprawdę tu przysłałaś?

— Chciałam ci pokazać, jak bardzo cię kocham — odpowiadam.

Alex mruga kilka razy, ale poza tym w ogóle po nim nie widać, co czuje. Tym razem ściąga przez głowę koszulę. Rzuca ją na bok, odsłaniając swój ciemny brzuch z wyraźnie zarysowanymi mięśniami.

Kłękam tuż przy nim, licząc, że pokusa będzie przez to silniejsza i że zdołam wytrącić go z równowagi.

— Chcesz iść na studia? Mów prawdę.

Waha się.

— Tak. Gdyby moje życie wyglądało inaczej.

Zrzucam jeden sandał.

— Uprawiałaś seks z Colinem? — pyta.

— Nie.

Nie spuszczając ze mnie wzroku, zdejmuję prawy but.

— Robiłeś to z Carmen? — pytam.

Waha się.

— Nie chcesz tego słuchać.

— Chcę. Chcę wiedzieć wszystko. Z iloma dziewczynami byłeś, z kim miałeś swój pierwszy raz...

Masuje się po karku, jakby miał spięte mięśnie i musiał je rozluźnić.

— To sporo pytań. — Ociąga się chwilę. — Carmen i ja... no więc tak, uprawialiśmy seks. Ostatnim razem w kwietniu, zanim się dowiedziałem, że sypia ze wszystkimi, jak popadnie. Przed Carmen wspomnienia trochę się zamazują. Miałem wtedy mniej więcej roczny okres, kiedy co kilka tygodni spotykałem się z inną dziewczyną. I z większością spałem. To było straszne.

— Zawsze się zabezpieczałeś?

— Tak.

— A twój pierwszy raz?

— Pierwszy raz był z Isabel.

— Z Isabel Avilą? — pytam zszokowana.

Kiwa głową.

— Ale to nie tak, jak myślisz. To było podczas wakacji przed ogólniakiem. Oboje chcieliśmy mieć już to za sobą i przekonać się, skąd cały ten szum wokół seksu. Było do bani. Ja byłem nieporadny, a Isa prawie cały czas się śmiała. Oboje doszliśmy do wniosku, że robienie tego z przyjacielem, którego traktujesz niemal jak rodzeństwo, to najgorszy możliwy pomysł. Okej, powiedziałem ci już wszystko. A teraz zdejmuj, proszę, kurteczkę.

— Nie tak szybko, *muchacho*. Skoro spałeś z tyloma dziewczynami, skąd mam wiedzieć, że nic nie złapałeś? Powiedz, że się przebadaleś.

— W szpitalu, gdy zakładali mi klamry, zrobili mi wszystkie badania. Możesz być spokojna, jestem czysty.

— Ja też. Na wypadek, gdybyś się zastanawiał. — Zdejmuję drugi sandał i cieszę się, że się ze mnie nie nabijał i że nie ochrzanił za to, że zadałam więcej niż jedno pytanie. — Twoja kolej.

— Myślałaś o tym, żeby się ze mną kochać? — Zsuwa skarpetkę, zanim zdążę odpowiedzieć na jego pytanie.

52. Alex

Tak — odpowiada. — A ty myślisz o tym, żeby kochać się ze mną?

Większość nocy leżę i marzę o tym, żeby spać obok niej... żeby się z nią kochać.

— W tej chwili, *muneca*, myślę wyłącznie o tym, żeby się z tobą kochać. — Zerkam na

zegarek. Niedługo muszę iść. Dilerzy mają w dupie twoje życie osobiste. Nie mogę się spóźnić, ale tak cholernie jej pragnę. — Twój płaszcz jest następny. Jesteś pewna, że chcesz dalej grać?

Zsuwam drugą skarpetkę. Zostały mi jeszcze tylko dzinsy i slipy.

— Tak, chcę dalej grać. — Uśmiecha się szeroko, a jej piękne, różowe usta lśnią w świetle lampy. — Zgaś światło, zanim... zdejmę płaszcz.

Gaszę światło i przyglądam się, jak Brittany staje na kocu i rozpina drżącymi palcami płaszcz. Patrzę jak zahipnotyzowany, zwłaszcza gdy ona zwraca na mnie spojrzenie tych swoich przejrzystych oczu, lśniących z pożądania.

Rozchyła powoli płaszcz, a moim oczom ukazuje się prezent, który się pod nim kryje. Podchodzi do mnie, ale potyka się o leżący na ziemi but.

Łapię ją, usadam na miękkim kocu i zatrzymuję się pochylony nad nią.

— Dziękuję, że mnie przytrzymałaś — mówi bez tchu.

Odgarniam jej z twarzy kosmyk włosów i siadam obok.

Brittany obejmuje mnie rękami za szyję, a ja przez resztę życia nie chcę robić nic innego, tylko chronić tę dziewczynę. Rozchylam jej płaszcz i odsuwam się lekko. Moim oczom ukazuje się różowy koronkowy stanik. I nic poza tym.

— *Como un angel* — szepczę. Jak anioł.

— Koniec zabawy? — pyta Brittany zdenerwowanym głosem.

— Zdecydowanie tak, *querida*. Bo to, co zaraz zrobimy, to na pewno nie zabawa.

Jej zadbane palce dotykają mojej piersi. Czy wyczuwa pod swoją dłonią bicie mojego serca?

— Przyniosłam prezerwatywy — mówi.

Gdybym wiedział... gdybym choć podejrzewał, że dziś będzie „ta noc”... byłbym przygotowany. Chyba nigdy do końca nie wierzyłem, że naprawdę między nami do tego dojdzie. Brittany sięga do kieszeni płaszcza i wysypuje na koc kilkanaście prezerwatyw.

— Zaplanowałaś całonocne harce?

Zawstydzona, zasłania twarz dłońmi.

— Wzięłam po prostu trochę.

Odsuwam jej dłonie i stykam się z nią czołem.

— Żartowałem. Nie wstydz się mnie.

Zsuwam jej z ramion płaszcz i wiem, że strasznie ciężko mi dziś będzie ją zostawić. Chciałbym, żebyśmy mieli dla siebie całą noc. Ale życzenia spełniają się tylko w bajkach.

— Nie... nie zdejmiesz spodni? — pyta.

— Zaraz. — Chciałbym móc się nie spieszyć i sprawić, żeby ta noc trwała wiecznie. To jak znaleźć się w niebie ze świadomością, że następny przystanek to piekło. Moje pocałunki wytyczają powolny szlak wzdłuż jej szyi i ramion.

— Jestem dziewczicą, Alex. A jeśli zrobię coś złe?

— Tu nie ma żadnego złe. To nie sprawdzian z chemii. To ty i ja. Reszta świata w tej chwili nie istnieje, okej?

— Okej — odpowiada cicho. Jej oczy lśnią. Czy ona płacze?

— Nie zasługuję na ciebie. Wiesz o tym, *querida*, prawda?

— Kiedy wreszcie zrozumiesz, że jesteś po stronie tych dobrych? — Kiedy nie odpowiadam, przyciąga do siebie moją głowę. — Jestem dziś twoja, Alex — szepcze z ustami przy moich ustach. — Chcesz mnie?

— Mój Boże, i to jak. — Całujemy się, a ja w międzyczasie zsuwam z siebie dzinsy i slipy, tuląc ją do siebie mocno i rozkoszując się miękkością i ciepłem jej ciała, wtulonego w moje. — Boisz się? — szepczę jej do ucha, gdy jest już gotowa i ja też, i gdy nie mogę już dłużej zwlekać.

— Troszkę, ale ufam ci.

— Rozluźnij się, *preciosa*.

— Staram się.

— Nic z tego nie będzie, jeśli się nie rozluźnisz. — Odsuwam się i sięgam drążącą ręką po prezerwatywę. — Na pewno tego chcesz? — pytam.

— Na pewno. Kocham cię, Alex — mówi. — Kocham cię — powtarza, tym razem niemal

rozpaczliwie.

Pozwalam, żeby jej słowa przeniknęły całe moje ciało i powstrzymuję się chwilę, nie chcąc zadać jej bólu. Kogo ja oszukuję? Pierwszy raz dla dziewczyny zawsze jest bolesny, bez względu na to, jak delikatny będzie facet.

Chcę jej powiedzieć, co czuję, powiedzieć jej, że stała się nieodłączną częścią mnie. Ale nie mogę. Nie potrafię wydobyć z siebie ani słowa.

— Zrób to — mówi, wyczuwając moje wahanie.

Więc robię, ale gdy wciąga z sykiem powietrze, chciałbym móc zabrać od niej cały ból.

Brittany pociąga nosem i ociera łzę, która spływa jej po policzku. Widok tak uczuciowej reakcji to dla mnie za dużo. Po raz pierwszy od dnia, gdy patrzyłem na zwłoki własnego ojca, spod powieki wymyka mi się łza.

Brittany przytrzymuje moją twarz w swoich dłoniach i scałowuje mi łzę.

— Wszystko w porządku, Alex.

Ale nie jest w porządku. Muszę postarać się, żeby było idealnie. Bo mogę nie dostać drugiej szansy, a ona musi wiedzieć, że może być naprawdę wspaniale.

Koncentruję się wyłącznie na niej, chcąc, żeby było wyjątkowo. Po wszystkim przyciągam ją do siebie. Wtula się we mnie, a ja gładzę ją po włosach. Oboje chcemy pozostać w naszym własnym świecie tak długo, jak to tylko możliwe.

Wciąż nie mogę uwierzyć, że oddała mi siebie. Powinienem być z siebie dumny. Zamiast tego *me siento una mierda*. Czuję się jak gnój.

Nie dam rady chronić Brittany przez całe życie przed wszystkimi tymi facetami, którzy będą chcieli się do niej zbliżyć, którzy będą chcieli zobaczyć ją taką, jaką ja ją zobaczyłem. Dotykać ją tak, jak ja ją dotykałem. Cholera, najchętniej nigdy nie wypuściłbym jej z ramion.

Ale jest już późno. Nie mogę dłużej zwlekać. Ostatecznie i tak nie jest moja na zawsze i nie mogę udawać, że jest inaczej.

— Wszystko dobrze? — pytam.

— Dobrze. A nawet więcej niż dobrze.

— Naprawdę muszę już iść — mówię i zerkam na elektroniczny zegarek, stojący krzywo na jednym z wózków z narzędziami.

Brittany opiera brodę o moją pierś.

— Odejdiesz teraz z Krwi, prawda?

Cały sztywnieję.

— Nie — mówię z udręką. Cholera, czemu musiała o to spytać?

— Wszystko się zmieniło, Alex. Kochaliśmy się.

— To było cudowne. Ale niczego nie zmienia.

Wstaje, zbiera ubrania i idzie w kąt, żeby się ubrać.

— A więc jestem po prostu kolejną dziewczyną, którą możesz zaliczyć do swojej kolekcji?

— Nie mów tak.

— Czemu? Przecież to prawda, nie?

— Nie.

— To udowodnij mi to, Alex.

— Nie mogę. — Chciałbym powiedzieć jej co innego. Musi wiedzieć, że zawsze tak będzie, że zawsze będę musiał zostawiać ją dla Krwi. Ta biała dziewczyna, która kocha z taką siłą, całym sercem i duszą, jest dla mnie jak narkotyk. Zasluguje na coś lepszego. — Przepraszam — mówię, nakładając dzinsy. Bo co mam powiedzieć?

Brittany odwraca wzrok i podchodzi mechanicznym krokiem do drzwi.

Gdy słyszę pisk opon, od razu włącza mi się instynkt opiekuńczy. Do warsztatu zbliża się samochód... RX-7 Lucky'ego.

Niedobrze.

— Wsiadaj do samochodu — nakazuję.

Ale jest już za późno. RX Lucky'ego z grupką chłopaków z Krwi zatrzymuje się przed nami z piskiem opon.

— *No lo puedo creer, ganaste la apuesta!* — wrzeszczy Lucky przez okno, nie mogąc uwierzyć, że przegrał zakład.

Usiłuję zasłonić swoim ciałem Brittany, ale to na nic. Spod płaszcza wyraźnie widać jej seksowne, gołe nogi.

— Co on powiedział? — pyta.

Mam ochotę ściągnąć spodnie i kazać jej je włożyć. Jeśli dowie się o zakładzie, pomyśli, że tylko dlatego się z nią przespałem. Muszę jak najszybciej ją stąd odprawić.

— Nic. Pieprzy bzdury — odpowiadam. — Wsiadaj do samochodu. Bo jak nie, to sam cię do niego wpakuję.

Słyszę skrzypienie drzwi samochodu Lucky'ego dokładnie w tej samej chwili, w której Brittany otwiera swój.

— Nie gniewaj się na Paco — mówi i siada za kierownicą.

Co ona wygaduje?

— Jedź — rzucam i nie mam nawet czasu spytać, o co jej chodziło. — Później pogadamy.

Wyjeżdża szybko z parkingu.

— Cholera, stary — mówi Lucky, przyglądając się z uznaniem odjeżdżającemu bmw. — Musiałem sprawdzić, czy Enrique mnie nie wkręca. Naprawdę przeleciałeś Brittany Ellis, co? Nagrałeś film?

W odpowiedzi walę go z całych sił pięścią w brzuch, przez co zgina się wpół i upada na kolana. Wsiadam na motor i uruchamiam silnik. Zatrzymuję się na widok toyoty camry Enrique.

— Słuchaj, Alejo — mówi Enrique przez otwarte okno. — *Lo siento mucho...*

— Odchodzę — przerywam jego przeprosiny, a potem rzucam mu klucze do warsztatu i odjeżdżam.

W drodze do domu myślę o Brittany i o tym, jak jest dla mnie ważna.

Nagle do mnie dociera.

Nie pojadę na transakcję.

Nagle rozumiem wszystkie te babskie wyciskacze łez, z których zawsze się wyśmiewałem. Bo sam zamieniłem się w idiotę, który chce rzucić wszystko dla dziewczyny. *Estoy enamorado...* Jestem zakochany.

Pieprzy Krew. Mogę zapewnić rodzinie bezpieczeństwo i jednocześnie być sobą. Brittany miała rację. Moje życie jest zbyt ważne, żeby je zaprzepaszczać z powodu transakcji narkotykowej. Prawda jest taka, że chcę iść na studia i osiągnąć coś w życiu.

Nie jestem jak mój ojciec. Ojciec był słaby i wybrał najłatwiejsze rozwiązanie. Podejmę wyzwanie związane z odejściem z Krwi, nie będę zważać na ryzyko. A jeśli przeżyję, wrócę do Brittany jako wolny człowiek. Przysięgam! *Lo juro!*

Nie jestem dilerem. Hector będzie zawiedziony, ale nie wstąpiłem do gangu po to, żeby handlować narkotykami, tylko po to, żeby pomóc chronić moją dzielnicę i rodzinę. Odkąd to handel narkotykami stał się koniecznością?

Odkąd zostałem zatrzymany przez policję, to wtedy wszystko się zaczęło. Zostałem aresztowany, Hector wpłacił kaucję. Zaraz po tym, jak zacząłem wypytywać PG o dzień śmierci taty, Hector wdał się z moją mamą w burzliwą dyskusję. Była cała posiniaczona. A potem kazał mi przeprowadzić transakcję.

Paco usiłował mnie ostrzec, był przekonany, że coś tu śmierdzi.

Wyteżam głowę i wszystkie elementy układanki powoli zaczynają tworzyć całość. *Dios*, czy odpowiedź znajdowała się cały czas tuż pod moim nosem? Jest tylko jedna osoba, która może powiedzieć mi prawdę na temat dnia śmierci taty.

Wbiegam do domu i znajduję *mi'amę* w jej pokoju.

— Wiesz, kto zabił *mi papa*.

— Alejandro, proszę.

— Ktoś z Krwi, prawda? Na weselu rozmawiałś o tym z Hectorem. Wie, kto to był. Ty też wiesz.

Do oczu napływają jej łzy.

— Ostrzegam cię, Alejandro. Nie drąż.

— Kto to był? — pytam, ignorując jej prośbę.

Odwraca głowę.

— Powiedz! — wrzeszczę na całe gardło. Od mojego krzyku aż się wzdryga.

Tak długo chciałem po prostu zabrać jej ból, że nie pomyślałem nawet, żeby spytać, co wie na temat morderstwa taty. A może nie chciałem wiedzieć, bo bałem się prawdy. Ale tym razem nie odpuszczę.

Mama oddycha z trudem i zasłania sobie usta ręką.

— Hector... to był Hector. — W miarę jak zaczyna do mnie docierać prawda, ogarnia mnie gwałtowne przerażenie, szok i ból. Mama patrzy na mnie smutnym wzrokiem. — Chciałam tylko chronić ciebie i twoich braci. To wszystko. Twój *papa* chciał odejść z Krwi, więc zginął. Hector zażądał, żebyś go zastąpił. Zagroził mi, Alejandro, mówiąc, że jeśli nie wstąpisz do gangu, wszyscy skończymy jak twój ojciec...

Nie mogę tego dłużej słuchać. Hector wrobił mnie w aresztowanie, żebym zaciągnął u niego dług. I ustawił transakcję narkotykową, mając mi oczy awansem, gdy tak naprawdę chciał tylko złapać mnie w swoje sidła. Pewnie spodziewał się, że wcześniej czy później ktoś się wygada. Biegnę do komody, koncentrując się na tym, co muszę zrobić — na konfrontacji z mordercą mojego ojca.

Pistolet zniknął.

— Ruszałeś coś z mojej szuflady? — warczę na Carlosa, który siedzi na kanapie w salonie. Łapię go za koszulę i potrząsam nim.

— Nie, Alex — mówi Carlos. — Creeme! Naprawdę. Paco wpadł jakiś czas temu i wchodził do naszego pokoju, ale mówił, że chce sobie tylko pożyczyć twoją kurtkę.

Paco zabrał spluwę. Powinienem się być domyślić. Ale skąd wiedział, że nie będzie mnie w domu?

Brittany.

Celowo mnie dziś zatrzymała w warsztacie. Mówiła, żebym nie gniewał się na Paco. Oboje chcieli mnie chronić, bo sam byłem zbyt głupi i tchórzliwy, żeby się bronić i żeby zmierzyć się z prawdą, którą miałem tuż pod nosem.

W głowie rozlega mi się głos Brittany, która wsiadając do samochodu, mówi: „Nie gniewaj się na Paco”.

Wpadam do pokoju *mi'amy*.

— Jeśli dziś nie wrócę, masz jechać z Carlosem i Luisem do Meksyku — rzucam.

— Ale Alejandro...

Przysiadam na brzegu jej łóżka.

— *Mama*, Carlos i Luis są w niebezpieczeństwie. Nie pozwól, żeby skończyli jak ja.

Błagam.

— Alex, nie mów tak. Twój ojciec mówił tak samo.

Bo jestem taki jak *mi papa*, chcę jej powiedzieć. I popełniłem te same błędy. Nie pozwolę, żeby to samo stało się z moimi braćmi.

— Obiecuj mi. Muszę to od ciebie usłyszeć. Mówię śmiertelnie poważnie.

Po twarzy ciekną jej łzy. Całuje mnie w policzek i przytula mocno.

— Obiecuję... obiecuję.

Wskakuję na Julio i robię coś, czego w życiu bym się nie spodziewał — dzwonię po radę do Gary'ego Frankela. A on przekonuje mnie do zrobienia czegoś, czego też bym się w życiu po sobie nie spodziewał — mówi, żebym zawiadomił o wszystkim gliny.

53. *Brittany*

Od pięciu minut siedzę przed domem Sierry. Wciąż do mnie nie dociera, że zrobiliśmy to z Alekssem. Nie żałuję ani chwili, ale wciąż to do mnie nie dociera.

Wyczułam dziś jednak w Aleksie jakąś desperację, jakby chciał pokazać mi coś swoimi czynami, a nie słowami. Jestem na siebie zła, że tak się rozkleiłam, ale to było silniejsze ode mnie.

Łzy płynęły mi z radości, szczęścia, miłości. A kiedy zobaczyłam, że i jemu wymyka się łza, musiałam ją pocałować... chciałam zachować ją na zawsze, bo Alex po raz pierwszy pozwolił mi zobaczyć siebie takim. Alex nie płacze. Nie pozwala sobie na tak emocjonalne reakcje. Nigdy.

Dzisiejszy wieczór go zmienił, czy chce się do tego przyznać, czy nie.

Mnie też zmienił.

Wchodzę do domu Sierry. Moja najlepsza przyjaciółka siedzi na kanapie w salonie.

Naprzeciwko niej siedzą moi rodzice.

— To mi dziwnie wygląda na nalot — zauważam.

— To nie żaden nalot, Brit. Tylko rozmowa — odpowiada Sierra.

— Na jaki temat?

— Czy to nie oczywiste? — mówi tata. — Wyniosłaś się z domu.

Staję przed moimi rodzicami i zastanawiam się, jak to możliwe, że do tego doszło. Mama jest ubrana w czarne spodnium, a włosy ma upięte w kok, jakby szła na pogrzeb. Tata ma na sobie dzinsy i sweter, a oczy nabiegły mu krwią. Widać, że nie spał całą noc. Być może mama też, ale za żadne skarby nie da tego po sobie poznać. Prędeż zakropi sobie oczy, żeby nic nie było widać.

— Dłużej nie mogę udawać idealnej córki, bo nią nie jestem — stwierdzam spokojnym i opanowanym głosem. — Jesteście w stanie to zaakceptować?

Ojciec ściąga brwi, jakby z trudem nad sobą panował.

— Nie chcemy, żebyś była idealna. Patricio, powiedz jej, co myślisz.

Mama kręci głową, jakby nie rozumiała, czemu tak dramatyzuję.

— Brit, dość już tego. Przestań się obrażać, przestań się buntować, przestań być taką egoistką. Nie oczekujemy z ojcem, żebyś była idealna. Chcemy tylko, żebyś dawała z siebie wszystko, na co cię stać, nic więcej.

— Bo Shelley, bez względu na to, jak bardzo się stara, nie jest w stanie zaspokoić waszych oczekiwań?

— Nie mieszaj w to Shelley — mówi tata. — To nie fair.

— Czemu? Przecież właśnie chodzi o Shelley. — Czuję się pokonana, bo mam wrażenie, że bez względu na to, jak bardzo będę się starała im to wyjaśnić i tak nie zrobię tego należycie. Siadam naprzeciwko nich na jednym z pluszowych krzeseł. — A tak dla jasności, to nie uciekłam z domu. Zatrzymałam się po prostu u przyjaciółki.

Mama strzepuje sobie z uda jakiś paproszek.

— Dzięki Bogu, że jest Sierra. Informowała nas codziennie o tym, co się z tobą dzieje.

Odwracam się do przyjaciółki, która wciąż siedzi w kącie jako świadek dramatu rodzinnego Ellisów. Sierra unosi ręce, jakby się poddawała, i idzie do drzwi wręczyć cukierki spóźnionym halloweenowiczom, którzy właśnie zadzwonili do drzwi.

Mama siada wyprostowana na krawędzi kanapy.

— Co musimy zrobić, żebyś wróciła do domu?

Chcę od moich rodziców bardzo dużo, zapewne dużo więcej, niż są mi w stanie dać.

— Nie wiem.

Tata kładzie sobie rękę na czole, jakby rozboleła go głowa.

— Czy w naszym domu jest aż tak źle?

— Tak. A właściwie nie źle. Tylko stresująco. Mamo, strasznie mnie stresujesz. A ty, tato, przychodzisz do domu jak do hotelu. Nienawidzę tego. Właściwie mieszkamy pod jednym dachem jak obcy. Kocham was, ale nie chcę zawsze „dawać z siebie wszystkiego, na co mnie stać”. Chcę być po prostu sobą. Chcę móc podejmować własne decyzje i uczyć się na własnych błędach. I nie chcę się przy tym bać, zamartwiać i czuć winna, że nie spełniam waszych oczekiwań. — Tłumię napływające łzy. — Nie chcę sprawiać wam zawodu. Wiem, że Shelley nie może być taka jak ja. Tak strasznie was przepraszam... błagam, nie oddawajcie jej przeze mnie.

Tata klęka przy mnie.

— Nie przepraszaj, Brit. Nie oddajemy jej przez ciebie. Niepełnosprawność Shelley to nie twoja wina. To niczyja wina.

Mama siedzi nieruchomo, nic nie mówiąc. Wpatruje się w ścianę, jakby wpadła w trans.

— To moja wina — stwierdza.

Oboje z tatą patrzymy na nią, bo czego jak czego, ale takich słów nie spodziewaliśmy się od niej usłyszeć.

— Patricio? — mówi tata, chcąc, żeby na niego spojrziała.

— O czym ty mówisz, mamó? — pytam.

Mama wbija przed siebie wzrok.

— Obwinałam się za to przez wszystkie te lata.

— To nie twoja wina, Patricio.

— Gdy urodziła się Shelley, chodziłam z nią na różne zajęcia dla dzieci — mówi mama cichym głosem, jakby do siebie. — Zazdrościłam innym mamom, że mają zdrowe dzieci, które potrafią trzymać główki i chwycić rączkami różne przedmioty. Na mnie patrzono głównie z litością. Nienawidziłam tego. Nie mogłam pozbyć się myśli, że gdybym jadła więcej warzyw i więcej ćwiczyła, to Shelley nie byłaby niepełnosprawna, obwinałam się za jej stan nawet wówczas, gdy twój ojciec powtarzał mi, że to nie moja wina. — Patrzy na mnie i uśmiecha się ze smutkiem. — A potem pojawiłaś się ty. Moja jasnowłosa, niebieskooka księżniczka.

— Mamó, nie jestem księżniczką, a Shelley nie jest kimś godnym pożałowania. Nie zawsze będę chodzić z chłopakiem, z którym byś chciała, nie zawsze będę ubierać się tak, jakbyś chciała, i na pewno nie zawsze będę postępować tak, jakbyś chciała. Shelley też nigdy nie sprostą twoim oczekiwaniom.

— Wiem.

— Zdołasz się z tym kiedykolwiek pogodzić?

— Pewnie nie.

— Wszystko krytykujesz. O Boże, zrobiłabym wszystko, żebyś przestała mnie obwinać za każdy drobiazg, który pójdzie nie tak. Żebyś kochała mnie taką, jaką jestem. Żebyś kochała Shelley taką, jaką jest. Przestań, do cholery, wiecznie koncentrować się na tym, co złe, bo życie jest na to za krótkie.

— Mam się nie martwić tym, że postanowiłaś się spotykać z gangsterem? — pyta.

— Nie. Tak. Nie wiem. Gdybyś ciągle mnie nie krytykowała, powiedziałabym ci o tym.

Gdybyś tylko go poznała... on ma w sobie duuużo więcej, niż ludzie chcą w nim widzieć. Jeśli mam się spotykać z nim potajemnie, to będę to robić.

— On należy do gangu — mówi oschle mama.

— On ma na imię Alex.

Tata siada wygodniej.

— Znajomość jego imienia nie zmienia faktu, że należy do gangu, Brittany.

— Wiem. Ale to już krok w dobrym kierunku. Wolicie, żebym mówiła prawdę, czy mam kręcić?

Potrzebowaliśmy godziny, żeby mama zgodziła się przestać mnie ciągle kontrolować. I żeby tata zgodził się dwa razy w tygodniu wracać do domu przed szóstą.

Ja zgodziłam się zaprosić Aleksa do nas, żeby mogli go poznać. I mówić im, gdzie wychodzę i z kim. Nie wyrazili akceptacji ani aprobaty względem tego, z kim się umawiam, ale zawsze to jakiś początek. Chcę spróbować zmienić coś na lepsze, bo mam wrażenie, że dużo lepiej pozbierać porzucane elementy, niż pozwolić im walać się jak dotychczas.

54. Alex

Transakcja ma się odbyć tu, w rezerwacie w Busse Woods.

Parking i ciągnący się za nim las spowija mrok. Prowadzi mnie tylko światło księżyca. Nic tu nie ma poza niebieskim samochodem na światłach. Wchodzę głębiej w las i dostrzegam na ziemi ciemną postać.

Podbiegam do niej, czując ogarniające mnie przerażenie. Rozpoznaję swoją kurtkę. Czuję się tak, jakbym oglądał własną śmierć.

Klękam na ziemi i odwracam powoli ciało.

Paco.

— O cholera! — krzyczę, czując na rękach ciepłą, lepłą krew.

Paco ma zaszklone oczy, ale powolnym ruchem łapie mnie za ramię.

— Spieprzyłem sprawę.

Kładę sobie na udach jego głowę.

— Mówiłem, żebyś nie mieszał się w moje sprawy. Tylko mi tu nie umieraj. Ani mi się waź umierać — mówię zdławionym głosem. — Cholera jasna, strasznie krwawisz.

Z ust wycieka mu jasnoczerwona krew.

— Boję się — szepcze i krzywi się z bólu.

— Nie zostawiaj mnie. Wytrzymaj. Wszystko będzie dobrze. — Przytulam go mocno, wiedząc, że kłamię. Mój najlepszy kumpel umiera. Nie ma dla niego ratunku. Czuję jego ból, jakbym sam cierpiał.

— Proszę, proszę, Alex-przebieraniec i jego pomagier, prawdziwy Alex. Prawdziwe Halloween, co?

Słyszając głos Hectora, odwracam się.

— Wielka szkoda, że nie zorientowałem się, że strzelałem do Paco — mówi dalej Hector. — Kurczę, za dnia jesteście zupełnie różni. Chyba muszę sobie przebadać wzrok. — Mierzy do mnie z pistoletu.

Nie boję się. Jestem wściekły. I muszę poznać odpowiedzi na pewne pytania.

— Czemu to zrobiłeś?

— Skoro już musisz wiedzieć, to wszystko wina twojego ojca. Chciał opuścić Krew. Ale to niemożliwe, Alex. Był naszym najlepszym człowiekiem, twój *padre*. Tuż przed śmiercią próbował właśnie odejść. Ostatnia transakcja miała być jego sprawdzianem. Transakcja ojca z synem. Obaj wyjdziecie z niej żywi, on dostaje swoje. — Rechet Hectora niesie się echem w moich uszach. — Głupi skurwiel nie miał żadnych szans. Za bardzo go przypominasz. Myślałem, że wyszkolę cię tak, żebyś mógł go zastąpić i zostać handlarzem narkotyków i broni z prawdziwego zdarzenia. Ale nie, ty naprawdę jesteś jak twój stary. Tchórz. *un rajado*.

Patrzę na Paco. Ledwo oddycha, powietrze z trudem wydobywa się z jego płuc.

Powiększająca się plama krwi na jego piersi, jak cel na tarczy strzelniczej, przypomina mi o *mi papa*. Tym razem nie mam już jednak szczęścia lat. Bardzo dobrze wszystko rozumiem.

Przez jedną intensywną chwilę patrzymy sobie z Paco w oczy.

— Latynoska Krew zdradziła nas obu, stary — z ust Paco padają ostatnie słowa i zaraz potem oczy zachodzą mu mgłą, a jego ciało robi się bezwładne.

— Zostaw go już! On nie żyje, Alex. Tak jak twój stary. Wstawaj i spójrz mi w oczy! — wrzeszczy Hector, wymachując pistoletem jak wariat.

Delikatnie układam ciało Paco na ziemi i wstaję, gotowy do walki.

— Ręce na głowę, żebym je widział. Wiesz, że kiedy zabiłem twojego *el viejo*, płakałeś jak *escuincle*, jak dziecko, Alex? Wypłakiwałeś mi się na piersi, na piersi faceta, który zamordował ci ojca. Zabawne, co?

Miałem tylko sześć lat. Gdybym wiedział, że to Hector, nie wstąpiłbym do Krwi.

— Czemu to zrobiłeś, Hector?

— Rany, nie da ci się tego przetłumaczyć, co? Widzisz, twój *papa* uważał się za lepszego ode mnie. No to wyprowadziłem go z błędu. Chwalił się, że południe Fairfield jest lepsze, bo ogólniak znajduje się w bogatej dzielnicy. Mówił, że w Fairfield nie ma gangów. Zmieniłem to, Alex. Zebrałem chłopców i zagarnąłem dla siebie wszystkie domy. Albo ktoś przyłączał się do mnie, albo wszystko tracił. Dzięki temu, drogi chłopcze, jestem szefem, *el jefe*.

— Dzięki temu jesteś szaleńcem.

— Szaleniec. Geniusz. Jedno i to samo. — Hector popycha mnie lufą pistoletu. — A teraz na kolana. To chyba dobre miejsce na śmierć. W środku lasu, jak zwierzę. Chcesz umrzeć jak zwierzę, Alex?

— Sam jesteś zwierzęciem, dupku. Mógłbyś przynajmniej spojrzeć mi w oczy, gdy mnie zabijasz, tak jak ojcu.

Gdy Hector okrąża mnie, w końcu mam swoją szansę. Łapię go za nadgarstek i ciągnę na

ziemię.

Klnie i szybko podnosi się na nogi, wciąż z bronią w ręku. Wykorzystuję jego chwilową dezorientację i kopię go w bok. Okręca się na pięcie i wali mnie w skroń kolbą pistoletu. Przewracam się na kolana, przeklinając w duchu fakt, że nie jestem niezwyciężony.

Myśl o *mi papa* i Paco dodaje mi sił, by przewyciężyć mrok przed oczami. Wiem aż za dobrze, że Hector szuka okazji do strzału.

Kopię go i podnoszę się z trudem na nogi. Jego glock celuje dokładnie w moją pierś.

— Policja Arlington Heights! Rzuć broń i podnieś ręce do góry, żebyśmy je widzieli!

Pnie drzew i mgła przed oczami prawie całkiem przesłaniają mi migające w oddali czerwone i niebieskie światła.

Unoszę rękę.

— Rzuć broń, Hector. Zabawa skończona.

Hector dalej trzyma mnie na muszce.

— Rzuć broń — wrzeszczy policjant. — Natychmiast!

W oczach Hectora widać wściekłość. Czuję ją z odległości dwóch metrów, które nas od siebie dzielą.

Wiem, że drań to zrobi. *Es un cabrón.*

Pociągnie za spust.

— Mylisz się, Alex — mówi. — Zabawa dopiero się zaczęła.

Wszystko dzieje się bardzo szybko. Rzucam się w prawo w tej samej chwili, w której rozlegają się strzały.

Bam. Bam. Bam.

Zataczam się w tył i wiem, że oberwałem. Kula pali moje ciało, jakby ktoś polał mi ranę tabasco.

Zaraz potem wszystko spowija ciemność.

55. Brittany

O piątej nad ranem budzi mnie telefon. Dzwoni Isabel, chcąc pewnie pogadać o Paco.

— Wiesz, która godzina? — pytam, odbierając komórkę.

— Brittany, on nie żyje. Nie żyje.

— Kto? — pytam gorączkowo.

— Paco. I... nie wiedziałam, czy mam do ciebie dzwonić, ale i tak byś się dowiedziała. Alex też tam był i...

Zaciskam palce mocno na słuchawce.

— Gdzie jest Alex? Nic mu nie jest? Proszę, powiedz, że nic mu nie jest. Błagam cię, Isa.

Proszę.

— Został postrzelony.

Przez chwilę czekam, aż powie te straszliwe słowa. Że Alex nie żyje. Ale nie mówi.

— Leży na chirurgii w Lakeshore Hospital.

Zanim kończy zdanie, zrzucam już z siebie piżamę i, roztrzęsiona, wkładam na siebie, co popadnie. Łapię kluczyki do samochodu i wybiegam z domu, wciąż przyciskając do ucha telefon, żeby wysłuchać wszystkiego, co wie Isabel.

Transakcja się nie udała. Paco i Hector nie żyją. Alex został ranny, właśnie go operują. Isa nic więcej nie wie.

— O Boże, o Boże, o Boże — powtarzam przez całą drogę do szpitala po zakończeniu rozmowy z Isabel. Po wczorajszym wieczorze z Aleksem byłam pewna, że wybierze mnie, a nie handel narkotykami. Być może zdradził naszą miłość, ale ja nie zrobię tego samego.

Moim ciałem wstrząsa szloch. Paco zapewniał mnie wczoraj, że dopilnuje, żeby Alex nie pojechał na transakcję, ale... o Boże. Paco zastąpił Aleksa i zginął. Biedny, kochany Paco.

Staram się nie dopuszczać do siebie myśli, że Alex może nie przeżyć operacji. Bo jakaś część mnie umrze wtedy razem z nim.

Pytam w rejestracji, gdzie mogę się dowiedzieć czegoś o stanie Aleksa.

Kobieta prosi, żebym przeliterowała jego nazwisko, po czym wprowadza je do komputera. Dźwięk klawiatury doprowadza mnie do obłędu. Babka tak się grzebie, że mam ochotę potrząsnąć ją za ramiona, żeby się pospieszyła.

Patrzy na mnie ciekawsko.

— Pani jest członkiem rodziny?

— Tak.

— Stopień pokrewieństwa?

— Siostra.

Kręci z niedowierzaniem głową, po czym wzrusza ramionami.

— Alejandro Fuentes został przywieziony z raną postrzałową.

— Wyjdzie z tego, prawda? — pytam z płaczem.

Recepcjonistka znów stuka w klawiaturę.

— Wygląda na to, że od rana go operują, panno Fuentes. Poczekalnia znajduje się w pomarańczowej sali w głębi korytarza po prawej. Lekarz poinformuje panią o wyniku operacji pani brata.

Przytrzymuję się kurczowo blatu.

— Dziękuję.

W poczekalni zamieram na widok matki Aleksa i jego dwóch braci, skulonych w rogu na pomarańczowych szpitalnych krzesłach. Mama Aleksa podnosi głowę jako pierwsza. Ma czerwone oczy i zalaną łzami twarz.

Ręka sama wędruje mi do ust i nie mogę powstrzymać szlochu. Nie jestem już dłużej w stanie się hamować. Przez zamazane od łez oczy widzę, że pani Fuentes otwiera ramiona.

Dławiąc się z emocji, podbiegam do niej i obejmuję ją.

Drgnęła mu ręka.

Podnoszę głowę z łóżka Aleksa. Siedziałam przy nim całą noc, czekając, aż się wybudzi. Jego matka i bracia też nie odstępowali go na krok.

Lekarz mówił, że może minąć wiele godzin, zanim odzyska przytomność.

Moczę ręcznik papierowy w zlewie i przykładam go do czoła Aleksa. Robiłam to przez całą noc, bo pocił się i rzucał w niespokojnym śnie.

Powieki zatrzepotały mu lekko. Widać, że jeszcze walczy z narkozą, bo z trudem je otwiera.

— Gdzie jestem? — pyta skrzekliwym, słabym głosem.

— W szpitalu — odpowiada jego mama i podbiega do łóżka.

— Zostałeś postrzelony — wyjaśnia Carlos, wyraźnie przejęty.

Skołowany Alex marszczy brwi.

— Paco... — zaczyna i głos więźnie mu w gardle.

— Nie myśl o tym teraz — mówię, z marnym skutkiem starając się panować nad swoimi emocjami. Muszę być teraz silna dla niego. Nie zawiodę go.

Wydaje mi się, że chce mnie złapać za rękę, ale jego twarz wykręca się z bólu i Alex cofa rękę. Mam mu tyle do powiedzenia. Chciałabym mieć dzień „powtórkowy” i móc zmienić przeszłość. Chciałabym móc zapobiec temu, co się stało z Paco i Alekssem.

Alex patrzy na mnie oczami wciąż zamglonymi po narkozie i pyta:

— Co ty tu robisz?

Jego mama gładzi go po ramieniu, chcąc wlać w niego trochę otuchy.

— Brittany siedziała przy tobie całą noc, Alex. Martwi się o ciebie.

— Chcę z nią porozmawiać. Na osobności — mówi Alex słabo.

Mama i bracia Aleksa wychodzą z pokoju, żeby nam nie przeszkadzać.

Gdy zostajemy sami, Alex poprawia się na łóżku, krzywiąc się przy tym z bólu. Potem patrzy na mnie ze złością.

— Nie chcę cię tu widzieć.

— Nie mówisz poważnie — odpowiadam i biorę go za rękę. Nie może mówić poważnie.

Wrywa mi rękę, jakby moja dłoń go parzyła.

— Mówię.

— Alex, damy sobie radę. Kocham cię.

Odwraca głowę i wbija wzrok w podłogę. Przetyka z trudem ślinę i chrząka.

— Pieprzyłem się z tobą, bo się o to założyłem, Brittany — mówi cicho, ale jego słowa nie mogą brzmieć wyraźniej. — Nie miało to dla mnie większego znaczenia. Nic dla mnie nie znaczysz.

Robię krok w tył, gdy docierają do mnie jego straszne słowa.

— Nie — szepczę.

— Ty i ja... to była tylko zabawa. Założyłem się z Luckym o jego RX-7, że będziemy się pieprzyć przed Świętem Dziękczynienia.

Krzywię się, gdy zamiast mówić, że się ze mną kochał, nazywa to „pieprzeniem”. Byłoby mi przykro, nawet gdyby nazwał to „seksem”. Nazywając to „pieprzeniem”, sprawia, że żołądek podchodzi mi do gardła. Ręce zwisają mi bezwładnie po bokach. Chcę, żeby z wszystkiego się wycofał.

— Nie wierzę ci.

Odrywa wzrok od podłogi i patrzy mi prosto w oczy. O Boże. Są zupełnie puste. Jego oczy są równie bezwzględne jak jego słowa.

— Jesteś żalсна, jeśli myślisz, że między nami naprawdę coś było.

Kręcę gwałtownie głową.

— Nie rań mnie, Alex. Nie ty. Nie teraz. — Usta mi się trzęsą, gdy wypowiadam bezgłośnie, ale błagalnie: — Proszę. — Gdy nie odpowiada, cofam się jeszcze o krok, omal się nie potykając, i myślę jednocześnie o sobie, o prawdziwej mnie, którą znał tylko Alex. Żalnym szeptem mówię: — Zaufałam ci.

— To twój problem, nie mój.

Dotyka lewego ramienia i krzywi się z bólu, a zaraz potem do pokoju wpada gromadka jego przyjaciół. Składają mu kondolencje i wyrazy współczucia, a ja tymczasem stoję nieruchomo w kącie, niezauważona.

— Czy chodziło tylko o zakład? — pytam na tyle głośno, żeby mnie usłyszeli.

W moją stronę odwraca się jakieś sześć osób. Nawet Alex. Isabel robi krok w moim kierunku, ale powstrzymuję ją uniesioną dłonią.

— Czy to prawda? Czy Alex założył się, że się ze mną prześpi? — pytam, bo wciąż nie mogę uwierzyć w te straszne słowa. To nie może być prawda.

Wszystkie spojrzenia kierują się na niego, ale on wpatruje się we mnie.

— Powiedzcie jej — żąda.

Głowę podnosi jego kumpel Sam.

— No tak. Wygrał RX-7 Lucky'ego.

Cofam się do wyjścia, starając się unosić wysoko głowę. Twarz Aleksa przybiera zimny, twarde wyraz.

Głos więźnie mi niebezpiecznie w gardle, gdy mówię:

— Gratulacje, Alex. Wygrałeś. Mam nadzieję, że będziesz zadowolony z nowego samochodu.

Gdy łapię już za klamkę, stalowe spojrzenie Aleksa zamienia się w wyraz ulgi. Wychodzę spokojnie z pokoju. Już na korytarzu słyszę, że Isabel wychodzi za mną, ale uciekam od niej, od szpitala i od Aleksa. Niestety nie mogę uciec od własnego serca. Głęboko w mojej piersi krwawi z bólu.

A ja wiem, że już nigdy nie będę taka jak dawniej.

56. Alex

Od tygodnia leżę w szpitalu. Nienawidzę pielęgniarek, lekarzy, igieł, badań... a zwłaszcza szpitalnych piżam. Mam wrażenie, że im dłużej tu siedzę, tym większą robię się zrzęda. No dobra, pewnie nie powinienem zwymyślać pielęgniarki, która wyjmowała mi cewnik. Ale wkurzyło mnie, że była taka wesolutka.

Nie chcę nikogo widzieć, nie chcę z nikim gadać. Im mniej ludzi w moim życiu, tym lepiej.

Odrzuciłem Brittany, choć dobijała mnie myśl, że ją ranię. Ale nie miałem wyjścia. Im bliżej mnie była, tym większe groziło jej niebezpieczeństwo. Nie mogłem dopuścić, żeby to, co stało się z Paco, stało się z dziewczyną, którą...

Przestań o niej myśleć, nakazuję sobie.

Ludzie, na których mi zależy, umierają — proste. Mój tata. Teraz Paco. Byłem głupi, jeśli wydawało mi się, że mogę mieć wszystko.

Gdy rozlega się pukanie do drzwi, krzyczę:

— Wynocha!

Pukanie staje się bardziej natarczywe.

— Odpieprzcie się ode mnie!

Drzwi zaczynają się uchylać, więc rzucam kubkiem w ich kierunku. Nie trafia jednak w żadnego z pracowników szpitala, tylko w panią P. — prosto w pierś.

— O cholera. Tylko nie pani.

Pani P. ma nowe okulary, z kryształkami w oprawkach.

— Nie do końca na takie powitanie liczyłam, Alex — mówi. — Wiesz, że w dalszym ciągu mogę cię ukarać za przeklinanie?

Przewracam się na bok, bo nie mam ochoty na nią patrzeć.

— Przyszła mnie pani ukarać? Bo jeśli tak, to proszę się nie wysilać. Nie wracam do szkoły. Dzięki za odwiedziny. Strasznie mi przykro, że musi już pani iść.

— Nie ruszę się stąd, póki mnie nie wysłuchasz.

O nie, błagam. Wszystko, tylko nie kolejne kazanie. Naciskam przycisk łączący z dyżurką pielęgniarek.

— Co się dzieje, Alex? — pyta ktoś z głośnika.

— Znęcają się nade mną.

— Słucham?

Pani P. podchodzi do mnie i wrywa mi z ręki głośnik.

— Żartowniś z niego. Przepraszamy za zamieszanie. — Odkłada głośnik na stolik, poza zasięgiem mojej ręki. — Nie dają ci tu pigulek szczęścia?

— Nie chcę być szczęśliwy.

Pani P. nachyla się w moją stronę, a jej równo przycięta grzywka ociera się o okulary.

— Alex, bardzo mi przykro z powodu Paco. Nie był moim uczniem, ale słyszałam, że byliście dobrymi przyjaciółmi.

Wyglądam przez okno, żeby uciec przed jej wzrokiem. Nie chcę rozmawiać o Paco. O niczym nie chcę rozmawiać.

— Po co pani przyszła?

Słyszę jakiś szelest, gdy wyciąga coś z torby.

— Przyniosłam ci książkę, żebyś mógł nadrobić materiał, póki nie wrócisz do szkoły.

— Nie wracam. Już pani mówiłem. Rzucam szkołę. Nie powinno to pani dziwić, pani P. Chyba pani pamięta, że należę do gangu?

Pani P. przechodzi na drugą stronę łóżka i staje naprzeciwko mnie.

— Chyba się co do ciebie myliłam. Bo dałabym sobie rękę obciąć, że akurat ty wyłamiesz się ze stereotypu.

— No cóż, może i tak by było, gdyby mój najlepszy kumpel nie został zastrzelony. Wie pani, że to ja miałem zginąć? — Patrzę na podręcznik do chemii, który trzyma w ręce. Przypomina mi on tylko o tym, co było i co nigdy już się nie stanie. — To nie on miał zginąć, do jasnej cholery! Tylko ja! — wrzeszczę.

Pani P. zachowuje kamienną twarz.

— Ale nie zginąłeś. Myślisz, że wyświadcysz Paco przysługę, jeśli rzucisz szkołę i się poddasz? Uznaj to za podarunek, który od niego dostałeś, a nie za przekleństwo. Paco już nie wróci. Ale ty możesz. — Pani P. kładzie podręcznik na parapecie. — Tylu moich uczniów już zginęło, że nie mieści mi się to w głowie. Mój mąż nalega, żebym odeszła z Fairfield i przeniosła się do szkoły, w której nie ma gangsterów żyjących tylko po to, żeby dać się zabić albo skończyć jako dilerzy.

Pani P. przysiadła na brzegu łóżka i wbija wzrok w swoje dłonie.

— Uczę w Fairfield z nadzieją, że uda mi się coś zmienić, być dla kogoś przykładem.

Doktor Aguirre wierzy, że możemy skończyć z podziałami i ja też w to wierzę. Jeśli uda mi się zmienić życie choć jednego z moich uczniów, to uda mi się...

— Zmienić świat? — przerywam jej.

— Może.

— To niemożliwe. Świat jest, jaki jest.

Pani P. podnosi na mnie oczy, zupełnie niezrażona moimi słowami.

— Och Alex. Nie masz racji. Świat jest taki, jakim go stworzysz. Jeśli uważasz, że nie możesz go zmienić, to proszę, idź ścieżką, która została dla ciebie przygotowana. Ale są też inne drogi, tyle że trudniej się po nich poruszać. Nie jest łatwo zmienić świat, ale ja na pewno będę próbować. A ty?

— Nie.

— Twoje prawo. Ja i tak będę próbować. — Milknie na chwilę, po czym mówi: — Chcesz wiedzieć, jak sobie radzi twoja partnerka?

Kręcę głową.

— Nie. Nie obchodzi mnie to. — Głos omal nie więźnie mi w gardle.

Pani P. wzdycha poirytowana, po czym podchodzi do parapetu i bierze podręcznik.

— Mam to ze sobą zabrać, czy ci zostawić?

Nie odpowiadam.

Odkłada książkę na parapet i podchodzi do drzwi.

— Żałuję, że nie wybrałam biologii zamiast chemii — mówię, gdy otwiera już drzwi.

Mruga do mnie porozumiewawczo.

— Wcale nie żałujesz. Aha, może lepiej cię uprzedzę, że wpadnie też dziś do ciebie doktor Aguirre. Radziłabym, żebyś niczym w niego nie rzucał, gdy będzie wchodzić.

Po dwóch tygodniach wyszedłem ze szpitala i pojechaliśmy z mamą do Meksyku. Miesiąc później dostałem pracę jako pokojowy w hotelu w San Miguel de Allende, niedaleko domu. To ładny hotel, z bielonymi ścianami i kolumnami przed wejściem. W razie potrzeby służyłem za tłumacza, bo mój angielski był zdecydowanie lepszy niż większości pracowników. Gdy wychodziłem z chłopakami po pracy, próbowali umawiać mnie z różnymi Meksykankami. Dziewczyny były piękne, ponętne i zdecydowanie wiedziały, jak uwieść faceta. Szkopuł w tym, że żadna z nich nie była Brittany.

Musiałem jakoś o niej zapomnieć. I to szybko.

Staralem się. Pewnego wieczoru pewna Amerykanka, która zatrzymała się u nas w hotelu, zaciągnęła mnie do swojego pokoju. Na początku wydawało mi się, że wystarczy przespać się z inną blondynką, żeby zamazać wspomnienia tego jednego wieczoru z Brittany. Ale gdy już miałem to zrobić, nie mogłem.

Dotarło do mnie, że z powodu Brittany żadna inna dziewczyna dla mnie nie istnieje.

Bo nie ma jej twarzy, jej uśmiechu czy choćby jej oczu. To dzięki wszystkim tym powierzchownym cechom była piękną w oczach świata, ale to, co ją naprawdę wyróżniało, znajdowało się dużo głębiej. Czulość, z jaką ocierała twarz siostrze, powaga, z jaką podchodziła do nauki, siła, z jaką okazywała swoją miłość, mimo że wiedziała, kim i jaki jestem. Miałem zamiar przeprowadzić transakcję narkotykową — zrobić coś, czemu stanowczo się sprzeciwiała — a i tak mnie kochała.

Więc teraz, trzy miesiące po strzelaninie, jestem znów w Fairfield i mam zamiar zmierzyć się z tym, co pani P. nazwałaby moją największą zmorą.

Enrique siedzi przy biurku w warsztacie i kręci głową. Rozmawialiśmy na temat tamtego wieczoru w Halloween i wybaczyłem mu, że Lucky dowiedział się w jakiś sposób od niego o mnie i Brittany.

Enrique wypuszcza powoli powietrze z płuc, gdy mówię mu, co zamierzam.

— Możesz zginać — stwierdza, patrząc mi w oczy.

Kiwam głową.

— Wiem.

— Nie będę mógł ci pomóc. Żaden z twoich kumpli z Krwi nie będzie mógł ci pomóc.

Przemysł to jeszcze raz, Alex. Wróć do Meksyku i po prostu ciesz się życiem.

Podjąłem już decyzję i nie mam zamiaru się z niej wycofać.

— Nie stchórzę. Muszę to zrobić. Muszę odejść z Krwi.

— Dla niej?

— Tak. — I dla *mi papa*. I dla Paco. A także dla mnie i mojej rodziny.

— Co ci da odejście z Krwi, skoro będziesz martwy? — pyta Enrique. — Inicjacja to przy tym wakacyjna imprezka. Nawet PG zmuszą do udziału.

Nic na to nie mówię, tylko podaję mu kartkę z numerem telefonu.

— Jeśli coś mi się stanie, zadzwoń do tego gościa. To mój jedyny niepowiązany kumpel. — Niepowiązany z Krwią i z Brittany.

Dzisiejszego wieczoru stoję naprzeciwko magazynu pełnego ludzi, którzy uważają mnie za zdrajcę. Zdążyłem już też usłyszeć parę innych inwektyw. Godzinę temu powiedziałem Chuyowi, który przejął władzę po Hectorze, że chcę odejść — całkowicie zerwać z Latynoską Krwią. Jest tylko jeden mały szkopuł... w tym celu muszę przeżyć sprawdzian — atak z każdej możliwej strony.

Chuy, bezwzględny i surowy, podchodzi do mnie z bandaną Latynoskiej Krwi. Patrzą na otaczające mnie twarze. Z tyłu, spuszczać wzrok, stoi mój kumpel Pedro. Są też Javier i Lucky z oczami płonącymi z podniecenia. Javier to obłąkany skurwysyn, a Lucky zdecydowanie nie jest zachwycony, że przegrał zakład, mimo że nigdy nie upomniałem się o wygraną. Obaj z radością mi dowalają, wiedząc, że nie mogę się bronić.

Mój kuzyn Enrique stoi w kącie oparty o ścianę. Ma wziąć udział w sprawdzianie, pomóc porachować mi wszystkie kości, póki nie stracę przytomności. W LK nic nie liczy się bardziej niż lojalność i oddanie. Przystajesz być lojalny, przestajesz być oddany... stajesz się dla nich wrogiem. A nawet gorzej, bo kiedyś byłeś jednym z nich. Jeśli Enrique wyłamie się i będzie chciał mnie bronić, już po nim.

Stoję z dumnie uniesioną głową, a Chuy zawiązuje mi bandaną na oczach. Dam radę. Jeśli dzięki temu odzyskam Brittany, to warto przez to przejść. Nie będę nawet brać pod uwagę innej opcji.

Wiążą mi z tyłu ręce, prowadzą do samochodu i wpychają na tylne siedzenie, sadzając mnie pomiędzy dwoma członkami gangu. Nie mam pojęcia, gdzie jedziemy. Ponieważ to Chuy teraz dowodzi, wszystko jest możliwe.

List. Nie napisałem listu. A co, jeśli umrę i Brittany nigdy się nie dowie, co do niej czułem? Właściwie to może i lepiej. Łatwiej jej będzie się otrząsnąć, gdy będzie przekonana, że jestem dupkiem, który ją zdradził i nigdy tego nie żałował.

Po czterdziestu pięciu minutach samochód zjeżdża z drogi. Słyszę chrzęst żwiru pod kołami. Może gdybym wiedział, gdzie mnie wiozą, nie denerwowałbym się aż tak bardzo, ale za cholere nic nie widzę. Nie stresuję się. Raczej niecierpliwie, bo chcę się dowiedzieć, czy znajdę się w gronie szczęśliwców i przeżyję. Ale nawet jeśli przeżyję, czy ktoś mnie znajdzie? A może umrę w samotności w jakiejś szopie, magazynie czy innymi porzuconym budynku? Może nie będą mnie bić. Może zaprowadzą mnie na jakiś dach i po prostu zrzucą. I tyle. *Se acabó*.

Nie, Chuy nie jest z tych. Lubi, jak silni faceci wrzeszczą i błagają go na kolanach o litość.

Nie dam mu tej satysfakcji.

Wyprowadzają mnie z samochodu. Sądząc po chrzęście żwiru i kamieni, jesteśmy na jakimś pustkowiu. Słyszę kolejne samochody, kolejne kroki za nami. Gdzieś w oddali ryczy krowa.

Ryczy ostrzegawczo? Prawda jest jednak taka, że chcę to zrobić. Jeśli coś nam przerwie, odroczy tylko to, co i tak jest nieuniknione. Jestem zdecydowany. Jestem gotowy. Niech wreszcie się zacznie.

Zastanawiam się, czy powieszają mnie za ręce na gałęzi i w ten sposób wystawią na ciosy.

Cholera, niewiedza mnie dobija. *Estoy perdido*.

— Czekaj tu — słyszę.

Jakbym miał dokąd iść.

Ktoś do mnie podchodzi. Każdemu krokowi towarzyszy chrzęst żwiru.

— Przynosisz nam hańbę, Alejandro. Chroniliśmy ciebie i twoją rodzinę, a ty odwracasz się do nas plecami. Zgadza się?

Żałuję, że moje życie nie jest jak z powieści Johna Grishama. Bohaterowie w jego książkach zawsze znajdują się o włos od śmierci, ale wpadają na jakieś błyskotliwe rozwiązanie. Zwykle polega ono na ukryciu jakichś kompromitujących informacji: jeśli główny bohater zginie, czarny charakter będzie miał przechłapano do końca życia. Niestety w prawdziwym życiu nie ma tak prostych rozwiązań.

— To Hector zdradził Krew — odpowiadam. — *El traidor*.

Za to, że nazwałem Hectora zdrajcą, dostaję pięścią w twarz. Cholera, nie byłem na to gotowy, bo przez tę przepaskę na oczach za cholerę nic nie widzę. Staram się nie krzywić z bólu.

— Masz świadomość, co pociąga za sobą odejście z Krwi?

Kiwam głową.

— Tak.

Słyszę chrzęst żwiru, gdy ludzie ustawiają się wokół mnie w kręgu. Tym razem to ja jestem celem na tarczy.

Zapada upiorna cisza. Nikt się nie śmieje. Nikt nie wydaje z siebie żadnego dźwięku. Niektórzy są moimi dobrymi przyjaciółmi. I jak Enrique, muszą właśnie stoczyć wewnętrzną walkę. Nie winię ich. Część miała szczęście i nie została wytypowana do bicia.

Bez ostrzeżenia dostaję pięścią w twarz. Trudno mi trzymać się prosto, zwłaszcza że wiem, że zaraz spadnie na mnie więcej ciosów. Walczyć, wiedząc, że możesz wygrać, to jedno, ale mieć świadomość, że jesteś bez szans, to zupełnie co innego.

Ktoś chlasta mnie po plecach czymś ostrym.

Potem dostaję pięścią w zebra.

Wszystkie ciosy są wymierzone od pasa w górę — nie omijają żadnego skrawka mojego ciała. Cięcie tu, pięść tam. Kilka razy tracę równowagę, ale stawiają mnie od razu na nogi, na spotkanie z kolejnymi razami.

Mam rozcięte plecy, palą jak przypiekane żywym ogniem. Poznają ciosy Enrique, bo nie wkłada w nie tyle wściekłości co pozostali.

Tylko myśl o Brittany sprawia, że nie wrzeszczę z bólu. Będę silny dla niej... dla nas. Nie pozwolę im zdecydować o tym, czy przeżyję, czy umrę. To ode mnie zależy mój los, nie od Krwi.

Nie mam pojęcia, jak długo to trwa. Pół godziny? Godzinę? Zaczynam słabnąć. Z trudnością utrzymuję się na nogach. Wyczuwam dym. Chcą mnie wrzucić do ognia? Bandana wciąż przylega ciasno do moich oczu, choć nie ma to większego znaczenia, bo pewnie i tak są tak zapuchnięte, że nic bym nie widział.

Czuję, że zaraz się złamię i przewrócę na ziemię, ale najwyższym wysiłkiem woli utrzymuję się na nogach.

Przypuszczam, że nikt by mnie nie rozpoznał w tym stanie: gorąca krew leje się strumieniami z pochlastanej twarzy i ciała. Czuję, że ktoś rozdziera mi koszulę, która zlatuje ze mnie i odsłania miejsce, w które postrzelił mnie Hector. Ktoś wali mnie pięścią w ranę. Nie jestem już w stanie znieść więcej bólu.

Padam bezładnie na ziemię, szorując twarzą po żwirze.

W tym momencie tracę pewność, czy wytrzymam. Brittany. Brittany. Brittany. Póki powtarzam w myślach jej imię jak mantrę, wiem, że jeszcze żyję. Brittany. Brittany. Brittany.

Czy to zapach prawdziwego dymu, czy zapach śmierci?

Przez gęstą mgłę spowijającą mój umysł przedzierają się czyjeś słowa:

— Może już wystarczy?

Słyszę dalekie, ale wyraźne:

— Nie.

Rozlegają się głosy sprzeciwu. Poruszyłbym się, gdybym był w stanie. Brittany. Brittany. Brittany.

Kolejne głosy sprzeciwu. Nikt nie protestuje podczas sprawdzianów. To niedopuszczalne. Co się dzieje? Co będzie dalej? To musi być coś znacznie gorszego niż bicie, bo słyszę głośne protesty.

— Przytrzymaj go twarzą do ziemi — rozbrzmiewa głos Chuya. — Nie dopuszczę, żeby ktoś zdradzał Latynoską Krew na moich oczach. Niech to będzie ostrzeżenie dla wszystkich, którzy kiedykolwiek chcieliby się na to poważyć. Ciało Alejandro Fuentesy zostanie naznaczone, by zawsze przypominać mu o jego zdradzie.

Zapach spalenizny przybiera na sile. Nie mam pojęcia, co się zaraz stanie, póki ktoś nie przyciska mi do łopatek rozżarzonych węgli.

Musiałem chyba jęknąć. Albo zawyć. Albo wrzasnąć. Sam już nie wiem. Nic już nie wiem. Nie jestem w stanie myśleć. Potrafię tylko czuć. Równie dobrze mogli wrzucić mnie do ognia, bo nie wyobrażam sobie gorszej męczarni. Swąd palonej skóry wwierca mi się w nos, a ja uświadamiam sobie, że to wcale nie były węgle. Drań oznakował mnie jak bydło. Potworny ból. *Eldolor, eldolor...*

Brittany. Brittany. Brittany.

57. Brittany

Jest pierwszy kwietnia. Nie widziałam Aleksa od pięciu miesięcy, od tego dnia po strzelaninie. Plotki na temat Paco i Aleksa w końcu ucichły, a dodatkowi psychologowie i pracownicy społeczni mogli opuścić szkołę.

W zeszłym tygodniu powiedziałam szkolnemu psychologowi, że przespałam ponad pięć godzin, ale kłamałam. Od dnia strzelaniny cierpię na bezsenność, bo wybudzam się w nocy i nieustannie powracam myślami do tej strasznej rozmowy w szpitalu. Psycholog powiedział, że upłynie jeszcze dużo czasu, zanim uporam się z poczuciem zdrady.

Problem w tym, że nie czuję się zdradzona. Raczej smutna i przybita. Mimo że minęło tyle czasu, kładąc się spać, wciąż oglądam na komórce zdjęcia, które zrobiliśmy sobie z Alekssem w Mystique.

Po wyjściu ze szpitala Alex rzucił szkołę i zniknął. Być może nie ma go już w moim życiu fizycznie, ale na zawsze pozostanie częścią mnie. Nie potrafię wyrzucić go ze swojego serca, nawet gdybym chciała.

Cały ten obłęd miał jeden pozytywny skutek: pojechaliśmy całą rodziną do Kolorado, żeby Shelley mogła zobaczyć Słoneczną Dolinę i naprawdę jej się tam spodobało. Codziennie odbywają się tam różne zajęcia, podopieczni uprawiają sporty, a co trzy miesiące odwiedza ich nawet ktoś znany. Gdy Shelley usłyszała, że do ośrodka przyjeżdżają z koncertami i występami różne sławy, to gdyby nie przytrzymujące ją pasy, spadłaby z wózka.

Ciężko mi było pozwolić siostrze pójść swoją drogą, ale zrobiłam to. I nie spanikowałam. Świadomość, że to był jej własny wybór, bardzo mi pomogła.

Ale teraz zostałam sama. Wraz ze swoim odejściem Alex zabrał ze sobą dużą część mojego serca. Zaciekle strzegę tego, co mi pozostało. Doszłam do wniosku, że nie mam wpływu na cudze życie, tylko na własne. Alex poszedł swoją drogą. I nie zabrał mnie ze sobą.

W szkole ignoruję znajomych Aleksa, a oni ignorują mnie. Wszyscy udajemy, że pierwszy semestr czwartej klasy nigdy się nie wydarzył. Jedyne wyjątkiem to Isabel. Czasem ze sobą rozmawiamy, choć to bardzo bolesne. Panuje między nami milczące porozumienie, które pozwoliło mi sobie uświadomić, że jest ktoś, kto musi sobie radzić z podobnym bólem jak ja.

W maju, gdy przed chemią idę do swojej szafki, znajduję w środku parę ogrzewaczy do rąk. Wraca do mnie z całą mocą najgorsza noc mojego życia.

Alex tu był? Włożył ogrzewacze do mojej szafki osobiście?

Nie potrafię wymazać go ze swojej pamięci, choć bardzo bym chciała. Czytałam kiedyś, że złote rybki zapamiętują tylko na pięć sekund. Zazdroszczę im. Bo ja będę pamiętać o Aleksie całe życie i całe życie będę go kochać.

Przyciskam miękkie ogrzewacze do piersi, kucam pod szafką i zaczynam płakać. Uch. Jestem wrakiem człowieka.

Obok mnie pojawia się Sierra.

— Co się dzieje, Brit?

Nie jestem w stanie się ruszyć. Nie jestem w stanie nad sobą zapanować.

— Chodź — nakazuje Sierra i podciąga mnie do góry. — Wszyscy się gapią.

Mija nas Darlene.

— Poważnie, dziewczyno, powinnaś już chyba otrząsnąć się po tym gangsterze, który spuścił cię na drzewo. Zaczynasz się robić żalosna — mówi tak, żeby na pewno usłyszał ją cały tłumek, który zaczął się wokół nas zbierać.

Obok Darlene staje Colin. Patrzy na mnie ze złością.

— Alex dostał to, na co zasługiwał — cedzi przez zęby.

Bez względu na to, czy to słuszne, czy nie, walcz o to, co jest dla ciebie ważne. Dłonie same zaciskają mi się w pięści, gdy robię zamach, żeby go uderzyć. Uchyła się od ciosu, po czym łapie mnie za nadgarstki i wykręca mi do tyłu ręce.

Podchodzi do nas Doug.

— Puść ją, Colin.

— Nie wtrącaj się, Thompson.

— Chłopie, upokarzanie jej tylko dlatego, że rzuciła cię dla innego, to naprawdę żenada.

Colin odpycha mnie i podciąga rękawy.

Nie mogę pozwolić, żeby Doug walczył za mnie.

— Jeśli chcesz się z nim bić, musisz najpierw pokonać mnie — mówię.

Z zaskoczeniem patrzę, jak Isabel staje przede mną.

— A żeby pokonać ją, najpierw będziesz musiał pokonać mnie.

Obok Isabel ustawia się Sierra.

— I mnie.

Jeden z grupki Meksykanów, Sam, popycha w kierunku Isabel Gary'ego Frankela.

— Ten gość złamie ci rękę jednym ciosem, dupku. Zjeżdżaj mi z oczu, bo go na ciebie napuszczę — warczy Sam.

Gary, ubrany w koralową koszulkę i białe spodnie, wydaje pomruk, żeby wyglądać groźniej. Nie bardzo mu to pomaga.

Colin rozgląda się wokół siebie, ale nikt nie staje po jego stronie.

Mrugam z niedowierzaniem. Może we wszechświecie jeszcze przed chwilą panował chaos, ale teraz znów wszystko wróciło na swoje miejsce.

— Chodź, Colin — rzuca Darlene. — Niepotrzebna nam ta żalosna banda. — Odchodzą.

Prawie im współczuję. Prawie.

— Jestem z ciebie taka dumna, Dougie — woła Sierra i rzuca się mu w ramiona. Zaczynają się całować, nie zważając na gapiów ani na szkolny zakaz publicznego okazywania uczuć.

— Kocham cię — mówi Doug, gdy odrywają się od siebie dla złapania tchu.

— Ja też cię kocham — grucha Sierra dziecinnym głosem.

— Idźcie do hotelu — woła ktoś.

Ale oni całują się, póki z głośników nie rozlega się muzyka. Tłum się rozchodzi. A ja wciąż przyciskam do siebie ogrzewacze.

Isabel przykuca przy mnie.

— Nigdy nie powiedziałam Paco, co do niego czuję. Bałam się zaryzykować, a teraz jest już za późno.

— Strasznie mi przykro, Isa. Ja zaryzykowałam, ale i tak straciłam Aleksa, więc może lepiej na tym wyszłaś.

Wzrusza ramionami i wiem, że stara się trzymać, żeby nie rozkleić się w szkole.

— Pewnie któregoś dnia się pozbieram. Mało prawdopodobne, ale trzeba mieć nadzieję, prawda? — Prostuje się, wstaje i robi dzielną minę. Patrzę, jak wchodzi do klasy i zastanawiam się, czy rozmawia o tym z innymi, czy zwierza się tylko mnie.

— Chodź — mówi Sierra, wysuwając się z objęć Douga i ciągnąc mnie do wyjścia.

Ocieram oczy grzbietem dłoni i siadam na krawężniku przy samochodzie Sierry, mając gdzieś, że

właśnie zerwałam się z lekcji.

— Nic mi nie jest, Sierra. Naprawdę.

— Nieprawda. Brit, jestem twoją przyjaciółką. Byłam nią przed twoimi facetami i będę nią po nich. Więc mów, co ci leży na wątrobie. Zamieniam się w słuch.

— Kochałam go.

— Co ty nie powiesz, Sherlocku? Powiedz mi może coś, o czym nie wiem.

— Wykorzystał mnie. Przespał się ze mną tylko po to, żeby wygrać zakład. A ja nadal go kocham. Sierra, jestem załosna.

— Spaliście ze sobą i nic mi nie powiedziałaś? Myślałam, że to tylko ploty. No wiesz, takie bez pokrycia.

Poirytowana chowam głowę w dłoniach.

— Żartuję. Nie chcę nic wiedzieć. Okej, chcę, ale tylko jeśli sama mi będziesz chciała powiedzieć — mówi Sierra. — To akurat teraz nie jest ważne. Widziałam, jak Alex na ciebie patrzy, Brit. Dlatego przestałam cię męczyć o to, że go lubisz. Nie ma takiej opcji, żeby udawał. Nie wiem, kto ci powiedział o tym rzekomym zakładzie...

Podnoszę głowę.

— Sam mi powiedział. A jego znajomi potwierdzili. Czemu nie potrafię o nim zapomnieć?

Sierra kręci głową, jakby kasowała to, co przed chwilą powiedziałam.

— Po kolei. — Łapie mnie pod brodę i zmusza, żebym na nią spojrzała. — Po pierwsze Aleksowi zależało na tobie, bez względu na to, co ci na ten temat powiedział, i bez względu na to, czy był jakiś zakład, czy nie. Dobrze o tym wiesz, Brit, bo inaczej nie przyciskałabyś tak do siebie tych ogrzewaczy. Po drugie Alex zniknął z twojego życia i ze względu na siebie, na jego głupekowatego kumpla Paco i na mnie musisz żyć dalej, nawet jeśli to nie jest łatwe.

— Cały czas mi się wydaje, że zrobił to specjalnie. Gdybym tylko mogła z nim porozmawiać i go o to zapytać.

— Ale może on nie mógłby ci odpowiedzieć. I dlatego odszedł. Jeśli chce marnować swoje życie i odrzucać to, co od niego dostaje, to trudno. Ale musisz mu udowodnić, że ty jesteś silniejsza.

Sierra ma rację. Po raz pierwszy czuję, że dotrwam do końca roku. Tego wieczoru, gdy się kochaliśmy, oddałam Aleksowi kawałek serca, który już zawsze będzie do niego należeć. Ale to wcale nie oznacza, że moje życie musi pozostać w stanie wiecznego zawieszenia. Nie mogę uganiać się za upiorami z przeszłości.

Jestem teraz silniejsza. A przynajmniej mam taką nadzieję.

Dwa tygodnie później jako ostatnia przebieram się w szatni na wuef. Podnoszę głowę, słysząc stukanie obcasów. Stoi przede mną Carmen Sanchez. Jestem spokojna. Wstaję i patrzę jej prosto w oczy.

— Był w Fairfield — mówi.

— Wiem — odpowiadam, przypominając sobie ogrzewacze w szafce. Ale wyjechał. Jak szept, w jednej chwili był i zaraz potem zniknął.

Carmen wyraźnie się stresuje, jest niemal bezbronna.

— Kojarzysz te wielkie pluszowe maskotki w wesołych miasteczkach? Te, których poza garstką fuksiarzy praktycznie nikt nie wygrywa? Mnie nigdy nie udało się wygrać.

— No. Mnie też nie.

— Alex był moją maskotką. Nienawidziłam cię za to, że mi go zabrałaś — wyznaje.

Wzruszam ramionami.

— To możesz już przestać mnie nienawidzić. Bo ja też go straciłam.

— Przestałam cię już nienawidzić — mówi. — Już to przebolełam.

Przełykam z trudem ślinę i mówię:

— Ja też.

Carmen parska śmiechem. Ale tuż przed wyjściem z szatni słyszę, że mruczy pod nosem:

— W przeciwieństwie do Aleksa.

Co to ma znaczyć?

Pięć miesięcy później. Brittany

Sierpień w Kolorado pachnie zdecydowanie inaczej niż w Illinois. Potrząsam nową, krótką fryzurką, nie starając się nawet przyglądać niesfornych loczków, i usiłuję rozpakować kartony w swoim pokoju w akademiku.

Moja współlokatorka, Lexie, jest z Arkansas. Przypomina małego skrzata — malutka i słodka. Zdecydowanie mogłaby uchodzić za potomka Dzwoneczka z historii o Piotrusiu Panu. Poważnie, nigdy nie widziałam jej ze skrzywioną miną. Sierra, która poszła na Uniwersytet Illinois, nie miała podobnego szczęścia do współlokatorki. Trafiała na Darę, dziewczynę, która podzieliła szafę i pokój na cztery równe części i codziennie wstaje o piątej trzydzieści (nawet w weekendy), żeby wykonać w pokoju swój stały zestaw ćwiczeń. Sierra jest załamana, ale i tak większość czasu spędza w akademiku u Douga, więc nie jest tak źle.

— Na pewno nie chcesz z nami iść? — pyta Lexie, wypowiadając każde słowo z typowym południowym akcentem. Idzie z paroma dziewczynami z pierwszego roku na dziedziniec, gdzie ma się odbyć coś w rodzaju imprezy powitalnej.

— Muszę się rozpakować, a potem jadę do siostry. Obiecałam, że do niej zajrzę, jak tylko się rozpakuję.

— Okej — nie namawia już dłużej Lexie i zaczyna przymierzać różne ciuchy, żeby móc dziś wyglądać „idealnie”. W końcu decyduje się na jakiś zestaw, układa włosy i poprawia makijaż. Przypomina mi dawną mnie — tę, która tak bardzo starała się sprostać cudzym oczekiwaniom.

Pół godziny później Lexie wychodzi, a ja siadam na łóżku i wyciągam komórkę. Patrę na zdjęcia z Alekssem. Nienawidzę siebie za to, że ciągle do nich wracam. Tyle razy chciałam je wykasować, wymazać przeszłość. Ale nie potrafię.

Sięgam do szuflady przy biurku i wyciągam bandanę Aleksa, czystą i świeżą, złożoną w równy kwadrat. Gładzę delikatny materiał i przypominam sobie chwilę, gdy ją od niego dostałam. Dla mnie chusta nie symbolizuje Latynoskiej Krwi. Symbolizuje Aleksa.

Dzwoni komórka, przywołując mnie do terażniejszości. To ktoś ze Słonecznej Doliny. Odbieram, a po drugiej stronie słuchawki odzywa się kobiecy głos.

— Czy mówię z Brittany Ellis?

— Tak.

— Z tej strony Georgia Jackson ze Słonecznej Doliny. Z Shelley wszystko w porządku, ale chciała wiedzieć, czy będzie pani przed czy po kolacji.

Zerkam na zegarek. Jest czwarta trzydzieści.

— Proszę jej przekazać, że jestem za piętnaście minut. Właśnie wychodzę.

Rozłączam się, odkładam bandanę na miejsce i chowam telefon do torebki.

Podróż autobusem na drugi koniec miasta nie zajmuje dużo czasu, więc niedługo potem idę już do świetlicy w Słonecznej Dolinie, w której, zgodnie z uzyskaną w recepcji informacją, siedzi moja siostra.

Najpierw zauważam Georgię Jackson. Jest moim pośrednikiem w rozmowach z Shelley, gdy dzwonię co kilka dni. Wita mnie ciepło i serdecznie.

— Gdzie Shelley? — pytam, rozglądając się po sali.

— Gra w warcaby, jak zwykle — mówi Georgia i wskazuje na miejsce w rogu świetlicy. Shelley siedzi do mnie tyłem, ale rozpoznaję ją po włosach i wózku.

Wydaje z siebie pisk, czyli właśnie wygrała.

Podchodzę bliżej i dostrzegam osobę, która z nią gra. Ciemne włosy powinny mnie ostrzec, że moje życie za chwilę znów stanie na głowie, ale nie do końca to do mnie dociera. Zamieram.

To niemożliwe. To tylko wyobraźnia płata mi figle.

Ale gdy towarzysz Shelley się odwraca i przeszywa mnie spojrzeniem tych tak dobrze mi znanych ciemnych oczu, prawda spływa mi dreszczem wzdłuż kręgosłupa z prędkością błyskawicy.

Alex. Dzieli go ode mnie dziesięć kroków. O Boże, wszystko, co do niego czułam, wraca przemożną falą. Nie wiem, co zrobić i co powiedzieć. Odwracam się do Georgii, zastanawiając się, czy wiedziała o Aleksie. Jedno spojrzenie na jej zachęcającą minę mówi mi, że owszem.

— Przyszła Brittany — mówi Alex do Shelley, po czym odwraca ją delikatnie na wózk w moją stronę.

Podchodzę jak automat do siostry i obejmuję ją na powitanie. Gdy ją puszczam, Alex stoi tuż przede mną, ubrany w spodnie khaki i niebieską koszulę w kratę. Wpatruję się tylko w niego, podczas gdy mój brzuch wyczynia różne akrobacje, co przyprawia mnie niemal o mdłości. Moje oczy przestają rejestrować otaczającą mnie rzeczywistość i widzą tylko jego.

W końcu odzyskuję głos.

— A-Alex...? C-co ty tu robisz? — wykrztuszam z trudem.

Wzrusza ramionami.

— Obiecałem Shelley rewanż, prawda?

Stoimy wpatrzeni w siebie i jakaś niewidzialna siła nie pozwala mi odwrócić wzroku.

— Przyjechałeś aż do Kolorado tylko po to, żeby zagrać z moją siostrą w warcaby?

— Właściwie to niejedyny powód. Studiuję tu. Po odejściu z Krwi pani P. i doktor Aguirre pomogli mi z maturą. Sprzedałem Julio. Pracuję w klubie studenckim i wzięłem pożyczkę.

Alex? W college'u? Rękawy koszuli, schludnie zapiętej przy nadgarstkach, zakrywają prawie wszystkie tatuaże Latynoskiej Krwi.

— Odszedłeś? Alex, przecież mówiłeś, że to zbyt niebezpieczne. Że ludzie, którzy próbują odejść, umierają.

— I niewiele brakowało, a też bym umarł. Gdyby nie Gary Frankel, pewnie bym z tego nie wyszedł...

— Gary Frankel? — Najsympatyczniejszy dziwak w szkole? Po raz pierwszy przyglądam się dokładniej twarzy Aleksa i zauważam nową bladą bliznę nad okiem oraz kilka naprawdę paskudnych przy uchu i na szyi. — O Boże! C-co oni ci z-zrobili?

Bierze mnie za rękę i kładzie ją sobie na sercu. Jego oczy są przenikliwe i ciemne tak jak wtedy, gdy zobaczyłam go po raz pierwszy na szkolnym parkingu, na początku czwartej klasy.

— Długo mi zajęło, zanim się zorientowałem, że muszę wszystko zmienić. Wybory, których dokonałem. Gang. To, że zostałem zmasakrowany tak, że omal się nie przekręciłem, i naznaczony jak bydlę, było niczym w porównaniu z utratą ciebie. Gdybym tylko mógł cofnąć wszystko, co powiedziałem wtedy w szpitalu, zrobiłbym to. Myślałem, że odpychając cię od siebie, ochronię cię przed losem Paco i mojego taty. — Podnosi głowę i wpatruje się we mnie intensywnie. — Nigdy cię już nie porzucę, Brittany. Przenigdy. Przysięgam.

Zmasakrowany? Naznaczony? Robi mi się niedobrze i czuję w oczach piekące łzy.

— Cśś. — Przytula mnie i gładzi po plecach. — Już wszystko dobrze. Nic mi nie jest — powtarza w kółko łamiącym się głosem.

Tak dobrze być przy nim. Tak dobrze tu być.

Alex opiera się czołem o moje czoło.

— Musisz coś wiedzieć. Zgodziłem się na ten zakład, bo w głębi duszy wiedziałem, że jeśli zaangażuję się uczuciowo, to mnie to zabije. I faktycznie omal tak się nie stało. Jesteś jedyną dziewczyną, dla której chciałem podjąć ryzyko i rzucić wszystko, bo nic nie miało większej wartości niż przyszłość z tobą. — Prostuje się i cofa o krok, żeby spojrzeć mi w oczy. —

Przepraszam. *Mujer*, powiedz mi, czego chcesz, a dam ci to. Jeśli chcesz, żebym dał ci spokój i już nigdy nie zawracał ci głowy, powiedz. Ale jeśli ciągle mnie chcesz, zrobię wszystko, żeby być taki... — Wskazuje na swoje ubrania. — Jak mam ci udowodnić, że się zmieniłem?

— Ja też się zmieniłam — mówię. — Nie jestem tą samą dziewczyną co wcześniej. I przykro mi to mówić, ale to ubranie... to nie ty.

— Ale tego chcesz.

— Mylisz się, Alex. Chcę ciebie. A nie sztuczności. Zdecydowanie wolę cię w dzinsach i T-shircie, bo taki jesteś.

Alex zerka na swoje ubrania i parska śmiechem.

— Masz rację. — Znów podnosi na mnie oczy. — Powiedziałaś mi kiedyś, że mnie kochasz? Czy to nadal aktualne?

Moja siostra śledzi naszą rozmowę. Uśmiecha się do mnie ciepło, zachęcając, bym

powiedziała mu prawdę.

— Nigdy nie przestałam cię kochać. Nie potrafiłam o tobie zapomnieć, mimo że bardzo chciałam.

Alex wypuszcza powoli wstrzymywane powietrze i masuje się z ulgą po czole. Oczy ma zaszkłone i jest wyraźnie wzruszony. Czuję, że mnie też znów zbiera się na płacz i łapię go za koszulę.

— Nie chcę się ciągle kłócić, Alex. Związek powinien być zabawą. Miłość powinna być dobra. — Przyciągam go do siebie. Pragnę jego ust. — M-myślisz, że kiedyś będzie dobra dla nas? Nasze usta prawie się stykają, ale Alex odsuwa się nagle ode mnie i...

O Boże.

Przykłęka przede mną i bierze mnie za rękę, a moje serce przyspiesza gwałtownie.

— Brittany Ellis, udowodnię ci, że jestem chłopakiem, w którego dziesięć miesięcy temu uwierzyłaś. Byłaś też przekonana, że mogę coś w życiu osiągnąć, i tak się stanie. Za cztery lata, w dniu ukończenia studiów, zamierzam poprosić cię o rękę. — Przekrzywia głowę i dodaje żartobliwym już tonem: — I gwarantuję ci, że nie ominie cię w życiu zabawa. Kłótnie pewnie też nie, bo gorąca z ciebie *mamacita*... ale już się nie mogę doczekać tych cudownych chwil, kiedy będziemy się godzić. Może któregoś dnia uda nam się nawet wrócić do Fairfield i pomóc zamienić je w miejsce, o jakim zawsze marzył mój tato. Ty, ja i Shelley. I każdy inny członek rodziny Fuentesów i Ellisów, który będzie chciał stanowić część naszego życia. Stworzymy jedną wielką szurniętą meksykańsko-amerykańską rodzinę. Co o tym myślisz? *Mujer*, moje serce należy do ciebie.

Ocieram samotną łzę, która spływa mi po policzku, i nie mogę powstrzymać uśmiechu. I jak tu nie kochać do szaleństwa tego faceta? Rozłąka niczego nie zmieniła. Nie mogłabym odmówić mu drugiej szansy. Bo odmówiłabym szansy samej sobie.

Czas podjąć ryzyko, czas znów zaufać.

— Shelley, myślisz, że pozwoli mi wrócić? — pyta Alex z włosami niebezpiecznie blisko jej palców. Shelley nie ciągnie go jednak za włosy... tylko klepie go delikatnie po głowie. Czuję, że łzy lecą mi już ciurkiem po policzkach.

— Taa! — krzyczy Shelley, odsłaniając w uśmiechu ząbki. Jest tak szczęśliwa i zadowolona, jak już dawno nie była. Dwie najbliższe mi osoby są przy mnie. Czegóż chcieć więcej?

— Z czego robisz specjalizację? — pytam.

Alex uśmiecha się do mnie tym swoim uwodzicielskim uśmiechem.

— Z chemii. A ty?

— Z chemii. — Obejmuję go za szyję. — Pocałuj mnie, żebyśmy mogli się przekonać, czy nic się nie zmieniło. Bo do ciebie należy moje serce, dusza i wszystko pomiędzy.

Jego usta w końcu stapiają się z moimi, dużo namiętniej niż kiedykolwiek wcześniej.

Rany. We wszechświecie w końcu zapanował ład, a ja dostałam możliwość „powtórki”, choć nawet o to nie prosiłam.

Dwadzieścia trzy lata później. Epilog

Pani Peterson zamyka drzwi klasy.

— Dzień dobry. Witam na chemii dla maturzystów. — Podchodzi do biurka, przysiada na nim i otwiera dziennik. — Cieszę się, że wybraliście sobie miejsca, ale pozwoliłam sobie sama was porozsadzać... alfabetycznie.

Rozlega się fala tych samych jęków, które od ponad trzydziestu lat witają ją po wakacjach w liceum Fairfield.

— Mary Alcott, siadaj w pierwszej ławce. Będziesz pracować z Andrew Carsonem. — Pani Peterson kontynuuje odczytywanie listy, a uczniowie niechętnie przesiadają się na wyznaczone miejsca, obok swoich nowych partnerów.

— Paco Fuentes — mówi pani Peterson i wskazuje na miejsce za Mary.

Przystojny chłopak o jasnoniebieskich oczach matki i czarnych jak smoła włosach ojca

zajmuje wskazane miejsce.

Pani Peterson przygląda się swoim nowym uczniom ponad okularami zsuniętymi na czubek nosa.

— Panie Fuentes, niech pan sobie nie wyobraża, że potraktuję pana ulgowo tylko dlatego, że pańscy rodzice szczęśliwym trafem wynaleźli lekarstwo powstrzymujące rozwój alzheimera. Twój ojciec nawet nie skończył mojego kursu i nie zaliczył też jednego ze sprawdzianów, choć mam nieodparte wrażenie, że wtedy akurat powinna oblać twoja matka. To tylko oznacza, że wobec ciebie mam podwójne oczekiwania.

— *Si, senora.*

Pani Peterson zerka na dziennik.

— Julianna Gallagher, siadaj koło pana Fuentesesa.

Pani Peterson zauważa, że Julianna rumieni się, zajmując miejsce, a Paco szczerzy się w bezczelnym uśmiechu. Może po trzydziestu latach pracy w szkole coś wreszcie zaczęło się zmieniać, ale nauczycielka nie ma zamiaru ryzykować.

— A na wypadek, gdyby komuś z was zachciało się kłopotów, uprzedzam, że na moich zajęciach obowiązuje polityka zerowej tolerancji...

Podziękowania

Jest mnóstwo ludzi, którym należą się podziękowania za pomoc przy pracy nad tą książką. W pierwszej kolejności chciałabym wyrazić ogromną wdzięczność doktor Olympii Gonzalez i jej studentom z Uniwersytetu Loyola: Eduardo Sanchez, Jesus Aguirre i Carlos Zuniga poświęcili niezliczone godziny, by pomóc mi doprawić moją powieść językiem hiszpańskim i kulturą meksykańską. Wszelkie ewentualne błędy są wyłącznie moją winą, ale mam nadzieję, że i tak jesteście ze mnie dumni.

Mam prawdziwe szczęście mieć wspaniałą przyjaciółkę w osobie Karen Harris, która wspiera mnie tak w życiu osobistym, jak i zawodowym. Od początku mojej kariery pisarskiej otrzymuję ogromne wsparcie i doping ze strony Marilyn Brant i jestem niezwykle wdzięczna za jej przyjaźń. Nie osiągnęłabym tego, co udało mi się osiągnąć, gdyby nie te dwie panie. Na liście przyjaciół i członków rodziny, którzy znacząco przyczynili się do rozwoju mojej kariery, a także tej książki, znajdują się: Alesia Holliday, Ruth Kauñnan, Erika Danou-Hasan, Sara Daniel, Erica O'Rourke, Martha Whitehead, Lisa Laing, Shannon Greeland, Amy Kahn, Debbie Feiger, Marianne To, Randi Sak, Wendy Kussman, Liane Freed, Roberta Kaiser i oczywiście Dylan Harris (oraz Jesus i Carlos), który zapoznał mnie ze slangiem młodzieżowym — wasze mamy mogą być z was dumne.

Wielkie dzięki dla mojej agentki Kristin Nelson i redaktorki Emily Easton za to, że równie jak mnie zależało im na tym, by książka ukazała się w druku.

Fran, Samantha i Brett jadą ze mną na tym samym wózku i chciałabym, żeby wiedzieli, że są dla mnie nieustającym źródłem inspiracji. Dziękuję też mojej siostrze Tamar, która pokazała mi co to wytrwałość.

Moja bliska przyjaciółka Nanci Martinez poświęciła swoje życie osobom wymagającym szczególnej troski i chciałabym jej podziękować za to, że pozwoliła mi spędzić czas ze swoimi podopiecznymi. To niezwykle szczęśliwa grupa osób.

Moje siostry blogerki z www.booksboysbuzz.com to grupa pisarek tworzących dla młodzieży wchodzącej w dorosłość — jestem szczęśliwa, że mogę z wami być. Dziewczyny, jesteście przezabawne. Dziękuję za stowarzyszenie Romance Writers of America, a zwłaszcza za jego oddziały Chicago-North i Windy City.

Dziękuję Sue Heneghan z wydziału policji w Chicago nie tylko za to, że jest policjantką i poświęca swoje życie dla dobra innych, ale też za to, że zapoznała mnie z tematyką gangów i podsuwała mi coraz to nowe wyzwania podczas pracy nad książką.

Na koniec chciałabym podziękować swoim czytelnikom. To najwspanialsze, co może być w pisaniu powieści. Cieszę mnie wszystkie wasze listy — wysyłane pocztą tradycyjną i elektroniczną. Chciałabym podziękować czytelniczkom, które pomagają mi w szczególny sposób: Lexie (która moderuje moje forum) oraz Susan i Dianie, którym należy się tytuł Superczytelniczek.

Zawsze się cieszę z kontaktów z moimi czytelnikami. Nie zapomnijcie zajrzeć na moją stronę: www.simoneelkeles.com!